

CATHERINE COULTER

HRABINA

ROZDZIAŁ 1

Kiedy zobaczyłam go po raz pierwszy, nie wiedziałam oczywiście, kim jest. Tak naprawdę nawet mnie to nie interesowało - przynajmniej wtedy. Minęły dopiero trzy tygodnie od pogrzebu mojego dziadka. Właśnie otrzymałam list od kuzyna, Petera, który cudem wyszedł z bitwy pod Waterloo bez jednego draśnięcia, nie licząc ran duszy. Kuzyn napisał, że nie może opuścić Paryża, dopóki Francuzi, jak zawsze targani namiętnościami, nie zaakceptują Ludwika XVIII jako swojego pełnoprawnego, chociaż zidiociałego króla.

W przeciwieństwie do Francuzów, w owej chwili nie czułam zupełnie nic.

Dopóki nie spotkałam tego człowieka.

Spacerowałam w parku z George'em - moim terierem rasy Dandie Dinmont, o którym znajomi mawiali, że jest brzydki, jak sam diabeł w bezksiężycową noc. Nie zwracałam uwagi na pięknie wystrojonych ludzi, którzy przejeżdżali obok w karetach albo przechadzali się alejkami, podobnie jak ja. Szłam przed siebie w milczeniu, nawet George milczał, chociaż takie zachowanie nie było w jego zwyczaju. Jednak od śmierci dziadka w naszym życiu zapanowała cisza.

George był cicho nawet wtedy, gdy podniosłam patyk i rzuciłam go na odległość ponad pięciu metrów. Zwykle przy takich okazjach zaczynał szczekać jak szalony, po czym zrywał się do biegu i po kilkunastu wariackich skokach dopadał zdobyczy, żeby zatopić w niej zęby i powalić na ziemię. Tym razem nie wydał z siebie głosu. W końcu udało mu się złapać patyk, chociaż nie bez trudu.

Spowodował to mężczyzna, który podniósł patyk i zmierzył George'a wzrokiem, uśmiechnął się, po czym rzucił gałązkę dobre dziesięć metrów dalej. Pies, nadal bez jednego szczeknięcia, rzucił się naprzód tak szybko, że jego cztery krótkie łapki wyglądały jak jeden włochaty wir. Zamiast odnieść patyk swojej ukochanej pani - to znaczy mnie - George potruchtał z powrotem do mężczyzny i złożył gałąź u jego obutych stóp, merdając ogonem, który wyglądał jak wskazówka metronomu.

- George - powiedziałam nieco zbyt głośno - wracaj tu natychmiast. Chodź do mnie. Nie chcę, żeby ktoś ukradł mi taki skarb.

- To naprawdę wspaniałe zwierzę - krzyknął mężczyzna z oddali, a ja natychmiast wyczułam sarkazm w jego głosie. Zresztą trudno go było nie wyczuć. - Ale przysięgam, nie zamierzałem go uprowadzić z myślą o okupie. Niektórzy ludzie, niewątpliwie ograniczeni i płytki, mogliby jednak pomyśleć, że z tymi musztardowoczerwonymi włosami pies nadaje się

wyłącznie do odstraszenia nieprzyjaciół.

- On wcale nie ma musztardowoczerwonych włosów. Psy z musztardową sierścią wyglądają idiotycznie. Powiedziałabym, że George ma włosy w barwach beżu zmieszanego z przepięknym, czerwonawym brązem - oświadczyłam, zmierzając w stronę mężczyzny, przy którym stał mój terier. Osobiście uważałam, że George odznacza się wyjątkowo ładnym umaszczeniem, szczególnie podobały mi się plamy beżu, chociaż nieżyczliwi mogliby nazwać ten kolor zgniłożółtym. Zresztą i tak plamy te nie były zbyt duże, bo sam George mierzył mniej niż czterdzieści centymetrów wysokości i ważył tyle, co niewielki kamień. Spojrzałam na niego, marszcząc brwi. Jego szata, mieszanka twardych włosów i miękkiego podszerstka, wymagała porządnego wyczesywania, a ja nie tknęłam go szczotką od ponad tygodnia. Tak bardzo pograżyłam się w swoich sprawach, że zaniedbałam psa i teraz poczułam wyrzuty sumienia.

Tymczasem ten mały zdrajca wyglądał jakby się zakochał. Ukłękłam przed nim, poklepałam jego okrągłą główkę i popatrzyłam prosto w wielkie inteligentne oczy, odgarniając z nich jedwabiste włosy.

- Posłuchaj mnie, ty karłowaty niewdzięczniku. To ja cię karmię, zabieram na spacer i wytrzymuję twoje chrapanie, kiedy najesz się za dużo gulaszu z królika firmy Cook. Teraz zamierzam wrócić do domu i chcę, żebyś poszedł za mną. Rozumiesz, George?

George podniósł głowę, zerkając na mnie, po czym odwrócił się do mężczyzny, który ukląkł obok mnie. W wielkich ślepiach mojego psa błyszczało uwielbienie. Mężczyzna usiłował rozładować sytuację, wzruszając beztrząsrami.

- Proszę się nie denerwować. Zwierzęta po prostu mnie ubóstwiają. Taki już się urodziłem, mam pewien dar, pewną moc przyciągania, tak można to nazwać. Wystarczy, że przejdę się raz po Bond Street, a wszystkie te frywolne małe pieski natychmiast zeskakują z rąk dam i ruszają za mną w pogoń. Polują na mnie psy z całego Piccadilly. Staram się je ignorować i zawsze oddaję właścicielkom, ale ten obłęd trwa bez końca. Co mam robić?

To humor, pomyślałam. Coś, czego w moim życiu brakowało już od tak dawna, że z trudem przypominałam sobie o jego istnieniu. Nie mogłam powstrzymać uśmiechu. W odpowiedzi mężczyzna wyszczerzył do mnie olśniewające białe zęby, po czym ujął moją dłoń i pomógł wstać. Był potężny, zbyt potężny i zbyt wysoki. A przede wszystkim - zbyt młody. Ten człowiek nie stał tak po prostu w parkowej alejce, on górował nad całym otoczeniem, brał je w posiadanie. Odruchowo cofnęłam się o krok, potem o dwa.

- George - powiedziałam, czując się coraz bardziej niezręcznie. - Czas już sprawdzić, co tam pani Dooley naszykowała dla nas na lunch. We wtorki zawsze robi dla ciebie

specjalną przekąskę z bekonu. Tak, tak z bekonu. Smaży go, aż stwardnieje do tego stopnia, że można nim rzucać o podłogę. Chodź już. Zostawisz teraz tego pana. Może i jest dla ciebie miły, ale na pewno nie chciałby, żebyś złapał zębami poły jego płaszcza i ścigał go aż do domu. Idziemy.

Odwrociłam się i odeszłam, mając nadzieję, że George nie zostanie z tym mężczyzną. Jeszcze przed chwilą siedział u jego stóp, machając ogonem i nastawiając uszy, zupełnie jakby chciał zapytać: „Czy sądzisz, że naprawdę dostanę bekon na obiad?”.

- Proszę zaczekać! - krzyknął za mną mężczyzna, unosząc rękę. - Nie wiem nawet, kim pani jest.

Ale ja nie czekałam. Nie chciałam, żeby poznał moje nazwisko. Poza tym, skąd ta ciekawość? Czy nie widział, że noszę żałobę? Czy nie zauważył, że źle się czułam, stojąc metr od niego? Przyspieszyłam kroku. Był wysoki, silny i za młody. Nie, pomyślałam, na środku parku nic mi nie zrobi, nie na oczach tych wszystkich ludzi. Potrząsnęłam głową, ale nie odwróciłam się do niego. Omal nie krzyknęłam z radości, kiedy popatrzyłam w dół i zobaczyłam, że George drepce obok mnie z wywieszonym językiem i patykiem w pysku. Dopiero na rogu odważyłam się spojrzeć za siebie.

Mężczyzna zniknął.

Właściwie czego innego się spodziewałam? Że rozwinie skrzydła i poleci za mną? Że porwie mnie i George'a w przestworza, po czym zanieś do jakiegoś mrocznego starego zamczyska? Nie, nie był potworem i chyba nie miał złych zamiarów. Ale to jednak mężczyzna, pomyślałam. Zbyt młody i zbyt pewny siebie. Zdolny do rzeczy, o których bałam się nawet pomyśleć. Ale przynajmniej mnie rozśmieszył. To już coś.

Wróciliśmy do domu, gdzie George dostał na obiad nie bekon, lecz gulasz z królika, w związku z czym chrapał przez całą noc. Ja czytałam szarpiące nerwy wiersze Coleridge'a i zastanawiałam się, czy nie napisał ich pod wpływem opium.

I tak zapominałam o zdarzeniach dzisiejszego dnia.

Kiedy zobaczyłam go po raz drugi, nadal nie wiedziałam, kim jest.

Ciągle jeszcze chodziłam w czerni, a w dodatku tym razem włożyłam też czarny woal, który zasłonił mi pół twarzy. Kiedy wyszłam z księgarni Hookhama, on stał pod drzwiami z otwartym parasolem. Właśnie zaczynało mżyć. Jego opaloną twarz rozjaśniał szeroki uśmiech, skierowany bez wątpienia do mnie.

Chciałam go zapytać, co tam robił, uśmiechając się do mnie tak promiennie, ale zdanie, które w końcu wydobyło się z moich ust, brzmiało zupełnie inaczej:

- Jakim cudem tak się pan opalił, chociaż od dwóch dni słońce nie wyszło nawet na

minutę?

Uśmiech nieco przygasł, ale nadal czaił się w kącikach jego ust, gotowy, by przerodzić się w głośny śmiech. Czułam to.

- Przynajmniej tym razem spojrzała mi pani w twarz, czego nie chciała pani zrobić, kiedy spotkaliśmy się po raz pierwszy w parku. W moich żyłach płynie hiszpańska krew, którą mój ojciec szczerze pogardzał, dopóki nie zakochał się w mojej matce, Isabelli Marii. Z tego związku narodziłem sieja. Ciekawe, co by sobie teraz o mnie pomyślał, gdyby jeszcze żył. Zupełnie nie przypominam prawdziwego Anglika, bladego, z różowymi policzkami.

- No cóż, to wszystko wyjaśnia - odparłam, po czym skinęłam głową, życząc mu miłego dnia.

Nie byłam zdziwiona, kiedy chwilę później mżawka przemieniła się w ulewę - w końcu mieszkałam w Anglii. Zdziwił mnie natomiast fakt, że mężczyzna szedł za mną krok w krok, trzymając mi parasol nad głową. Hm, nawet niech o tym nie myśli... Odwróciłam się raz jeszcze, żeby spojrzeć mu w twarz.

- Dziękuję, że mnie pan osłania. Co pan tu robi?

- Zobaczyłem, że kupuje pani książkę. Pada. Nie ma pani parasolki. Zamierzam chronić panią przed szaleństwem żywiołów, odprowadzić, dokąd tylko zechce pani pójść, i tym samym zyskać sobie pani dozgonną wdzięczność.

- Proszę wybaczyć - przerwałam mu, zerkając na szare niebo koloru żelaza. - Jakie szaleństwo żywiołów? Czy pan oszalał? Jesteśmy w Anglii.

Mężczyzna odrzucił głowę do tyłu i wybuchnął śmiechem. Śmiał się z tego, co powiedziałam. Usiłowałam zmarszczyć surowo brwi, ale on tylko podszedł bliżej. Nawet się nie przestraszyłam. Wokół krążyło co najmniej kilkunastu ludzi, uciekających przed deszczem lub manipulujących przy swoich parasolach.

- Dokąd mogę panią odprowadzić, panno...?

Już chciałam odwrócić się i odejść, kiedy on delikatnie dotknął ręką mojego ramienia. Zamarłam w bezruchu. Trwałam tak przez chwilę, czekając, co się stanie.

- W porządku - powiedział wolno, mierząc mnie wzrokiem.

Wiedziałam, że chciałby zedrzyć zasłonę z mojej twarzy. Ale oczywiście nie mógł tego zrobić.

- Miałem nadzieję, że George zastąpi osobę, która mogłaby nas sobie przedstawić owego dnia w parku. Niestety wtedy tego nie zrobił, a dzisiaj nie widzę go przy pani. Skoro pies nie nadawał się do tej roli, musimy znaleźć wspólnego znajomego pośród ludzi. Najwyraźniej jest pani damą surowo przestrzegającą praw etykiety. Czy w pobliżu widzi pani

kogokolwiek, kto byłby godzien, aby mnie pani przedstawić?

Tak bardzo chciałam się roześmiać... Aż za bardzo. Nie powinnam się śmiać teraz, zaledwie miesiąc po śmierci dziadka. Stanowczo nie powinnam.

Popatrzyłam na przepięknie dobrany krawat, po czym podniosłam wzrok na tego mężczyznę. Miał dołeczek w dumnym podbródku i nadal uśmiechał się do mnie w najlepsze, demonstrując wspaniały garnitur białych zębów. Deszcz przybrał na sile, więc nie zamierzałam porzucać właściciela parasola. Nie ufałam mu ani trochę i podejrzliwie patrzyłam na ten uprzejmy uśmiech, ale nie byłam na tyle głupia, żeby z tego powodu przemoknąć do suchej nitki.

- Czego pan sobie życzy?

- Życzę sobie usłyszeć pani nazwisko, bym mógł poznać pani rodziców, rodzeństwo i wszystkie zwierzęta domowe oraz zapewnić ich, że nie jestem jakimś diabolicznym złoczyńcą, który wziął się na ich piękną krewną. Chcę zabrać panią na lody do Gunthera i zaprosić na konną przejażdżkę. I chcę znów panią rozśmieszyć.

Tylko tyle, pomyślałam, wiedząc, że było to absolutnie niemożliwe.

- Mam tylko jednego krewnego - kuzyna, który aktualnie przebywa w Paryżu. Gdyby wiedział, jak pan mnie nagabuje, z pewnością odstrzeliłby panu głowę.

Mężczyzna przestał się uśmiechać.

- Czy nagabywaniem nazywa pani fakt, że usiłuję uchronić panią przed przemoknięciem aż po czubki pani uroczych bucików?

- Niezupełnie.

- To już coś. Jest pani w żałobie, głębokiej żałobie. Czy to oznacza, że każdy, kto panią spotyka, musi zrobić tragiczną minę, westchnąć i przygotować chusteczkę?

Był mocno umięśniony, podobnie jak Peter. Zauważyłam to pomimo eleganckiego stroju do konnej jazdy, który miał na sobie - obcisłe bryczesy, marszczona biała koszula, marynarka, której żaden człowiek nie mógłby włożyć samodzielnie i wypolerowane czarne buty sięgające za kolana. Mężczyzna na schwał, jak powiedziałałyby mój dziadek.

- Nie potrzebuję pańskiej chusteczki. A co do tragicznej miny, to pan chyba nie byłby w stanie jej zrobić. Ma pan twarz stworzoną do uśmiechów.

- Dziękuję.

- Nie chciałam, żeby zabrzmiało to jak komplement.

- Wiem.

- Radzę sobie świetnie sama, nie szlocham, nie błagam o współczucie i już z pewnością nie drgają mi usta. Aż tu nagle wyskakuje pan, jak...

- Błagam, niech pani ze mnie nie robi Filipa z konopii.

- W porządku. Wyskakuje pan nagle jak wuj Albert, którego trzymamy w zamknięciu na trzecim piętrze. Niestety regularnie przekupuje służącą i ucieka.

Mężczyzna wybuchnął śmiechem. Miał wspaniały śmiech, tubalny, głęboki i dźwięczny. Nie słyszałam takiego śmiechu od dawna. Prawdę mówiąc, od zbyt dawna. Ostatni raz w czasie naszego pierwszego spotkania w parku. Czyżbym niezamierzenie osiągnęła komiczny efekt? To dziwne, bo w moim życiu naprawdę brakowało choćby iskry humoru. Rzucając garść ziemi na trumnę dziadka, zdecydowałam, że dwadzieścia jeden lat uśmiechów i chichotów to wystarczająco wiele, jak na jedną ludzką istotę. A nawet więcej niż trzeba. Dziadek był przy mnie, odkąd skończyłam dziesięć lat, odkąd umarła moja mama, tata wyjechał z Anglii, a Peter zaczął naukę w Eton. I dziadek uwielbiał się śmiać. Ku mojemu zawstydzeniu poczułam, że po policzkach płyną mi łzy. Przywarły do przekłętego kwefu. Zerwałam z głowy zasłonę i otarłam oczy wierzchem dłoni. Łzy nadal płynęły. Czułam się ogromnie upokorzona.

- Bardzo mi przykro - powiedział mężczyzna. - Bardzo. Kogo pani straciła?

- Dziadka.

- Mój umarł pięć lat temu. Przeżyłem wtedy ciężkie chwile. Chociaż mówiąc szczerze, najbardziej tęsknię za babcią. Babcia zawsze powtarzała, że kocha mnie mocniej niż zachody słońca w Irlandii. Pochodziła z Galway, gdzie, jak twierdziła, zachody słońca są najpiękniejsze na świecie. A potem pokochała mojego dziadka tak bardzo, że dobrowolnie rozstała się z zachodami słońca, wyszła za niego za mąż i pojechała do Anglii. Nigdy nie wspominała nic na temat irlandzkiego Yorkshire.

Przez chwilę myślałam, że on też się rozplacze. Nie chciałam, żeby był miły. Nie chciałam nawet, żeby wiedział cokolwiek o moich uczuciach. Wołałam, żeby zachował się jak mężczyzna. Wtedy wiedziałabym, kim jest, zanim jeszcze musiałabym się przejmować jego nazwiskiem. Moje łzy nagle wyschły. Wtedy on podał mi lewą rękę, ponieważ w prawej nadal trzymał parasol. Padało tak mocno, że zostaliśmy osaczeni przez mały, szary świat. Byliśmy całkiem sami. Nie podobało mi się to, ale cieszyła mnie obecność parasola. Nawet nie czułam wilgoci w powietrzu.

- Nie - powiedziałam, patrząc na jego dłoń, opaloną podobnie jak twarz, ale nie okrytą nawet rękawiczką. Nie zamierzałam dotykać tej wielkiej dłoni o silnych, muskularnych palcach. - Nie - powtórzyłam. - Nie chcę się z panem spotykać. Mieszkam razem z moją towarzyszką, panną Crislock, i nie przyjmujemy gości. Jesteśmy w żałobie.

- A jak długo planuje pani uciekać w żałobę?

- Uciekać w żałobę? Niczego podobnego nie robię. Kochałam mojego dziadka i tęsknię za nim. Szanuję jego pamięć. A poza tym jestem na niego trochę wściekła, że umarł i zostawił mnie tu zupełnie samą. Jak on mógł mi to zrobić? Pomimo zaawansowanego wieku nawet nie chorował. Wszystko było w porządku aż do tego dnia, kiedy wyjechał na przejażdżkę i jego koń potknął się w kałuży błota. Dziadek spadł z konia, uderzył głową w pień dębu i stracił przytomność. Już jej nie odzyskał. Ja broniłam go przed głupim doktorem, który chciał codziennie puszczać mu krew. Zaklinałam dziadka, żeby nie umierał, obiecałam, że pozwolę mu zjeść tyle tarty jabłkowej Cooka, ile tylko będzie chciał. Błagałam, żeby mnie nie opuszczał, żeby otworzył oczy i uśmiechnął się do mnie - albo obrzucił mnie wyzwiskami, co lubił prawie tak jak śmianie się - ale on nie słuchał. Nie chcę, aby mi przypomniano, że życie toczy się dalej, chociaż ja straciłam najważniejszą osobę spośród bliskich, i to w tak idiotyczny sposób. Nikogo to zresztą nie obchodzi.

- A kogo może obejść, skoro nie chce pani nawet zdradzić swojego nazwiska?

- Życzę panu miłego dnia.

Tym razem za mną nie poszedł. W ciągu kilku sekund przemokłam na wylot. Woal przylgnął do mojej twarzy jak druga skóra i drażnił mnie jak lepki plaster. Uciekać w żałobę. Co za nietaktowna uwaga. I przy tym jaka okrutna. Powiedział to tylko dlatego, że nie chciałam mu się przedstawić. Mężczyźni są drażliwi. Myślą tylko o sobie i przykładają wagę tylko do własnych pragnień i zachcianek. Mój dziadek nie żył. Oplakiwałam jego śmierć. Każdy oplakiwałby śmierć tak wspaniałego człowieka.

Wcale nie uciekałam w żałobę.

Kiedy zobaczyłam go po raz trzeci, nadal nie miałam pojęcia, kim jest. Rozmawiał właśnie z przyjacielem mojego dziadka, Theodorem lordem Anstonem, dżentelmenem, który zasłaniał łusą czaszkę kruczo czarną peruką i zawsze wdziewał czarne bryczesy - nie tylko do Almacka w środowe wieczory. Jeździł ze swoimi psami po Hyde Parku, polując nie tyle na lisy, co na urodziwe damy i ich służące. Mój dziadek opowiedział mi kiedyś, śmiejąc się w rękaw, że Theo włożył nawet satynowe bryczesy na zawody w Hounslow Heath. Jeden z walczących był tak zdziwiony, że na chwilę opuścił ręce i wbił wzrok w lorda Anston. A wtedy jego przeciwnik błyskawicznie rozłożył go na łopatki.

Lord Anston uśmiechnął się, pokazując komplet zadziwiająco ładnych zębów, poklepał mężczyznę po ramieniu, po czym stuknął w chodnik laską o gałce w kształcie lwa. Lord miał na sobie czarne satynowe buty z wielkimi, srebrnymi klamrami. Moim zdaniem poruszał się na tych siedmiocentymetrowych obcasach całkiem zgrabnie, jak na mężczyznę.

Gdybym odeszła nieco szybciej, mężczyzna z pewnością by mnie nie zauważył, ale ja

zapatrzyłam się na buty lorda Anstona. Zastanawiałam się właśnie, jak ja bym w nich wyglądała, kiedy moim oczom ukazała się ogromna kałuża odległa najwyżej o metr od sztywnych butów. Zastygłam w napięciu - wiedziałam, że lord za chwilę w nią wdepnie - i z wrażenia nie odeszłam stamtąd dość szybko. Kompan lorda dopadł mnie w ciągu dwóch sekund.

- Ale co to? Nie ma George'a? - zapytał, oślepiając mnie tymi swoimi białymi zębami.

- Biedny piesek, roztyje się z powodu braku ruchu.

- George cierpi na katar. Już dochodzi do zdrowia, ale nadal jest zbyt słaby, żeby wydać go na pastwę żywiołów.

Wprawdzie „żywioły” nie wydawały się szczególnie okrutne w ten słoneczny, pogodny dzień, ale mężczyzna pokiwał głową.

- Katar to podstępna choroba - powiedział tonem człowieka, który nigdy się nie myli. - Radziłbym trzymać George'a z dala od żywiołów, aż będzie w stanie postawić ogon na sztorc.

Uśmiechnęłam się - a niech go! - I natychmiast wyobraziłam sobie George'a merdającego tą swoją chorągwią, kiedy pani Dooley karmiła go z ręki ręcznie lepionymi kuleczkami z łośosia.

- Znowu panią rozśmieszyłem! - oświadczył nagle mężczyzna, a ja odruchowo odsunęłam się o krok, zanim pojęłam, że nie mam powodów do niepokoju. On tylko odchylił głowę na bok i popatrzył na mnie pytająco. Ale ja nie zamierzałam mu tłumaczyć, że nie ufam ani jemu, ani żadnemu mężczyźnie na tyle, żeby stanąć bliżej niż wynosił mój rekord w pluciu do kałuży na odległość. - Proszę się nie bać - powiedział w końcu, marszcząc brwi. - Pomyślałem tylko, że kiedy mężczyzna potrafi rozśmieszyć kobietę, wówczas ona już jest jego.

Pokręciłam głową, ale on znów się uśmiechnął.

- To był tylko żart, ale nie do końca - powiedział. - Lord Anston poinformował mnie, kim pani jest. Poprosiłem, żeby pani nie wołał, bo mogłaby pani uciec, na co on: „Co takiego, John? Jamesonówna miałaby uciec? Ha! W tym małym ciele nie ma nawet jednej tchórzliwej kostki. Ona pięknie śpiewa. Może ta muzykalność rozciąga się na całe ciało, niestety nie udało mi się tego sprawdzić. Chyba jest słodziutkie, kto wie?”. Dokładnie to powiedział mi lord. Dodał też, że zna panią odkąd wypływała pani mleko na jego kołnierzu.

- To możliwe - odparłam - chociaż nie przypominam sobie tego mleka. Lord Anston jest starym przyjacielem mojego dziadka. A ja znacznie lepiej gram na fortepianie niż śpiewam. To moje palce są muzykalne, nie gardło.

- Trochę się zdziwiłem słysząc, że jest pani kuzynką Petera Wiltona. Jaki ten świat

mały. Znam Petera od czasów, kiedy jako chłopcy studiowaliśmy razem w Eton. Pani jest Andrea. Peter opowiadał mi o pani tysiące razy.

- Nie - powiedziałam. - Nie nazywam się Andrea. Popełnił pan okropny, chociaż zrozumiały błąd. To się zdarza. Proszę nie rozpamiętywać tej porażki, do jutra o wszystkim pan zapomni. Do widzenia. Życzę panu miłego dnia.

Obejrzałam się za siebie dopiero za rogiem. Stał tam jeszcze, patrząc za mną. Podniósł rękę, żeby mnie pozdrowić, po czym powoli ją opuścił i poszedł w swoją stronę.

To było nasze trzecie spotkanie, a ja nadal nie znałam jego nazwiska. Usłyszałam tylko imię: John. John to zwyczajne i przeciętne imię, ale wiedziałam, że jego właściciel do przeciętnych nie należy. Znajomość pierwszego imienia w pełni mi wystarczała. Wołałam na tym zakończyć naszą znajomość. Każdą cząstką ciała, aż po podeszwy stóp czułam, że ten mężczyzna jest niebezpieczny.

Niebezpieczni są wszyscy mężczyźni, którzy uśmiechają się promiennie tak często, jak często wkładają ulubioną koszulę.

ROZDZIAŁ 2

Leżałam na jednym z pięknych aksminsterskich dywanów dziadka i z nogami niedbale opartymi o wielki, skórzany fotel czytałam o moim bohaterze - lordzie Nelsonie. Gdybym tylko była przy nim na pokładzie Yictory, gdybym mogła go strzec, na pewno żyłby do dziś. Przynajmniej dowiedziałby się przed śmiercią, że wygrał bitwę. A tak - jest już tylko wspomnieniem, przeszedł do historii i na karty książek jako bohater swoich czasów. Ale założyłabym się o każdą kwotę, że wolałby tu siedzieć ze mną i opowiadać o swoich przygodach, szczególnie tych miłosnych, związanych z panią Hamilton. Ach, co za podły świat, jak powiedziała by mój dziadek. Chociaż wcale mnie to nie zachwyca, rzeczy mają się tak, a nie inaczej. Tego nauczyłam się już jako dziecko. Mogłam się burzyć i protestować, ale świat jest taki a nie inny.

- To był prawdziwy mężczyzna. Nie tolerował niekompetencji, bolał nad szaleństwem króla, ministrom wydierał z gardła pieniądze, statki i ludzi potrzebnych do pokonania tych przeklętych Francuzów. Zawsze pozostał wierny swojemu krajowi. Znałem go bardzo dobrze i nigdy już chyba nie spotkam mężczyzny, który będzie tak odważny i tak śmiały jak on. A czasem dziadek ulegał diabelskim pokusom i mówił, że pani Hamilton tak naprawdę zakochała się w nim, a nie w lordzie Nelsonie. I tylko dlatego, że dziadek miał już żonę, pani Hamilton musiała zadowolić się romansem z lordem. Nelson był strasznie niski, wiesz Andy? Okropnie. Za to nadrabiał wybitnym rozumem. Chociaż nie zawsze. Na przykład, pomimo całej swojej bystrości, nigdy nie umiał uszczęśliwić dam. Nie chodzi mi o to, że kobiety są głupie - to nieprawda. Wystarczy tylko popatrzeć na twoją babkę. To dopiero dama - trzymała mnie w garści dzięki znakomitej sprawności rozumu. A lord Nelson bezustannie wymyślał wspaniałe nowe strategie, ale żadna z nich nie mówiła o tym, jak uszczęśliwić kobiety.

Chciałam go zapytać, jak wpadł na tę wspaniałą teorię. Chciałam mu powiedzieć, że mężczyźni zawsze myślą tylko o swoim szczęściu. Kiedy już zdobędą władzę nad kobietą, dlaczego mieliby się o cokolwiek starać?

- Andy, co ty, do diabła, robisz?

Zerknęłam w górę i zobaczyłam mojego kuzyna Petera.

- Peter - zanim dotarłam wzrokiem od jego stóp do twarzy musiało minąć trochę czasu. - Podobno jesteś w Paryżu. Ale zdaję się, że jednocześnie stoisz tu przede mną.

- A ty leżysz na podłodze z nogami na krześle i nosem w książce. Nawet nie wiesz, ile razy wyobrażałem sobie ciebie w takiej pozycji.

Skoczyłam na równe nogi i rzuciłam się, żeby go uściskać. Na szczęście w porę otworzył ramiona. Wycalaowałam całą jego twarz, nie ominęłam nawet płatków uszu.

- Wróciłeś - szepnęłam, przytulając się do niego. Peter roześmiał się, ściskając mnie mocno w objęciach. W końcu odsunął na chwilę od siebie.

- Dobrze wyglądasz - powiedział i natychmiast wyczułam, że kłamie.

Byłam blada i chuda, a co gorsza, miałam takie cienie pod oczami, że mogłabym straszyć dzieci nawet w słoneczny dzień. Ciągłe głaskałam go rękami po ramionach, chcąc się upewnić, że naprawdę przede mną stoi.

- Co tu robisz? Nie spodziewałam się ciebie. Mój Boże, czy coś się stało?

Peter opuścił ręce.

- Nie przyjechałem na długo - powiedział, patrząc na mnie przez ramię, po czym podszedł do barku nalać sobie brandy. - Muszę wracać do Paryża.

Podniósł karafkę i popatrzył na mnie pytająco. Skinęłam głową, więc nalał mi brandy do jednej z przepięknych kryształowych szklaneczek mojej babci.

Stuknęliśmy się szkłem, po czym wypiliśmy jego zawartość, a ja dopiero wtedy zdałam sobie sprawę, że Peter jest wściekły. Jego wykalkulowane gesty i całkowite opanowanie wydały mi się bardzo dziwne. Odstąpiłam o krok i czekałam. Nie widziałam go od pół roku. Prawie wcale się nie zmienił, chociaż trochę wyprzystojniał od czasu, kiedy w maju wyjechał z Anglii do Brukseli. Jeszcze nigdy nie modliłam się tak często i z takim zaangażowaniem, jak w czasie miesięcy poprzedzających wielką bitwę pod Waterloo. Peter był dziedzicem mojego dziadka. Jego rodzice, Rockford Wilton z żoną, zmarli, kiedy miał zaledwie pięć lat. Peter wychowywał się w domu mojej rodziny aż do momentu, gdy dziadek uznał, że chłopak może już jechać do Eton. Pamiętam, że Peter kochał moją matkę. Nie wiem, co sądził o ojcu.

Peter przypomniał mi o tamtym mężczyźnie o imieniu John, mężczyźnie, którego nadal nie znałam, chociaż spotkałam go już trzykrotnie przy różnych okazjach. Ostatni raz widziałam Johna trzy miesiące wcześniej. Czas mijał szybko. Nastął listopad, zimny i wilgotny, pozbawiony słońca. Nie mogłam tego znieść. Powietrze gęstniało od dymu z licznych pieców węglowych. W chłodne zimy i jesień w Londynie nie należało nosić białych ubrań.

Chciałam wyjechać na wieś, gdzie powietrze było czyste i świeże, ale panna Crislock nie czuła się dobrze. Nie mogłam od niej żądać, żeby odbyła czterodniową podróż - przynajmniej nie w tym stanie.

W ciepłym gabinecie dziadka zaciągnięte zasłony chroniły nas przed zimnym, szarym

popołudniem.

- Usiądź, Peter - powiedziałam w końcu, dopijając brandy. - Powiedz mi, dlaczego jesteś wściekły.

- Nie jestem - odparł tak ostrym i twardym tonem, że mógłby nim roztrzaskać moją szklankę.

Zauważyłam, że pani Pringe, gospodyni, która pracowała dla mojego dziadka dłużej niż ja żyłam na tym świecie, właśnie stanęła w drzwiach prowadzących na korytarz. Pani Pringe obserwowała nas spod uniesionych grubych, czarnych brwi.

- Poprosimy o herbatę - powiedziałam i skinęłam głową w jej stronę. Pani Pringe była wysoką, potężnie zbudowaną kobietą, większą nawet od dziadka, i zawsze ubierała się w atłasowe, fioletowe podomki. Znała zarówno mnie, jak i Petera od zawsze, więc chciała wiedzieć, co się stało. I pomóc we wszystkim, w czym tylko by mogła. A zawsze wyczuwała, ilekroć coś było nie tak. Ja oczywiście doskonale wiedziałam, dlaczego Peter tak nagle przyjechał do domu i dlaczego był wściekły, ale uznałam, że mam prawo usłyszeć o tym od niego pierwsza, bez pani Pringe, krążącej nad nim jak sęp z zaciśniętymi ustami i drżącymi rękami.

Ale Peter stał jak skamieniały, patrząc na mnie takim wzrokiem, jakbym przeszła bagnetem jego przyjaciela. Zbyt przystojny, to mu przyniesie pecha - mawiał dziadek. Za dużo włosów, więcej niż potrzeba i niż się należy takiemu smarkaczowi. Nie ma sprawiedliwości na tym świecie. Dziadek stracił większość włosów na pół roku przed czterdziestymi urodzinami. Peter mógł wyglądać jak anioł albo jak potwór - dla mnie nie miało to żadnego znaczenia. Nie bałam się Petera. Ufałam mu instynktownie odkąd skończyłam trzy lata, a on wyciągnął mnie z grząskiego bagna, w które wpadłam nad stawem. Od tego czasu żywiłam dla niego nieograniczony podziw, co doprowadzało go do rozpacz. Był właśnie dorastającym chłopcem, uczniem w Eton i często sprowadzał do domu swoich przyjaciół, którzy musieli patrzeć, jak malutka kuzynka wpatruje się w niego z niekłamanym uwielbieniem i wyciąga chude ramionka, żeby wziąć ją na rękę.

- Powiedz mi, że to nieprawda - mruknął w końcu.

- Dlatego tu przyjechałeś? Dlatego jesteś wściekły?

- Oczywiście, że dlatego. Nic nie wiedziałem. Usłyszałem o wszystkim od majora Henschly'ego, który przeczytał o tym w liście od żony. Powiedz, że to wszystko pomyłka, tylko jakieś niestosowne plotki, nic więcej. Powiedz, proszę.

- Mam dwadzieścia jeden lat. Sama rozporządzam swoją osobą. Nie potrzebuję niczyjego zezwolenia. Nie masz nade mną władzy, Peter.

- Tu się mylisz. Jestem nie tylko siódmym księciem Broughton, ale także twoim opiekunem. Może i skończyłaś dwadzieścia jeden lat, ale jako kobieta nadal potrzebujesz opieki, o ile tylko żyją twoi męscy krewni. To na mnie spoczywa odpowiedzialność, by nie przytrafiło ci się nic złego.

- Nie rozmawiamy o chronieniu mnie przed złem, Peter. To tylko małżeństwo. Zwyczajne, uczciwe małżeństwo.

- Aż do dzisiaj nic w twoim życiu nie było zupełnie zwyczajne. Masz makiaweliczny umysł, Andy. dziadek zawsze mi to powtarzał. Podziwiał twoje zdolności intelektualne, pisał mi bez końca o tym, jak to w ciągu jednej nocy rozwiązałaś pewną zagadkę, wymyśliłaś trzy możliwe wytłumaczenia następnej i jednocześnie tańczyłaś aż do białego rana. Twierdził, że uwielbiasz tajemnice. Moim zdaniem masz kobiecy umysł, błyskotliwy i zarazem pokrecony tak, że nie zawsze zdajesz sobie z tego sprawę.

- Czy chciałaś mnie obrazić?

- Nie. Kiedy będę chciał cię obrazić, na pewno się zorientujesz. Na przykład teraz. Przygotuj się.

Ale Peter nie zamierzał dać mi nawet dwóch sekund na przygotowanie, tylko natychmiast zaczął mi krzyczeć prosto w twarz.

- Jesteś idiotką, Andy. Beznadziejną kretynką. Powinno się ciebie zamknąć i chyba pomyślę o takiej możliwości.

- A jednak zachowujesz się jak mężczyzna - wrzasnęłam w odpowiedzi, słysząc we własnym głosie głęboki gniew i zgorzknienie. - Nie wątpię, że jesteś zdolny do każdej podłości, kiedy przychodzi co do czego.

Peter odstaąpił o krok, opanował się, po czym ściszył głos.

- Przepraszam, że na ciebie nakrzyczałem. Nie, nie będziemy skakać sobie do gardeł i mówić rzeczy, których nie da się potem cofnąć. Zachowam spokój. Jestem od ciebie starszy o prawie sześć lat i mam sporo zdrowego rozsądku. Właśnie zostałem księciem Broughton i znalazłaś się pod moją opieką. Kocham cię. Ale teraz musisz powiedzieć mi całą prawdę.

Patrzyłam na niego i z fascynacją obserwowałam jego narastającą furję. Głęboko westchnął, zatrzymał powietrze w płucach, po czym błyskawicznie je wypuścił i znów zaczął krzyczeć z całych sił.

- Co za diabeł w ciebie wstaąpił, ty niepoprawna wariatko! Tylko nie próbuj zmieniać tematu, co tak często ci się udaje. No, powiedz mi, co siedzi w tym twoim pokreconym mózgu!

W milczeniu wypilałam kolejny łyk brandy. To przyciągnęło jego uwagę. Zmarszczył

brwi, po czym sam zmienił temat.

- I ja ci to osobiście nalałem, niech mnie diabli. Nie powinnaś tego pić. Tylko mężczyźni piją brandy.

Dziadek wyrobił w tobie smak. Niech go szlag, dlaczego częstując cię pierwszym drinkiem, nie zdał sobie sprawy, że byłaś tylko trzynastoletnią dziewczynką. Do pioruna, odezwij się do mnie, Andy, i nawet nie zaczynaj mnie przekonywać, że picie brandy jest ci niezbędne do życia.

- Robię to, co wydaje mi się właściwe - odparłam, po czym zamilkłam, czekając na reakcję. Zazwyczaj po głównym wybuchu następowały kolejne, mniejsze. Ale nie tym razem. Tym razem Peter wskazał mi piękne, rzeźbione krzesło z zagłówkiem.

- Usiądź i posłuchaj mnie. Usiadłam.

- Przyjechałem prosto od adwokata dziadka, Craigsdale'a. Odkładałem tę wizytę w nieskończoność. Jesteś teraz bardzo bogatą młodą damą, pewnie już o tym wiesz.

- Tak. Bogatą.

- Poszedłem do Craigsdale'a przed wizytą u ciebie, ponieważ potrzebowałem trochę czasu, żeby wszystko przemyśleć. Oczywiście on sam zaczął o tym mówić, więc uwierzyłem, że to prawda, ale modłę się, żebyś zerwała tę umowę. Proszę, nie rób tego. Nie rób, Andy.

- Zrobię to - oświadczyłam. - Przykro mi, że nie akceptujesz mojego wyboru, Peter, ale skoro już rozmawiamy ze sobą całkiem szczerze, to jest to moje życie i moja decyzja, a nie twoja ani niczyja inna. Może i zostałeś moim opiekunem, ale nie dozorcą. Postąpię tak, jak będę uważała za stosowne i najlepsze dla mnie. Czy sądzisz, że jak ostatnia kretyneką zgodziłabym się na coś, co by mnie unieszczęśliwiło?

- Andreo...

Sam fakt, że użył pełnego imienia, omal nie rzucił mnie na kolana. Ostatni raz nazwał mnie tak, kiedy w wieku lat piętnastu spadłam z płotu, który był o wiele za wysoki jak na moje możliwości i omal nie złamałam sobie obydwu nóg. Wtedy wszystko tak mnie bolało, że nawet nie zauważyłam, jak bardzo się wściekł, ale zrozumiałam to później. I oto znów nazwał mnie „Andreo”. Musiał być okropnie zdenerwowany.

- Przypadkiem wiem, że hrabia Devbridge to wdowiec po pięćdziesiątce i ma dwóch bratanków, z których jeden jest w moim wieku i odziedziczy po nim tytuł. W skrócie, to stary człowiek, a już na pewno o wiele za stary jak dla dziewczyny, która nie ma jeszcze dwudziestu jeden lat. Powiedz mi, że żona Henschly'ego i Craigsdale się mylą, że to wszystko tylko złośliwe plotki, albo przynajmniej, że poszłaś po rozum do głowy i posłałaś hrabiego do diabła. - Peter urwał na chwilę, po czym zmierzył mnie wzrokiem. - Cholera, jesteś biała jak

mój krawat. Co ci się stało? Zrobiłaś to, prawda? Niech to wszyscy diabli, obiecałaś, że poślubisz tego przeklętego starucha?

Patrząc na jego twarz pełną obrzydzenia i niedowierzania, przez chwilę czułam potworną potrzebę błagania go o przebaczenie. Ale powstrzymałam się. Siedziałam tak w milczeniu, obserwując mojego kuzyna. Dopiero teraz zdałam sobie sprawę, jak bardzo był zaskoczony i wstrząśnięty. Ale naprawdę nie miał powodu. Bardzo często zdarzało się, że małżonków dzieliła duża różnica wieku i nikt nie robił z tego powodu zamieszania. Poza tym Lawrence nie kończył jeszcze swojego żywota. Nadal miał wszystkie własne zęby. Nie garbił się ani nie cierpiał na gościec.

- Zamierzałam ci powiedzieć - odparłam. - Chciałam napisać do ciebie list. Nie myślałam, że przyjdiesz na ceremonię, bo będzie bardzo skromna, a ty nie zjawiałeś się nawet na pogrzebie dziadka.

Dlaczego więc miałbyś się fatygować na mój ślub? Jutro planowałam napisać do ciebie list.

Peter zeskoczył z fotela i zaczął przechadzać się nerwowo po długim, wąskim pokoju. Potem podszedł do mnie, nachylił się i chwycił dłonią moją brodę, podnosząc mi twarz do góry.

- Niech cię, spójrz mi w oczy.

- Patrę.

- Owszem, patrzysz, ale czy widzisz? Zobacz mnie, Andy. Zobacz kuzyna, który cię kocha, który troszczy się o ciebie jak o najdroższą siostrę. W porządku, dość już się nakrzyczałam. Krzyki nigdy nie działają, chyba że wrzeszczy się na drugiego mężczyznę. Krzyki pomiędzy mężczyznami odblokowują wszelkie hamulce i potem już wszystko wybucha i po tuzinie przekleństw i paru uderzeniach pięścią można przejść do rozsądnej wymiany zdań. Z kobietami jest inaczej, bo krzyk wywołuje albo łzy, albo bunt. Posłuchaj mnie teraz, patrząc mi w oczy. Nie będę już podnosił głosu. Proszę tylko, żebyś mi wytłumaczyła, dlaczego zgodziłaś się poślubić człowieka, który jest od ciebie trzy razy starszy.

Co mogłam odpowiedzieć, by zabrzmiało wystarczająco rozsądnie i logicznie? Ze wszyscy tak robili i żeby nie szukał problemów tam, gdzie ich nie ma? Nie, to rozjuszyłoby Petera jeszcze bardziej. Nadal patrzył na mnie. Musiałam jakoś go uspokoić. A tymczasem zdanie, które w końcu wydobyło się z moich ust, brzmiało:

- Hrabia wcale nie jest taki stary.

Peter zaklął, puścił moją twarz i podjął swój nerwowy marsz. Kiedy dotarł do końca

biblioteki, odwrócił się w moją stronę.

- Na pewno nie chcesz za niego wyjść ani ze względu na pozycję społeczną, ani dla pieniędzy. Na litość boską, jesteś bogata, a twoim dziadkiem był książę - Możesz szukać sobie męża w tak wysokich sferach, w jakich tylko zapragniesz. W szczególności mogłabyś znaleźć kogoś, kto ma własne zęby, płaski brzuch i należy do obecnego stulecia, a nie do zeszłego. - Peter urwał na chwilę, żeby zaczerpnąć powietrza. - A niech to cholera. Andy, wiem, że przesłaś przez trudne chwile po śmierci dziadka. I że mnie nie było wtedy przy tobie. Ale musiałem spełnić swój obowiązek, a ty napisałaś, że to rozumiesz. Niech mnie szlag. To niczego nie tłumaczy. Słuchaj, tak bardzo mi przykro, że zostałem w Paryżu i nie wróciłem do Londynu, do ciebie. Ale nie wychodzisz za tego człowieka tylko po to, żeby mnie ukarać, prawda?

Czy mężczyźni naprawdę wierzą, że cały świat kręci się wokół nich? - zapytałam w myślach. Że wszystkie decyzje i wybory muszą się wiązać z ich osobami?

Nagle poczułam ukłucie łez w oczach. Dziadek zawsze znajdował się w samym centrum wszystkich spraw i nigdy mi to nie przeszkadzało. Nigdy nawet o tym nie myślałam. Boże drogi, jak strasznie za nim tęskniłam. W takich chwilach wspomnienia wypełniały moje myśli, a ja zwyczajnie nie potrafiłam ich odpędzać. Otarłam niepotrzebne łzy. Dziadek nie pochwalał płaczu, wręcz nie znosił widoku łez. Teraz sędzę, że to z powodu babci. Za każdym razem rzucało to dziadka na kolana. Kiedy się kłócili, wystarczyło, że babcia zaczęła szlochać, a on tylko klął szeptem, po czym ogłaszał całkowitą kapitulację.

- Kochanie, tak mi przykro - powiedział Peter, klękając obok mojego krzesła. - Tak mi przykro - szepnął, po czym mocno mnie przytulił.

Położyłam mu głowę na ramieniu. Nie miałam już więcej łez do wypłakania, ale sam jego dotyk, silne bicie serca, jego zapach - cytryna i piżmo - wszystko to było mi tak dobrze znane i tak bliskie. Moje serce wypełniły wspomnienia, poczucie przynależności, akceptacji, miłości, która nie stawia warunków.

- Proszę, opowiedz mi o wszystkim - powiedział, głaszcząc mnie delikatnie po plecach swoimi wielkimi dłońmi.

Siedziałam w bezruchu, wciśnięta w ramię mojego kuzyna. Nie miałam ochoty z nim rozmawiać. Wolałam zostać na miejscu i rozkoszować się jego milczeniem. Tylko mnie przytul, chciałam mu powiedzieć. Nie żądaj niczego ode mnie.

Ale on oczywiście nie posłuchał.

- Mów, Andy. Mów.

ROZDZIAŁ 3

Peter nie miał szans.

W końcu moje łzy obeschły i pozostał tylko stary, głuchy ból.

- Po śmierci dziadka nie było przy mnie nikogo, kto mógłby mi pomóc. Panna Crislock to tylko daleka krewna, opiekuje się mną od zawsze, ale na dziadka patrzyła zawsze ze strachem i pokorą. Nie poznała go od tej wspaniałej strony, którą ja pamiętam tak dobrze. Kiedy próbowałam jej opowiadać o tym, jak dziadek zrobił to czy tamto, ona tylko patrzyła na mnie zaskoczona i powtarzała: „No już dobrze, moje drogie dziecko”. Chyba dlatego w końcu w ogóle przestałam się odzywać.

Peter nadal głaskał mnie po plecach swoimi wielkimi dłońmi.

Wskoczyłam na skórzany fotel dziadka. Teraz byłam wyższa od Petera o dobre trzydzieści centymetrów.

- Nie pytałam cię o zdanie - powiedziałam, nachylając się do niego tak, że niemal dotknęłam nosem jego nosa. - Co ty wiesz o moich potrzebach i pragnieniach? Znasz mnie tylko jako małą dziewczynkę, która patrzy na ciebie zachwyconymi oczkami, ale nie znasz mnie jako osoby. Nie znasz mnie jako dorosłej kobiety.

- To absurd i ty o tym wiesz.

- Ha - odparłam. - Ty jesteś mężczyzną. Jesteś wolny. Kiedy chciałeś, pojechałeś walczyć z Napoleonem. Chociaż dziadek uczynił cię swoim dziedzicem, ty wybrałeś się w świat, nie bacząc na niebezpieczeństwo i nie martwiąc się, że ktokolwiek cię potępi. Miałeś prawo robić to, co chciałeś. A teraz wyobraź sobie tylko, co by się stało, gdybym to ja postanowiła wyruszyć w podróż, powiedzmy razem z moją damą do towarzystwa. Dobry Boże, chyba wylądowałabym pod kluczem zarówno zakładzie psychiatrycznym, wyklęta zarówno przez przyjaciół, jak i przez wrogów. To niesprawiedliwe. Popatrz teraz na siebie. Oburza cię sam fakt, że ośmielałam się wypowiadać takie myśli, nie wspominając nawet o ewentualnych uczynkach. - Urwałam i zaczerpnęłam głęboko powietrza.

To do niczego nie prowadziło.

- Wybacz mi - powiedziałam w końcu. - Pozwoliłam sobie mówić rzeczy, które nie należą do naszego tematu. Zetrzyj to obrzydzenie z twarzy. Nie, nie odzywaj się, teraz ja mówię.

Ale on po prostu nie mógł się powstrzymać.

- I czego ty właściwie chcesz. Być jak ta baba Stanhope, która nie kapąła się przez

parę miesięcy? Jeść posiłki w towarzystwie szczerów pustynnych i cuchnących Beduinów? To kretynizm i ty doskonale zdajesz sobie z tego sprawę.

Zeszłam z krzesła, ruszyłam w stronę drzwi, po czym odwróciłam się do Petera. Zmierzyliśmy się wzrokiem w milczeniu.

- No cóż - powiedziałam w końcu. - Skoro nie zamierzam spożywać śniadania w towarzystwie pustynnych zbójców, to wygląda na to, że w pełni się z tobą zgadzam. Wyjdę za mąż, bo tego się po mnie oczekuje. I będę żoną, bo tego się oczekuje. Zostanę panią domu. Zdaję się, że ta odpowiedzialność spoczywa wyłącznie na kobietach. I nikomu nie wydaje się to kretynizmem. Nic nie zasługuje na dezaprobatę społeczeństwa. Tak więc, Peter, jedyny problem stanowi wiek. Twoim zdaniem hrabia jest dla mnie za stary. Ale ja nie zawahałabym się nawet, gdyby miał setkę.

- Dlaczego?

- Co dlaczego? Dlaczego nie obchodzi mnie jego wiek?

- Tak.

- Cóż to za różnica, ile ma lat. Tak jak ci mówiłam, jest dla mnie dobry. Oferuje mi spełnienie pragnień. Niczego więcej nie oczekuję, bo niczego więcej oczekiwać nie należy. I tak dostanę bardzo wiele. Zostanę żoną hrabiego i nie pożałuję tego wyboru.

- Czy ty chcesz mi powiedzieć, że zakochałaś się w tym człowieku?

- Nie, z pewnością nie. Nie ma czegoś takiego, jak miłość. Są inne rzeczy, ale przy odrobinie szczęścia, jeśli mój mąż będzie człowiekiem honoru, uda mi się ich uniknąć.

Peter podszedł do zasłoniętych okien, odsunął jedną z draperii i wyjrzał na park po drugiej stronie ulicy.

- Z tego, co mówił Craigsdale, wynika, że Devbridge jest bogaty - powiedział takim tonem, jakby mówił sam do siebie. - Przynajmniej nie muszę się martwić, że chce cię poślubić dla twojej fortuny.

- Nie, nie chce nawet posagu.

- Rozumiem. Nie kochasz go. On daje ci to, czego twoim zdaniem pragniesz i potrzebujesz. A zatem muszę powtórzyć, że w takim razie pragniesz i potrzebujesz kolejnego sędziwego mentora. Andy, czy to możliwe, żeby ten hrabia przypominał ci naszego dziadka? Czy naprawdę może ci go zastąpić?

- To był niegodny cios, Peter, ale nie zamierzam na ciebie krzyczeć. Ty próbujesz tylko mnie zaniepokoić, wytrącić z równowagi, zmusić do mówienia rzeczy, których mówić nie chcę. Czy już skończyłeś?

- Wymieniając długą listę rzeczy, które zamierzasz robić, wspomniałaś o małżeństwie,

byciu żoną i prowadzeniu domu. Nie mówiłaś tylko o obdarowaniu hrabiego dziedzicem. Chwilowo dziedzicem Devbridge'a jest jego bratanek, ale to nie to samo co własny syn. Czy hrabia nie chciałby dorobić się potomka przy pomocy nowej, bardzo młodej i bardzo apetycznej żony?

Z moich ust wydarł się okrzyk, zanim jeszcze zdołałam przygryźć wargi.

- Nie! Nic z tych rzeczy, słyszysz mnie? Nigdy! Peter popatrzył na mnie, przechylając głowę.

- Dlaczego? Czyżby był za stary, żeby wywiązać się z małżeńskich obowiązków? Myślałem, że mężczyzna, który nie mógłby posiadać kobiety, to taki, który powinien położyć się już na łożu śmierci.

- Zamilcz! - krzyknęłam, wymachując mu pięścią przed nosem. - Nie zamierzam tego słuchać. Jesteś taki sam jak wszyscy, prawda Peter? Jako żona hrabiego nie będę się przynajmniej musiała martwić, że kochanki mojego męża będą mi paradować przed nosem na oczach służby. Hrabia oszczędzi mi poniżenia i nie będzie rozdierał hojnie swoich łask pomiędzy wszystkie moje przyjaciółki. Przysiągł, że nie zamierza mnie tknąć i że nie chce mieć dzieci. Przysiągł także, że wszystkie jego potrzeby zaspokaja jedna kochanka. Jest to osoba dyskretna i nie będzie zakłócać nam życia. Hrabia obiecał, że nigdy mnie nie skrzywdzi ani nie upokorzy.

Peter przyglądał mi się przez chwilę, po czym gwizdnął z cicha.

- Często się zastanawiałem, ile wiesz na temat... hm... podbojów miłosnych swojego szanownego ojca. Miałem nadzieję, że twoja matka okaże się kobietą na tyle rozsądną i inteligentną, żeby nie obciążać cię własną goryczą i rozczarowaniem. Myliłem się.

- Skoro chcesz znać prawdę, to powiem ci, że w wieku lat dziesięciu wiedziałam więcej na temat występków mężczyzn niż jakakolwiek inna dziewczynka na świecie. - Spojrzałam na Petera. - Na miejscu mojej matki zabiłabym ojca - dodałam chłodnym i spokojnym tonem.

- Być może. Jednak wtedy miałaś tylko dziesięć lat. Już wtedy wiedziałaś?

- Tak. Ciągle jeszcze słyszę szloch mojej matki, widzę jej pobladłą twarz, kiedy on opowiadał jej o tych innych kobietach.

- Jak mogła... - Peter zmarszczył brwi, wbijając wzrok w dywan. - Aż do tej pory bardzo jej współczułem. W końcu opiekowała się mną po śmierci moich rodziców i dość dobrze mnie traktowała. Ale teraz, teraz rozumiem, że była tylko samolubną kobietą, pozbawioną grama rozsądku. Przelewała swoje żale na małą dziewczynkę, a tego robić nie należy.

- Jak śmiesz mówić w ten sposób o mojej matce. Nawet nie wiesz, nie możesz wiedzieć, ile wycierpiała. Większość czasu spędzałeś na naukach. Ale ja tam byłam, przy niej. Widziałam, jak ten drań, mój ojciec, ją zabija. Nie rozumiesz? Ona nie mogła już znieść więcej upokorzeń i...

- I zachorowała na płuca, po czym zmarła w tydzień po przybyciu do domu dziadka - dokończył za mnie Peter. - Dawne dzieje, moja droga. To nie ma nic wspólnego ani z tobą, ani ze mną. Możemy przekląć twojego ojca i żałować twojej matki, ale oboje zniknęli z naszego życia dziesięć lat temu. Powtarzam, ich błędy, ich egoizm i nieszczęście nie ma z nami już nic wspólnego.

- Ja mówiłam poważnie, Peter. Na miejscu matki nie uciekłabym do dziadka. Wzięłabym pistolet i strzelałabym, dopóki nie ległby u moich stóp.

Peter nie zareagował. Byłam mu za to wdzięczna, dopóki znów nie otworzył ust.

- A zatem zamierzasz poślubić mężczyznę, którego nie będziesz musiała zastrzelić?

- To nie jest śmieszne, do diabła! Mój ojciec zasługiwał na śmierć za to, co zrobił, za to, kim był, cholernym, wyzutym z honoru draniem. I jeśli sądzisz, że zaryzykowałabym małżeństwo z kimś podobnym, to wiedz, że prędzej bym umarła albo zginęłabym, szukając zemsty na moim krzywdzicielu.

- Boże - powiedział Peter bardzo cichym głosem. A potem zbliżył się i przycisnął mnie do piersi.

Przez długą chwilę milczał, trzymając mnie w objęciach.

- Nie możesz pozwolić, żeby błędy twoich rodziców zrujnowały ci życie - wyszeptał mi do ucha. - Sądzisz, że uda ci się uniknąć cierpienia matki, jeśli poślubisz człowieka, który jest zbyt stary na uciechy cielesne? Owszem, powiedział ci, że ma kochankę. Może to i prawda. Może nawet nie chce, żebyś spała w jego łóżu. Ale nie potrafię w to uwierzyć. Dlaczego ty mu ufasz? Mogłabyś być jego córką. Kochanie, dlaczego, do cholery, on chce się z tobą ożenić? Mówił ci?

- Uważam, że hrabia bardzo mnie podziwia i ceni jako wnuczkę dziadka - odparłam. - Bardzo lubi moje towarzystwo, które chyba go bawi. Hrabia cieszy się, kiedy może sprawić mi przyjemność. Jest samotny i wie, że będę dla niego idealną panią domu. Wie, że może na mnie liczyć i że nie będę ingerowała w jego prywatność. Może mi zaufać. Nigdy go nie zdradzę, bo sama nie chcę nigdy doświadczyć tych... Nigdy.

- A jeśli cię okłamał? Jeśli zmieni zdanie i powie, że chce cię mieć w swoim łóżu?

- Odmówię. Już go o tym uprzedziłam. Hrabia nie przekroczy tej granicy. I nie zachowuje się jak typowy mężczyzna, który z protekcjonalnym uśmiechem zbywa

oświadczenia kobiety. Kiedy jestem na coś zdecydowana, on traktuje mnie poważnie.

Peter długo milczał. Odszedł na kilka kroków i zgodnie ze starym nawykiem podrapał się w brodę.

- O, mój Boże - powiedział w końcu. - Zastanawiałem się, dlaczego odmówiłaś wicehrabiemu Barresfordowi, znakomitemu dżentelmenowi, który żywił dla ciebie szczere uczucie. Dlaczego nie wyszłaś za Olivera Treevera. To taki miły człowiek i w dodatku bardzo cię cenił. Dziadek opowiadał mi, że pewnego razu doszło między wami do kłótni, po czym nie chciałaś go więcej widzieć. Wierzysz, że uda ci się uniknąć wszelkich nieszczęść, jeśli uciekniesz od życia? Jeśli zwiążesz się ze starcem, który nie dotknie cię tak, jak mężczyzna dotyka kobiety?

Uciekasz w żałobę - stwierdził John. Potrząsnęłam głową. Wszystko zostało już powiedziane, ale Peter nie przyjął tego do wiadomości.

- Andy, posłuchaj mnie. Nie wszyscy mężczyźni są tacy jak twój ojciec. Nigdy nie słyszałam, żeby mój ojciec był niewierny mojej matce. Uwierz mi, Andy. Kiedy się ożenię, ja również będę wierna mojej wybrance. I takich mężczyzn jak ja jest o wiele więcej, o wiele więcej niż takich jak twój ojciec.

Między nami zaległa głęboka cisza. Peter opuścił głowę.

- Widzę, że mi nie wierzysz. - W jego głosie zabrzmiał taki smutek, że poczułam łzy napływające do oczu.

Nie mogłam dodać już nic, co mogłoby go pocieszyć.

- Ślub jest w przyszły wtorek. Po ceremonii jedziemy do Devbridge Manor. Jesteś oczywiście zaproszony, jeśli masz ochotę przyjść.

- Popelniasz straszliwy błąd, Andy. I łamiesz mi serce - powiedział Peter.

Nie wydobyłam z siebie głosu. W gardle poczułam dławiące łzy. Słyszałam, jak prędkim krokiem wychodzi z biblioteki, zatraskując za sobą drzwi. Przez okno zobaczyłam, jak Williams, lokaj, przyprowadził Peterowi Championa, jego konia. Mój kuzyn lekko przerzucił nogę ponad łęgiem siodła, po czym odjechał. Wtuliłam się w krzesło przy oknie, wbijając wzrok w gęstniejącą mgłę. Ostatnie słowa Petera nadal dźwięczały mi w uszach. Popelniasz straszliwy błąd, Andy.

Straszliwy błąd.

Czy Peter miał rację? Czy ja naprawdę uciekałam od życia z obawy przed powtórzeniem klęski moich rodziców? Ukryłam twarz w dłoniach, usiłując obetrzeć łzy z policzków. Powiedział, że złamałam mu serce. Ale mężczyźni nie mają serc, nawet Peter. Niewątpliwie wierzył w to, co mówił, i na pewno bardzo mnie kochał. Nie przyjechał jednak

do domu, kiedy umarł dziadek, bo miał inne, ważniejsze sprawy. I nikt mu tego nie wyrzucał. Nikt go o to nie winił - nikt, oprócz mnie.

Nie, mężczyźni wciąż tylko biorą i biorą od życia wszystko, czego zapragną. Można ich tolerować, może nawet kochać, ale nie wolno im ufać. Nawet kuzynom, choćby byli tak bliscy jak rodzeni bracia i choćby łączyła was najkłiwsza miłość. Nie zamierzałam obciążać się dzieckiem i tym samym uzależniać od męża. Dziadek okazał się zupełnie inny. I miałam nadzieję, że taki będzie też mój przyszły mąż.

Usłyszałam ciche pukanie do drzwi. Do biblioteki wszedł Chudy Lord Thorpe - tak Peter nazwał naszego lokaja Thorpe'a całe dziesięć lat temu. Chudy Lord wyprężył się przede mną w dumnej pozie arystokraty i ogłosił przybycie hrabiego Devbridge. Zamrugałam szybko, żeby oczyścić oczy z łez, po czym wstałam z krzesła, wygładzając błyskawicznie suknię i włosy.

- Andrea - powiedział pięknym, jedwabistym głosem. - Andrea.

Rozejrzałam się pospiesznie. Nie byłam już w gabinecie dziadka na Cavendish Square. Siedziałam w trzęsącym się powozie, naprzeciwko mojego nowego męża.

ROZDZIAŁ 4

- Andrea - powtórzył mój mąż, uśmiechając się łagodnie. - Moja droga, czyżbym zanudził cię na śmierć? A może po prostu odrobinę się zdrzemnęłaś? Obawiam się, że sam przysnąłem na chwilę. Proszę, wybacz mi.

- Właśnie myślałam o Peterze - odparłam, odsuwając od siebie wspomnienie tego, co mój kuzyn powiedział mi na pożegnanie. Lawrence nachylił się do mnie i poklepał moje dłonie osłonięte rękawiczkami. - Wiem, jakie to dla ciebie trudne. Ja także czułem się rozczarowany, kiedy nasz kuzyn odmówił przyjęcia zaproszenia. No cóż, z pewnością zmieni zdanie, widząc twoje szczęście w naszym małżeństwie. Niewątpliwie będzie także pod wrażeniem, gdy zobaczy, jak pęcznieje twój majątek. Wystarczy, że mój zarządca spojrzy na jakąś gwineę, żeby ta błyskawicznie zamieniła się w dwie.

Roześmiałam się serdecznie. Mój mąż rozweselał mnie tak samo jak John. Nagle zmarszczyłam brwi. Tamten mężczyzna zjawił się w moim życiu tylko trzy razy. I zniknął z niego na zawsze. Był niczym i nikim. Najwyższa pora, żebym o nim zapomniała.

- Panie, czy nie zechciałbyś nazywać mnie Andy? Nigdy nie przepadałam za moim pełnym imieniem. Dziadek używał go tylko wtedy, kiedy gniewał się na mnie za jakieś przewinienie.

- Andy? Chłopięce imię?

- Bardzo mi odpowiada. Jest jak wygodny but.

- Dobrze. To dość niezwykle, ale spróbuję. Szkoda, że nie wspomniałaś mi o tym wcześniej, wtedy zdażyłbym się już przyzwyczaić.

- Nie wiedziałam, czy ci się to spodoba. A nie chciałam ryzykować, że zniechęcę cię tym niekobiecym imieniem i uciekniesz ode mnie przed ślubem.

Lawrence znów uśmiechnął się do mnie w wyjątkowo czarujący sposób. Naprawdę nie wyglądał na swój wiek. Był wysoki i szczupły, a jego twarzy nie postarzał podwójny podbródek. Na nosie nie miał ani zmarszczek, ani czerwonych plam, które wskazywałyby na nadużywanie alkoholu. Oczy Lawrence'a błyszczały głębokim, ciemnym błękitem i wystarczyło tylko popatrzeć albo porozmawiać z nim przez parę chwil, żeby zauważyć, iż jest mężczyzną wykształconym, wrażliwym i wyrafinowanym. Te ostatnie dwa słowa towarzyszyły mi przez całe dzieciństwo, więc uznałam, że są niezwykle ważne, chociaż nie do końca wiedziałam, co oznaczają. W każdym razie z pewnością mogłam je odnieść do mojego męża.

Krzaczaste brwi przysłaniały Lawrence'owi oczy, a ciągle jeszcze mocne i ciemne włosy przecinały tylko nieliczne pasma siwizny. Mój mąż prezentował się naprawdę wspaniale.

Gdyby to on był moim ojcem, być może wszystko potoczyłoby się inaczej.

- Zostałaś wychowana w dość niezwykłych warunkach. Po śmierci matki zajmował się tobą tylko dziadek. Efekty są zarówno czarujące, jak i nieco osobliwe. No cóż, zobaczymy.

Cokolwiek to miało znaczyć, pomyślałam. Popatrzyłam, jak mój mąż sadowi się na poduszkach i wyciąga wygodnie nogi na ukos, dalej od mojego krzesła. Skrzyżował ręce na piersi i z gracją przechylił głowę na jedną stronę. Wydawał się taki spokojny i zrównoważony. Nie nawykłam do mężczyzn, którzy nie mieli tak wulkanicznego usposobienia jak mój dziadek, który w każdej chwili mógł wybuchnąć gniewem albo śmiechem.

- Peter powiedział mi, że masz dwóch bratanków, którzy mieszkają w twoim domu. Dodał też, że jeden z nich jest w moim wieku i że wyznaczyłeś go swoim dziedzicem.

- Owszem - odparł hrabia. - Starszy z chłopców odziedziczy po mnie majątek. Niestety w ciągu ostatnich lat nasze kontakty były nieco ograniczone, ale obecnie mój dziedzic powrócił do domu, a przynajmniej taką mam nadzieję.

- Co się stało?

Zauważyłam jego uniesioną brew. Hrabia wyglądał, jakby zamierzał mnie przekląć i chyba miał powody. Moje pytanie balansowało na granicy impertynencji, ale jako żona Lawrence'a czułam się uprawniona, by je zadać. Mój mąż nagle kiwnął głową, jakby podjął decyzję, po czym zaczerpnął głęboko powietrza i obdarzył mnie uśmiechem, który był tak wąski, jak płytkie są kałuże po lekkiej mżawce.

- Problem polegał na tym, że starszy chłopiec bardzo przypomina ojca. Głęboko przeżył śmierć rodziców z rąk szkockich bandytów. Miał wtedy tylko dwanaście lat, o dwa więcej od swojego brata. Ja, jego wuj, byłem wdowcem. Moja żona zmarła, zanim dała mi dziecko, i nie pragnąłem żenić się ponownie. W ten oto sposób obydwaj bracia poprosili mnie o opiekę, a ja ich usynowiłem. Thomas, młodszy, znakomicie odnalazł się w tej sytuacji, w przeciwieństwie do swojego brata, Johna, który nie znosił mnie od dnia, w którym przybył do Devbridge Manor.

Hrabia zauważył, że mam pytanie na końcu języka, więc dodał szybko:

- Prawdopodobnie winił mnie za to, że żyję, chociaż jego ojciec umarł. Uważał, że to niesprawiedliwe.

Ale mnie nurtowało coś zupełnie innego.

- Powiedziałaś, że twój bratanek ma na imię John. - W moim głosie brzmiało napięcie. Na pewno, na pewno to nie może być ten sam John, pomyślałam. Anglia pęka w szwach od Johnów, którzy włóczą się po okolicy i mówią wszystkim, jak się nazywają, mnóstwo Johnów kryje się na prowincji. Zbyt wielu, żeby nawet myśleć o takim zbiegu okoliczności. - Pytam, bo spotkałam kiedyś człowieka, który tak się nazywał. Tuż po śmierci dziadka. Tamten John wydawał się dość miły.

- Jak brzmiało jego nazwisko rodowe?

- Nie wiem - odparłam, czując, że robię z siebie idiotkę. - Widziałam go tylko trzy razy przy różnych okazjach. Lubił się śmiać. I bardzo polubił George'a. Co do mojego psa, to moim zdaniem najchętniej poszedłby za tamtym mężczyzną na koniec świata, gdyby tylko miał pewność, że będzie przez niego równie dobrze karmiony, jak przeze mnie.

- Cóż, to nie może być mój bratanek. Jeszcze nigdy nie słyszałem, żeby John się śmiał. Jest cichym, nieco ponurym młodym człowiekiem, który z całą pewnością nie wykazuje się ani urokiem osobistym, ani innymi zaletami w kontaktach ze mną i z moimi partnerami w interesach. Nie widziałem go nigdy w towarzystwie zwierzęcia, więc nie potrafię ocenić, jak sobie z nimi radzi. Niemniej jednak stał się kimś w rodzaju bohatera wojennego, więc być może z czasem nabierze ogłady. Prawdę mówiąc, do tej pory bywał w domu bardzo rzadko. Przyszłość pokaże, co z niego będzie.

- A Thomas?

- Ach, uroczy, wiecznie zaabsorbowany sobą Thomas, który nie poświęcił mi ani jednej myśli, odkąd skończył dziesięć lat. Nie, nie zarzucam mu egoizmu. Thomas jest zbyt pochłonięty każdą chorobą i każdym bólem, jaki odczuwa. Prawdę mówiąc, rozczuła się nad sobą. Kiedy tylko skaleczy się w palec albo uderzy w łokieć, natychmiast musi przestudiować stos książek na temat możliwych terapii. Jego żona, Amelia, jakoś sobie z nim radzi, ale podejrzewam, że trzyma w domu szafę pełną wywarów i syropów. Ilekroć w okolicy zjawiają się Cyganie, Amelia kupuje od nich wszelkie możliwe mazidła i napoje. Amelia to córka wicehrabiego Waverleigha, dość niezwykłego człowieka. Jest piękna i ma w sobie sporą dawkę snobizmu, a jak się wielokrotnie przekonałem, w większości sytuacji przynosi to tylko korzyści.

- Rozumiem, że John przyjechał teraz do domu?

Mój mąż znowu zamilkł i wyjrzał przez okno powozu, zdziwiony tym, jak szybko zapadły ciemności. Okryłam kolana pledem, czując powiew wieczornego chłodu. Siedzenia powozu były bardzo wygodne dzięki resorom i prezentowały się znakomicie. Kiedy pomacałam palcami błękitne oparcie, wyczułam, że zostało obite luksusową satyną. Zdjęłam

rękawiczkę, żeby lepiej wyczuć materiał, i tym samym odsłoniłam rodowy sygnet Devbridge'ów, który zakrywał mi pół palca. Nagle, patrząc na ogromny szmaragd otoczony diamentami, zorientowałam się, że ja sama zostałam hrabiną Devbridge. Czy pierwsza żona Lawrence'a też nosiła ten pierścień? Czy zdjęto go z jej palca po śmierci? Co za ponura myśl. Zastanawiałam się, jak George radzi sobie z panną Crislock, która nalegała, że powinnam zostać sama z nowo poślubionym mężem, a nie bezustannie opiekować się psem.

W niecałą godzinę później dotarliśmy do Repford, gdzie Lawrence zamówił dla nas kwatery w gospodzie Pod Szarą Gęsią. Ledwo wjechaliśmy na dziedziniec, natychmiast zjawili się kilku stajennych, którzy odprowadzili konie i otworzyli przed nami drzwi.

W progu powitał nas głębokim ukłonem właściciel gospody. Był całkiem łysy, co zauważyłam tym łatwiej, że kiedy schylił głowę w ukłonie, jego lśniąca czaszka znalazła się tuż pod moim nosem.

- Witam, Pratt - powiedział Lawrence. - Widzę, że twój lokal znakomicie prosperuje.

- Tak jest, milordzie - odparł Pratt, wycierając ręce o świeżo wyczyszczony frak. - Słucham się doradcy waszej lordowskiej mości i zbijam na tym niezły kapitalik.

Lawrence skinął łaskawie głową.

- Mam nadzieję, że nasze pokoje są już przygotowane? Jej lordowska mość czuje się zmęczona - dodał, patrząc na mnie z uśmiechem.

Zastanawiam się czasem, dlaczego to damy zawsze bywają zmęczone, a nie dżentelmeni.

- Oczywiście, milordzie. Jeśli wasze lordowskie moście zechcą tylko pójść za mną, to zaprowadzę państwa do prywatnych apartamentów.

- Ja tylko zajmę się jeszcze panną Crislock i George'em i zaraz do ciebie dołączę, panie.

- Panna Crislock z pewnością może sama o siebie zadbać. Ona i Flynt zajmą się sobą nawzajem. Flynt bez wątplenia zaspokoi potrzeby George'a. Nie chcę, żebyś kłopotowała się takimi sprawami teraz, kiedy jesteś już kobietą zamężną.

Nie przepadałam za służącym Lawrence'a, Flyntem. Zbyt mało mówił i zbyt wielu rzeczom się przyglądał.

- Panna Crislock należy do dość nerwowych osób, milordzie, i lęka się zmian oraz nieznanymi miejsc. Poza tym niedawno wyszła z choroby. Wolałabym się upewnić, że nic jej nie dolega.

- „Szara Gęś” nie jest jakimś nieznanym miejscem - wyjąkał oburzony Pratt.

- Z pewnością, panie Pratt - powiedziałam. - Ale przecież to żaden problem sprawdzić,

jak się miewa panna Crislock, nawet dla kobiety zamężnej. Zobaczymy się za chwilę, Lawrence.

Zanim mój mąż zdołał powiedzieć coś, z czym nie mogłabym się zgodzić, zdążyłam już wybiec na dwór.

Flynt stał tam, zgodnie ze swoim zwyczajem, milczący i bierny. Czekałam, aż woźnica pomoże pannie Crislock wyjść z powozu. Zanim jej stopy dotknęły ziemi, George już znalazł się w moich ramionach, machając ogonem szybciej niż wiatrak w czasie wichury. Zapięłam mu obrozę, po czym postawiłam na ziemi.

- Zaraz wracam, Milly. Tylko poproś pana Pratta, żeby wskazał ci pokój.

Spojrzałam na Flynta, który przyglądał się z uwagą własnemu kciukowi, po czym wybuchnęłam śmiechem, widząc, jak George podskakuje niemal metr wzwyż, żeby dosięgnąć trzymanej przeze mnie smyczy.

- Nawet o tym nie myśl, George. Biegnij naprzód, ja pójdę za tobą.

I tak, George i ja, przechadzaliśmy się, skakaliśmy i biegaliśmy w promieniach zachodzącego słońca. Mój pies miał więcej energii niż ja, więc dopiero po godzinie zgodził się wrócić do panny Crislock, zjeść kolację i iść spać.

Główna sala „Szarej Gęsi” była przytulna, obita drewnem i pełna aromatu pieczeni. Cisnęłam mufkę i pelisę na krzesło, a sama podeszłam do kominka, żeby rozgrzać dłonie przy ogniu. Lawrence, który do tej pory czytał gazetę, właśnie wydawał Prattowi dyspozycje dotyczące obiadu. Po wyjściu naszego gospodarza mój mąż usiadł przy mnie naprzeciwko ognia.

- Flynt powinien był wyprowadzić George'a - powiedział. - To nie należy do obowiązków zamężnej damy.

Czy istniała jakaś lista, określająca, co zamężna dama może robić, a czego nie? Miałam szczerą nadzieję, że nie, bowiem w przeciwnym wypadku znalazłabym się w niezłych opałach.

- Flynt nie zna George'a. Co więcej, Flynt nie zamierza robić niczego dla nikogo z wyjątkiem ciebie, swojego pana. A w dodatku sam George za nim nie przepada. Tęskni za mną. Tańczył wokół moich stóp, aż był tak zmęczony, że padł.

Myślałam, że mój mąż powie coś więcej, ale on milczał. Tymczasem wrócił Pratt, w towarzystwie dziewczyny o ogromnym biuście i pięknym, szerokim uśmiechu. Jak nam powiedziano, nazywała się Betty.

- Czy pół godziny ci wystarczy, aby przygotować się do kolacji, Andreo, to znaczy Andy? - zapytał mnie mąż.

- Wystarczy mi na co? To znaczy... przecież nie muszę się przebierać. - Nie chciałam oddalać się od tego cudownego zapachu pieczonych kartofli i masła, który wydobywał się spod jednego ze srebrnych talerzy. - Umyję tylko ręce, dobrze? Cuchną trochę psem. Będę za pięć minut, nie więcej. Tylko nie zjedz mi całej pieczeni, milordzie - krzyknęłam przez ramię, wybiegając z salonu.

Kiedy dotarłam do pokoju, błyskawicznie umyłam dłonie, pogłaskałam George'a, przez co musiałam się myć jeszcze raz. Wreszcie ucałowałam pannę Crislock, chociaż ona sama miała pełne usta jedzenia i nie mogła pocałować mnie w odpowiedzi, i popędziłam z powrotem na dół.

Zatrzymałam się naprzeciwko długiego, wąskiego lustra, które wisiało na ścianie u stóp schodów. Popatrzyłam na bladą dziewczynę, która z niego wyglądała, i zmarszczyłam brwi. Skąd ta bladość? Przez ostatnią godzinę biegałam po dworze. Co było ze mną nie tak? Jeszcze raz spojrzałam na swoje odbicie. Dziewczyna w lustrze wydawała się bardzo samotna i bardzo godna pożałowania. Ale to nie ma sensu, pomyślałam. Przecież przyzwyczaiałam się już do samotności i do bycia panią samej siebie. Tyle że teraz już nie powinnam się tak czuć. Poślubiłam wspaniałego człowieka. Przypomniałam sobie, co szepnęła mi lady Fremont, kiedy „Gazette” ogłosiła moje zaręczyny.

- Niezła z ciebie sztuka, Andreo Jameson. - Pani Fremont stuknęła mnie wachlarzem w ramię. Zabolało, a ja wiedziałam, że o to właśnie jej chodziło. - Usidliłaś najatrakcyjniejszego dżentelmena w okolicy i nawet nie chcesz powiedzieć, jak tego dokonałaś. Ale chyba jeszcze nieco za wcześnie na ślub? Nie minęło nawet pół roku, odkąd twój dziadek rozstał się ze swoją ziemską powłoką, czyż nie? Wstydz się. No, ale skoro nie masz mamy, która powiedziałaaby ci, co wypada, a co nie...

Wstrętna stara wiedźma. Jednak w przeciwieństwie do Petera, większość znajomych nie widziała nic złego w moim małżeństwie z Lawrence'em. Być może z wyjątkiem szybkiego terminu ślubu. Ale ja nie mogłam już znieść Londynu. I nie zamierzałam wcale tańczyć, do upadłego na balach i nosić wydekoltowanych sukien.

Nie, jechałam na wieś i tam miałam pozostać. Moja droga panna Crislock nabawiła się w Londynie tego paskudnego kaszlu, który nadal nie chciał ustąpić. Nie wątpiłam, że przyczyną jej choroby był dym z węglowych pieców. Wieś wydawała się wymarzonym miejscem dla nas obydwu. I, rzecz jasna, dla mojego męża.

Lawrence nadal siedział przy kominku, czytając „Gazette”. Pratt ochoczo zastawiał nasz stół pieczeni, kartoflami, duszonymi warzywami i groszkiem. Dobry Boże, była tam nawet salaterka pełna pieczonych kuropatw, zepchnięta na samą krawędź stołu, i niezliczona

ilość przystawek.

Mój żołądek głośno dał o sobie znać. Lawrence podniósł głowę i uśmiechnął się z sympatią.

- Cieszę się, że tylko umyłaś ręce, Andreo, przepraszam, Andy. W innym wypadku mogłabyś mi zemdleć z głodu w wannie.

Pocziwy hrabia najwyraźniej nie potępił moich manier. Nic nie wskazywało na to, że popełniłam błąd, wychodząc za niego za mąż.

Wszystkie dania smakowały wyśmienicie. Nie przypominam sobie, kiedy zjadłam tak wiele, jak wtedy. Nawet się nie odzywałam, tylko pożerałam jeden kęs za drugim. W dodatku schowałam w serwetkę trochę pysznej pieczeni dla George'a. I właśnie rozkoszowałam się kolejną porcją kuropatwy, kiedy przypadkiem zerknęłam na Lawrence'a. Patrzył w oszołomieniu na mój ciągle napełniany talerz. Zamarłam z łyżką w pół drogi do ust.

- Och, pewnie jem więcej, niż się spodziewałeś po młodej damie. Czy uważasz mnie za żarłoka? Trudno cię za to winić. Tyle że to wszystko jest takie pyszne, a ja spędziłam cały dzień w podróży i to naprawdę wpływa na mój żołądek...

Lawrence uniósł elegancką dłoń, żeby mnie uciszyć. Usłuchałam natychmiast.

- Nie chciałem, żebyś czuła się zakłopotana, Andreo, przepraszam, Andy. Zwyczajnie zapomniałem już, jak wspaniały apetyt mają młodzi ludzie. Z wiekiem albo kurczymy się, albo tyjemy.

- W takim razie to szczęście, że ty, panie, się kurczysz.

Urwałam, nie wierząc w to, co właśnie powiedziałam. Zasłoniłam ręką otwarte usta, upuściłam widelec i wbiłam przerażony wzrok w mojego męża. Byłam tak zakłopotana, że chciałam porwać pieczeń dla George'a i uciec do swojego pokoju. Co gorsza, omal nie dodałam, że jako żona hrabiego czuję się już jak prawdziwa matrona i obawiam się, czy nie utyję. Na szczęście w ostatniej chwili się zorientowałam, jak bardzo przypominałoby to zniewagę, i udało mi się trzymać język za zębami.

Hrabia zeszytywniał. Mój Boże, przecież ja nie chciałam go obrazić, naprawdę nie chciałam. Nie wypominałam mu wieku. Potrząsnęłam głową, zastanawiając się, jak wybrnąć z tego bagna.

Mój mąż mnie ocalił. Ten wspaniały człowiek osobiście wyciągnął mnie z błota i pomógł mi się otrzepać.

- Moja droga Andreo, to jest... Andy, nie przepraszaj mnie. Nic się nie stało. Wypowiedziałas na głos swoje myśli, a to jest urocze. Z pewnością nie zawsze, ale czasami. Chociaż może warto czasem zdobyć się na rozagę. Czy zechciałabyś skosztować wybornej

tarty gruszkowej Pratta?

Oczywiście byłam już za bardzo najedzona, więc przecząco pokręciłam głową.

Tymczasem Pratt zjawił się w towarzystwie piersiastej Betty, żeby posprzątać po kolacji. Następnie uklonił się i nalał Lawrence'owi kieliszek rubinowego porto. Hrabia uniósł kieliszek do ust, pokręcił nim delikatnie, tak jak robił to mój dziadek, po czym pokiwał głową z aprobatą. A ja bezmyślnym, bezwiednym ruchem nadstawiłam swój kieliszek.

ROZDZIAŁ 5

Pratt wyglądał tak, jakby właśnie został namierzony przez myśliwego z wielką strzelbą. Nie drgnął mu ani jeden mięsień. Wątpię, czy choćby odetchnął. Tylko wpatrywał się w mój kieliszek, nadal wyciągnięty w jego stronę, jakby to była niebezpieczna żmija. W końcu posłał mojemu mężowi rozpaczliwe spojrzenie.

Natychmiast zorientowałam się, że zrobiłam coś, czego prawdziwa dama nie zrobiłaby nawet za cenę własnego życia. Bezradna, czekałam, co teraz nastąpi. Lawrence zerknął na mnie i zobaczył, że wcale nie żartuję. Już zaczął otwierać usta - jak się domyślałam, zamierzał mnie przekląć. Ale ku mojemu zaskoczeniu hrabia tylko kiwnął głową, żeby Pratt napełnił mi kieliszek. Wcale nie uważał, że tylko kurtyzany zniżają się do picia porto i brandy. Uśmiechnęłam się do siebie, widząc, że Pratt niechętnym gestem nalewa mi trzy krople wina. Nawet nie spojrzał mi w oczy.

Pamiętam, że kiedy dziadek po raz pierwszy poczęstował mnie porto, okropnie mi nie smakowało. Wydałam z siebie nawet jakiś odgłos dezaprobaty. Dziadek popatrzył na mnie surowo.

- No no, co to ma być? Kręcisz nosem na moje wyśmienite porto? Moje wyśmienite porto, które przybyło tu aż z Douro w północnej Portugalii?

- Może zepsuło się w trakcie długiej podróży?

- Dość. To najwspanialsze porto na świecie. Z pewnością nie wiesz nawet, moja panno, że porto zostało tak nazwane od miasta Oporto. Posłuchaj mnie teraz, panno Porządnicka pozbawiona kubków smakowych. To należy do twojej edukacji, mało tego, stanowi jej istotną część. Musisz wykształcić w sobie subtelny smak. Nie zniosę, żebyś kiedykolwiek wzięła do ust ten obrzydliwy likwor, który jakiś idiota tysiąc lat temu uznał za stosowny trunek dla dam. Pij do dna i nawet nie próbuj marszczyć brwi ani wydawać wymownych odgłosów.

Wypiłam do dna i polubiłam szklaneczkę porto na zakończenie kolacji, chociaż wykształcanie subtelności smaku zajęło mi aż trzy miesiące.

Przez niemal osiem lat mogłam uczestniczyć w typowo męskiej tradycji picia porto i prowadzenia rozmów po kolacji. Czy teraz miało to ulec zmianie?

Czekałam.

Kiedy Pratt i Betty opuścili salon, obładowani srebrami i talerzami, mój mąż usadowił się wygodnie na krześle, z gracją kołysząc kieliszkiem wina między szczupłymi palcami.

Spoglądał na mnie spod grubych, ciemnych brwi. Chciałam mu powiedzieć, że dziadek aprobował moje picie, chociaż był jeszcze starszy od niego, może nawet o całe pokolenie. Nie, już lepiej, żebym trzymała buzię na kłódkę, skoro tak miał wyglądać mój koronny argument. Ale wiedziałam, że Lawrence nie pozostawi całej sytuacji bez komentarza. Nie musiałam długo czekać na wyrzuty, chociaż zabrzmiały one zupełnie inaczej niż wybuchowe potępienia mojego dziadka. Zupełnie inaczej.

- Zakładam, że to księżę jest odpowiedzialny za twoje niezwykle upodobanie do alkoholu? - powiedział hrabia lodowatym głosem.

- Z pewnością nie był to mój pomysł - odparłam, licząc na to, że szczerść go rozbroi.
- W wieku trzynastu lat nie mogłam przełknąć wina. Ale kiedy skończyłam czternaście, dziadek wyraził swoją dumę z faktu, że wykształcił we mnie subtelny smak. Teraz to już nawyk. Wierzę, że nie stanowi on dla ciebie obrazy.

Nie tak źle, pomyślałam. W dodatku powiedziałam mężowi całą prawdę. Już zaczynałam się zastanawiać, czy przypadkiem jednak nie powinnam była skłamać, kiedy przemówił ponownie.

- Picie porto absolutnie nie przystoi damie - rzucił chłodnym i spokojnym tonem, który jednak nie zmylił mnie ani na chwilę. - To pospolity obyczaj, rodem z brudnych spelunek i domów publicznych. Zawsze brzydziłem się tego, co pospolite.

- Moim zdaniem to wyśmienite porto jest o wiele za drogie jak dla kurtyzan, milordzie. Och, dobry Boże, nic nie mów. Mówię, co mi ślina na język przyniesie, a rozum tylko przygląda się temu z daleka. Proszę, wybacz mi.

Wolałam nie wspominać o moim upodobaniu do brandy - rodem z Armagnac we francuskiej prowincji Gers, o czym wie każda wykształcona dama.

Mój mąż patrzył na mnie, jakbym była jakimś nieznanym stworzeniem.

- Mój dziadek... - powiedziałam wolno, szykując się do boju. W końcu nie różniłam się tak bardzo od innych młodych dam. Urwałam, odchrząknęłam, po czym zaczęłam ponownie. - Mój dziadek nie zachował się pospolicie nawet jeden raz w ciągu całego życia. A jeśli on uznał coś za godne aprobaty, to pospolitym wypada nazwać tego, kto zakwestionował jego wybór.

Już myślałam, że Lawrence wstanie i ciśnie we mnie stół, ale nie zrobił tego. Zaczerpnął głęboko powietrza.

- Powinienem już wiedzieć, że trzeba się przyzwyczaić do nawyków współmałżonka. Mam już pewne doświadczenie. Ty nie. Jesteś bardzo młoda i nie chciałbym łamać twojej woli, Andreo, nie Andy, ale nie mogę zezwolić, byś ulegała temu nawykowi, kiedy będziemy

w towarzystwie. Nie, nie sprzeciwiaj mi się. Proponuję ci kompromis. Będziesz piła porto, gdy będziemy tylko we dwoje. Czy to sprawiedliwy układ?

- Zawsze piłam tylko w towarzystwie dziadka - odparłam.

- W takim razie nie mamy o co się dalej spierać. - Mój mąż uniósł kieliszek i stuknął delikatnie w mój. - Za moją nową, piękną żonę. Niech nigdy nie pomyśli, że poślubiła starego nudziarza.

- Och, doprawdy - powiedziałam, uśmiechając się do niego jak grzesznik, który uniknął kary.

Skosztowałam porto. Nawet nie przypominało mi wspaniałego wina z piwnic dziadka. Gdybym piła w jego towarzystwie, pewnie wydałabym z siebie jakiś niegrzeczny odgłos i trzasnęła kieliszkiem o stół. Teraz jednak pokornie sęczyłam dalej. Mój mąż z pewnością był sprawiedliwy, ale życie nie zawsze takie się okazywało. Niektórzy powiedzieliby zapewne, że wpadłam w dół, który sama pod sobą wykopałam.

- Może jesteś obdarzona silną wolą?

- Ależ skąd - odparłam, mrugając kilkakrotnie. Zerknęłam w dół, na moją chusteczkę, rozłożyłam ją, po czym ponownie zwinęłam. - Jeśli tylko zrobię coś, co ci się nie spodoba, panie, koniecznie zwróć mi na to uwagę. Jak mówiłeś, w małżeństwie trzeba się nauczyć kompromisów. Być może nawet zmienić niektóre złe nawyki.

- Czy mam rozumieć, że zezwalasz, abym krytykował niektóre twoje uczynki, gdyby wzbudziły one moją silną dezaprobatę?

Powiedziałam coś zupełnie innego, ale Lawrence był wyjątkowo pobłażliwy. Starsi mężczyźni często bywają tacy w stosunku do młodych żon.

- Oczywiście - odparłam, myśląc o niezwykłej dobroci mojego męża. - Jesteś prawdziwym dżentelmenem, Lawrence, takim, jak mój dziadek - wypaliłam, zanim zdążyłam przygryźć język. I w tym samym momencie, kiedy tak stałam, wbijając wzrok w hrabiego, nagle, ku swojej zgrozie, wybuchnęłam płaczem.

Przysięgam, że nie wiem, skąd się wzięły te przekłete łzy. One po prostu wylały się z moich oczu i pociekły na brodę.

- Och, tak mi przykro - wyjąkałam. Lawrence pomógł mi wstać i przycisnął mnie do piersi. Nie wahałam się. Nikt mnie nie przytulał, odkąd umarł dziadek. Nikt, oprócz Petera. Oparłam się o męża całym ciężarem ciała. Płakałam i płakałam, czując jego ciepły oddech na włosach.

- Już dobrze. Wiele ostatnio przeszłaś. Już dobrze, Andreo, przepraszam, Andy. Wypłacz się, moja droga. Już dobrze.

Mogłabym wyrzec się porto, gdyby tylko mnie o to poprosił. Ale on zdobył się na tolerancję. Oferował mi przyjaźń i pocieszał w bólu. Miałam ogromne szczęście, że go poznałam i że zechciał mnie poślubić. Szlochałam, aż dostałam czkawki, po czym uniosłam głowę.

- Mogę przestać pić, o ile naprawdę ci się to nie podoba.

Lawrence zaśmiał się cicho, po czym znów mnie przytulił.

- Nie, nie należy odmawiać porto pani hrabinie. Uśmiechnęłam się do niego wśród łez.

- Jeśli masz jakieś trupy w szafie, przysięgam na honor, że nie powiem nikomu ani słowa.

Hrabia zawahał się na jedną, króciutką chwilę.

- Tego się po tobie spodziewałem - powiedział w końcu. - Twój dziadek wychował cię znakomicie.

Mam nadzieję, że nie będziesz rozczarowana, ale moi przodkowie byli chyba dość nudni i dziedziczyli jeden po drugim bez skandali czy oszustw. W każdym razie nie wyróżniają się na tle innych rodów. Ale doceniam twoją przysięgę. A teraz, moja droga Andy, jesteś bardzo dzielna. Mam nadzieję, że nowy dom i nowe towarzystwo ukoją nieco twój żal. Jednakże ten żal jest bardzo ważny. W końcu wspomnienia o dziadku zajmą stosowne miejsce w twoim sercu i będą jak wygodny płaszcz, dając ci pocieszenie i chwile radości w najróżniejszych momentach twego życia. A moje ramię jest zawsze do twojej dyspozycji, jeśli kiedykolwiek jeszcze zechcesz na nim spocząć.

- Pan Bóg uczynił cię bardzo dobrym człowiekiem, panie - wyjąkałam i wydmuchałam nos w chusteczkę, którą podał mi mąż. - W mojej rodzinie roi się od skandali i szkieletów, ale nie są wystarczająco stare, żeby były romantyczne.

- Może zatem pomieszymy nasze opowieści, żeby stworzyć jedną, wyjątkowo przerażającą baśń na długie, zimowe wieczory.

- W takim razie musimy się pospieszyć, bo zima idzie ku nam wielkimi krokami.

- Jeszcze raz przejrzę rodowe papiery. Zobaczę, jakie sensacyjne historie da się z nich wyczytać.

Lawrence odprowadził mnie do sypialni, przez chwilę uśmiechał się do mnie w milczeniu, po czym delikatnie poklepał mój policzek.

- Miłych snów, najdroższa Andy.

Patrzyłam, jak odchodzi ciemnym korytarzem i macha do mnie, otwierając drzwi swojej sypialni. Zastanawiałam się, gdzie śpi Flynt. Wolałam, żeby nie było to gdzieś blisko mnie. Weszłam do swojego pokoju, słysząc ciche westchnienia panny Crislock i głośne

chrapanie George'a. Nagle przypomniałam sobie, że zostawiłam w jadalni chusteczkę z pieczenia dla niego. Myśl o jego zachwyconej minie, gdybym rano przywitała go kawałem steku sprawiła, że wzięłam świecę i udałam się z powrotem na dół. Może piersiasta Betty nie uprzątnęła jeszcze wszystkiego po kolacji.

- Jest bardzo młoda.

Zatrzymałam się z ręką na klamce drzwi do salonu. Usłyszałam nieznamy męski głos. Dochodził z wnętrza pomieszczenia, w którym Lawrence i ja zjedliśmy kolację i gdzie płakałam za dziadkiem na ramieniu męża.

Do kogo mówił ten obcy mężczyzna?

- Nie ma młodych kobiet - odparł Lawrence pogardliwym tonem, który wbił mnie w ziemię.

Przecież ja niewątpliwie byłam młoda. Zmarszczyłam brwi. Jak on mógł tak szybko zejść z powrotem na dół.

- Zobaczymy - ciągnął mój mąż. - Jedź dalej. Będziemy w Devbridge Manor pojutrze w porze obiadu, chyba że pogoda się popsuje. Jak na razie wszystko idzie znakomicie. O nic się nie martw.

Pobiegłam szybko na górę, zapominając o steku dla George'a. Z kim Lawrence rozmawiał? I dlaczego? Być może ze swoim zarządcą. Ja w każdym razie zamierzałam dobrze sobie zapamiętać ten głos. Z pewnością niebawem czekało mnie spotkanie z jego właścicielem.

Będąc młodą, zdrową i najedzoną damą, zasnęłam błyskawicznie i tak głęboko, że nawet chrapanie George'a tuż przy moim uchu nie przeszkodziło mi aż do świtu.

Punktualnie o siódmej obudziło nas pukanie Betty do drzwi naszej sypialni. Panna Crislock potrząsnęła mną delikatnie.

- Andy, moja droga, musisz wstawać. Jeśli nie zabiorę George'a na spacer w ciągu najbliższych dwóch minut, stanie się coś, z czym żadna z nas nie chciałaby się zmierzyć.

- Biedny George - powiedziałam, przeciągając się. - W końcu nie dostał swojej pieczeni.

- On nie musi jeść pieczeni. Teraz idę z nim na dwór, a ty się wykup. Zaraz wracam.

- Dziękuję, Milly. Ja i mój piękny pies George jesteśmy twoimi dłużnikami. - W tamtej chwili mogłabym zabić dla panny Crislock, tak jak dla mojego męża. Modliłam się, żeby ani ona, ani Lawrence nie mieli żadnych poważniejszych wrogów, bo w przeciwnym razie skończyłabym na szubienicy.

Po lekkim śniadaniu wyszliśmy z gospody. Dzień był szary i wilgotny, więc George

jęknął z dezaprobatą.

- No, no - powiedziałam, całując go w głowę. - Przynajmniej niebo jest szare z powodu chmur, a nie londyńskiego smogu. Nie narzekaj.

Lawrence pozwolił George'owi jechać z nami przez część drogi. Mój pies - niegłupi zwierzak - polizał go w rękę.

- Wstydu nie masz - powiedziałam z wyrzutem, co wywołało uśmiech na twarzy mojego męża.

Dzień upłynął nam bardzo przyjemnie, a noc spędziliśmy w gospodzie „Pod Wisielcem” w Collingford.

- Jeszcze tylko jeden dzień - powiedział Lawrence, odprowadzając mnie do drzwi sypialni. - Jutro będziemy w domu w sam raz na obiad.

To samo mówił nieznanemu mężczyźnie poprzedniej nocy.

- Jutro - dodał, zaczekawszy, aż skończę ziewać - opowiem ci o Hugonie, moim jedynym przodku odznaczającym się pewnymi mrocznymi cechami. Na szczęście prowadził dziennik, by potomkowie mogli poznać jego obsesje na punkcie wyklętych heretyków. Śpij dobrze, Andy.

I tak oto następnego dnia dowiedziałam się, że Hugo Lyndhurst, ówczesny wicehrabia Lyndhurst, w 1584 roku został podniesiony do godności hrabiego Devbridge przez dobrą królową Elżbietę.

- Jego dziennik zachował się do dziś? Nie żartujesz? - spytałam.

- Mamy kilka kartek, które trzymamy pod szkłem w Starym Dworze. Pokażę ci je. To Hugo wybudował Devbridge Manor. Prace zakończono w 1590 roku. Po uzyskaniu tytułu hrabiowskiego przestał się entuzjasmować wyrzynaniem katolików. Zadowalał się tylko okazjonalnym auto - da - fe. Zmarł śmiercią naturalną w wieku lat siedemdziesięciu czterech, otoczony czwórką dzieci.

- Z pewnością był draniem, ale ta opowieść nie brzmi szczególnie romantycznie - powiedziałam, myśląc o Hugonie. - Nie masz nic lepszego do zaoferowania?

Lawrence popatrzył na mnie w zamyśleniu.

- Następcy Hugona nie są szczególnie interesujący. Nasz ród rozkwitał pod panowaniem Stuartów, jako że należeliśmy do najwierniejszych rojalistów. Niestety dlatego również spotkało nas nieszczęście. Cromwell i jego ludzie zaatakowali i zajęli Devbridge Manor akurat w chwili, kiedy James Lyndhurst, ówczesny hrabia, wydawał bardzo udaną kolację dla pułku rojalistów. Większość posiadłości została zniszczona w czasie walk i tylko Stary Dwór dotrwał do dzisiejszych czasów.

- O, ten James Lyndhurst wydaje się obiecujący. Co było dalej?

- Podążył za królem na szafot. Muszę przyznać, że twoi przodkowie lepiej poradzili sobie z Cromwellem. Całe szczęście, że Stuartowie prędko wrócili do władzy. Od tamtej chwili aż do dzisiaj nasz ród prosperuje znakomicie. Moi bezpośredni przodkowie zdołali zadowolić swoich germańskich władców i zostali hojnie wynagrodzeni. I tak, moja droga, doszliśmy aż do chwili obecnej.

- A sama posiadłość, kiedy została odbudowana?

- Jak już mówiłem, Stary Dwór pochodzi jeszcze z czasów Tudorów. Od tamtej pory każdy kolejny hrabia dawał upust swoim artystycznym wizjom i dzisiaj Devbridge wygląda jak mieszanina wszelkich możliwych architektonicznych stylów.

- To podobnie jak Deerfield Hali - odparłam ze śmiechem. - Przyjechałam tam w wieku dziesięciu lat i nigdy nie zapomnę, jak przez pierwsze trzy miesiące co najmniej raz dziennie gubiłam się tak, że nie wiedziałam, gdzie jestem.

- Także w Devbridge będziesz musiała spędzić trochę czasu, zanim nauczysz się poruszać pewnie w labiryncie korytarzy. Zamknąłem północne skrzydło, dzięki czemu nie będziesz się musiała martwić przynajmniej o część mrocznych, zakurzonych pokojów.

Zawsze kochałam Yorkshire. To bardzo szczególna część Anglii, gdzie widać i czuć bagna rozciągające się po horyzont. Posiadłości rodowe mojego męża znajdowały się nie dalej niż trzydzieści parę kilometrów od Yorku, jednego z moich ulubionych miast. Przez niemal pół godziny jechaliśmy przez zielone wzgórza porośnięte gęstymi, dębowymi lasami. Co więcej, Devbridge Manor mieściło się tylko nieco ponad dwadzieścia kilometrów od Deerbridge Hali. Czułam się, jakbym wracała do domu. Tyle że dziadek już tam na mnie nie czekał.

Kiedy minęliśmy ostatni zakręt niezwykle długiego podjazdu, moim oczom ukazał się dwór w Devbridge, lśniący w ostrym świetle zachodzącego słońca. Tak jak powiedział mój mąż, była to zadziwiająca mieszanina wszelkich architektonicznych koncepcji, ale wszystkie elementy współgrały ze sobą znakomicie, od strzelistej wieży aż po cudowne greckie arkady.

Zakochałam się w tym dworze, zanim jeszcze stanęłam u jego bram, które otworzył przed nami sam Mojżesz. A przynajmniej ja będę twierdzić aż do moich ostatnich dni, że nawet biblijny Mojżesz nie robił większego wrażenia niż Brantley, lokaj z Devbridge, okolony burzą rozwianych siwych włosów, ubrany w czarne szaty, z jasnymi oczami, w których czaiły się przepowiednie.

Brantley pstryknął palcami, przywołując dwóch służących, ubranych w błękitno - białe liberie. Jeden z nich otworzył drzwi powozu, a drugi podstawił stopień, żebyśmy mogli

wysiąść.

- Brantley, oto twoja nowa pani - powiedział Lawrence.

Oczekiwałam, że z ust Brantleya wydobędzie się jakieś przykazanie, ale kiedy przemówił, z nieba nie spadły żadne tablice ani nie zapłonęły pobliskie krzewy.

- Milordzie, milady, witajcie w domu - powiedział głosem tak aksamitnym, jak najlepsza brandy. - Cała rodzina oczekuje już na państwa.

Wkroczyłam u boku męża do prastarego dworu, pachnącego cytrynowym woskiem i próchniejącym drewnem. Brantley poprowadził nas do przepięknych, orzechowych drzwi po prawej stronie, po czym otworzył je na oścież.

- Hrabia i hrabina Devbridge - zaanonsował. Weszliśmy do długiej i wąskiej komnaty z wysoko sklepionym sufitem. Atmosferę pomieszczenia stwarzały rubinowe kotary i ciężkie, mahoniowe meble.

Położono tu trzy przepiękne tureckie dywany, a widoczna pomiędzy nimi podłoga lśniła czarną patyną. Wszystko zarzyło się w subtelnym świetle pięćdziesięciu świec porozstawianych po całym pokoju w bogato zdobionych świecznikach.

Zobaczyłam troje ludzi, którzy wodzili wzrokiem ode mnie do Lawrence'a i z powrotem.

Mieli niezbyt zachwyczone miny.

ROZDZIAŁ 6

- Prosto w paszczę lwa - powiedział mi do ucha Lawrence, po czym zachichotał i uściśnął moją rękę.

Usiłowałam się roześmiać, ale nie było to łatwe. W końcu zebrałam się w sobie i przełknęłam ślinę, patrząc na troje ludzi. Oni bezustannie lustrowali nas wzrokiem, ale nie zbliżyli się nawet o centymetr. Odchrząknęłam i ruszyłam naprzód.

Nagle zamarłam w pół kroku.

Nie, to nie możliwe. To nie może być on, pomyślałam.

Ale tu się myliłam. Mężczyzna wyszedł z cienia obok kominka. To był John. Ten sam John, którego George tak uwielbiał i który tak bardzo chciał poznać moje imię.

John, bratanek i dziedzic mojego męża, ponury i nieprzystępny, właśnie wrócił do domu z wojny. I miał z nami mieszkać. Mój stryjeczny pasierb.

W tej samej chwili stwierdziłam, że z całego serca nienawidzę zbiegów okoliczności.

Nagle i bez ostrzeżenia usłyszałam szalone szczekanie George'a. Pewnie wyrwał się z ramion drogiej panny Crislock. Ciekawe, odkąd miał taki bystry wzrok. Wpadł do środka jak burza. Zamerdął ogonem, szczeknął, pisnął z podniecenia i z impetem rzucił się na Johna, który prędko ukląkł, żeby go podnieść i uściśkać. John wybuchnął śmiechem, a George starał się ze wszelkich sił zalizać go na śmierć.

- Co to ma znaczyć, John? - zapytał Lawrence. - Czyżbyś znał tego psa?

Na dźwięk słów stryja śmiech zamarł Johnowi na ustach. W milczeniu wsadził George'a pod pachę, ale nie przestał głaskać jego aksamitnych uszu.

- Owszem - odparł, nie zbliżając się do Lawrence. - Znam tego psa. Ma na imię George. Spotkałem go niedawno w Hyde Parku. Była tam też jego właścicielka, ale nie udało mi się z nią zaznajomić.

Hrabia odwrócił się do mnie.

- Czy to możliwe, że to jest ten John, o którym mi opowiadałaś?

Zdziwiłam się, że mój mąż zapamiętał tę rozmowę. Nadal nie mogłam w to wszystko uwierzyć - chociaż miałam przed sobą żywy dowód, który właśnie przytulał mojego zachwyconego psa.

- Tak, niewątpliwie. Być może pamiętasz, że mówiłam ci również o jego magicznej władzy nad zwierzętami. A przynajmniej nad George'em.

- W takim razie wszystko pójdzie nieco łatwiej. Major John Lyndhurst jest moim

bratankiem i dziedzicem. John, poznaj Andreę Jameson Lyndhurst, moją żonę, hrabinę Devbridge. Wspominała mi, że cię widziała, ale знаła wtedy tylko twoje imię.

John nie przestawał głaskać głowy mojego psa, w którego oczach malowała się najczystsza rozkosz.

- Tak, miałem zaszczyt spotkać tę panią, stryju. To kuzynka Petera Wiltona. Jednak dziwi mnie fakt, że mnie zapamiętała, a w dodatku wspomniała o naszej znajomości.

Ja także w to nie wierzyłam. Nadal wydawał mi się zbyt ogromny i to nawet z odległości siedmiu metrów.

- Jak sądzę, opowiedziałam o nim jedynie dlatego, że hrabia wymienił twoje imię jako imię swojego bratanka i dziedzica. Zwykły zbieg okoliczności.

John przybrał nieprzenikniony wyraz twarzy.

- Czy Peter był obecny na twoim ślubie? Czy jest zdrow? - zapytał John, pieszcząc lewe ucho mojego psa.

- Tak, miewa się dobrze. Po krótkim pobycie w Londynie powrócił do Paryża - odparłam. Dlaczego John miałby się interesować tym, czy Peter zaszczyił swoją obecnością mój ślub? W każdym razie musiałam pogodzić się z faktami.

- To miło, że znów się spotykamy, John - powiedziałam z przyklepionym do ust olśniewającym uśmiechem. - Znakomicie się składa, że jesteśmy teraz rodziną, bo skradłeś uczucie mojego psa. George, miej odrobinę godności, przestań lizać mu palce.

John wybuchnął śmiechem, który nieco rozładował moje napięcie, i postawił George'a na podłodze. Ale mój pies nie zamierzał się oddalić. Usiadł u stóp Johna, machając ogonem, po czym wyciągnął do niego łapę.

- George - zawołałam. - Tego już za wiele. W tej chwili wracaj. Jestem twoją panią i jedyną osobą na świecie, na którą możesz liczyć w kwestii następnego obiadu.

Mój pies jęknął, po czym po dziesięciu sekundach wahania potruchtał w moją stronę. Na szczęście dzięki niemu prysło napięcie i kiedy chwyciłam go w ramiona, Lawrence swobodnym gestem wskazał mi pozostałe dwie osoby.

- Moja droga, to jest Thomas i jego żona Amelia. Podeszłam do nich, wyciągając rękę.

- Cieszę się, że mogę was poznać. Lawrence wiele mi o was opowiadał.

Thomas ucałował moją dłoń, a Amelia musnęła ją koniuszkami palców.

- Muszę przyznać, że stryj nieco nas zaskoczył, pani - powiedziała Amelia, unosząc przepiękną czarną brew na co najmniej trzy centymetry, które świadczyły o skali zaskoczenia.

Pani? Popatrzyłam na nią promiennie, usiłując wyrazić w ten sposób moją całą dobrą wolę. Była ode mnie wyższa o dobrych kilkanaście centymetrów i z dużym upodobaniem

patrzyła na mnie z góry.

- Proszę nazywać mnie Andy. Nawet Lawrence już się przyzwyczał. To o wiele sympatyczniejsze, czyż nie?

- Och, niewątpliwie.

- A dlaczego jesteście zdziwieni? - zapytałam, zerkając na męża z ukosa.

- Aż do wczoraj nie wiedzieliśmy, że stryj się żeni. Dopiero posłaniec nas o tym poinformował - powiedział Thomas. - A poza tym oczekiwaliśmy statecznej matrony, a nie tak pięknej i młodej dziewczyny.

- Z pewnością już niebawem stanę się stateczną matroną.

- Czyżbyś już była brzemienna? - rozległ się niski i nieprzyjazny głos Johna, który gwałtownie odsunął się od kanapy i postąpił dwa kroki w naszą stronę.

Język stanął mi kołkiem w ustach.

- Nie, John - powiedział spokojnie mój mąż, ściskając moją dłoń. - Andy miała jedynie na myśli, że w ciągu najbliższych lat szybko przyzwyczai się do nowej sytuacji.

Milczałam, pozwalając, by rodzina napatrzyła się na mnie do woli. Co mogli zobaczyć, poza niską dziewczyną z kręconymi, rudobrazowymi włosami? Nie byłam pospolita, ale wątpiłam, czy miałam prawo nazwać się piękną, tak jak uczynił to Thomas. Wiedziałam, że moje oczy są ładne, błękitne i „takie słoneczne”, jak mawiał mój dziadek, ale obserwujący mnie ludzie stali zbyt daleko, by to zauważyć.

Dlaczego Lawrence nie uprzedził ich, że zamierza mnie poślubić? O co w tym wszystkim chodziło?

- Moja droga, czy Brantley mówił ci, o której możemy się spodziewać kolacji? - zapytał Lawrence Amelię. - Andy cieszy się zdrowym apetytem i wydawało mi się, że jej żołądek dopominał się swoich praw już piętnaście kilometrów od Devbridge.

Rzeczywiście burczało mi w brzuchu, ale niezbyt głośno.

- Parka ładnie wypieczonych bażantów w zupełności zaspokoi moje potrzeby - powiedziałam ze słonecznym uśmiechem.

Lawrence delikatnie pogładził mnie po policzku. Zamarłam. Wiedziałam, że czuł, jak się wzbraniam przed pieszczotą, chociaż nawet nie drgnęłam. Mój mąż ani na chwilę nie przestał się uśmiechać.

- Zaraz wezwę Brantleya i porozmawiam z nim w sprawie twoich bażantów.

- Dziękuję, Lawrence.

Hrabia nie miał niczego na myśli. Chciał tylko okazać mi sympatię. Musiałam zacząć się przyzwyczajać do takich zachowań ze strony mężczyzn. Ze strony mojego męża.

Lawrence tylko starał się być miły. Z tym akurat potrafiłam sobie poradzić.

Amelia usiadła na pięknie rzeźbionym, mahoniowym krześle i ułożyła fałdy ciemnoniebieskiej sukni. Była ode mnie starsza najwyżej o trzy lata i bardzo piękna. Jej włosy miały kolor czarniejszy niż w grzesznych snach, jak mawiał czasem mój dziadek, i nosiła je splecione na czubku głowy.

- Nie jeździsz konno, Amelio? - spytałam. George zaczął szczeleć i usiłował uciec mi z rąk, bo John właśnie zbliżył się o parę kroków.

- Dlaczego tak pomyślałaś? John, nie prowokuj tego psa.

- Jesteś bardzo blada - odparłam. - Nie wierzę, że wychodzisz na słońce. Wyglądasz jak bogini Diana, którą widziałam w British Museum. George, bądź łaskaw zachować elementarne formy towarzyskie.

- Ciągle jej powtarzam, że ma zbyt bladą cerę - powiedział Thomas, który stał za żoną, trzymając dłoń na jej ramieniu. - W zimie wygląda trupio blado, a przecież ta pora roku właśnie się zbliża. Nie znoszę śmierci i wszystkiego, co się z nią wiąże. To z powodu słabego zdrowia.

- A ja nie znoszę piegów - odezwała się Amelia. - Kiedy tylko pierwsze promienie słońca dotkną mojej twarzy, natychmiast dostaję piegów. - Uśmiechnęła się i ku mojemu zdumieniu na jej białą twarz wypełził leciutki rumieniec.

- Piegowie zawsze przypominają mi starcze plamy - powiedział Thomas. - Te plamy pojawiają się tuż przed śmiercią. Nie, ja też nie znoszę piegów. Amelio, najdroższa, już wolę trupio bladą twarz niż piegowie. Im więcej o tym myślę, tym bardziej lubię twoją bladą cerę.

John patrzył na brata w niemym oszołomieniu.

- Thomas, co ma znaczyć ta cała gadka o śmierci? Jesteś zdrowy jak ryba. Jeszcze nas wszystkich przeżyjesz.

- Miło, że tak mówisz, John, ale nie było cię tu w ostatnich latach i nie wiesz, jak bardzo kruche jest moje zdrowie. Nie dalej, jak dzisiaj rano dostałem kaszlu. Dochodziło dopiero wpół do ósmej i nagle, gdzieś w głębi mojej piersi zrodził się ten dziwny kaszel, może nawet nieco mokry. Natychmiast zacząłem się obawiać ciężkiej choroby płuc. Na szczęście Amelia umiała mi pomóc. Podała mi syrop i obłożyła moją szyję gorącym ręcznikiem. Tylko dzięki trosce ukochanej żony udało mi się umknąć chorobie, która położyłaby kres mojej egzystencji. Tak, cudem uniknąłem przedwczesnej śmierci. Andy, słowo daję, ten pies wprost wrywa się do Johna.

- Każdy dzień, który pan Bóg daruje Thomasowi na ziemi, jest dla nas cennym darem - powiedział Lawrence z nieokreśloną miną.

Czyżbym wyczuła w nim nutkę sarkazmu? Mój mąż nie zwykł ujawniać swoich myśli i uczuć, podobnie jak John. *

- John, albo weź to biedne zwierzę na ręce, albo sam odejdz, bo ta scena jest już nie do wytrzymania.

Popatrzyłam na Johna ponad ramieniem Thomasa i przytuliłam mocno mojego psa. John nie ruszył się z miejsca, ale zmierzył wzrokiem stryja. Ja tymczasem zaczęłam nucić George'owi jego ukochaną melodię, piosenkę o psie, który złapał królika za ucho.

- John, mam nadzieję, że tym razem zostaniesz z nami?

- Też miałem taką nadzieję - odparł wolno John. Nie wiedziałam, czy patrzy na mnie czy na mojego psa.

- Czyżbyś znowu zmienił zdanie? Chcesz wracać do Paryża czasów pokoju?

- Nie, niezupełnie o to mi chodziło.

- Podano do stołu, milordzie.

- Ach, Brantley, w samą porę. Moja droga, czy nie zechciałabyś spacyfikować jakoś George'a?

- Pozwól, że zaniosę go na górę, do Milly. Panna Crislock zje dziś kolację u siebie. Czy rozmawiała już z tobą w tej sprawie, Brantley?

- Tak, milady. Pani Redbreast, nasza gospodyni, zajęła się już panną Crislock. Poproszono mnie, abym przekazał, że panna Crislock z przyjemnością pozna państwa jutro przy śniadaniu, teraz bowiem jest bardzo zmęczona. Czy mogę zabrać psa, milady?

Zerknęłam na George'a.

- Czy zechcesz zaufać komuś, kto wygląda jak Mojżesz i zanieś cię do panny Crislock?

George wychylił się, żeby obwąchać długie, białe palce Brantleya.

Może i nasz lokaj wyglądał jak biblijny starzec, gotów roztrzaskać kamienne tablice o ziemię, ale z pewnością był bardzo życzliwy i obdarzony znakomitym poczuciem humoru. Powoli położył dłoń na malutkim pyszczku George'a i pozwolił się obwąchiwać do woli. W końcu mój pies szczechnął z aprobatą.

- Znakomicie - powiedziałam, podając psa Brantleyowi. - Dziękuję.

- A teraz, moja droga, zajmijmy się twoim żołądkiem - mruknął Lawrence.

Kolacja została podana w wystawnej jadalni. We czworo obsiedliśmy stół przeznaczony dla co najmniej szesnaścioro gości. Jasper delikatnie wskazał mi honorowe miejsce u szczytu stołu, które mój dziadek nazywał zawsze miejscem pani domu. John usiadł pośrodku, pomiędzy stryjem a mną, a Thomas i Amelia zajęli miejsca

naprzeciwko niego. Dopiero w tym momencie miałam okazję dobrze przyjrzeć się Thomasowi, oświetlonemu przez liczne świece.

Chyba głośno westchnęłam z wrażenia. Usiłowałam nie wpatrywać się w niego tak nachalnie, ale przyszło mi to z trudem. Thomas był najpiękniejszym mężczyzną, jakiego kiedykolwiek widziałam. Błękitnooki, nie przypominał ani swojej matki Hiszpanki, ani brata. Miał cudowne, szlachetne i harmonijne rysy, jakich nie wyrzeźbiłby nawet Michał Anioł. John, o ciemnej karnacji, wyglądał jak groźny, wściekły pies, jasnowłosy Thomas - jak anioł.

Na szczęście wypatrzyłam jedną skazę w tym olśniewająco pięknym obliczu. Thomas miał niezwykle stanowczy podbródek - chociaż nawet ten podbródek budził chęć, żeby powieść palcami po jego idealnej linii. Z trudem oderwałam od niego wzrok i przypadkiem zauważyłam, że John przypatruje mi się z uniesionymi brwiami.

- Przepraszam, nie mogłam się powstrzymać - powiedziałam.

- Większość dam nie może - odparł John. - Postaraj się panować nad sobą.

- Spróbuję.

Brantley powrócił, by nadzorować podawanie kolacji. Był to prawdziwy rytuał, którym rządziły ścisłe reguły, znacznie ściślejsze niż w domu dziadka. Z pewnością zachwyciłoby to pannę Crislock, która zawsze starała się zmusić dziadka i mnie do przestrzegania rozsądnych zasad. Nalegała, żebyśmy się przebierali, czego wprawdzie nie znosiliśmy, ale jęcząc spełnialiśmy jej życzenie, wiedząc, że miało to dla niej ogromną wagę.

Obserwowałam dwóch lokajów, Jaspera i Timothy'ego, którzy cicho krążyli wokół stołu, nie wydając z siebie ani jednego zbędnego dźwięku. Byli tak znakomicie wyszkoleni, że z łatwością udawali głuchych, ignorując wypowiedzi hrabiego na temat pogody, stanu trawnika przed wschodnim skrzydłem. Zachowali kamienną twarz nawet wtedy, gdy mój mąż podjął kontrowersyjny temat przeklętych wigów, których należy postawić pod ścianą i rozstrzelać.

Dopiero kiedy Brantley skinieniem głowy posłał służących na skraj jadalni, a sam stanął przed zamkniętymi drzwiami, Lawrence odwrócił się do Johna.

- Sądziłem, że zamierzasz zostać w Devbridge. Czy zdecydowałeś się wyjechać i nie rozpoczniesz teraz nauki zarządzania majątkiem?

John zmarszczył brwi, przypatrując się swojemu widelcowi z nabitym nań indykiem w kremie orzechowym. Przez chwilę jadł w milczeniu, po czym oparł się na krześle i skrzyżował ręce na piersi.

- Właśnie poślubiłeś młodą damę, stryju. Bardzo młodą damę. Wydaje się bardzo zdrowa. Z całą pewnością da ci dziedzica w niezbyt odległej przyszłości. Nie widzę zatem

powodu, dla którego miałbym się uczyć zarządzania majątkiem. Twój syn otrzyma właściwe wychowanie i z pewnością pojmie tajniki zarządzania, zanim skończy dwanaście lat. Po co miałbym kręcić się po okolicy?

Lawrence w milczeniu potrząsnął głową, wznosząc kieliszek i kierując go w moją stronę.

- Tak jak już raz powiedziałem i powtórzę jeszcze wielokrotnie, to ty jesteś moim dziedzicem - powiedział do Johna głosem tak chłodnym, jak zimowy wiatr nad bagnami Yorkshire. - I ty moim dziedzicem pozostaniesz. Tym samym musisz się przygotować, żeby pewnego dnia zająć moje miejsce.

- Ależ stryju - wtrącił się Thomas, wskazując na mnie szczupłą, szlachetną dłonią. - John ma słuszność. Twoja żona jest bardzo młoda. Po co miałbyś się żenić, jak nie po to, by zyskać dziedzica?

- Mężczyźni nie żyją samymi dziedzicami - powiedziałam, po czym przy stole zapadła martwa cisza. Dlaczego nie trzymałam języka za zębami?

ROZDZIAŁ 7

Amelia omal nie udławiła się winem, John zaś - krztusił się pieczonym pstrągiem, a Thomas pospiesznie zaczął klepać żonę po plecach. Lawrence miał taką minę, jakby chciał mnie wyrzucić przez okno w jadalni, ale tego nie zrobił. Na szczęście. Kiedy przyjrzałam mu się uważniej, doszłam do wniosku, że może usiłuje zachować powagę. Nie gniewał się na mnie, co za ulga. Ale nadal mnie kusiło, żeby zapytać, dlaczego zdaniem mężczyzn jedynym powołaniem żony jest urodzenie męskiego potomka. Chociaż powinnam już stracić wszelkie złudzenia, nadal dziwiło mnie, dlaczego John i Thomas uważali mnie jedynie za rozplodową klacz.

- Być może spodobałam się waszemu wujowi i dlatego zechciał mnie poślubić - powiedziałam, czując, że powinnam w milczeniu spożywać indyka z orzechami i nie wypływać na tak mętne wody. - W końcu George bardzo mnie lubi, a on potrafi ocenić charakter człowieka.

- Nie rozumiem - powiedziała Amelia, rumieniąc się od uśmiechu. - Wuj Lawrence nie jest psem. O czym ty mówisz, Andy?

- Tylko usiłowałam zażartować - odparłam. Oczywiście, wiedziałam, że tak będzie. Nie spodziewałam się tylko, że ten temat wypłynie tak szybko i że będę musiała go omawiać w obecności całej rodziny, łącznie z Brantleyem. Zwiesiłam głowę.

- Andy ma znakomite poczucie humoru - powiedział mój mąż bez cienia uśmiechu. - Zobaczymy, co będzie - dodał po chwili, po czym zamilkł na dobre.

Zerknęłam na Johna. Patrzył na mnie, a w jego czarnych oczach błyszczało coś, co nie do końca pojmowałam. Wściekłość.

Spójrz prawdzie w oczy, pomyślałam. John chciał mnie poznać. Być może z jakiegoś powodu go zainteresowałam, chociaż za nic nie mogłabym powiedzieć z jakiego. Chodziłam w głębokiej żałobie, a poza wszystkim ostatni raz widzieliśmy się trzy miesiące temu. Teraz byłam już mężatką, co nie pozostawiało dla Johna żadnej nadziei. Jeżeli odczuwał jakieś rozczarowanie, to musiał zwyczajnie pogodzić się z faktami.

Słowa Lawrence'a wprawdzie nie znaczyły wiele, ale uciszyły rodzinę. Chciałam im wszystkim powiedzieć, że niczego ciekawego nie „zobaczymy”, ale zrozumiałam, że Lawrence próbował mnie chronić. Nie zamierzał przyznawać, że nasze małżeństwo jest tylko dwustronną umową zawartą na podstawie wzajemnej sympatii i niczego poza nią. Takie postawienie sprawy upokorzyłoby nas oboje.

Popatrzyłam na Johna, który z uwagą obserwował własny kieliszek. Nadal był za duży i zbyt czarny w tych swoich wieczorowych ubraniach. Wyczuwałam w nim zagrożenie i władczość. Z pewnością nawykł do absolutnego posłuszeństwa swoich podwładnych - i z pewnością był za młody na taką bezwzględność. Na twarzy nadal miał ślady opalenizny, efekt kampanii wojennych i hiszpańskiej matki.

- Jak zostaliście sobie poślubieni? - zapytał John głosem tak lodowatym i demonstracyjnie obojętnym, że miałam ochotę go uderzyć.

Ale Lawrence zachował spokój.

- Oczywiście dostaliśmy specjalną dyspensę. Biskup Costain jest moim przyjacielem. Znał też twojego ojca, John. Z radością poprowadził ceremonię.

Ja, rzecz jasna, nie mogłam się powstrzymać.

- Czy sądzisz, że to wszystko tylko podstęp? - zapytałam Johna. - Szarada wymyślona przez Lawrence dla twojej rozrywki?

John oparł się na krzesło, kołysząc kieliszkiem.

- Słyszałem już o mężczyznach, którzy sprowadzają do domów kochanki, twierdząc, że to żony. Naturalnie takie oszustwa prędko się wydają.

- Nie wyobrażam sobie, żeby ktokolwiek mógł się na nie nabrać na dłuższą metę - powiedział hrabia. - Pamiętam wszystkie te plotki na temat lorda Pontly'ego, starego figlarza z ubiegłego wieku, który pięciokrotnie oszukał w ten sposób rodzinę. Za szóstym razem rodzina odmówiła wpuszczenia kolejnej panny młodej do domu. Wybuchł ogromny skandal.

Lawrence popatrzył po nas, uśmiechając się złośliwie.

- Oczywiście właśnie ta szósta w rzeczywistości była nową żoną lorda, a ślubu udzielił im proboszcz tamtejszej parafii.

- Nigdy o czymś podobnym nie słyszałam - odparłam. - Czy aby tego nie zmyślasz, panie? Ktoś naprawdę zrobił coś podobnego pięć razy? Dlaczego nikt z rodziny po prostu go nie zastrzelił?

- Prawdopodobnie pokusa była silna, ale lord zmarł śmiercią naturalną, a szósta żona, trzy razy młodsza od niego, wiernie trzymała go za rękę na łożu śmierci.

- Zastanawiam się, czy lord nie miał w tym wszystkim jakiegoś celu - powiedział Thomas tak pięknym głosem, że nawróciłby nawet najbardziej zatwardziałego grzesznika.

- Co masz na myśli, Thomasie?

- Skoro umarł ze starości, a nie na jakąś chorobę, to być może wszystkie te fałszywe żony trzymały go w zdrowiu. Z pewnością dodawały mu wigoru i korzystnie wpływały na jego stosunek do świata.

- Fałszywa żona ma tę zaletę, że kiedy mężczyzna się nią znudzi, zawsze może ją wyrzucić przez okno - stwierdził John.

Amelia cisnęła w niego posmarowaną masłem bułką. John uchylił się z wdziękiem.

- Jak mogłeś to powiedzieć?! Natychmiast to cofnij, bo zaraz wymyślę, co by ci tu straszego zrobić.

John podniósł ręce.

- Oszczędź mnie, Amelio. Przepraszam, jeśli błędnie zinterpretowałaś moje słowa.

- Tu nie ma nic do interpretowania - powiedziałam. - Gdybym dostała bułkę, sama bym w ciebie rzuciła, chyba że wcześniej bym ją zjadła.

Thomas roześmiał się serdecznie. Co za piękny dźwięk. Czy w tym człowieku nie było nic irytującego?

- Musisz przyznać, Amelio, że kobiety bywają niestałe w uczuciach. Może nawet nie tylko bywają.

Zerknęłam na stół. Na moim talerzu zjawiła się bułka. Kątem oka zauważyłam, że Brantley wraca na swoje miejsce przy drzwiach, więc pomachałam do niego z uśmiechem. Jego twarz pozbawiona była wszelkiego wyrazu. Co on sobie o nas myślał? Czy dał mi bułkę, żebym mogła rzucić w Johna?

- Jeszcze nigdy nie spotkałam niestałej kobiety - powiedziała sucho Amelia. - A te twoje przeprosiny zabrzmiały tak fałszywie jak obietnice poprawy w ustach notorycznego grzesznika. Sądzę, że to mężczyźni są zmienni w uczuciach.

- Lord Pontly żył tak długo, bo nawet diabeł go nie chciał - powiedział szybko Lawrence, zanim Amelia zdążyła rzucić w Johna kolejną bułką. - Ale w końcu diabeł nie miał już wyboru i musiał go zabrać.

- Dobrze powiedziane - zauważyłam.

Hrabia tylko potrząsnął głową, jakby chciał zapytać: Co można zrobić z młodym mężczyzną? Znałam odpowiedź. Można go zastrzelić.

- Najdroższa Amelio, ty sama byłaś zmienna - powiedział Thomas, po czym odwrócił się do mnie. - Uwielbiałem te jej urocze kaprysy, chociaż walka z nimi zajęła mi prawie pół roku. Pisałem dla niej wiersze, najlepszy z nich zatytułowałem Bez ciebie jestem skończony. Chyba dopiero po tym wierszu zgodziła się chwycić mnie za rękę.

Amelia poklepała Thomasa po ramieniu.

- Nie, to nie dzięki temu, chociaż nie przeczę, że ten wiersz wywarł na mnie wrażenie. Zdobyłeś mnie tą pieśnią, którą zaśpiewałeś pod oknem mojej sypialni. - Amelia zerknęła na mnie. - Może, jeśli zdrowie dopisze, Thomas zechce zaśpiewać ją pod twoim oknem, Andreo.

- Mówcie mi Andy - poprosiłam. - Byłabym zachwycona. Może zdradzisz mi choć temat serenady?

Thomas zmarszczył brwi.

- Ta pieśń należała do moich najlepszych dzieł - powiedział w końcu, rumieniąc się delikatnie. Potem otworzył swoje przepiękne usta i zaczął śpiewać dźwięcznym tenorem.

Nie bądź taka okrutna,

Ma piękna dziewczeczko

Powiedz, że mnie miłujesz

Lecz nie po niemiecku

Obiecaj, że mnie poślubisz, już, zaraz, jak trzeba

Bo cały obrosnę w pióra i wzlecę na księżyc

Śmiałam się do łez tak, że niemal straciłam oddech. Mój mąż pośpiesznie wstał i przeszedł na mój koniec stołu, po czym puknął mnie dłonią w plecy.

- Będę musiał kazać Brantleyowi złożyć skrzydła tego stołu - oświadczył. - Nie mogę co chwila wstawać, żeby cię klepać po plecach.

- Świetny pomysł - wykrztusiłam. - Moglibyśmy wtedy klepać się nawzajem.

Zauważyłam, że John także nie panował nad sobą i z trudnością przełykał wodę. Ku mojemu zdziwieniu nawet Brantley zatkał sobie usta pięścią, żeby nie wybuchnąć śmiechem.

- Nie mogła już być tak okrutna - oświadczył poważnie Thomas, najwyraźniej nieświadomy zamieszania, jakie wywołał. Ucałował żonę w policzek.

- Podbiła mnie ta wizja Thomasa oblepionego białymi piórami - powiedziała Amelia. - Chociaż musiałam nieco skrytykować to dzieło, sami rozumiecie. Usiłowałam mu wytłumaczyć, że księżyc nie rymuje się z trzeba i że każdy spodziewałby się raczej zakończenia i wzlecę do nieba, ale on tylko uśmiechnął się do mnie tym swoim anielskim uśmiechem. Oświadczył, że nie lubi być przewidywalny, bo nie chce mnie nudzić. On jest ponad rymy. I rzeczywiście, nigdy mnie nie znudził.

Lawrence tylko potrząsał głową. Co do Brantleya, to stał teraz sztywno jak pogrzebacz. Zerknęłam na służących, którzy najwyraźniej nie byli tak dobrze wyszkoleni jak Mojżesz, bo odwrócili głowy.

- Z przykrością kończę tak uroczy posiłek, panie - powiedziała Amelia do Lawrence'a - ale nie mogę nie zauważyć, że twoja biedna żona zaraz uśnie z nosem w pasztecie.

Skąd ona wiedziała, że jestem zmęczona? Śmiałam się tak samo jak wszyscy. Ale Amelia miała rację, podpierałam się nosem.

- Słuszna uwaga, Amelio - powiedział ciepło Lawrence, patrząc na mnie z troską. -

Moja droga, panowie dołączą do was już niebawem. Ja sam chętnie nieco bym wypoczął.

- Dobrze zatem - odparłam, z trudem powstrzymując ziewanie. - Skoro tak sobie życzysz... To był męczący dzień, a poza tym muszę wyprowadzić George'a. Nigdy nie wiadomo, jak długo będzie mnie trzymał na dworze. - Pochyliłam się do Thomasa. - Czy naprawdę zechcesz zaśpiewać pod moim oknem taką pieśń, jak ta dla Amelii?

- Musiałbym stworzyć coś w rodzaju Ody do śmiejącej się dziewczyny. Pomyślę o tym, Andy.

Amelia skinęła na lokaja, który w mgnieniu oka znalazł się przy niej, żeby pomóc jej wstać. Nagle zamarła w pół drogi.

- No proszę, to już nie zależy ode mnie. Andy, ty jesteś nową panią. Kiedy zechcesz, żebyśmy wstały od stołu, musisz dać nam sygnał i podnieść się jako pierwsza.

Przytknęłam palce do ust i gwizdnęłam.

- Oto sygnał - powiedziałam, sama odsuwając swoje krzesło. Brantley błyskawicznie znalazł się przy mnie.

- Milady - powiedział tak oficjalnym tonem, że przeszedł mnie dreszcz chłodu.

Mój mąż także nie był zachwycony, ale ja nie zamierzałam odchodzić od stołu jak godna matrona z purpurowym turbanem na głowie.

- Widzę, że ty i Brantley musicie jeszcze dopracować ten sygnał - powiedział Lawrence. - Gwizd jest stosownym wezwaniem dla konia.

Trzej panowie wstali, kiedy wychodziłyśmy z jadalni, po czym usiedli ponownie, żeby wypić porto. Niemal czułam jego smak na końcu języka, ale tym razem nie miałam szans się nim cieszyć.

- To naprawdę piękny dom - powiedziałam, przechodząc wraz z Amelią do salonu. - Lawrence opowiadał mi o starym dzienniku Hugona, który pisał ponoć mnóstwo o heretykach i podobnych sprawach.

- Tak, ten dziennik znajduje się w małym pokoju pełnym starych zbroi, których pokojówki nie znoszą czyścić. One myślą, że w środku nadal są rycerze, a przynajmniej ich kości lub duchy. Słyszałam kiedyś, jak jedna z nich mówiła drugiej, że nigdy nie zbliży się do żadnej zbroi, bo jakiś rycerz mógłby ją wciągnąć do środka. - Amelia wybuchnęła śmiechem.

- Czasem się zastanawiam, czy naprawdę nie ma tu duchów... To tylko odczucie, nie dzieje się nic podejrzanego, nie ma żadnych dzwoniących łańcuchów i skrzypiących podłóg, a jednak...

- Zapytałaś Thomasa o duchy, zanim zgodziłaś się za niego wyjść?

- Wiesz, mój ojciec jest specjalistą w dziedzinie zjawisk nadprzyrodzonych i sądzi, że

w Devbridge Ma - nor mieszkają całe gromady duchów i innych zjaw, tylko nikt nie chce tego przyznać. Uważa także, że większość upiórów pochodzi z szesnastego i siedemnastego wieku, kiedy działy się tu straszne rzeczy, podobnie jak wszędzie indziej. To on musiał najpierw omówić dokładnie kwestię każdego ducha i upewnić się, że żaden mu nie skrzywdzi. Prawdę mówiąc, podejrzewam, że ojciec marzy o zdemaskowaniu najbardziej groźnej zjawy, która rezyduje ponoć w Czarnej Komnacie. Wtedy przewyższyłby wszystkich swoich kolegów po fachu. Niestety Thomas nie potrafił nawet wywołać jednego marnego duszka, mimo że codziennie o północy patrolował wszystkie długie korytarze. Wprawdzie nic się nie ukazało, ale panuje tu dziwna atmosfera. Chyba poproszę ojca, żeby przeprowadził u nas te swoje naukowe eksperymenty spektralne. Może on wyczuje jakieś życie pozaziemskie w Czarnej Komnacie. Ja nie znalazłam tam niczego ciekawego.

- Bardzo chciałabym poznać twojego ojca i przeprowadzić badania razem z nim - powiedziałam, czując się jak idiotka.

Kto normalny miałby ochotę spotkać się twarzą w twarz z jakimś duchem? I kto chętnie zamieszkałby pod jednym dachem z jęczącym upiorem, który dzwoni łańcuchami? Co wydarzyło się w Czarnej Komnacie?

- Hmm, nie brałam pod uwagę duchów, kiedy zgodziłam się poślubić Lawrence'a - dodałam.

Usłyszałam, że Lawrence wychodzi z jadalni, więc pośpiesznie odwróciłam się do Amelii.

- Muszę dowiedzieć się wszystkiego o tych duchach. Jutro idę do Czarnej Komnaty.

Byłam pewna, że gdyby mój nowy mąż usłyszał z moich ust słowo „duch”, w tej samej chwili uznałby mnie za kompletną kretynkę. Lepiej zatrzymać pewne rzeczy dla siebie.

- Oczywiście - odparła Amelia, po czym zamilkła na chwilę, wbijając wzrok w paznokiec. - Są też inne komnaty, w których prawdopodobnie bywają zjawy, ale sama nie widziałam ani nie słyszałam niczego podejrzanego. Chociaż na temat jednej z nich krążą bardzo ciekawe opowieści. W każdym razie masz rację, że cała sprawa powinna pozostać między nami. Wuj Lawrence nie ma cierpliwości do duchów.

- Moja droga - powiedział Lawrence, wchodząc do salonu. - Andy będzie spała w Błękitnej Komnacie. Czy mogłabyś pomóc się jej urządzić?

Amelia popatrzyła na niego w zdumieniu. Przypominała teraz jedną z tych zbroi. Odwróciłam się, żeby także na niego popatrzeć, a Thomas odchrząknął głośno.

- Być może zapomniałaś, panie, że Błękitna Komnata nadawałaby się raczej dla jakiejś starszej krewnej, która nieco niedosłyszy i niedowidzi?

- Owszem, wuju. Dla krewnej o bardzo przytępionych zmysłach.

O co w tym wszystkim chodziło? Czyżby to była właśnie ta komnata, o której wspomniała Amelia?

ROZDZIAŁ 8

Lawrence roześmiał się beztrąsko.

- Jesteście strasznie naiwni. Nie wierz im, Andy. Błękitna Komnata to urocza sypialnia z małym salonikiem, który z pewnością ci się spodoba. Szerokie okna zapewniają wiele światła i wspaniały widok na wschodnią część parku i las. A opowieści o duchach to tylko bajki na chłodne zimowe wieczory. A teraz, moja droga Andy, niech Amelia zaprowadzi cię do nowego pokoju. Panna Crislock mieszka tuż obok, w komnacie Dimwimple.

- A, tak - powiedział John, stojący przy kominku. - Alice była dziedziczką z ubiegłego stulecia, która ocalała majątek Devbridge przed wyjątkowo podłym hrabią. Chyba już tu nie bywa, jak sądzisz, wuju?

- Alice Dimwimple miała bardzo radosną starość. Ojciec, który znał ją jako mały chłopiec, opowiadał mi, że udławiła się wyśmienitą brandy i niewątpliwie natychmiast wstąpiła do nieba.

- W przeciwieństwie do męskich przedstawicieli rodziny, którzy rozsiewali tyle bękartów, że po Devbridge Manor nieustannie krążyły ciężarne damy.

- Rozumiem, że mój stryjeczny dziadek, ostatni z tych wielkich drani, wyznaczył swojego lokaja do opieki nad tymi biednymi damami. Zapisy mówią, że lokaj ów wychował troje dzieci swojego pana jak własne.

- Dziadek nigdy nie opowiadał mi takich historii - powiedziałam. - To zadziwiające. Chciałabym usłyszeć więcej.

- Nie dzisiaj. - Hrabia ucałował mnie delikatnie w policzek i nachylił się do mojego ucha. - Błękitna Komnata z pewnością ci się spodoba. Zobaczymy się rano, moja droga. Teraz muszę pomówić z Johnem. Chyba powinniśmy wyjaśnić sobie pewne sprawy.

Sprawy te dotyczyły zapewne faktu, że John miał pozostać dziedzicem mojego męża, który nie zamierzał płodzić dzieci ze mną.

Wspaniale, pomyślałam. Lepiej niech ustalą to od razu. Nie chciałam, żeby tego typu problemy utrudniały mi kontakty z moim kuzynem.

- Dobry Boże - powiedziałam, patrząc na jego ciemną twarz. - Jesteś moim kuzynem.

- Zgadza się, kochana cioteczko - odparł z głębokim ukłonem. W jego oczach znów zamigotała wściekłość.

- Czy z Błękitną Komnatą także wiążą się jakieś urocze opowieści? - zapytałam męża.

- Może o dziedziczkę zwaną Panną Błękitną?

Lawrence roześmiał się z całego serca. Kochałam ten jego śmiech, głęboki, dźwięczny i ciepły.

- Idź odpocząć, moja droga. Postaram się wymyślić jakąś atrakcyjną historię na jutro.

- Dobranoc, panie, dobranoc, Thomas, John.

Wyszłam z Amelią i skierowałyśmy się z powrotem do głównego korytarza. Amelia zatrzymała się na chwilę, wyciągając przed siebie piękną rękę.

- To Stary Dwór, który ocalał z pierwotnej budowli Starego Hugona z lat osiemdziesiątych szesnastego wieku.

Wspaniałe, wysoko sklepienie, drewniane, przydymione sklepienie było ledwo widoczne w mdłym świetle ściennych kandelabrow. Co najmniej tuzin kompletnych zbroi przywoływało duchy minionych wieków. W półcieniu wydawały się groźne i tajemnicze.

Lśniące, dębowe schody miały tak szerokie stopnie, że mogłoby po nich wejść sześcioro ludzi krocących ramię w ramię. Wyrastały z samego środka Starego Dworu i prawdopodobnie zostały wybudowane najwyżej dwieście, dwieście pięćdziesiąt lat temu.

Jedną ze ścian przysłaniał ogromny kominek, który wyglądał niczym ogromna czarna jama. Stuk butów Amelii niósł się echem po kamiennej posadzce. Ani podłogi, ani schodów nie pokrywały dywany. Drogę oświetlały nam liczne kinkiety. Jakże to miłe, kiedy nie trzeba nosić ze sobą świecy i osłaniać jej delikatnego płomienia. Kiedy dotarliśmy na górę, popatrzyłam na rozległy korytarz. Stanowił relikw z innej epoki, pełen głębokich cieni, tajemnic skrytych w ścianach. Gdybym była starym duchem, na pewno zamieszkałabym tutaj z rozkoszą.

- Małżeństwo wuja... jest dla nas olbrzymim zaskoczeniem.

- Widzę to. Zastanawiam się, dlaczego Lawrence nie uprzedził was o swych planach.

Amelia najwyraźniej nagle podjęła jakąś decyzję, bo odchrząknęła i zwróciła się do mnie nieznośnie słodkim tonem:

- Mam nadzieję, że nie wiąże to się z twoimi przodkami.

Nie była to najmiłsza rzecz, jaką można powiedzieć nowej cioci, ale starałam się być wyrozumiała. Czy Lawrence bał się, że rodzina nie zaakceptuje tak młodej żony? Nic dziwnego, że Amelia czuła się zaniepokojona, chociaż mogłaby delikatniej wyrażać swoje obawy.

- Naprawdę nie wiem - odparłam nieco oficjalnym tonem. - Zapytam męża.

- Czy twoje przezwisko, Andy, wymyślił dla ciebie jakiś mężczyzna? - ciągnęła Amelia ostrożnym, choć nieco oskarżycielskim tonem.

Czyżby sądziła, że jestem kimś w rodzaju utrzymanki, „kochanki podróżnej”? Fakt, że znając historię lorda Pontly'ego łatwo mogła nabrać podejrzeń.

- Sprytnie to wykoncypowałaś, Amelio - odparłam i omal nie zrujnowałam całego efektu wybuchając śmiechem. - Rzeczywiście, przezwisko to nadał mi pewien dżentelmen. Starszy dżentelmen. I bardzo mi się spodobało. Naprawdę, Andy do mnie pasuje. Andrea to imię w sam raz dla jakiejś wiedźmy, która nie powinna prezentować swoich fatalnych manier w towarzystwie. Nie sądzisz?

Może przynajmniej zapamięta, że jestem niewinna, dopóki nikt nie udowodni mi winy, pomyślałam.

Amelia zaczęła się uśmiechać, ale natychmiast spoważniała. Nie miałam ochoty na dłuższą rozmowę. Byłam zmęczona i czułam ból głowy narastający gdzieś w tyle czaszki. Nienawidzę migren.

- Ten korytarz nigdy się nie skończy. Całe szczęście, że wokół wisi tyle kinkietów.

- Owszem - powiedziała Amelia, powracając do normalnego tonu. - Devbridge Manor to ogromny stary dwór, wielu mniejszych komnat w ogóle nie używamy. Z tego, co wiem, nawet niektóre schody prowadzą do ślepych ścian. Zapewne nie jesteś do tego przyzwyczajona?

Znowu usiłowała mnie wybadać i to bez cienia finezji.

- Przyznaję, że w moim domu w Londynie nie było żadnych fałszywych schodów - odparłam prowokująco.

- Andy, jak poznałaś wuja Lawrence'a? Na jakimś balu? Przyjęciu? W operze? Na Drury Lane? Wciąż unikasz szczerych odpowiedzi, a bardzo mi na nich zależy.

To zaczynało być interesujące, pomyślałam, obdarzając Amelię promiennym uśmiechem. W jej głosie brzmiały wątpliwości i podejrzenia co do mojej osoby. A zatem chciała szczerych odpowiedzi? Proszę bardzo.

- Zapytaj wuja - odparłam.

- Pytam ciebie.

Złożyłam usta w ciup i przechyliłam głowę na bok, jakbym usiłowała coś sobie przypomnieć.

- Może rzeczywiście poznaliśmy się na Drury Lane - powiedziałam w końcu. - Nie pamiętam, przez te wszystkie lata bywałam w tylu różnych miejscach.

- Niech mnie, przecież nie masz jeszcze tak wielu lat. Amelia wyglądała tak, jakby za chwilę miała wybuchnąć, więc westchnęłam i zaczęłam ją uspokajać.

- Prawdę mówiąc, Lawrence odwiedził mnie w domu, żeby złożyć kondolencje. I to

wszystko, Amelio, co powiem ci dzisiejszego wieczoru. Uwierz mi, że nie jestem kokotą, która ukradnie ci całą biżuterię.

- Przepraszam - powiedziała, ale bez specjalnej skruchy. Raczej z ulgą. - Thomas i ja po prostu nie wiedzieliśmy o tobie nic, a Lawrence niczego nam dziś wieczorem nie wyjaśnił.

- Rzeczywiście, chociaż nie wyobrażam sobie, jak mógł stanąć przed waszą trójką i wyrecytować po kolei moich przodków wraz z rocznym dochodem i informacją na temat skłonności do hazardu.

- Masz rację. Muszę przyznać, że od początku nie wyobrażałam sobie ciebie w roli kochanki, szczególnie odkąd George wparował do salonu. - Amelia westchnęła. - Ale wokół jest tyle zła. Dobrze, że ty nie wniesiesz go do naszej rodziny.

- Jakiego zła?

- Och, nie miałam na myśli niczego konkretnego. Ale takie są te nasze czasy. Nie obowiązują już żadne reguły. Czasem zastanawiam się, co będzie z tym światem, w którym dzieci nie uczą się już poszanowania dla zasad religijnych i moralnych.

- Nie myślałam o tym w ten sposób - odparłam, kładąc jej dłoń na ramieniu. - Amelio, zamartwiasz się o wszystko naraz. Hmm, ten korytarz z pewnością należy już do innego wieku. Gdzie ta niesławna Błękitna Komnata?

- Oto i ona. Panna Crislock mieszka tam dalej.

Amelia otworzyła drzwi. W pokoju stało co najmniej sześć świeczników, które wypełniały każdy kąt ciepłem oraz blaskiem. Na kominku wesoło trzaskał ogień.

To była najpiękniejsza sypialnia, jaką widziałam w życiu. Chyba wstrzymałam oddech z wrażenia, bo po pauzie usłyszałam głos Amelii, zaczepny i ostrożny.

- Ta komnata z pewnością wywarłaby olbrzymie wrażenie na kimś nieprzyzwyczajonym do takich luksusów, nie uważasz?

Amelia przekomarzała się ze mną, więc zachwycona skwapliwie potaknęłam.

- Z pewnością masz rację. Jest piękna. A wieczorem, kiedy jej kontury nikną w półcieniu, wygląda bardzo romantycznie.

- Owszem. Ponieważ nie przywiozłaś ze sobą pokojówki, dziś wieczorem obsłuży cię moja Stella. Kazałam jej rozpakować twoje rzeczy. O, popatrz, już nawet przygotowała dla ciebie koszulę nocną. Zdaje się, że jest zachwycona tym haftem.

- To dzieło panny Crislock - odparłam.

Wprawdzie nie potrzebowałam służącej, ale uznałam, że z przyjemnością pošlę tę Stellę do kuchni po kropelkę brandy na ból głowy.

- Dobranoc, Andy. Jutro pokażę ci Czarną Komnatę. Najciekawsza historia, jaką

słyszałam na jej temat, to taka, że kiedyś pewna hrabina zabiła w niej lokaja. Podobno chciał się przyznać hrabiemu, że on i hrabina są kochankami.

- Sama myśl przyprawia mnie o dreszcz. Naprawdę chcę zobaczyć tę komnatę. Cieszę się, że w końcu mówisz mi po imieniu. Dziękuję. Mam nadzieję, że niebawem wszyscy się do niego przyzwyczaiacie, nawet twój wuj.

- Do zobaczenia jutro.

- Będę czekać z niecierpliwością. I nie martw się. Z mojej strony nic wam nie grozi. Jestem nieszkodliwym stworzeniem.

- Postaram się. - Zrobiła krótką pauzę. - Dlaczego nie śpisz w sypialni wuja albo w sypialni hrabiny, która jest w sąsiedztwie?

- Spokojnie, Amelio - powiedziałam, klepiąc ją po ramieniu. - To naprawdę nie twój problem. Wiem, że masz wiele pytań, ale zostawmy to wszystko do jutra.

- Martwię się o wuja Lawrence'a. On nie jest już młodym człowiekiem. Przecież to możliwe, że zmusiłaś go do tego małżeństwa.

- Uważasz hrabiego za dzieciinniałego staruszka?

- Oczywiście, że nie, ale wuj od lat żył samotnie. Martwię się, że mogłabyś go skrzywdzić. No, wreszcie udało mi się to powiedzieć.

- Ach, w takim razie wszystko w porządku. Zawsze bądź ze mną szczerą. Dobranoc, Amelio. Uwierz mi, że nie przysporzę ci trosk.

Niestety, kiedy Amelia już raz się odważyła mówić, nie mogła się zatrzymać.

- Mam nadzieję. Ale zrozum, jesteś bardzo młoda i ładna. Skoro nie kierują tobą żadne złe intencje, dlaczego wyszłaś za mojego wuja?

- Znalazłam w nim upodobanie.

- A dlaczego on poślubił ciebie? Dziewczynę tak młodą i tak ekscentrycznie wychowaną, która gwizdże, kiedy chce wstać od stołu?

- Może Lawrence ma oryginalny gust? Dobranoc, Amelio. Dzisiaj naprawdę nie powiem już nic więcej. Obiecuję, że już nie będę więcej gwizdać przy stole. Przyznaję, że nie było to zbyt eleganckie.

- Ale...

Musiałam ją dosłownie wypchnąć przez drzwi.

W każdej rodzinie jest ktoś, kto będzie się zamartwiał za wszystkich, pomyślałam, zamykając drzwi od sypialni. Właściwie to dobrze, że Amelia tak bardzo troszczy się o swojego szwagra.

Nie uczyniłam nawet trzech kroków, kiedy zjawiła się Stella, pokojówka, której nie

chciałabym spotkać w ciemnej ulicy. Powitała mnie z wymuszoną grzecznością i złośliwym uśmiechem. Była w średnim wieku, ciemne włosy ze śladami siwizny nosiła upięte w ciasny kok. Przewyższała mnie - i całą resztę ludzkości - o ładnych parę centymetrów, a w dodatku nawet w półmroku mogłam dostrzec zarysy kości prześwitujących przez jej wychudzone ciało. Górną wargę Stelli pokrywał czarny puszek.

Najwyraźniej nie miała ochoty mi usługiwać.

- Dziękuję za pomoc, Stello. Proszę, przynieś mi szklaneczkę brandy na ból głowy, a potem będziesz wolna.

Czarne brwi Stelli natychmiast wystrzeliły do góry. Po chwili pokojówka opanowała zdziwienie, niechętnie skinęła głową i wyszła z pokoju.

O nie, pomyślałam, odprowadzając ją wzrokiem. Stella na pewno natychmiast popędzi do kuchni i powie wszystkim, że nowa hrabina jest alkoholiczką. No cóż, przynajmniej służba będzie miała o czym plotkować, zanim mnie lepiej pozna.

Podeszłam do okna i odsłoniłam ciężkie zasłony. Ciemną noc rozświetlał tylko srebrny blask księżyca. Gwiazdy co chwila niknęły za warstwą chmur. Przewiązałam kotary złotym sznurem. Widziałam tylko potężne, czarne cienie - zapewne lasy Devbridge. Wszędzie panował niezmacony spokój.

Podeszłam do szafki z wiśniowego drewna, która musiała pochodzić z siedemnastego wieku, i wyciągnęłam z niej przepiękny aksamitny płaszcz obsyty gronostajem. Ubrałam się szybko, myśląc o biednym George'u, który pewnie zaczął już dreptać nerwowo po pokoju. Nie chciałam, żeby tej pierwszej nocy przytrafiły nam się jakieś psie katastrofy. W tej samej chwili zjawiała się Stella z dużą szklanką brandy, którą podała mi ze wzgardliwym uśmiechem. Kiedy tylko zniknęła mi z pola widzenia, wypiałam kilka łyków, zaczerpnęłam głęboko powietrza i kazałam bólowi głowy iść do diabła.

Kilka minut później zapukałam cicho do drzwi sypialni panny Crislock. Wchodząc do środka, zauważyłam, że George rzeczywiście drepcze niespokojnie w kółko. Na mój widok znieruchomiał z radości, po czym chwilę później znalazł się w moich ramionach, na zmianę całowany i drapany za uszami.

- Gotowy na wieczorny spacer? Upewniłam się, że pannie Crislock niczego nie brakuje, życzyłam jej dobrej nocy i ucałowałam ją w policzek. W końcu wzięłam George'a pod pachę i wyszliśmy. Na szczęście nie czekał przez całą drogę do drzwi. Na dworze popatrzył w mroczne niebo, zerknął na nieznaną dom i trawnik, po czym zaskowyczał, tuląc się do mojej nogi.

- Już dobrze - powiedziałam, pochylając się, żeby go popieścić. - To nasz nowy dom.

Wcale tak bardzo się nie różni od Deerfield Hali. Dzisiaj wieczorem już za późno na zwiedzanie, a poza tym głowa boli mnie tak, jakby miała zaraz odpaść. Ale jutro wszystko obejrzymy. Idź, znajdź sobie jakiś stosowny krzaczek, George, ja zaczekam tutaj.

Zrobiło się całkiem chłodno, całe szczęście, że wiał tylko słaby wiatr. Owinęłam się ciaśniej płaszczem i patrzyłam, jak George staje przy jednym krzewie, przygląda mu się z dezaprobatą, po czym truchta w stronę kolejnego.

- Kiedy się wreszcie zdecyduje?

To powiedział John. Znalazłam się z nim sam na sam. Ale teraz, skoro zostaliśmy kuzynami, nie miałam się czego bać.

- Jego rekord to jedenaście krzaków i jedno małe drzewko. Pamiętam jednak, że tamtego wieczoru było wyjątkowo ciepło i przyjemnie. Dzisiaj pogoda nie sprzyja długim wahanom.

George rzeczywiście nie wahał się zbyt długo i już piąty krzew zyskał sobie jego uznanie. Wracając, zauważył Johna i natychmiast zaczął ujadać z zachwytem. W końcu John poddał się i wziął go na ręce.

- Jeszcze nie widziałam, żeby George łąsił się do kogoś, tak jak do ciebie.

- Mówiłem ci przy naszym pierwszym spotkaniu, że mam magiczną władzę nad zwierzętami.

- Owszem, mówiłeś. Bądź łaskaw oddać mi mojego psa. Dobranoc, John.

Mój nowy kuzyn nawet się nie odezwał, za co byłam mu głęboko wdzięczna. Ale wiem, że patrzył, jak odchodzę w stronę ogromnych wrót prowadzących do Starego Dworu i idę schodami na górę, do mojej sypialni. Nie spojrzałam na niego, ale George odwrócił się i szczerknął przyjaźnie, wiedziałam więc, że John nadal tam stoi.

Po powrocie przebrałam się w koszulę nocną, a George obwąchał każdy kąt Błękitnej Komnaty. Zbadał uważnie wszystkie meble i posiedział chwilę przed kominkiem, patrząc na pomarańczowe iskry i pełgające płomienie. Na koniec podszedł do mnie i zaszczekał.

- To wszystko jest strasznie dziwne, ale jakoś się przyzwyczaimy, prawda?

Pogaszenie wszystkich świec porozstawianych w moim pokoju w przepięknych kandelabrach zajęło mi prawie dziesięć minut. W końcu wdrapałam się na łóżko, a George ułożył się wygodnie na stałym miejscu przy moim lewym boku.

- Masz być czujnym psem, George - powiedziałam. - Gdyby zjawił się u nas jakiś duch, proszę, daj mi znać.

George chrapał w najlepsze.

Oboje spaliśmy kamiennym snem przez całą noc. Miałam tylko nadzieję, że nie

chrapałam tak głośno, jak on. Nawet jeśli w nocy odwiedziły nas jakieś duchy, to nic o tym nie wiedziałam.

Ku mojemu zaskoczeniu następnego dnia obudziło nas pukanie do drzwi. Mojżesz taktownie wbił wzrok w szafkę, widząc, że jestem w koszuli nocnej.

- Przyszedłem po pana George'a.

George spał tak głęboko, że musiał podskoczyć kilka razy na krótkich nóżkach, żeby oprzytomnieć. Na koniec przeciągnął się, podbiegł do Brantleya i podał mu łąpkę. Mojżesz bez słowa ją uścisnął, po czym wziął George'a na rękę.

- Niebawem wracamy, milady - powiedział i wyszedł z pokoju.

Pan George został już członkiem rodziny, pomyślałam. Nie byłam taka pewna co do swojego statusu. Miałam nadzieję, że Lawrence odpowie na wszystkie pytania, które Amelia zadała mi ubiegłej nocy.

Nie zaciągnęłam błękitnych zasłon, więc poranne słońce wlewało się do pokoju przez strzeliste, ale zarazem szerokie okna. Udałam się do małej łazienki przylegającej do mojej garderoby, po czym obeszłam całą Błękitną Komnatę. Były tam trzy fotele, wspaniałe, miękkie łóżko ustawione na co najmniej metrowym podeście. Odwróciłam się, by popatrzeć na mój pokój. W pierwszej chwili pomyślałam, że znalazłam się na samym środku najbłękitniejszego z mórz. Trzy ściany pokrywały tapety w różnych odcieniach niebieskiego. Czwarta została pomalowana na kolor bladego błękitu, tak jasnego, że niemal wpadał w kremowy. Dywan miał barwę letniego nieba o poranku. Lawrence słusznie powiedział, że ta komnata będzie mi się podobała. Na szczęście nie była zbyt wykwintna, co w pełni mi odpowiadało. Podeszłam do sznura, żeby zadzwonić po gorącą wodę. Zastanawiałam się, jak ktokolwiek, bez względu na wiek, mógłby nie docenić uroków Błękitnej Komnaty. O co tu chodziło?

ROZDZIAŁ 9

Niecałe dziesięć minut później zjawiała się bardzo ładna młoda dziewczyna, niosąca ogromną banię z gorącą wodą.

- Woda do kąpieli, milady - wydyszała, po czym usiłowała dygnąć, nie wypuszczając z rąk bani, która sięgała jej do pasa.

- Dobry Boże, gdzie jest służący?

- Nie potrzebuję pomocy - wykrztusiła dziewczyna. - To moja praca i radzę sobie z nią, milady.

- Widzę - odparłam i uśmiechnęłam się z powodu tej demonstracji niezależności. - Kim jesteś?

Dziewczyna postawiła naczynie z wodą, po czym przez chwilę walczyła o oddech.

- Jestem Belinda, oficjalnie zapasowa pokojówka pani Thomasowej, kiedy Stella nie jest w humorze, a to często się zdarza, bo Stella już nie rozmawia z tym rzeźnikiem z Devbridge - on - Ashton, czyli z naszej wioski, dosłownie dwa kilometry stąd na wschód.

Popatrzyłam na nią zafascynowana.

- Dlaczego Stella nie odzywa się do rzeźnika?

- No, oczywiście nie mam zwyczaju plotkować - odparła Belinda, podchodząc bliżej, ale skoro jesteś, milady, nową panią domu, to powinnaś wiedzieć, co to za gagatek, ten rzeźnik. Stella słyszała, że on spotyka się z panią Graystock, kobietą o fatalnej reputacji, która mieszka w uroczym domku na skraju wioski.

- Aha, to wszystko tłumaczy. Miło mi cię poznać, Belindo. Proszę, nalej mi gorącej wody.

- Zrobię coś więcej, wyszoruję pani plecy. Jeszcze nikt nigdy nie szorował mi pleców.

- Cudownie - odparłam.

Rzeczywiście było cudownie. Postanowiłam zatrzymać przy sobie Belindę. Wszystkie czarne suknie zostawiłam w Londynie, więc z pomocą mojej nowej pokojówki ubrałam się w muślinową szarą. Potem Belinda usadziła mnie przy toalecie i ułożyła mi włosy na czubku głowy.

- Wieczorem przewiązałabym je wstążkami, ale mamy rano i nie chciałabym, żeby pani Thomasowa poczuła się jak brzydula.

Natychmiast poprawił mi się humor.

- Och, jaka pani jest piękna, milady! - wykrzyknęła Belinda z entuzjazmem. - Ma pani

takie wspaniałe włosy, rudobrazowe, mieniające się wszelkimi kolorami, gęste i kręcone.

Już chciałam ją ucałować, kiedy zjawił się Brantley z George'em.

- Pan George spacerował w towarzystwie młodego, energicznego służącego o imieniu Jasper. Jasper doniósł mi, że spacer pana George'a miał satysfakcjonującą puentę.

- Dziękuję - odparłam.

Prawdę mówiąc, zapomniałam o George'u, kiedy Belinda masowała mi plecy miękką gąbką.

- Jest dopiero ósma rano - powiedziała Belinda, zerkając na stary zegar. - Pani Thomasowa zjawi się na dole najwcześniej o dziesiątej. Teraz są tam tylko dżentelmeni, chociaż obawiam się, że bez pana Thomasa. Biedny pan Thomas musi nieustannie na siebie uważać. Na pewno dowie się pani, że zdrowie pana Thomasa pozostawia wiele do życzenia. Wszyscy nalegamy, żeby oszczędzał się rano i ostrożnie przygotowywał do nowego dnia. Zależy nam na kondycji naszego pięknego młodego pana.

- Wygląda jak Bóg, to prawda.

- Nie da się zaprzeczyć. Najchętniej tylko bym stała i gapiła się na niego przez cały dzień. - Belinda mówiła z pełnym przekonaniem. - Nie pozwolimy, żeby zachorował.

George i ja poszliśmy odwiedzić pannę Crislock, która nadal leżała w łóżku. Jej czarne włosy ledwo przyprószone siwizną spoczywały w luźnych splotach na ramieniu. Panna Crislock była taką dobrą kobietą, mniej więcej w wieku mojej matki, gdyby ta jeszcze żyła. Opiekowała się mną, odkąd przeprowadziłam się do dziadka, do Deerfield Hali. Bardzo się do niej przywiązałam.

- Musisz dzisiaj dać się poznać całej rodzinie, Milly - powiedziałam, całując ją w gładki policzek. - Pewnie nie pamiętasz już tego mężczyzny, Johna, którego spotkałam trzykrotnie przy różnych okazjach?

- Oczywiście, że go pamiętam, kochanie. Bałaś się go, chociaż nie chciałaś tego przyznać.

Jak ona na to wpadła?

- Ależ skąd, Milly. On tylko troszkę mnie onieśmiał. - Zaczerpnęłam głęboko powietrza. - John jest bratankiem i dziedzicem Lawrence'a. Zdaje się, że tu mieszka.

Panna Crislock zmarszczyła brwi w zamyśleniu.

- Niezglobione są zamysły Pana, Andy. Naprawdę niezglobione.

Nie zamierzałam nawet pytać, co chciała przez to powiedzieć.

- W każdym razie teraz jest moim kuzynem - zauważyłam. - Z pewnością czujemy się trochę niezręcznie, ale to na pewno minie.

- Będzie interesująco.

Panna Crislock nigdy nie wypowiedziała się ani na korzyść, ani na niekorzyść mojego małżeństwa z Lawrence'em. Chyba ja sama bałam się poprosić ją o opinię.

Przytuliłam George'a, który poczuł się znudzony i potrzebował uwagi.

- To dość dziwny dom - powiedziałam, uśmiechając się - ale z drugiej strony jeszcze nigdy nie widziałam domu, który byłby całkiem normalny. Ten jest ogromny i skomplikowany. Tylu ludzi budowało go w ciągu minionych lat. Z pewnością zechcesz go zwiedzić. Poznałaś już panią Redbreast, gospodynię?

- Tak, Andy, to bardzo miła kobieta. Prawdziwa kopalnia informacji. Jeszcze dziś zamierzam rozpocząć jej eksplorację.

- Przyślę ci moją nową pokojówkę, Belinę. Będiesz zachwycona. Jest niezależna i wie wszystko o wszystkich.

- Uważaj, Andy - zawołała za mną panna Crislock. Na co mam uważać? - pomyślałam.

Wysłałam z jej sypialni w towarzystwie George'a. Kiedy schodziliśmy po schodach, mój pies musiał zeskakiwać ze stopnia na stopień, bo miał za krótkie łapki. Wybuchnęłam śmiechem i to zanim jeszcze George wyrócił się na wypolerowanej dębowej posadzce. Ledwo zdołał się podnieść, już zaczął obwąchiwać jedną ze zbroi.

- Oby tylko nie zwałił jej sobie na głowę - powiedział John.

Ku mojemu przerażeniu George podniósł tylną łapę i z namysłem obsikał średniowieczną zbroję.

- Och nie, jak mogłeś, George?

John śmiał się za moimi plecami. Ledwo tylko pies usłyszał jego głos, natychmiast zapomniał o zbroi. Tym razem jednak czekało go chłodne powitanie.

- George, proszę, żebyś na przyszłość pamiętał o dobrych manierach. Dobrze, że przynajmniej obsikałeś zbroję flamandzką, a nie angielską, ale musisz się nauczyć nie ulegać takim pokusom.

Czułam się okropnie głupio. Popatrzyłam na psa, który wpatrywał się w Johna z czystym uwielbieniem wymalowanym na brzydkim pyszczku.

- Nie wierzę, że to zrobiłeś! Jeszcze nigdy ci się coś takiego nie przytrafiło.

- A czy kiedykolwiek George znalazł się w pobliżu tak wielu starych, cuchnących i rdzewiejących zbroi?

- Nie. Ale godzinę temu wrócił ze spaceru z Jasperem. George został nauczony czystości i nigdy tak się nie zachowywał. I co ja teraz zrobię?

- Poinformuję Brantleya, że flamandzka zbroja wymaga czyszczenia. Nie martw się. Jestem pewien, że pani Redbreast wymyśli jakiś płyn usuwający nieprzyjemne zapachy. - John potargał George'owi sierść palcami. - Jeśli masz ochotę, możemy zabrać go na śniadanie.

- Strasznie lubi bekon.

- Tak, pamiętam. Zdaje się, że właśnie przyszedł mój wuj. Ranny z ciebie ptaszek.

- Owszem.

- Jakoś mnie to nie dziwi.

Weszliśmy do małego, przytulnego, okrągłego pokoju porannego, w którego ścianach mieściło się mnóstwo okien. Lawrence natychmiast wstał, żeby mnie powitać.

- Dzień dobry, moja droga. Jak ci się spało?

- Znakomicie. Nakazałam George'owi, żeby dał mi znać, gdyby pojawiły się jakieś pozaziemskie istoty, ale nawet jeśli ktoś nas odwiedzał, to przespaliśmy tę wizytę.

- Nie słuchaj Amelii. To nieodrodna córka swojego ojca, co oznacza, że musi wierzyć w duchy i inne nadnaturalne fenomeny, które, rzecz jasna, nie istnieją ani w Devbridge Manor, ani nigdzie indziej. - Lawrence obrócił się do Johna. - Cieszę się, że już jesteś. Uprzedziłem Swansona, że punktualnie o dziewiątej będziemy w sali zebrań. Tam rozpocznie się twoja edukacja.

John tylko skinął głową, po czym odwrócił się w stronę stołu, na którym stało co najmniej sześć srebrnych tac. Dołączyłam do niego, ciesząc się w duchu, że talerze ustawione na końcu stołu są duże i piękne.

Ku niewątpliwemu zdziwieniu Lawrence'a, ledwo John i ja zasiedliśmy do śniadania, do pokoju wkroczyli ramię w ramię Amelia i Thomas.

- Dziś rano nawet nie kaszlnąłem - oświadczył Thomas, po czym obdarzył wszystkich promiennym uśmiechem. - Amelia uznała zatem, że jestem wystarczająco zdrowy, by zejść na dół.

Jego twarz o szlachetnych rysach wyglądała tak pięknie, że zamarłam z widelcem jajeczniczy w dłoni.

- Panuj nad sobą - powiedział John.

- To nie takie łatwe. Czy w nim nie ma nic brzydkiego?

- Nic, o czym bym wiedział - odparł John, uśmiechając się do brata, który właśnie nakładał sobie niewiarygodną ilość jedzenia. Jednocześnie opowiadał Lawrence'owi o krótkim, ale niesłychanie gwałtownym wzroście tętna około drugiej nad ranem.

- Masowałam mu klatkę piersiową, dopóki tętno nie powróciło do normy -

powiedziała Amelia z powagą i zatroskaniem. - Muszę przyznać, że trochę mnie to zaniepokoiło.

John zerknął na brata, unosząc czarną brew.

- I co takiego robiliście o drugiej nad ranem, że tak ci skoczyło tętno?

Thomas spłonął rumieńcem od linii krawata aż po korzonki włosów.

- No cóż - dodał John, wskazując na brata nożem. - Gdyby nawet nie przyspieszyło ci bicie serca, to znaczyłoby, że kiepsko się starałeś, możesz mi wierzyć.

- Już mu to mówiłam - powiedziała Amelia głosem tak chłodnym, jak grzanki, które leżały na jej talerzu.

Podalam George'owi plasterek bekonu i udawałam, że przypatruję się z uwagą, jak przysmak znika w jego kudłatej mordce. Wiedziałam, o czym oni rozmawiają, nie byłam aż tak naiwna. Tylko nie chciałam wierzyć, że mówią takie rzeczy przy śniadaniu.

Lawrence odchrząknął, po czym dotknął mojego ramienia.

- A oto panna Crislock. Witam, droga pani. Czy mogę nałożyć pani jajka?

Nie spodziewałam się jej zobaczyć aż do popołudnia.

- O, Milly, proszę, usiądź z nami.

Po chwili panna Crislock siedziała już wygodnie przy stole, podano jej uprzejmie filiżankę herbaty i dokonano niezbędnej prezentacji.

- Czy słyszeliście kiedyś o Oliverze Wiltonie? - zapytał Lawrence po chwili, patrząc na zebranych przy stole.

- Owszem - odparła Amelia. - Był księciem Broughton i chyba niedawno zmarł. Mój ojciec go znał, twierdził, że to stary, mądry lis.

- Zgadza się. Andy jest jego wnuczką. Jej kuzyn, Peter Wilton, odziedziczył tytuł i został siódmym księciem Broughton. Rodzice Petera zostali zabici, kiedy był małym dzieckiem.

- Właściwie Peter i ja jesteśmy raczej jak rodzeństwo niż jak kuzyni - powiedziałam, usiłując się uśmiechać. - Od dzieciństwa traktujemy się jak brat i siostra.

- W takim razie jak masz na nazwisko, Andy? - zapytał Thomas, lustrując podejrzliwym wzrokiem oselkę słodkiego masła. Czyżby dostrzegł jakiegoś robaka? W końcu odepchnął je od siebie i skierował uwagę na naczynie z przepysznym brzoskwiniowym dżemem.

- Dziadek chciał mnie adoptować i dać mi swoje nazwisko, ale moja matka nalegała, żeby tego nie robił - powiedziałam, nadal karmiąc George'a bekonem. - Dlatego pozostałam przy nazwisku ojca. Andrea Ja - meson.

- Andrea Jameson Lyndhurst - poprawił mnie Lawrence. - W każdym razie Andy jest wnuczką Olivera Wiltona i jedynym dzieckiem jego córki, Olivii, nazwanej tak na cześć ojca.

- Zarówno ty, jak i twój kuzyn zostaliście osieroceni w tak młodym wieku - westchnęła Amelia. - Nie, kochanie, powinieneś wziąć jajecznicę z tej drugiej tacy. Chyba jest mocniej ścięta i może nie podrażni ci tak bardzo żołądka.

Thomas skinął głową na zgodę, popatrzył na żonę z uśmiechem, po czym nałożył sobie solidną porcję.

George szczerknął, więc John spojrzął na jego uroczą, malutką mordkę.

- George, jesteś już tak rozpieszczony, że niedługo zażadasz, żebym wziął cię na kolana i pozwolił jeść z mojego talerza.

- Kiedyś nie pochwalałam wpuszczania zwierząt do jadalni - wtrąciła słodkim głosem panna Crislock. - Ale odkąd poznałam George'a, musiałam zmienić wiele poglądów. Podbił mnie do tego stopnia, że chciałam go częstować poranną czekoladą. To mały despota.

Mój bardzo tolerancyjny mąż wybuchnął śmiechem.

Pół godziny później znalazłam się znów w Błękitnej Komnacie i chciałam zmienić moje miękkie, dziecinne kapcie na bardziej solidne buty. Był piękny poranek, a Amelia obiecała, że pokaże mi cały teren.

Gwizdząc, rozwiązałam wstążki wokół kostek. Nagle oślepił mnie błysk światła. Zamrugałam, po czym przekręciłam głowę pod tym samym kątem. Znów błysk. Tym razem nie cofnęłam się, tylko z jednym kapciem na nodze pokuśtykałam w stronę okien.

Popatrzyłam na wschód. Kiedy otworzyłam jedno z szerokich okien, zobaczyłam, jak pastuszkowie popędzają krowy długimi, drewnianymi kijami, a ogrodnicy rozmawiają o różach, które miały zakwitnąć tuż pod moimi oknami. Tymczasem ktoś zapukał do drzwi. Odwracając się, poczułam, że zahaczyłam o coś rękawem i usłyszałam delikatny odgłos rozdieranego materiału. Zerknęłam w dół. Zaczepiłam o poszarpany, metalowy bolec, częściowo wbity w ramę okienną. Ostrożnie podniosłam rękę.

- Co to ma być? - zapytałam głośno. George szczerknął, ale nie ruszył się z miękkiego dywanika przed kominkiem. Nachyliłam się nad parapetem. Zobaczyłam mały, ostry kawałek metalu, tkwiący w niewielkim, okrągłym otworze. Otwory we framudze? Kiedy przypatrzyłam się bliżej, zauważyłam, że po zewnętrznej stronie okna biegł szereg takich otworów, rozmieszczonych w regularnych odstępach. Rozległo się ponowne pukanie.

- Wejdz - zawołałam. To była Amelia.

- Właśnie zmieniam buty - powiedziałam z uśmiechem. - Spotkamy się przy drzwiach frontowych.

Ledwo zamknęła za sobą drzwi, rzuciłam się z powrotem do okna. Po chwili uświadomiłam sobie, co oznacza ten regularny szereg dziur - i omal nie upadłam z wrażenia.

W tym oknie były kraty. Popatrzyłam do góry i zobaczyłam biegnący równolegle rząd otworów.

- Dobry Boże - powiedziałam, rozcierając ramię, które pokryło się gęsią skórką. Usłyszałam wolne, mocne uderzenia własnego serca. Cała rodzina odradzała mi mieszkanie w Błękitnej Komnacie. A ja się zastanawiałam dlaczego.

Kim był więzień, którego tu przetrzymywano? Kiedy zamontowano te kraty?

Może zrobił to jakiś szalony wuj w ostatnim stuleciu, pomyślałam, po czym zerknęłam na George'a, który drzemał spokojnie z główką opartą na przednich łapach.

Podeszłam kolejno do pozostałych okien i otworzyłam je, by się przekonać, że wszystkie wyglądają podobnie.

Dostałam dreszczy, niewywołanych bynajmniej zalewem chłodnego, świeżego powietrza. Nic z tego wszystkiego nie rozumiałam. Dlaczego ktoś miałby więzić członka rodziny w tej pięknej komnacie?

Jedno wiedziałam na pewno. Nie chodziło o żadne zjawiska ponadnaturalne ani duchy, chyba że to one doprowadziły więźnia Błękitnej Komnaty do szaleństwa.

Rzuciłam kapciem na drugi koniec pokoju, po czym błyskawicznie wrócił mi dobry humor. I co z tego, że te okna były kiedyś zakratowane? Na litość boską, przecież ten dom został zbudowany prawie czterysta lat temu. Na wielu podłogach musiały się zachować ślady krwi sprzed wieków. Każde pomieszczenie tego wspaniałego dworu widziało śmierć w najróżniejszych formach.

Te przekłete kraty musiały pochodzić z zamierzchłej przeszłości. Nie miały ze mną nic wspólnego. A jednak trochę mnie to wszystko zaciekało. Postanowiłam przy najbliższej sposobności porozmawiać na ten temat z Lawrence'em, po czym pozamykałam okna. Buty znalazłam na dnie szafki, po czym powoli wciągnęłam je na stopy i zawiązałam sznurowadła. Co chwila spoglądałam na framugi, wyobrażając sobie czarne żelaza sztaby i ręce, chwytające się rozpaczliwie prętów. Niemal słyszałam, jak czyjeś błaganie o wolność wibruje w powietrzu.

Zostawiłam George'a, żeby w spokoju strawił bekon, po czym zeszłam na dół, na spotkanie z Amelią.

ROZDZIAŁ 10

Amelia czekała na mnie za drzwiami frontowymi Devbridge Manor. Był ciepły dzień, niezwykle jak na listopad. W delikatnym wietrze niemal nie wyczuwało się chłodu. Yorkshire, zachwycające swoim surowym pięknem, pod żadnym względem nie przypomina południowych hrabstw. Wszystko wydaje się za duże - potężne skupiska drzew, gęsto splecionych na środku rozległych nizin, masywne skały, które wyglądają jak porozrzucane beztrasko po najdziwniejszych miejscach przez wszechmocną Bożą rękę. Oczywiście pozostają jeszcze bagna - bezkresne bagna Yorkshire.

Od okolic Devbridge Manor rozciągało się na wschód wielkie bagno Grannard, opuszczone i wyludnione. Samotne pagórki i kopce wyrastały znad głębokich rowów, które przecinały ziemię jak stare blizny. Zawsze kochałam to miejsce. Jednak w ciągu ostatnich trzech lat dziadek wolał mieszkać w małym domu w Penzance, na krańcach ponurej Kornwalii, albo w pięćdziesięcioletnim domku na Putnam Square w Londynie, która to siedziba obecnie należała do Petera. Także Deerfield Hali przeszło w jego posiadanie wraz z odpowiedzialnością za cały majątek. Zastanawiałam się, czy Peter zamierza sprzedać wszystko i wrócić do Anglii, by objąć godność księcia Broughton. Miałam nadzieję, że zamieszka w swojej obecnej wiejskiej siedzibie, Deerfield Hali, która mieściła się tak blisko mojego nowego domu. Myśl o naszym rozstaniu w Londynie sprawiała mi głęboki ból. Ale wierzyłam w sprawiedliwość Petera. Gdyby zobaczył, że naprawdę jestem szczęśliwa, z pewnością zaakceptowałby moje małżeństwo.

Odetchnęłam głęboko pachnącym powietrzem wsi. Nie widziałam bagien, ale czułam, że są blisko. Natychmiast zapragnęłam wybrać się tam z George'em. Już sobie wyobrażałam, jak mój pies będzie podziwiał oryginalny krajobraz i patrzył na mnie pytająco. Pewnie nie wiedziałby, co ma zrobić z tym całym błotem. Był przyzwyczajony do Londynu wraz z jego hałasem i ruchem ulicznym i żaden powóz, nie wyłączając najelegantszych karet, nie umknął jego krótkim nóżkom.

Tu czekało go zupełnie inne życie. Zdecydowałam, że po południu zabiorę George'a na bagna, a tymczasem mój pies spał snem sprawiedliwego, odpoczywając po sutym śniadaniu.

Amelia ostrożnie wpięła spinkę we włosy.

- Jaki piękny dzień. Pamiętam, jak stałam tutaj tak samo jak ty teraz i rozglądałam się dookoła. Trochę trudno się do tego wszystkiego przyzwyczaić. Wielu ludzi nie znosi

Yorkshire.

- A ty?

- Pochodzę z Somerset. Moje rodzinne okolice to łagodne zbocza i doliny, poprzecinane urokliwymi strumykami.

- To jakby oddać niewinną dziewczicę w ręce brutalnego wojownika.

Amelia zamrugnęła i nie mogłam jej za to winić. Moje porównanie nieco szwankowało.

- Jeśli przez dziewczicę rozumiesz Somerset, a przez wojownika Yorkshire, to masz całkowitą rację - powiedziała w końcu. - Ale udało mi się przyzwyczaić do tego krajobrazu i po roku całkiem go polubiłam. Chodź ze mną do stajni. Musisz poznać Koniczynę, moją piękną klacz, którą ojciec sprowadził z Werford. Czy wuj Lawrence podarował ci już któregoś konia?

- Nie, jeszcze nie.

Stajnie Devbridge były znakomicie utrzymane, a ich czerwony dach lśnił w porannym słońcu. Padoki niewątpliwie zawdzięczały swoją nieskazitelną biel częstemu malowaniu. Kiedy zajrzałam do jednego z nich, zakochałam się od pierwszego wejrzenia.

Był ogromnym, czarnym jak sam diabeł ogierem z białą strzałką na środku czoła i czterema skarpetkami. Trzymał głowę tak dumnie jak arabska klacz, na której kiedyś jeździłam. Miał co najmniej półtora metra wysokości, silne nogi i potężną klatkę piersiową.

- Co się stało, Andy?

- Chwileczkę, Amelio! Właśnie się zakochałam. Zaraz cię dogonię.

Podeszłam do padoku, widząc tylko to wspaniałe zwierzę.

- Witaj, piękny.

Ku mojemu zdumieniu koń odwrócił się do mnie i zarżał. Wdrapałam się na ogrodzenie i wyciągnęłam rękę, nazywając ogiera na zmianę pięknnością i aniołem, a raz nawet archaniołem. Nawet nie mogłam mu dać żadnego smakołyku. Miałam nadzieję, że nie weźmie mi tego za złe i za karę nie ugryzie. Jeszcze raz przywołałam go do siebie. Usłyszał i podbiegł w moją stronę, bijąc się po bokach ogonem. Wyglądał na niespełna cztery lata i z całą pewnością cieszył się dobrym zdrowiem, bo jego sierść skrzyła się w słońcu jak złoto.

Koń trącił mnie pyskiem w rękę i omal nie zepchnął z ogrodzenia.

- Jesteś cudowny, wiesz o tym? - spytałam go ze śmiechem. - Na pewno wiesz. Szkoda, że nie zapytałam Amelii, kim jesteś. Ciekawe jak masz na imię. Nie powinnam cię ciągle nazywać Pięknym.

- Ma na imię Piorun.

Odwróciłam się powoli i zobaczyłam Johna, który stał dwa metry za mną w stroju

jeździeckim.

- Czemu nie jesteś z wujem i Swansonem, zarządcą majątku? Miałaś się przygotowywać do dnia, w którym obejmiesz rządy.

- Żona Swansona właśnie powiła bliźniaki, więc wuj Lawrence postanowił dać zarządcy dzień urlopu.

- Słusznie - powiedziałam, po czym wskazałam ręką Pioruna. - Jest twój? - zapytałam, chociaż dobrze znałam odpowiedź.

- Tak. I nawet nie myśl, że zwiniesz go dla siebie. To żołnierski koń, silny, inteligentny i złośliwy jak wszyscy diabli. Teraz z tobą flirtuje, ale gdybyś spróbowała go dosiąść, to albo by cię zignorował, albo zrzucił do najbliższej rzeki.

- Nie zrobiłby nic podobnego - zaprotestowałam, patrząc na Pioruna. - Pozwolisz, żebym cię dosiadła?

Cudowny koń popatrzył na mnie poczciwie. Dałabym głowę, że mam jego przyzwolenie.

- Jeżdżę całkiem dobrze, co prawda ostatnio miałam krótką przerwę, ale nieźle sobie radzę. A każdy jeździec wie, że na koniu nie liczy się siła fizyczna.

- Piorun jest bystry, ale wątpię, czy cię zrozumiał. W każdym razie mówiłaś to raczej do mnie. Mogłabyś na dobrą sprawę odwrócić się twarzą w moją stronę i zapytać, czy możesz jeździć na moim koniu.

- Czy mogę dosiąść twojego konia, John? - zapytałam, patrząc mu w oczy.

- Nie. W żadnym wypadku. Jest nieprzewidywalny i ma własne poglądy na to, dokąd chce jechać i którędy. Wymaga mistrza jeździectwa i uznaje go tylko we mnie. Potrafi być wredny. Jak ja powiem wujowi, że pozwoliłem ci jeździć na Piorunie i że mój koń zabił jego rumianą pannę młodą?

- Nie jestem rumiana.

- Ale reszta się zgadza.

- W porządku. W takim razie, co mógłbyś powiedzieć wujowi?

- Że jeśli kiedykolwiek dosiadłaś Pioruna, to bez mojej zgody i że cokolwiek cię spotkało, sama jesteś sobie winna. Musiałbym powiedzieć, że nowa żona mojego wuja jest idiotką.

- Idiotką? Czyżby. Teraz ja powiem ci, co myślę. Jesteś nieuprzejmy, ponieważ w Londynie nie złożyłam rączek w małdrzyk i nie padłam ci do stóp. Przyznaj się. Jesteś przyzwyczajony do innego traktowania ze strony pań. A teraz zrobiłaś się naprawdę niegrzeczny. Nazywano mnie już bardzo różnie, ale nikt jeszcze nie powiedział, że jestem

idiotką.

Podszedł do mnie, po czym oparł jedną nogę o płot. Miał na sobie czarne buty do jazdy, tak idealnie wypolerowane, że widziałam w nich własne zmarszczone brwi. Ale dostrzegłam też coś jeszcze. Ostrożność. Wielką ostrożność. Teraz miałam już w ręku broń, której poszukiwałam tak długo w tak chłodnych myślach, na jakie tylko mogłam się zdobyć. John był duży, wiedział o tym i chciał to wykorzystać, ale tu, w majątku swojego wuja nie mógł mnie skrzywdzić.

- W takim razie jesteś niefrasobliwa.

- Nie. Niefrasobliwość to coś jeszcze gorszego niż bycie idiotką. Nie zgadzam się na żadne z tych określeń. Mam rację, prawda? Pewnie nawykłeś już do opędzania się od kobiet?

John przekręcił głowę, po czym przez chwilę wbijał we mnie wzrok. Zerknęłam na swoje odbicie w jego butach. Wyglądałam oziębło i nieco arogancko. W końcu odezwał się spokojnym i zamyślonym głosem.

- To niedorzeczne. Nie wiesz, o czym mówisz. Próbujesz mnie po prostu rozdrażnić. Kiedy zobaczyłem cię po raz pierwszy w Hyde Parku, chciałem cię zwyczajnie poznać. - Wzruszył ramionami i popatrzył gdzieś nad moją głowę. - Coś w tobie wzbudziło moje zainteresowanie. Widziałem, że jesteś w głębokiej żałobie, ale przysięgam, że żadne zdrożne myśli nie przyszły mi do głowy. Potem okazało się, że ku mojemu zdumieniu za wszelką cenę chcesz uniknąć mojego towarzystwa. Byłaś nieuprzejma. Ale zacisnąłem zęby i czekałem na kolejne spotkanie. Zresztą teraz to wszystko nie ma już znaczenia.

John odwrócił się, odszedł kawałek i zagwizdał, na co Piorun natychmiast uniósł swoją wspaniałą głowę i prychnął. Bez wahania podbiegł do Johna i trącił go pyskiem w ramię. Gdyby zrobił coś takiego mnie, chyba by mnie przewrócił. John tylko się roześmiał, po czym pogłaskał Pioruna po nosie.

- Dopiero za trzecim razem zorientowałem się, co jest nie tak - dodał, obracając głowę.
- Z jakiegoś niepojętego powodu czułaś i czujesz strach przed moją osobą.

To było jak cios w żołądek. To nieprawda, nieprawda - pomyślałam.

- Co za bzdury.

- Osobiście uważam, że mam rację, ale teraz to chyba bez znaczenia. Jesteś żoną mojego wuja. - John popatrzył na mnie w zamyśleniu. - Przynajmniej gdyby mój koń cię zabił, nie musiałbym już nigdy więcej na ciebie patrzeć - powiedział w końcu z przekonaniem.

- Jeszcze tylko raz, na moją trumnę - zaprotestowałam.

- Chcę wiedzieć, dlaczego poślubiłaś mojego wuja.

W tej samej chwili usłyszałam wołanie Amelii. Podeszłam, żeby poklepać Pioruna po nosie. Koń nachylił się do mnie, więc uściskałam go, najlepiej jak potrafiłam, chociaż John bardzo mi w tym przeszkadzał.

- Muszę już iść - powiedziałam, zeskakując z ogrodzenia.

- Dlaczego to zrobiłaś, do cholery?

- Amelia zadała mi to samo pytanie nie dalej jak wczorajszej nocy - rzuciłam przez ramię. - Skoro jesteś taki ciekawy, to zapytaj wuja.

Zobaczyłam błysk gniewu w czarnych oczach, ale John natychmiast się opanował. Nie chciałam spotkać się z nim na polu bitwy. Widziałam, jak jego krew pulsuje w napiętej tętnicy szyjnej. John był wściekły. Trudno. To nie moja wina.

- Najwyraźniej nie boisz się wszystkich mężczyzn, skoro wyszłaś za wuja Lawrence'a - powiedział w końcu głosem tak zimnym i twardym, jak kraty, które niegdyś przesłaniały okna Błękitnej Komnaty. - A może tylko starcy nie budzą w tobie strachu?

- Zamknij się.

- O, czyżbym trafił w czuły punkt?

- Ty nie zauważyłbyś stodoły przez szkło powiększające.

- Rozdrażniona? Trafiłem cię prosto między oczy. Proszę, proszę, minęły trzy miesiące i oto jesteś, najdroższa ciociu, żono mojego przeklętego wuja, który mógłby być twoim ojcem albo i dziadkiem. Dlaczego?

- Odejdź. Nie, ja odejdę. Do widzenia.

Nie powiedział już ani słowa więcej, a ja uniosłam rąbek sukni i podbiegłam do Amelii, która trzymała lejce najstarszej kasztanki, jaką kiedykolwiek widziałam. Za plecami słyszałam śmiech tego drania. Poklepałam klacz, po czym nakarmiłam ją marchewką, którą podał mi jeden ze stajennych. Nawet nie zamierzałam się odwracać, żeby spojrzeć na Johna. Całą uwagę skupiałam na pięknej klaczy.

- Ale z ciebie ślicznotka - szepnęłam. - Ciekawe, jak ci się podoba Piorun? Chciałabyś sobie z nim pogalopować?

- Nie, Koniczyna nie chce mieć z Piorunem nic wspólnego. Widziałam, jak go pieścisz. Musisz uważać, Andy. Wprawdzie jeszcze nigdy ten koń nie był taki miły dla kogokolwiek innego niż John, ale lepiej nie ryzykować. Nawet stajenni się go boją. To złośliwa, dzika bestia.

W końcu zerknęłam do tyłu, na padok. Patrzyłam, jak John nakłada Piorunowi uzdę, po czym lekko wskakuje na jego nieosiodłany grzbiet. Po chwili koń z jeźdźcem przesadził ogrodzenie i zniknął w oddali.

- Nie wsiadaj nigdy na niego, Andy. Kiedy John na nim siedzi, wszystko wydaje się bardzo łatwe, ale w rzeczywistości wcale takie nie jest. John ma niesamowite zdolności i od wielu lat służy w wojsku. Przyzwyczyił się już do obłaskawiania różnych dzikich istot.

Bez trudu mogłam w to uwierzyć, ale co dokładnie Amelia rozumiała przez „różne dzikie istoty”? Nie bałam się tego drania. Niech go szlag.

- Chyba się pokłóciliście. O co?

- Musiało ci się wydawać. Wszystko jest w porządku. Na szczęście Amelia nie drażyła tematu.

Po dziesięciominutowym spacerze po stajniach znalazłam małą, żywą arabską klacz o imieniu Mała Bess i natychmiast zakochałam się ponownie.

- Jego lordowska mość sprowadził ją dopiero trzy miesiące temu - powiedział Rucker, przełożony chłopców stajennych.

To by znaczyło, że Lawrence nie kupił jej dla mnie. Jaka szkoda.

- Czemu nie zapyta pani jego lordowskiej mości? - zaproponował Rucker, szcztokując srebrną grzywę Małej Bess.

- Tak zrobię, dziękuję, Rucker. Do zobaczenia, Bess.

- Możesz poruszyć ten temat przy obiedzie. Wuj nigdy nie mówił, czemu kupił tę klacz, a zresztą nikt go o to nie pytał. Do tej pory jeździli na niej tylko stajenni - powiedziała Amelia.

- W każdym razie na pewno nie przeznaczył jej dla mnie. Trzy miesiące temu jeszcze się nie znaliśmy.

- Zobaczymy. A teraz pozwól, że zaprowadzę cię do Czarnej Komnaty, gdzie wieki temu hrabina Devbridge zasztyletowała swojego kochanka.

Już przekraczając próg tego małego pokoju o czarnych ścianach poczułam nienaturalny chłód. Poza wąskim łóżeczkiem dzieciennym w pokoju nie stał ani jeden mebel, nie było nawet dywanu na podłodze. Jedyne okno zasłaniały ciemne draperie. Nie umiałam określić ich koloru, ale na pewno przypominał czarny na tyle, by przyprawić mnie o gęsią skórkę. Amelia uniosła świeczkę.

- Co za jama - powiedziałam, wycofując się w stronę drzwi. - Wolałabym stąd iść. To miejsce jest wyjątkowo przygnębiające i źle wpływa na nerwy.

- Chodź, nie bądź tchórzem. Nie ma się czego bać. Chciałabym, żeby było inaczej, ze względu na ojca, ale jak dotąd nie zauważyłam w tym pokoju niczego niezwykłego. No, może oprócz tego, że jakiś szaleniec pomalował ściany na czarno. I czy naprawdę hrabina zasztyletowała tu kochanka? Bardzo żałuję, bo cała ta historia jest naprawdę ekscytująca, ale

brzmi zupełnie nieprawdopodobnie. Nie, to tylko zwykła, czarna komnata. Pewnie mogłabym przemałować ją na biało i zawiesić jakąś ładną zasłonę w oknie. Jak sądzisz?

- Nie zgadzam się. Coś tu nie gra. Nie czujesz tego, Amelio?

Stałam za nią, najwyżej pół metra od drzwi. Amelia wyszła na sam środek komnaty i uniosła świecę, oświetlając migotliwym blaskiem wszystkie czarne kąty.

- Co miałabym czuć?

- Ten dziwny chłód. Powietrze jest lodowate i lepkie, takie, że przyprawia cię o gęsią skórę i pobudza serce do żywszego bicia.

Amelia popatrzyła na mnie badawczo, przechylając głowę.

- Co przez to rozumiesz? A, rzeczywiście, mój ojciec twierdzi, że zdarzają się miejsca, które wywołują dreszcze, bo są tak nienaturalnie i niewytłumaczalnie zimne. Ale nie wydaje mi się, by to było jedno z nich.

- A mnie owszem - odparłam i szybko opuściłam Komnatę. - Nie wiem nic na temat hrabiny, która zamordowała kochankę, ale w tym pokoju jest coś złego, Amelio, coś lodowatego i bardziej demonicznego od tych czarnych ścian.

Amelia uśmiechnęła się do mnie, potrząsając głową, po czym zamknęła drzwi. Najwyraźniej mi nie wierzyła, ale nie żywiłam do niej o to urazy. Sama wolałabym nie mieć racji.

- Czy twój ojciec kiedykolwiek wszedł do Czarnej Komnaty?

- Nie. Ojciec jeszcze nie odwiedził mnie w Devbridge od czasu ślubu. Thomas i ja jesteśmy małżeństwem dopiero niecały rok. Ojciec prawdopodobnie już dawno by przyjechał, gdyby nie choroba mamy. Ale teraz mama czuje się już naprawdę znakomicie. Z niecierpliwością wyglądam ich wizyty.

Przyspieszyłam kroku, chcąc jak najszybciej oddalić się od tamtego okropnego pokoju. Amelia ledwo za mną nadążała.

- Na co chorowała twoja matka? - zapytałam, kiedy znalazłyśmy się już w połowie korytarza. Nie słysząc odpowiedzi, odwróciłam się i zauważyłam, że Amelia stanęła w miejscu i wbiła wzrok w uchylone drzwi wiodące do jakiejś komnaty. Ze szpary wydobywał się olśniewający blask słońca, który rozświetlał cały mroczny korytarz.

- Jakie to dziwne - powiedziała, po czym weszła do środka. - Zaczekaj chwileczkę, Andy - dodała.

Zatrzymałam się, po czym potrząsnęłam głową i ruszyłam za nią. Nagle drzwi zatrzasnęły mi się przed nosem.

Czemu ona to zrobiła?

- Amelia? Otwórz! Co ty tam robisz? - zawołałam. Wtedy usłyszałam jej krzyk.

- Amelia! - Rzuciłam się do drzwi i napałam na nie z całych sił, ale bez skutku. Nadaremnie walczyłam z klamką, drzwi zamknięto na klucz. Ogarnęło mnie przerażenie. Przez chwilę nie potrafiłam zebrać myśli, czułam tylko narastający strach.

- Amelio, muszę sprowadzić pomoc!

Szeroki korytarz biegnący wzdłuż zachodniego skrzydła nie był całkiem ciemny, ale nie oświetlało go żadne okno. Wokół ścieliły się cienie, mnóstwo cieni, które mnie oplatały i usiłowały wessać do środka.

- Uspokój się, ty kretynko! - krzyknęłam do siebie. Usłyszałam własny oddech, zdławiony i chrapliwy.

W końcu dotarłam do głównych schodów i zbiegłam na dół. Parę stopni przed końcem omal się nie potknęłam, ale w ostatniej chwili złapałam za poręcz.

- Lawrence! John! Pomocy! Szybko!

Nikt mi nie odpowiedział. Ale przecież w tym całym ogromnym domu musiało mieszkać mnóstwo ludzi. Krzyknęłam jeszcze raz, najgłośniejszym jak potrafiłam. Nie wiedziałam, czy w ogóle zdołałam wydać z siebie jakiś dźwięk, bo serce waliło mi jak młotem. Nagle ktoś otworzył oba skrzydła ogromnych frontowych drzwi z takim impetem, że uderzyły w ściany. Do mrocznego wnętrza wpadł oślepiający blask, powietrze wprost zalaśnieło od słońca, a białe światło zalało całe pomieszczenie i dotarło nawet do naj - mroczniejszych kątów. Zbroje ustawione przy tylnej ścianie zaiskrzyły w słońcu, tak że wszechogarniająca biel stała się niemal nie do wytrzymania. Krzyknęłam z bólu, po czym straciłam grunt pod nogami i spadałam głową w dół, przetaczając się po kilku ostatnich stopniach.

Najwyraźniej rozbiłam sobie mózg, bo wszystko wydawało mi się dalekie i zamazane, a poza tym i tak nic już mnie nie interesowało. Usłyszałam nad sobą męski głos, który raz po raz powtarzał moje imię. Z wysiłkiem otworzyłam oczy, żeby popatrzeć na właściciela głosu. Wydawał się unosić gdzieś ponad moim ciałem. Był cały czarny, chociaż wokół rozbłyskiwała oślepiająca biel. I nagle wszystko zrozumiałam. Umarłam. Całe szczęście, że dostałam się do nieba.

- Jesteś aniołem?

ROZDZIAŁ 11

Anioł zamrugał. Nie miałam co do tego wątpliwości, dokładnie widziałam jego czarne oczy. Po chwili zamrugał jeszcze raz. Nagle przyciągnął mnie do siebie tak blisko, że czułam ciepło jego oddechu na czole. Jego oddech też był ciemny, ciemny i słodki.

- Możliwe - odpowiedział równie ciemnym głosem.

- Chyba się pomyliłam co do tego nieba. Czy to piekło? Jesteś strasznie czarny, nawet twój głos brzmi jakoś mrocznie, jak grzech, który zbyt długo pozostawał w ukryciu. Czy jesteś jednym z aniołów diabła? Dziadek zawsze wierzył, że diabeł ma swoje anioły tak samo jak Bóg. Jak ty możesz znieść tyle światła, skoro masz tak ciemne oczy?

- To światło aż tak mocno nie błyszczy.

- Błyszczy, jakby samo niebo rozpadło się na pół i wszystko zaczęło wyciekać ze środka. To dla mnie za dużo, nic nie rozumiem.

Po chwili znów zamknęłam oczy. Mój umysł przestał funkcjonować, ale gdzieś w głębi czułam, że wcale nie chcę być ani w niebie, ani w piekle. Nie chcę, żeby opiekował się mną jakiś anioł, a jeśli w dodatku był to anioł diabła, to wpadłam w niezłe kłopoty. Usiłowałam sobie przypomnieć jakieś ważniejsze grzechy, ale udało mi się tylko dotrzeć do momentu, w którym ukradłam szylinga z biurka proboszcza. A przecież nawet diabeł nie mógłby pamiętać, co robiłam, jak miałam siedem lat. Nie, na pewno nie.

- Nie chcę być martwa - powiedziałam do tej ciemnej twarzy, która raz po raz pojawiała mi się przed nosem. - Chcę zostać tutaj, w Yorkshire i jeździć na Piorunie.

- Możesz zrobić tylko to pierwsze, ale nie to drugie.

Podniósł mnie jak piórko - najwyraźniej ten anioł był bardzo silny. Kiedy się odwrócił, biały blask uderzył mnie prosto w twarz.

Po chwili znów zrobiło się ciemno.

- Chcę jednego i drugiego.

- Obiecuję, że zostaniesz w Yorkshire. Ale nie próbuj jeździć na Piorunie, bo stłukę cię na kwaśne jabłko. A teraz nie ruszaj się.

Nagle wszystko ułożyło mi się w jedną całość i zrozumiałam, że to John. Poczułam, że gdzieś w środku we mnie pulsuje lęk.

- No właśnie - powiedział John spokojnym i głębokim głosem. - Nie walcz ze mną. Wiem, że się mnie boisz. Nie rozumiem dlaczego, może niedługo mi to wytłumaczysz. Zaufaj mi, Andy. Nie skrzywdzę cię.

Policzkiem dotykałam jego piersi i wyczuwałam bicie serca, mocne, regularne, chociaż może nieco przyspieszone. To był w każdym calu mężczyzna, żaden anioł. Otworzyłam oczy, by spojrzeć na jego brodę. Po chwili znów zawirowało mi w głowie.

- Dokąd idziemy - zapytałam nieprzytomnie. - Dlaczego nie leczisz?

- Nie jestem żadnym cholernym aniołem. Jestem twoim pasierbem. Twój policzek spoczywa na moim sercu. Nie czujesz ludzkiego tętna? Już nic nie mów. Jeszcze nie odzyskałaś zmysłów.

- W porządku - odpowiedziałam, po czym zamknęłam oczy i odpłynęłam.

Strach także minął. Nie sądziłam, że jestem nieprzytomna, chociaż uważali tak wszyscy ludzie, którzy nagle pojawili się wokół. Mnóstwo głosów zaczęło mówić naraz. Amelia, pomyślałam. Muszę im powiedzieć o Amelii. Zmusiłam się do otwarcia oczu.

- John, proszę cię - wyszeptalam, czując kłujący ból za prawym uchem. - Właśnie biegłam po pomoc. Musisz znaleźć Amelię.

Thomas omal się na mnie nie rzucił.

- Co z Amelią?

- Zachodnie skrzydło - szeptałam, patrząc na jego pobladałą twarz. - W połowie korytarza po prawej. Drzwi do komnaty były otwarte. Amelia weszła tam, a ja za nią, ale drzwi zatrzasnęły mi się przed nosem. Nie mogłam ich otworzyć. Usłyszałam jej krzyk. Nie wiem, co się stało. Idź do niej. Proszę.

A potem spadałam w otchłań. Wiem, że należałam jeszcze do tego świata, bo czułam narastający ból. W końcu zamknęłam oczy i czekałam, aż ból zawładnie mną bez reszty. Nagle udało mi się od niego uciec i ześlizgnąć w przepiękną, głęboką ciemność.

Nie pamiętam, jak długo byłam nieprzytomna. Kiedy się ocknęłam, wokół panował pokój i półmrok. Nikt niczego ode mnie nie chciał ani głośno nie mówił. Leżałam z zimnym okładem na czole. Otworzyłam oczy. Anioł - mężczyzna, który budził we mnie lęk - zniknął, a na jego miejscu siedział Lawrence, być może nie anioł, ale z pewnością mój mąż. To oznaczało, że wróciłam na ziemię.

- Mam nadzieję, że tym razem pozostanę żywa - powiedziałam.

- Jesteś naprawdę bardzo żywa - odparł Lawrence i uśmiechnął się do mnie. Poczułam, że ściska mi dłoń. - Jak się czujesz, Andy?

- Gdzie Amelia? - zapytałam.

Odwrócił się i usłyszałam ściszone głosy. Po chwili znów nachylił się nade mną, tak że czułam ciepło jego oddechu na policzku.

- Amelia śpi - powiedział. - Kiedy Thomas i John znaleźli ten pokój w zachodnim

skrzydle, drzwi były lekko uchylone, a ona leżała w środku na podłodze i spała.

- Miała ze sobą świecznik - szepnęłam, usiłując coś z tego zrozumieć.

- Tak, świece leżały obok, zgaszone.

- Co jej się stało?

- Nic, Andy - odparł Lawrence, znów ściskając mnie za rękę, jak ocieżała umysłowo.

- Przecież krzyczała - zaprotestowałam.

- Nie, nie ruszaj się teraz, jeszcze za wcześnie.

- Puść mnie - powiedziałam, po czym podciągnęłam się na rękach, odsuwając Lawrence'a od siebie.

Leżałam na jednej z kanap w salonie, do pasa okryta kremową narzutą. Oparłam nogi na podłodze, po czym usiadłam. W pokoju stało mnóstwo mężczyzn i tylko jedna kobieta. Popatrzyłam na nią.

- Jestem pani Redbreast - oświadczyła po chwili. - Pełnię funkcję gospodyni, milady. Trochę to dziwne poznawać się w ten sposób.

Rzeczywiście, trochę dziwne.

Obok stali John, Lawrence i lokaj Lawrence'a, Flynt, człowiek, którego nie znosiłam ze wszystkich sił. Miał najmniejsze oczka, jakie kiedykolwiek widziałam, czarne i opalizujące. Także Johnowi towarzyszył jakiś mężczyzna.

- To jest Boynton - powiedział John. - Mój ordynans z wojska, obecnie mój lokaj.

Boynton miał mocno opaloną twarz o twardych rysach i ledwo dorównywał mi wzrostem. Kiedy się uśmiechnął, zobaczyłam wielką lukę pomiędzy jego dwoma przednimi zębami. Bez względu na okoliczności postanowiłam odpowiedzieć uśmiechem. Boynton mógłby być moim ojcem i był jakies dziesięć lat młodszy od mojego męża. Uśmiech spełził mi z warg.

- Powiedziałam wam, co się stało - oświadczyłam cicho i bardzo, bardzo powoli. - Słyszałam krzyk Amelii. Nie mogłam otworzyć drzwi, więc wrzasnęłam do niej, że biegnę po pomoc. Chociaż upadłam, kiedy John wszedł przez frontowe drzwi, nie straciłam przytomności na długo.

- Nie, nie na długo - powtórzył John i uniósł brwi. Coś w tych prawie czarnych oczach zdecydowanie mi się nie podobało. Może litość. Tak, litość. Gdybym miała kamień, z przyjemnością bym w niego cisnęła.

- Fakty są takie, że dotarliśmy do tamtej komnaty bardzo szybko - powiedział. - Wuj Lawrence mówi ci prawdę. Drzwi były uchylone, a Amelia drzemała na podłodze. Twierdzi, że zdziwił ją widok otwartej komnaty, która zawsze pozostawała zamknięta. Dlatego weszła

do środka. Wie, że ty czekałaś na korytarzu, ale nie pamięta, co się stało potem. Zupełnie nic.

- Krzyknęła - zapewniłam po raz kolejny. - A te drzwi zatrzasnęły mi się przed nosem. Pchałam i ciągnęłam za klamkę, ale bezskutecznie. Nie jestem niepoczytalna ani zamroczona. - Miałam już dość powtarzania tego w kółko, szczególnie że nikt najwyraźniej mi nie wierzył.

- Z pewnością tak właśnie było, moja droga - powiedział Lawrence. - Teraz czekamy na przybycie miejscowego lekarza. On zbada, czy na pewno wszystko z tobą w porządku.

Podniosłam się z wysiłkiem z kanapy. Przez chwilę czułam zawroty głowy, ale wracałam do siebie.

- Nie chcę lekarza. Chcę się zobaczyć z Amelią.

- Z pewnością bardzo się o nią martwisz - stwierdził Lawrence. - Ale teraz znów śpi. Mówiła, że jest bardzo zmęczona.

- Czy to nie wydaje się wam podejrzane? Dlaczego miałyby być tak zmęczona? A nawet jeśli, to dlaczego ucięła sobie drzemkę na podłodze w pustej komnacie? Czemu zgasiły świece? Może ktoś je zgasił?

Zapadło milczenie. Wcale mi się to nie podobało. Powiodłam wzrokiem od jednej twarzy do drugiej. Lawrence był zatroskany, John wyglądał jak czarny anioł, który nie wie, co się dzieje, Flynt, lokaj Lawrence o małych, wrednych oczkach patrzył na mnie jak na kłamczuchę niegodną żadnego szacunku. Boynton, lokaj Johna, miał zmarszczone brwi. On także nic z tego nie rozumiał, podobnie jak jego pan i ja sama. Uśmiechnęłam się do niego, ale tym razem nie odpowiedział, a jego czoło nie wygładziło się nawet odrobinę. Pani Redbreast sprawiała wrażenie przestraszonej. Czyżby się obawiała, że jej nowa pani jest wariatką?

- Idę do mojego pokoju - oświadczyłam, po czym ruszyłam do drzwi salonu, ciągnąc za sobą kremową narzutę. Szłam w samych pończochach, bo ktoś zdjął mi buty.

- Nie zatrzymujcie jej - powiedział mój mąż do kogoś z pozostałych. - Później sprawdzę, jak się miewa.

Skupiłam się na stawianiu kolejnych kroków, dopóki nie usłyszałam rozpaczliwego szczekania George'a, dobiegającego zza drzwi Błękitnej Komnaty. Na korytarzu spotkałam pannę Crislock, która zmierzała w moją stronę, machając białą dłonią.

- Co robisz, moja droga? Właśnie schodziłam do ciebie. Słyszałam, że upadłaś. Co się stało?

- Po prostu przewróciłam się na schodach. Już wszystko w porządku, Milly. Przyszłam do George'a.

- Chyba wyczuł, że jesteś blisko, sama wiesz, jaki ma doskonały słuch. Zaraz obudzi

wszystkich zmarłych, jeżeli nie otworzysz tych drzwi.

Otworzyłam drzwi i moim oczom ukazał się George, trzymający w pysku małą, żółtą mitenkę. Ukłękłam, tonąc w narzucie, i rozpoczęłam zabawę w „oddaj to mamusi”. George zacisnął ząbki na trzymanym przedmiocie, a ja usiłowałam mu go wyrwać. Bałam się, że w końcu rozedrzymy rękawiczkę, więc spróbowałam przekupstwa i obiecałam George'owi więcej bekonu na śniadanie następnego dnia. W końcu udało mi się odwrócić jego uwagę, pstrykając mu palcami nad głową. Rozluźnił uścisk szczęk, a ja wyciągnęłam mitenkę. Nie mogła należeć do dorosłej kobiety. Była dziecięca. Ale czyja? Nie widziałam jeszcze w Devbridge żadnych dzieci.

- Milly, naprawdę czuję się już dobrze - powiedziałam przez ramię. - Czy mogłabyś pójść teraz do pani Redbreast i przekonać ją, że nie jestem wariatką? Albo przynajmniej, że nie stanowię zagrożenia dla otoczenia. Wydaje mi się, że to ona i Brantley rządzą całym domem.

- Oczywiście, skarbie. Mam nadzieję, że to prawda, co mówisz - odparła panna Crislock, po czym poklepała mnie po ramieniu i wyszła. Zauważyłam, że jej piękne, bladoniebieskie oczy przybrały nieufny wyraz. Ale jak mogłam ją uspokoić? Sama nie bardzo rozumiałam, co się dzieje.

Po powrocie do sypialni stwierdziłam, że nie mam ochoty więcej z niej wychodzić. Czułam się tam bezpiecznie, nawet pomimo tych dziur po kratkach we framugach okien. Wciąż myślałam o tym, co się stało, ale absolutnie nie potrafiłam tego wytłumaczyć. Miałam zamiar poczekać, aż Amelia się obudzi, i o wszystko ją wypytać. Przecież musiała coś zapamiętać.

Minęła godzina, więc George zaczął się niecierpliwić. Wskoczył na łóżko i usadowił się na mojej klatce piersiowej, tak blisko twarzy, że mógł mnie trącić nosem. Po chwili szczechnął wymownie.

- Pewnie chcesz wyjść, co? Czuję się raczej żywa niż nieżywa, więc zaczekaj, włożę buty i pójdziemy.

Na szczęście nie spotkałam nikogo z rodziny. Otworzyłam drzwi prowadzące do małego ogródka, którego ceglane mury pokrywały kwitnące róże. A przynajmniej tak musiało to wyglądać na wiosnę.

Rzuciłam George'owi jego ulubiony patyk. Mój pies rzucił się za nim ze szczechnieniem, ale w końcu się zorientował, że nie da rady jednocześnie ujadać i biec.

Usiadłam na pięknej białej ławce. Nad moją głową piał się bluszcz. Przymknęłam oczy, oddychając głęboko chłodnym, czystym powietrzem. Słońce łagodnie ogrzewało mi

twarz. Poobijane ciało zaczęło dawać o sobie znać, ale mnie bardziej martwiła dziwna, tajemnicza historia Amelii. Chciałam dowiedzieć się prawdy za wszelką cenę. Amelia musiała pamiętać więcej, niż twierdziła. Czy naprawdę wszyscy uwierzyli, że po prostu zasnęła na środku pustej komnaty?

Ocknęłam się, kiedy George uderzył mnie patykiem w kolano. Rzuciłam mu go jeszcze raz i znowu zamknęłam oczy. Tym razem obudził mnie dziwny dźwięk, który przyprawił mnie o dreszcze. Po porannych wydarzeniach nie potrzebowałam wiele, żeby wpaść w panikę. Już chciałam uciekać, ale nagle stwierdziłam, że nie mam się czego bać. Parę metrów ode mnie stała ładna dziewczynka w wieku najwyżej dwunastu lat. Wyglądała jak mała księżniczka. Miała blond włosy z delikatnym odcieniem rudego i przepiękne, szaroniebieskie oczy.

- Jaki uroczy. Kto to? - zapytała, wskazując na George'a, który właśnie truchtał w moją stronę z patykiem w zębach.

- Nazywa się George i jest terierem rasy Dandie Dinmont - powiedziałam. - I zgadzam się z tobą, to najwspanialszy i najpiękniejszy pies w Anglii.

George stanął jak wryty na pół metra przed dziewczynką. Po chwili upuścił patyk i zaczął merdać ogonem.

- Chyba cię polubił. Jak masz na imię?

- Ja? Judith. A ty?

- Czy przypadkiem nie zgubiłaś ostatnio żółtej rękawiczki?

- Ach tak. Panna Gillbank bardzo mnie krytykowała za roztargnienie. Nawet nie wiem, gdzie ją zostawiłam.

- W Błękitnej Komnacie. To George ją znalazł. Ja nazywam się Andy i teraz będę tu mieszkać.

- Czemu? Kim jesteś? Andy to dość dziwne imię.

- Możliwe, ale bardzo do mnie pasuje. Jestem hrabiną Devbridge, przyjechałam wraz z hrabią wczoraj wieczorem.

- Niesamowite - powiedziała Judith, po czym uklękła przy George'u, ignorując mnie całkowicie.

Mój pies uważnie obwąchał jej palce, po czym podszedł bliżej.

- Czy mogę mu rzucić patyk? - zapytała Judith.

- Oczywiście, jeśli chcesz.

Judith cisnęła gałązkę daleko, na drugi koniec ogrodu. Była bardzo silna - patyk omal nie uderzył w mur. George rzucił się do biegu. Patrzyłam, jak dziewczynka zrywa się na

równe nogi i bije mu brawo. Coś w jej twarzy wyglądało znajomo, ale nie potrafiłam powiedzieć co.

- Często bywasz w Devbridge Manor? Odwróciła się w moją stronę ze zdziwioną miną.

W tym samym czasie George wrócił z patykiem i wpadł jej w ramiona. Judith przykucnęła na ziemi, nie bacząc na sukienkę. Śmiała się i pieściła mojego psa dopóty, dopóki nie poczuł się usatysfakcjonowany. Po chwili George udał się na poszukiwania odpowiedniego krzaczka, a ja ponownie zadałam pytanie.

- Czy byłaś kiedyś w Londynie?

- Nie, papa powiedział, że pojedę tam dopiero wtedy, kiedy będę mogła znaleźć męża. Nie rozumiem, po co miałabym szukać tam męża. Mężowie to po prostu dorośli chłopcy, a chłopcy to łobuzy.

- Kogo tu odwiedzasz?

- Nikogo - odparła, przekrzywiając głowę. - Ja tu mieszkam.

Nie miałam pojęcia, o co w tym wszystkim chodzi.

- Kim jest twoja mama?

Dziewczynka wyprostowała się, po czym usiadła obok mnie na ławce i zaczęła strzepywać ziemię i trawę z ubrania. Nie mogła być dzieckiem służącej. Mówiła czystą angielszczyzną, wolną od gwary z Yorkshire, a jej bladożółta sukienka była elegancko skrojona i uszyta ze znakomitej tkaniny. Rękawy i dekolot zostały obrębione przepiękną koronką.

Milczałam w oczekiwaniu na odpowiedź.

- Mama poszła do nieba, kiedy się urodziłam - powiedziała w końcu.

- Przepraszam - odparłam, nie spuszczać wzroku z jej pięknej twarzyczki.

- Nie szkodzi. Ja wcale jej nie pamiętam. Nie wiem nawet, jak wyglądała.

- A kim jest twój tata?

Tym razem Judith spojrzała na mnie, jakbym była niespełna rozumu.

- Mój tata to hrabia Devbridge. Omal nie spadłam z ławki.

Nieślubne dziecko? Żona Lawrence'a leżała w grobie znacznie dłużej niż Judith przebywała tu, na ziemi.

- Nie chciałam być niegrzeczna - powiedziała Judith bardzo rzeczowym i zarazem uprzejmym tonem. - Ale jak możesz być hrabiną Devbridge? Masz tylko trochę więcej lat niż ja. Słyszałam, jak papa mówił wczoraj pannie Gillbank, że przyjechałaś, ale nie spodziewałam się kogoś tak młodego. Myślałam, że będziesz jak papa, a ty jesteś młodsza

nawet od moich kuzynów, Thomasa i Johna, a nawet od Amelii.

I co ja mogłam na to powiedzieć? Jak zapytać małą dziewczynkę, czy nie jest bękartem? Spróbowałam zachować się dyplomatycznie.

- Kim właściwie była twoja mama, Judith?

- Żoną papy, rzecz jasna.

No, to by wyjaśniało sprawę. Ze zdziwienia nie mogłam się ruszyć. Siedziałam bezradnie na ławce, patrząc, jak George obwąchuje szósty krzaczek. Jeszcze nie podjął decyzji, gdzie się załatwić.

Dlaczego mój mąż nie uznał za stosowne poinformować mnie, że zostałam jego trzecią żoną, że istniała jakaś druga hrabina Devbridge?

Dwie martwe żony. No no, pomyślałam.

- Panna Gillbank twierdzi, że papa kochał moją mamę bardziej niż jakąkolwiek inną kobietę. Obawiam się, że z tobą włącznie, Andy. Ale jesteś bardzo młoda, więc chyba nie ma to dla ciebie aż takiego znaczenia, prawda?

Musiałam bezwiednie kiwnąć głową, bo Judith kontynuowała wypowiedź.

- Tylko jednego tu nie rozumiem. Czemu papa ożenił się z tobą, chociaż nadal tak kocha moją mamę.

- Twój ojciec poślubił mnie, bo jestem właścicielką George'a, a on uwielbia George'a. Ty nie? Tylko popatrz, jak obwąchuje wszystkie krzaczki po kolei, zanim podejmie decyzję. Chcesz się założyć, który wybierze?

- Rododendron - powiedziała Judith bez chwili wahania. - Mam szylinga i zamierzam go postawić.

Myślałam o czymś w rodzaju jabłka czy pomarańczy, ale zanim zdążyłam zaprotestować, już zobaczyłam jej małą rączkę wyciągniętą w stronę mojej.

- Przyjmuję zakład - odparłam i uściśniłam jej dłoń.

Przez chwilę siedziałyśmy w milczeniu, obserwując, jak George bada uważnie każdy krzak w ogrodzie. Po chwili dotarł do jedyne go rododendronu i podniósł lewą łapę.

- Skąd wiedziałaś? - zapytałam z westchnieniem. - Gdyby w ogrodzie było więcej rododendronów, mogłabyś liczyć na statystykę, ale przecież jest tylko jeden.

W tym samym momencie usłyszałyśmy kobiecy głos.

- Judith? Gdzie jesteś? Czas na lekcję geografii. Dobry Boże, co to za paskudny mały kundel sika na nasz rododendron?

ROZDZIAŁ 12

- Wcale nie jest paskudny - zaprotestowałam, gotowa bronić George'a aż do śmierci. Stałam twarzą w twarz z młodą, ładną kobietą w bładoniebieskiej, wełnianej sukni. Miała ciemne włosy, wspaniałe, piwne oczy i spiczastą brodę, która wbrew pozorom bardzo dodawała jej urody. Kobieta nie mogła mieć więcej niż dwadzieścia pięć lat.

- Milady - powiedziała, dygając z gracją. - Panno Gillbank, właśnie wygrałam szylinga od Andy.

Panna Gillbank najwyraźniej wiedziała o mnie coś niecoś. W przeciwieństwie do Judith nie okazała zdziwienia faktem, że nie skończyłam jeszcze dwudziestu lat.

- Nie jestem przyzwyczajona do psów. - Panna Gillbank zerknęła na George'a. - Nie chciałam go obrazić. Teraz myślę, że wygląda o wiele szlachetniej, niż mi się wydawało. A o co chodzi z tym szylingiem? - dodała, zwracając się do Judith.

- To był zakład - powiedziałam.

Ciekawe, czy właśnie zdeprawowałam niewinną dziewczynkę, zapytałam siebie w duchu.

Panna Gillbank nie zamierzała jednak patrzeć na mnie oskarżycielsko ani czynić żadnych wyrzutów.

- Milady - odparła z westchnieniem. - To dziecko wygrało ode mnie co najmniej pięć funtów w ciągu ostatnich lat. Nie zakładaj się z nią, pani, bo możesz zostać niewypłacalna. Judith ma dużo szczęścia. Poza tym wydaje mi się, że jest szulerką, chociaż trudno w to uwierzyć, patrząc na tę prześliczną twarzyczkę.

- Zaczynam wierzyć, że to talent, panno Gillbank - powiedziała Judith. - Muszę zapytać taty, czy jest hazardzistą.

- Grywa, ale nigdy nie daje się pochłonać nałogowi - odparła panna Gillbank.

- To ja zaproponowałam zakład - stwierdziłam. Sama byłam gotowa stawiać pieniądze na wszystko, co tylko przyszło mi do głowy. Dziadek na ogół wygrywał zakłady, ale nie zawsze. Był hazardzistą i zawsze powtarzał: „Jeśli stawiasz więcej, niż możesz przegrać, to powinno się ciebie zastrzelić”. Niektórzy zawsze uważali, że dziadek jest zbyt zdecydowany w swoich poglądach. Może i był, ale osobiście zgadzałam się z nim we wszelkich sprawach i uważałam jego przeciwników za idiotów.

Nigdy nie zapominałam tego, co powiedział o hazardzie. W miarę dorastania słyszałam coraz więcej historii o ludziach, którzy przegrali domy, rodzinne posiadłości, a

nawet konie czy psy. Większość z nich się zastrzeliła. Pamiętam też opowieść o pewnej kobiecie, która straciła w grze wszystkie klejnoty i zamierzała się zabić, bo mąż odmówił jej kupienia nowych.

- Kto to jest szulerką, panno Gillbank?

- To ktoś, kto zakłada się tak umiejętnie, że nikt nie chce już z nim grać.

- W takim razie nie chcę nią być - odparła Judith. - Jeśli nie będziecie ze mną grały, to jak pomnożę moje pięć funtów?

- Będziesz musiała od czasu do czasu przegrać jakiś zakład, żeby ludzie znów wpadli w twoją sieć - zaproponowałam.

- Świetnie - powiedziała Judith. - Panno Gillbank, to jest nowa żona papy, Andy. Uważam, że nie powinna być taka młoda, ale Andy twierdzi, że papa uwielbia George'a, więc chyba wszystko w porządku.

- Miło mi panią poznać - powiedziałam, wyciągając dłoń. Panna Gillbank popatrzyła na nią z niedowierzaniem, po czym w końcu ją uścisnęła. Czyżby sądziła, że potraktuję ją jak służbę?

- Witamy w Devbridge Manor, milady. Mam nadzieję, że Judith nie naopowiadała ci jakichś strasznych historii o tutejszych mieszkańcach?

- Och nie. Przez cały czas bawiła się z George'em.

- George wcale nie jest brzydki, panno Gillbank - powiedziała Judith. - Może wyda się pani ładniejszy, jeśli włoży pani okulary.

Panna Gillbank zmierzyła George'a uważnym spojrzeniem. Mój pies opuścił już krzak rododendronu i biegł w naszą stronę. Był pewien, że stoimy tam wyłącznie dla jego przyjemności. Wziął patyk w zęby i uprzejmie pomachał nim przed naszymi oczami.

Judith natychmiast włączyła się do zabawy.

- Bardzo się cieszę, że panią poznałyśmy - powiedziała panna Gillbank z uśmiechem. - Jego lordowska mość rozmawiał wczoraj ze mną. Wydaje się bardzo szczęśliwy.

Usiadłam na ławce i gestem poprosiłam, by uczyniła to samo.

- Nie wiedziałam, że mój mąż miał drugą żonę i córkę z tego małżeństwa - powiedziałam bez zbędnych wstępów, ścisząc nieco głos, tak żeby Judith mnie nie usłyszała.

- Och, musiała pani przeżyć szok - odparła panna Gillbank, unosząc piękne brwi. - Tak mi przykro.

- Fakt, że mój mąż zataił przede mną pewne sprawy z pewnością nie jest pani winą - zapewniłam. - Po prostu głośno myślałam. Nie rozumiem, dlaczego nie był ze mną szczery.

- Może bał się, że panią straci?

To zabrzmiało bardzo romantycznie, ale jakoś mnie nie przekonało.

Lawrence musiał mieć inny powód, chociaż nie pojmowałam jaki.

- Dlaczego nie jadła pani z nami wczoraj wieczorem? - zapytałam z uśmiechem.

- Nie jadam z rodziną - odparła rzeczowo panna Gillbank, zerkając jednym okiem w stronę Judith.

- Wczorajszy wieczór okazał się wyjątkowo udany. Być może dobrze by się pani bawiła. Jak sądzę, nie jest przyjemnie jeść w samotności.

- Rzeczywiście, nie jest, ale już się do tego przyzwyczyłam - panna Gillbank obdarzyła mnie krzywym, ale czarującym uśmiechem, ukazując dwa przednie zęby, które minimalnie na siebie zachodziły. - Guwernantka to dziwne stworzenie, ni pies, ni wydra. Bardzo lubię Brantleya i panią Redbreast, ale oni nawet nie dopuściliby do siebie myśli, że mogłabym jadać z nimi w kuchni.

- Czy byłaby pani tak uprzejma i towarzyszyła nam dziś wieczorem?

- Dziękuję, milady. Z przyjemnością. - Urwała na chwilę i popatrzyła na Judith, która ze wszystkich sił usiłowała wyrwać George'owi patyk. Pies ścisnął go mocno w zębach i powarkiwiał z emocji, zapierając się łapami o ziemię. Nic mu to nie pomogło. Judith po prostu rozwarła mu pysk i wyjęła gałąź.

- Mam jedną piękną suknię, ale obawiam się, że trochę wyszła z mody - powiedziała panna Gillbank.

- Z pewnością będzie odpowiednia - odparłam. - Być może niedługo uda nam się pojechać do Yorku i Amelia pokaże nam najlepsze sklepy. - Uniosłam brew. - Mam nadzieję, że mój mąż płaci pani godziwą stawkę - palnęłam bez namysłu. Dziadek zawsze mawiał, że takie uwagi zniszczą mi reputację, jeśli nie będę ostrożna.

Na szczęście panna Gillbank nie czuła się urażona moją impertynencją.

- Z pewnością. Posiadam stosowne kwalifikacje, milady, a co więcej muszę przyznać, że moje usługi są rozchwytywane w tej okolicy. O ile się nie mylę, nie dalej jak pół roku temu jego lordowska mość musiał podnieść mi pensję, ponieważ otrzymałam ofertę od pana Bledsoe'a. - Panna Gillbank zaśmiała się, ale jednocześnie zadrzała. - Pan Bledsoe potrzebował mnie do opieki nad sześcioma córkami, ale sądzę, że chciał też zaproponować mi małżeństwo. Wtedy w ogóle nie musiałby mi płacić. - Panna Gillbank zakryła dłonią usta, a w jej piwnych oczach zabłysło oburzenie tym, co właśnie powiedziała.

- Co za historia - odparłam z uśmiechem. - Podejrzewam, że ma pani rację co do intencji pana Bledsoe'a.

- Też tak sędzę. - Wstała. - Judith, chodź już, czas wracać na Daleki Wschód.

Judith odchrzyknęła kilka słów, które zabrzmiały jak chiński.

- Czyż ona nie jest wspaniała? Tak się mówi „miłego dnia” po kantońsku.

- Widzę, że mój mąż wierzy w edukację kobiet. Bardzo przyszłościowy pogląd. Mój dziadek także go podzielał. Z tym że dziadek wołał uczyć mnie sam. Dlatego teraz moje wykształcenie jest albo bardzo specjalistyczne, albo bardzo dziwne, w zależności od punktu widzenia.

- Dlaczego specjalistyczne?

- Kiedy miałam jedenaście lat, moim imieniem nazwano pewną gwiazdę. Kiedyś pokażę ją pani. Przepięknie świeci na jesieni, szczególnie tu, w Anglii. Pamiętam, jak dziadek wyprowadził kiedyś wszystkich gości na dwór, po czym postawił mnie na środku i pokazał im moją gwiazdę. Nazywa się Andrea Major.

- Pani dziadek musiał być cudownym człowiekiem. Tylko pomyśleć, że podarował pani własną gwiazdę.

Zostawiłam Judith i pannę Gillbank i odprowadziłam George'a do sypialni, gdzie mógł uciąć sobie drzemkę. Oczywiście nie na czczo. Belinda przyniosła mu trochę bekonu i śledzi ze śniadania. George chyba uznał to za nagrodę. Zaczął chrapać, zanim jeszcze zdążył zasnąć.

Zeszłam na dół na lunch. Miałam nadzieję, że wszyscy zjedli już co najmniej godzinę wcześniej. Nadal nie chciałam widzieć nikogo z nich, z wyjątkiem Amelii. Czułam, że zaczynają mnie boleć stłuczone żebra i ramiona. Na szczęście nic sobie nie złamałam. Wiedziałam, że siniaki prędko znikną.

Niestety prześladował mnie pech. W pokoju śniadaniowym nie było Amelii, byli za to John i Lawrence. Skinęłam im głową.

- Rano zwiedzałam z Amelią stajnie - powiedziałam do męża. - Są imponujące. Rucker wydaje się kompetentnym i oddanym pracownikiem. Czy mogę jeździć na Małej Bess?

- Oczywiście. Już zdecydowałam, że ci ją podaruję. Jako prezent ślubny.

Omam nie wyskoczyłam z krzesła, żeby go uściskać, tak jak robiłam, kiedy dziadek sprawiał mi cudowną niespodziankę.

- Dziękuję - odparłam spokojnie i z godnością, jak przystało hrabinie Devbridge. - To bardzo miło z twojej strony, Lawrence.

- Cieszę się, że polubiłaś Małą Bess - powiedział mój mąż, przekrzywiając głowę. - Rucker twierdzi i raczej się z nim zgadzam, że hodowle w Werford stanowią źródło doskonałych koni. Podobno bardzo zainteresowałaś się Piorunem, tak przynajmniej

opowiadał John.

- Owszem - odparłam krótko, nakładając sobie na talerz kilka plasterków cienko pokrojonej szynki. Odchyliłam serwetkę koszyka z pieczywem i wyciągnęłam z niego ciepłą bułeczkę.

- Andy wie, że jeśli kiedykolwiek dosiądzie Pioruna, to pożałuje - oświadczył John. - I uważajcie na Małą Bess. Piorun bardzo pożąda tej klaczy.

- Będę trzymać Małą Bess z daleka od twojego konia, John.

- Jak się czujesz, Andy? - spytał Lawrence.

Nie chciałam o tym myśleć ani wracać do tego tematu w rozmowie. Ale mój mąż patrzył na mnie z ogromną troską i musiałam jakoś go uspokoić.

- Mam tylko parę siniaków tu i ówdzie, ale nic poza tym. Nie trzeba się o mnie martwić.

- Kiedy do niej dobiegłem, sądziła, że jestem aniołem - powiedział John.

- To był logiczny wniosek, zważywszy, że to ty spowodowałeś mój upadek.

John uniósł czarne brwi.

- Widziałem, jak spadasz z ostatnich trzech stopni z odległości pięciu metrów.

- Kiedy otworzyłeś drzwi, słońce znajdowało się akurat w takim punkcie, że hol został zalany niebiańskim, białym światłem. W dodatku promienie trafiły mnie prosto w twarz.

- Ach, więc o to chodziło - odparł. - Nie mogłem zrozumieć wszystkiego, co mamrotałaś.

- Mimo wszystko, moja droga, przez najbliższe dni powinnaś się oszczędzać - powiedział gładko Lawrence, wskazując na mój nietknięty talerz.

Ugryzłam duży kęs bułki.

- Gdzie jest Amelia?

- Odnoszę nieodparte wrażenie, wuju, że twoja małżonka nie ma zwyczaju uciekać od problemów ani nadmiernie się oszczędzać.

- Amelia jeszcze śpi. Wydaje się zupełnie spokojna. Thomas czuwa przy niej. Bardzo się martwi, chociaż nie ma powodów do jakichkolwiek obaw.

Popatrzyłam im prosto w oczy.

- Chyba powinniśmy ją obudzić. Jeżeli nam się nie uda, to mam nadzieję, że w okolicy jest jakiś lekarz. Ten sen nie wygląda naturalnie i wy zdajecie sobie z tego sprawę. Dlaczego nie chcecie tego przyznać?

Dwaj mężczyźni spojrzeli po sobie. Delikatnie odłożyłam serwetkę obok talerza, po czym wstałam z krzesła.

- Zamierzam iść do Amelii. Potem wybieram się na przejażdżkę na Małej Bess. Zabiorę ze sobą George'a. W końcu musi poznać te tereny.

- Będę ci towarzyszył - powiedział John. Zerknęłam na męża, ale on uparcie wbijał wzrok w talerz. O co tu chodzi, pomyślałam.

Amelia nadal spała. Zwyczajnie podeszłam do Thomasa, odsunęłam go na bok i pochyliłam się, żeby nią potrząsnąć.

- Co ty robisz? Przestań, możesz jej zaszkodzić.

Ja jednak nie zamierzałam się przejmować protestami Thomasa i lekko klepnęłam Amelię w policzek. Ku mojej ogromnej uldze otworzyła oczy. Przez chwilę usiłowała skupić uwagę na mojej twarzy.

- Andy?

- Tak, to ja. Są tu też John i Thomas. Obudź się, już czas.

Amelia popatrzyła na mnie nieco przytomniej. Pomogłam jej usiąść.

- Co się stało? Czemu wszyscy tu jesteście? Która godzina?

- Spałaś ponad trzy godziny... Jeżeli tak, to można nazwać... Dochodzi druga po południu.

Thomas wsunął ręce pod moje łokcie i zdjął mnie z łóżka Amelii, by zająć moje miejsce.

- Nie boli cię głowa, najdroższa? - zapytał, przykładając dłoń do jej czoła. - Mam jeszcze tę miksturę, którą przyrządziłaś mi we wtorek i która tak znakomicie podziałała na mój ból głowy.

- Nie, Thomas, czuję się całkiem dobrze.

- Pamiętasz ten moment, kiedy wyszliśmy z Czarnej Komnaty, Amelio?

- Tak, oczywiście. A co się stało?

- Szliśmy korytarzem przez zachodnie skrzydło i nagle zatrzymałaś się na widok otwartych drzwi.

Powiedziałaś, że coś cię dziwi i weszłaś do środka. Pamiętasz to?

Milczała co najmniej przez minutę. Patrząc na nią, poczułam dreszcze na plecach. Bałam się, chociaż nie wiedziałam czego. Co mogło się wydarzyć w tym pustym pokoju?

- Pamiętam tylko, że rozmawialiśmy o moim ojcu, duchach i innych istotach pozaziemskich - powiedziała w końcu Amelia. - I wtedy... - Spojrzała na swoje zbielełe dłonie.

Thomas chwycił ją w ramiona i mocno przytulił, łypiąc na mnie nieprzyjaźnie.

- Nie, nie pamiętam już niczego więcej, Andy - dodała, wyzwalając się z jego uścisku.

- Naprawdę, to już wszystko.

Wzięłam głęboki oddech.

- Tego po prostu nie da się wytłumaczyć. Chyba maczał w tym palce jakiś duch - powiedziałam.

- Bzdury - oświadczył John. To pierwsze słowo, jakie wypowiedział, odkąd znaleźliśmy się w sypialni Amelii.

- Nie wiesz, o czym mówisz, John. Nie było cię tam.

- Odkąd skończyłem dwanaście lat nie widziałem w tym domu niczego, co mogłoby chociażby przypominać ducha. Skończ z tym.

- Znakomicie. Jak w takim razie zamierzasz wyjaśnić to, co się przydarzyło Amelii?

- Nie potrafię tego zrobić, ale to nie znaczy, że takie wyjaśnienie nie istnieje.

Odwrociłam się z powrotem do Amelii. Nadal spoczywała w objęciach Thomasa, który delikatnie głaskał palcami jej włosy.

- Sądzę, że powinnaś napisać do ojca - powiedziałam. - Może mógłby odwiedzić Devbridge Manor i znaleźć tego ducha, który wciągnął cię do pustej komnaty. Myślisz, że zechciałby przyjechać?

- Oczywiście. Jeśli tylko napiszę, co się stało, z pewnością przybędzie.

- Andy, posłuchaj mnie - przerwał nam Thomas. - Na razie nic nie wiesz. Oczywiście, w Devbridge są całe tuziny duchów, tak jak w każdym starym domu. Ale nasze duchy jakoś się nie ujawniają. Nawet jeżeli w tamtej komnacie, w której znaleźliśmy Amelię, była jakaś zjawą, to nie zrobiła nic złego ani przerażającego. Amelia po prostu się zdrzemnęła. A po ostatniej nocy miała prawo być zmęczona.

- Czemu miałyby być taka zmęczona? Thomas oblał się szkarłatnym rumieńcem, a ja przypomniałam sobie rozmowę przy śniadaniu. Potrząsnęłam głową.

- Nieważne. Amelio, czy kiedykolwiek zdarzyło ci się coś podobnego?

- Nie. Ale zrozumi, Andy. Nawet nie wiem, czy rzeczywiście coś mi się stało. Może po prostu nagle poczułam potrzebę snu i natychmiast musiałam ją zaspokoić.

- Na podłodze, na środku pustego pokoju? Posłuchajcie mnie wszyscy. Kto wie, czy to się nie powtórzy? Z tym, że następnym razem Amelia może się już nie obudzić. Musi być jakieś rozwiązanie tej zagadki.

- Nie podoba mi się to - oświadczył John. - Nie podoba mi się cała ta historia i sprowadzanie jej do działalności jakichś cholernych istot nadprzyrodzonych.

- To zaproponuj coś lepszego - powiedziałam. - Ciągłe tylko narzekasz i krytykujesz. Nie jesteś zbyt pomocny.

- Pomyślę o tym - odparł. - A niech to szlag. Chodź, miałaś pojeździć na Małej Bess. Oprowadzę cię po posiadłości.

Przed wyjściem odwróciłam się jeszcze raz do Amelii.

- Nie chcę, żebyś zostawała sama. W porządku?

- W porządku - szepnęła.

Wiedziałam, że jest przerażona. Nie chciałam jej straszyc, ale od tego zależało jej bezpieczeństwo.

- I napisz do ojca, najlepiej od razu.

Kiedy wychodziłam, słyszałam wrogie mamrotanie Thomasa.

- Nie przejmuj się nim - powiedział jego brat głosem, który aż ociekał ironią. - Thomas chce być dla Amelii centrum egzystencji. Nie życzy sobie, żeby cokolwiek odciągało jej uwagę od jego osoby.

Niemal dochodziliśmy już do stajni, kiedy zorientowałam się, że czegoś mi brakuje.

- Zapomniałam George'a - powiedziałam. - I stroju do jazdy.

- Zaczekam na ciebie pod stajnią - odparł John, po czym podniósł dłoń do oczu i zbadał wzrokiem ścieżkę wiodącą do domu. Po chwili odwrócił się i odszedł. %

W końcu jednak nie towarzyszył mi na przejażdżce. Swanson nie mógł już znieść wrzasków nowo narodzonych bliźniaków, więc ubłagał swoją matkę, żeby się nimi zaopiekowała, a sam wrócił do Devbridge Manor. Z przyjemnością zagłębił się w zawitych problemach związanych z zarządzaniem majątkiem, a John został wezwany na spotkanie z nim i z wujem. Tymczasem ja i George spędziliśmy razem wspaniałe popołudnie. Nie pojechaliśmy daleko, bo nie chciałam się zgubić, ale Mała Bess była cudowną kłaczą pod wierzch. W którymś momencie zaczęłam nawet śpiewać ze wszystkich sił. Zatrzymaliśmy się przy wąskim strumyku, który nieopodal dworu rozdzielał przyległe ziemie na część wschodnią i zachodnią. Patrzyłam, jak łagodne popołudniowe słońce prześwieca przez wierzby porastające brzeg. Jakie piękne miejsce - pomyślałam. Idealne. Będę tu bardzo szczęśliwa. Wystarczy tylko, że przyjedzie ojciec Amelii i uwolni nas od tego ducha i wszystko znów wróci do normy. Tylko po co te kraty w Błękitnej Komnacie? Zamierzałam zapytać o nie męża. Z pewnością istniało jakieś proste wytłumaczenie.

Wzięłam George'a pod pachę i wróciłam do dworu, pogwizdując pod nosem.

ROZDZIAŁ 13

Kiedy wracaliśmy, George się uparł, że będzie biegł obok mnie po schodach. Wysuwając język z wysiłku, za wszelką cenę starał się dosięgnąć łapkami stopni. Zanim dotarliśmy na półpiętro, zaczął już ciężko dyszeć, więc zwolniłam kroku. Minęliśmy troje służących - jednego lokaja i dwie pokojówki. Zatrzymałam się, żeby skinąć im głową i zapytać o imiona. Potem przedstawiłam im George'a, prosząc, żeby zadbali o niego, w razie gdyby włączył się gdzieś po terenach dworu.

Belinda czekała już na mnie w sypialni, prasując moją ulubioną suknię wieczorową. Była uszyta z pastelowego, zielonego jedwabiu z ciemniejszymi la - mówkami pod biustem, na linii dekoltu i na rękawach. Nie wkładałam jej od czasu śmierci dziadka. Poprosiłam Belindę, żeby złożyła wszystkie moje czarne suknie do wielkiego pudła i zostawiła w garderobie. Dziadek nie znosił czerni, więc nosiłam ją tylko przez trzy miesiące. Lawrence zgodził się ze mną, że to wystarczy. „Twój dziadek był człowiekiem pełnym pasji i radości życia. Wydaje się wręcz nieprzyzwoite, żeby chodzić w czerni ze względu na niego” - powiedział, kiedy zapytałam go o zdanie. Kazał mi odłożyć wszystkie czarne stroje i tak też uczyniłam.

- Ach, jesteś już, pani - ucieszyła się Belinda. - Właśnie skończyłam szykować pannę Crislock, to taka piękna dama. Wygląda teraz bardzo stosownie, ma tak zmyślnie uczesane loki. Cała rodzina będzie w salonie za pół godziny. Pan hrabia lubi, gdy rodzina spotyka się tam na godzinę przed kolacją. Bałam się, że nie wróci pani na czas.

- Na szczęście wróciłam - odparłam. Przechodząc obok Belindy, usłyszałam, że pociąga nosem z niepokojem.

- Ojej, muszę zadzwonić po wodę do kąpielni. Musimy się pospieszyć. Tym razem poproszę lokaja o pomoc.

Dzięki staraniom Belindy dokładnie w pół godziny później zesłam do salonu z George'em u boku. Moja pokojówka zdążyła nawet przepleść zakręcone zielone wstążki przez warkocze upięte na mojej głowie. Według jej słów wyglądałam całkiem dobrze.

Co do mojego najlepszego przyjaciela, to Brantley oddał go pod opiekę Jaspera. George od razu wyczuł w nim człowieka, który potrafi porządnie wy - szcztokować czyjeś futro. W salonie miał bardzo zadowoloną minę, a jedwabiste włosy spływały mu na oczy.

Ja myślałam o dwóch pytaniach, które chciałam zadać mężowi, kiedy zostaniemy sami. Brantley wprowadził mnie do salonu, przypatrując się bacznie, czy na pewno nie

odniosłam żadnych obrażeń w wyniku porannego upadku. Po chwili zobaczyłam, że moje najważniejsze pytanie znajduje się przede mną we własnej osobie.

Panna Gillbank i Judith siedziały obok siebie na przepięknej, białoniebieskiej kanapie, naprzeciwko mojego męża. Thomas trzymał rękę na ramieniu Amelii, a John opierał się o sofę z rękami skrzyżowanymi na piersiach. Panna Crislock miętoszyła w palcach coś białego i wąskiego. Mój mąż wstał natychmiast na moje powitanie i przez chwilę patrzył na zmianę na mnie i na Judith. Byłam pewna, że szykuje się do powiedzenia prawdy. Sprytnie to sobie wykoncypował. Postanowił wyznać mi wszystko publicznie, a nie prywatnie. Zamierzałam dobrze przyswoić sobie tę strategię. Mój mąż wyraźnie się denerwował. Czyżby sądził, że zrobię mu awanturę w obecności całej rodziny? Odchrząknął, po czym wziął mnie za rękę.

- Andy, chciałbym, żebyś poznała moją córkę, Judith i jej guwernantkę, pannę Gillbank.

- Nie mam ochoty poznawać żadnej z tych osób, sir - powiedziałam, patrząc mu prosto w oczy. - Robią na mnie bardzo niesympatyczne wrażenie. - Odwróciłam się, żeby mrugnąć do Judith. Zachichotała, po czym uderzyła się dłonią w twarz, widząc minę swojego ojca.

Lawrence pobladł, a w jego oczach pojawiło się przerażenie. Zabrakło mu słów.

- Sir - powiedziałam, śmiejąc się. - Wybacz mi. Ja tylko żartowałam.

Uśmiechnęłam się do niego serdecznie, bo chyba już wtedy przebaczyłam mu fakt, że zataił przede mną istnienie drugiej żony i córki. W końcu jakiegokolwiek były jego powody, z pewnością nie mogłam mu przypisywać złych intencji.

- Tak naprawdę to miałam już przyjemność spotkać te panie w małym ogrodzie, dziś po południu.

Nie tylko się ze sobą zapoznałyśmy, ale też odkryłyśmy, że możemy nawzajem znieść swoje towarzystwo. George aż do tej pory siedział grzecznie przy mnie, teraz jednak nie wytrzymał i wydał z siebie ciche szczeknięcie. Judith zeskoczyła z kanapy, ale panna Gillbank przyciągnęła ją z powrotem.

- Przykro mi, Judith, ale on nie mówi do ciebie - powiedziałam. - On wzywa Johna. George uwielbia Johna i kocha go bez granic. Nie pojmuję tego, ale nic nie możemy na to poradzić. - Uklękłam, żeby pogłaskać mojego psa. - No już, George, teraz możesz poszaleć - dodałam, słysząc zdziwienie we własnym głosie. - Dziękujemy za ten wspaniały pokaz powściągliwości i dobrych manier. Wolno ci już skoczyć na Johna.

George polizał mnie w rękę, po czym wystrzelił na drugi koniec pokoju, popiskując przy każdym skoku, i w końcu wylądował na rękach Johna.

- Jak ty to zrobiłaś, że był taki grzeczny? - spytał John, unosząc brwi. - Siedział tu

cichutko i nie zwracał niczyjej uwagi, dopóki mu nie pozwoliłaś.

- Brantley poinstruował go w kwestii etykiety dziś rano, kiedy poszłam z Amelią do stajni. Nie wiem jak on tego dokonał, ale efekty są zadziwiające. Chyba Brantley ma jeszcze więcej magicznych zdolności niż ty, John.

- Co za ulga - powiedziała Amelia. - George już nie wygląda tak źle jak wczoraj.

- Nie, Jasper wyczesał go sto razy pod włos.

Amelia przytknęła palce do swoich oszłamiających czarnych włosów. Zastanawiałam się, ile czasu poświęca na ich szczotkowanie.

- A zatem poznałaś już nową macochę i George'a, Judith? - zapytała Amelia.

- Och tak - odparła Judith, nie spuszczać wzroku z psa.

George przymknął oczy z rozkoszy, kiedy John podrapał go idealnie we właściwym miejscu, u podstawy lewego ucha.

- Wygrałam od Andy szylinga. Jeszcze mi go nie spłaciła.

- Jak tego dokonałaś?

- Hm, może nie byłoby stosownie mówić tu o samej treści zakładu - powiedziałam.

- Nonsens - zaprotestowała Amelia. - O co chodziło? Kolor jakiegoś kwiatka? Zapach mydła Judith?

- Założyłyśmy się o to, którego krzaczka użyje George - wyrzuciła z siebie Judith.

- Którego krzaczka? Ale do czego? - Amelia miała zdezorientowaną minę.

John śmiał się tak, że omal nie upuścił mojego psa. George chyba też się tego obawiał, bo polizał go w policzek, żeby o sobie przypomnieć.

Lawrence powiódł wzrokiem ode mnie z powrotem do Johna, ale odezwał się do córki.

- Judith, na czym polega problem?

- Sir - zaczęła, ale nagle zaniemówiła, czerwona z zakłopotania. - O mój Boże - szepnęła, patrząc błagalnie na pannę Gillbank.

Guwernantka wstała i odchrząknęła. Ale zanim panna Gillbank zdołała zebrać się na odwagę, wyręczył ją John.

- Wuju - powiedział głosem, który jeszcze drżał od śmiechu. - George to bardzo wybredne zwierzę. Musi dokładnie zbadać wszystkie krzaki, rośliny, drzewa, a nawet niższe pędy bluszczu, zanim wybierze ten właściwy, na który się załatwi. Pewnie o to właśnie chodziło. Judith, który krzew obstawiałyście?

- Powiedziałam, że to będzie rododendron, i miałam rację. Andy była zdziwiona, bo to jedyny rododendron w ogrodzie, ale George nie wahał się ani chwili, chociaż minął tyle

innych roślin. Panna Crislock uniosła wzrok znad ziemi.

- Następnym razem, gdy pójde z nim na spacer, chyba założę się sama ze sobą. Może wygram - powiedziała, kiwając głową z przekonaniem.

- Cóż - odparł mój mąż, mierząc pannę Crislock zafascynowanym wzrokiem. - Zdaje się, że nasze rozmowy nie będą obfitować w niezręczne milczenie i grzeczne konwersacje na ogólne tematy, prowadzone tylko po to, żeby przetrwać wieczór. - W jego oczach zamigotały iskry humoru. - Andy, czy masz szylinga dla mojej córki?

- Dostaniesz go jutro, Judith - obiecałam, po czym z uśmiechem potoczyłam wzrokiem po rodzinie. - Sir, szczęście nam sprzyja - powiedziałam z przesadnym entuzjazmem, pamiętając, jak Lawrence mi mówił, że Amelia jest snobką. - Panna Gillbank zgodziła się towarzyszyć nam przy kolacji.

Zerknęłam na Amelię, ale ona nawet mnie nie słuchała. Była zbyt zajęta całowaniem dłoni Thomasa. To ich wzajemne oddanie trochę wytrącało mnie z równowagi. Tego typu relacje w małżeństwie pozostawały mi nieznane.

- Sądzę też, że będzie mi dana przyjemność jedzenia w towarzystwie mojej pasierbicy - dodałam, patrząc na Lawrence'a.

Na te słowa panna Gillbank omal nie rzuciła mi się na szyję. Sama Judith z emocji nie mogła usiedzieć na miejscu. Podskoczyła, pisnęła z zachwyty, po czym pospiesznie usiadła z powrotem.

- Wspaniały pomysł - osądził mój mąż. Oczywiście zdawał sobie sprawę z szantażu, ale zachował się jak dżentelmen, to musiałam mu przyznać.

I tak oto Brantley odesłał George'a do Błękitnej Komnaty w towarzystwie Jaspera. Najpierw jednak Judith wyciskała i wycalowała mojego psa za wszystkie czasy, a na jej sukience pojawiła się bogata kolekcja jedwabistych włosów.

Przeszliśmy do ogromnej jadalni. Nie wiem, jak Brantley tego dokonał, ale dwa dodatkowe nakrycia pojawiły się na stole na czas. Kolacja przebiegła w bardzo miłej atmosferze, czemu nikt chyba się szczególnie nie dziwił. Judith zachowywała się bardzo nieśmiało, co było zrozumiałe, zważywszy że znalazła się w towarzystwie wielu dorosłych. Ale przynajmniej się uśmiechała. Panna Gillbank z pewnością nie odczuła, żeby ktokolwiek traktował ją z wyższością. Sama Amelia nie zachowywała się zbyt pewnie po tym, jak znaleziono ją śpiącą na środku pustej komnaty. Miałam nadzieję, że napisała już do ojca.

Być może Lawrence się mylił. Jeżeli Amelia rzeczywiście miała skłonność do snobizmu, to jak do tej pory nie udało mi się tego zaobserwować. Co do Thomasa, to opowiadał, jak trzy miesiące wcześniej wraz z przyjaciółmi odbył ekscytującą wspinaczkę na

Ben Nevis w Szkocji.

- Oczywiście bardzo się martwiłam, że Thomas źle się poczuje na dużych wysokościach - powiedziała Amelia. - Ale dał sobie radę wspaniale i tylko skaleczył się w mały palec, kiedy chwycił za ruchomy fragment skały. Na szczęście ten wypadek nie wpłynął na kontynuowanie wejścia.

- Na szczycie Ben Nevis jest bardzo zimno - poinformował Thomas Judith. - Widać tam każdy oddech, nawet w połowie sierpnia. Wszyscy chodziliśmy zakutani w ubrania wyżej nosów. Na szczycie jeden z chłopców otworzył szampana i wypiliśmy nawzajem swoje zdrowie. Oczywiście z trudem trzymałem kieliszek w skaleczonej dłoni, ale jakoś sobie poradziłem.

- Czy szampan nie zamarł w tak niskiej temperaturze? - zapytała panna Crislock.

- Piliśmy zbyt szybko, by zdążyć zamrozić - odparł Thomas. - Raz się zakrztusiłem, bo był trochę za zimny. - Thomas obdarzył nas wszystkich promiennym uśmiechem. - Amelia zawsze nalega, by mogła pierwsza skosztować szampana i sprawdzić, czy nie został zbyt mocno schłodzony. Rozumiecie, to moje gardło...

Przypadkiem zerknęłam na Johna, który wpatrywał się w brata z otwartymi ustami. Pomyślałam, że Thomas i John tak naprawdę się nie znają.

- Thomas, Amelia chyba stroi sobie z ciebie żarty - powiedziałam. - Zwyczajnie wykorzystuje twoje gardło jako pretekst, żeby wypić więcej szampana niż wypada.

- Czy to prawda, najdroższa? Masz problem z alkoholem?

- Jeszcze me - odparła Amelia.

- Och, nigdy nie zapomnę tego dnia, kiedy Andy po raz pierwszy piła porto z dziadkiem - wtrąciła panna Crislock. - Kochany starszy pan był taki szczęśliwy.

Upłynęła zaledwie króciutka chwila, zanim się roześmiałam, po czym zjadłam kolejny kęs przepysznej piersi z kurczaka w śmietanie i sosie curry.

Po kolacji panna Gillbank i Judith wyszły, a Thomas i Amelia zaczęli rozmawiać w kącie, prawdopodobnie o jej dziwnej, porannej drzemce. John czytał książkę na temat badań jakiegoś Francuza o nazwisku de Sade. Nie wiem, dlaczego go to zainteresowało, ale zdaje się, że lektura nie przysparzała mu przyjemności. Ilekroć na niego spojrzałam, zawsze miał zde gustowaną i oburzoną minę.

- Andy, czy zechciałabyś towarzyszyć mi do biblioteki?

Ucałowałam pannę Crislock na dobranoc, po czym podążyłam za mężem.

Teraz nadeszła pora, by uczynił swoje wyznanie, niech go licho. Nie mogłam się doczekać, aż zacznie mi się tłumaczyć, dlaczego milczał na temat drugiej żony i córki, która

za jakieś sześć lat miała debiutować w Londynie. Zaczynałam już rozumieć, że nie ma wielkich różnic między starymi a młodymi ludźmi. Lawrence coś przede mną ukrył, a teraz musiał oczyścić sobie sumienie. Ileż razy robiłam to samo, odkąd tylko ukończyłam trzy lata...

W potężnej bibliotece palił się tylko jeden świecznik. Było ciemno, ale zarazem dziwnie przytulnie. Na kominku płonął solidny ogień. Patrzyłam, jak Lawrence obchodzi pokój dookoła, to kryjąc się w cieniach, to wychodząc na światło. Wydawał się niezwykle zmartwiony, a może zwyczajnie dręczyły go wyrzuty sumienia? Czy sądził, że rzucę się na niego z pięściami? Nagle podszedł do mnie i wziął mnie za rękę.

- Pewnie uważasz mnie za kogoś godnego politowania?

Zupełnie nie spodziewałam się takiej strategii i poczułam się całkiem rozbrojona.

- Nie, wcale nie - odparłam.

- Ukryłem przed tobą coś bardzo istotnego.

- Owszem, ale myślę, że teraz wszystko mi wyjaśnisz i to w satysfakcjonujący sposób.

A na koniec pozwolę ci odkupić winę, wystarczy, że podarujesz mi Małą Bess.

Mój mąż wbił we mnie oszołomiony wzrok. W jego twarzy nie widać było nawet cienia uśmiechu.

Och, jakże mogłam traktować go bez należytą powagi.

- Dobrze, teraz już nie żartuję, Lawrence. Wybacz mi, że ciągle kpię sobie z pewnych rzeczy.

Hrabia zbył moje przeprosiny machnięciem ręki, po czym podjął swój nerwowy marsz.

- Usiądź - powiedział w końcu przez ramię. Podeszłam do wielkiego fotela, który stał tuż przy kominku, po czym usiadłam na nim. Lawrence pochylił się nad krawędzią biurka, krzyżując ręce na piersiach.

- Trzydzieści lat temu poślubiłem Caroline - powiedział.

Caroline to piękne imię, pomyślałam.

- Opowiedz mi o niej.

Przymknął oczy z bólu, który nie ucichł nawet po tylu latach. Po chwili odchrząknął i zapanował nad sobą.

- Minęło tyle czasu. Caroline Farraday, córka Wilsona Farradaya, wicehrabiego Clarence, była piękna, pełna życia i radości. Myślała, że cały świat stoi do jej dyspozycji i wszyscy rzeczywiście z chęcią spełniali każde jej życzenie. - Przez jego twarz przemknął kolejny grymas bólu. Uniósł dłoń, jakby chciał wytrzeć z niego twarz.

Trzymałam język za zębami. To, co teraz mówił, płynęło z samych głębin jego serca.

- Pomimo mojego wieku chciała mnie poślubić, oświadczyła nawet ojcu, że nie wyjdzie za nikogo innego. Tak więc wzięliśmy ślub w Londynie, po czym zabrałem ją w podróż do Kornwalii, którą uważała za niezwykle romantyczne miejsce. Dopiero po powrocie do Devbridge Manor poznałem jej prawdziwe oblicze. Caroline potrafiła jednego dnia zachowywać się radośnie i entuzjastycznie, śmiała się niemal co chwilę, a następnego popadała w melancholię, milkła i cierpiała tak, jakby straciła najlepszego przyjaciela. Nigdy nie wiedziałem, która z tych kobiet usiądzie ze mną do śniadania. Wkrótce po ślubie stała się brzemienna. Miałem nadzieję, że dziecko wpłynie korzystnie na jej charakter. I rzeczywiście, w czasie ciąży wydawała się bardziej zrównowazona, powiedzmy, normalna. W tych dniach Thomas i John nie bywali tu często - uczyli się w Eton. Nigdy jednak nie zapomnę, że każda ich wizyta wywoływała gwałtowne pogorszenie stanu Caroline. Przystawała się odzywać, nie jadła. Szybko zrozumiałem, że ich nienawidzi. Oczywiście to dlatego, że chciała mieć własne dziecko, chłopca, który pójdzie w moje ślady. Gdyby urodziła syna, zostałby moim dziedzicem. Powiedziałem jej o tym, ale sytuacja nie uległa poprawie. Poprosiłem Thomasa i Johna, żeby nie przyjeżdżali do domu, tylko spędzali wakacje z przyjaciółmi. Obaj bardzo mi współczuli i czuli się winni. Nic, co robiłem, nie pomagało Caroline. Pod koniec ciąży stała się zupełnie nieprzewidywalna. Nawet lekarz był bezradny. Czasem znikwała nam z oczu i odnajdywaliśmy ją w północnej wieży, skuloną w rogu, z szeroko otwartymi oczami. Nie potrafiła wyjaśnić, po co tam poszła. Nalegała, żeby pozwolić jej jeździć konno, chociaż miała już spory brzuch. Dzięki Bogu nigdy nie spadła. Kiedyś znalazłem ją, jak goniła szczury w stodole. Pewnej nocy Brantley zobaczył, jak Caroline tańczy w strugach ulewnego deszczu. Inny służący widział, jak brodzi w strumieniu, pytając niewidzialnych osób, czy nie byłoby miło się utopić. Nie pozostało mi nic innego, jak tylko zatrudnić kobietę, żeby zawsze jej towarzyszyła. Bałem się, że nawet jeśli Caroline nie zrobi sobie nic złego, to może skrzywdzić nienarodzone dziecko.

- Te kraty w Błękitnej Komnacie zostały wstawione dla niej - powiedziałam nagle.

- Zatem zauważyłaś dziury? Oczywiście, nie pomyślałem, że są tak widoczne - Lawrence urwał na chwilę i zaczerpnął głęboko powietrza. - Pewnego dnia wszedłem do jej pokoju i zobaczyłem, że siedzi na wąskim parapecie i śpiewa, patrząc na ptaszka na gałęzi odległego drzewa. Jeszcze nigdy tak się nie przestraszyłem. Wydawało mi się, że normalne, przewidywalne życie przestało być możliwe. Wszyscy chodzili po domu na paluszkach, bojąc się, że sprowokują ją do jakichś przerażających działań. Wtedy narodziła się Judith. Pamiętam, że Caroline śmiała się, kiedy lekarz kładł córkę w jej ramiona. „Po tym wszystkim

nie potrafiłam nawet urodzić chłopca” - powiedziała. Zapewniłam ją, że to nie szkodzi i że przecież możemy mieć więcej dzieci, jeśli tylko zapragnie. Nigdy nie zapomnę, jak wtedy uśmiechnęła się do mnie z nadzieją i pogładziła moją twarz. Powiedziała, że jest bardzo szczęśliwa. Ku mojej nieopisanej radości po porodzie Caroline stała się znów tą samą dziewczyną, którą poślubiłam niemal dwa lata wcześniej. Dziękowałam Bogu za to cudowne ozdrowienie. Cały dom odetchnął z ulgą. Dopiero kiedy w Devbridge Manor znów rozbrzmiał śmiech, zdałam sobie sprawę, jak bardzo byliśmy ponurzy. Caroline wydawała się wspaniałą matką. Uwielbiała Judith i spędzała z nią wiele czasu. Bawiła się z nią, przytulała, śpiewała.

Nie wydałam z siebie ani jednego dźwięku. Lawrence wbił palce we włosy.

- Przekleństwo! Nie potrafię inaczej tego opisać. To wszystko było jednym wielkim oszustwem. Caroline bardzo sprytnie zamydliła nam wszystkim oczy. - Mój mąż znów zamilkł, zaciskając dłonie na biodrach. Wyczuwałam w nim ogromne napięcie. - Minęło trochę czasu. Wszystko zakończyło się nagle i bez uprzedzenia. Caroline rzuciła się z wieży północnej. Przypadkiem Judith była wtedy ze mną. W przeciwnym razie jestem pewien, że Caroline skoczyłaby razem z nią w przepaść.

Lawrence ze świstem wciągnął powietrze, po czym uderzył się pięścią w otwartą dłoń.

- Trzeba to powiedzieć wprost. To ja jestem odpowiedzialny za jej śmierć.

ROZDZIAŁ 14

Ugryzłam się w język, żeby nie wyskoczyć z czymś w rodzaju „co za bzdury”, albo „nie gadaj głupstw”.

- Proszę, powiedz mi, dlaczego tak uważasz - powiedziałam w końcu najspokojniej, jak umiałam.

- Ledwo dzień wcześniej Caroline ubłagała mnie, żebym usunął kraty z jej okien. Natychmiast kazałem je wyjąć, żałując, że nie zrobiłem tego dużo wcześniej. Przecież moja żona wyzdrowiała. Pamiętam, jak staliśmy razem w salonie. Caroline uśmiechnęła się do mnie ciepło, podając mi Judith, po czym powiedziała, że wychodzi na chwileczkę po ulubiony szal. Oczywiście zawsze towarzyszył jej dyskretnie ktoś ze służby. Musiała zdawać sobie z tego sprawę. Udała się do Błękitnej Komnaty, zamknęła drzwi, po czym wyszła na wąski parapet, łączący jej okna z oknami sąsiedniego pokoju. Stamtąd pobiegła do wieży północnej. Gdybym tylko nie zaufał jej tak od razu, gdybym zaczekał choć parę dni z usunięciem krat, Caroline nie dotarłaby do okien północnej wieży.

Minęło już dwanaście lat, a mój mąż nadal zadrecza! się czymś, za co nie był odpowiedzialny.

- Przecież gdybyś zaczekał, to wydaje się logiczne, że Caroline i tak zrobiłaby to samo, tyle że parę dni później - powiedziałam.

- Możliwe, możliwe.

- To wielka tragedia, Lawrence. Tak mi przykro.

- Nie mogłem się zdobyć na to, żeby ci to wszystko opowiedzieć, Andy. Żałuję, że jestem takim tchórzem. Ale bałem się, że mnie nie zechcesz. Mam dziecko, które może nosić w sobie szaleństwo matki. Mogłaś nawet uwierzyć, że to szaleństwo pochodzi ode mnie.

- Czy rodzice Caroline odwiedzają Judith? - zapytałam.

Lawrence popatrzył na mnie zaskoczony.

- Nie, nigdy jej nie widzieli. Prawdę mówiąc, nie chcieli się ze mną spotkać. John i Thomas mogliby ci opowiedzieć, o tym, jak się zachowali.

- Czyli?

- Twierdzili, że Caroline była zupełnie normalna i że to ja zniszczyłem jej psychikę. Nie umieli podać żadnego powodu, dla którego miałbym to robić, ale nie wątpili, kto jest winny jej śmierci. To ja zamordowałem ich ukochaną córkę. Nie chcieli oglądać mojego dziecka.

- Nadal wypierają się własnej wnuczki? Lawrence potaknął.

- To zadziwiające. W każdym razie nie powinieneś czuć się winny. Wspaniale poradziłeś sobie z wychowaniem Judith. Jest urocza, pełna radości życia, pogodna i z całą pewnością normalna. Zatrudniłeś też znakomitą guwernantkę. Bardzo mi przykro z powodu Caroline, ale uwierz mi, że ta historia należy już do przeszłości i na pewno nie zaszkodzi Judith.

Nagle poczułam, że w tym pokoju już od zbyt wielu lat panował smutek.

- Mam dwadzieścia jeden lat i już pogodziłam się z faktem, że zostałam macochą. Judith i ja na pewno się zaprzyjaźnimy, obiecuję. Wybacz sobie, Lawrence, bo ja ci wybaczam, że nic mi nie powiedziałeś.

- Być może pewnego dnia przestanę się obwiniać, ale nigdy nie zapomnę o tym, co zaszło. Jak ci już mówiłem, Judith nosi w sobie krew matki. Może za parę lat obudzi się w niej szaleństwo?

- Nasz król jest szalony. Czy jego ojciec, Jerzy II, był wariatem?

- Niektórzy torysi pewnie by przytaknęli - powiedział Lawrence. - Ale nie, oczywiście, że nie.

Mój mąż usiłował zażartować, więc uśmiechnęłam się do niego.

- Wiesz równie dobrze jak ja, że szaleństwo nie jest czymś, co automatycznie przenosi się z ojca lub matki na dziecko. Rodzice Caroline nie są chorzy, prawda?

Lawrence potrząsnął głową.

- Nie - odparł wolno. - Cierpią tylko na nienawiść do mnie.

Czułam, że hrabia bardzo chce wierzyć w zdrowie swojej córki.

- Muszę jednak przyznać, że przed przybyciem panny Gillbank niepokoiłem się o Judith - dodał po chwili.

- Ile lat miała, kiedy zatrudniłeś jej guwernantkę?

- Może trzy.

- Chyba każde dziecko w tym wieku doprowadza rodziców do rozpacz. Kiedy patrzy się na spustoszenie, jakie sieją dziewczynki i chłopcy, łatwo dojść do wniosku, że to małe diabełki, wysłanniczki samego szatana. Dziadek też obserwował mnie z przerażeniem, a jednak okazało się, że nie jestem szalona. Jak teraz sobie przypominam, nazywał mnie nawet diabelskim pomiotem.

Lawrence wybuchnął szczerym śmiechem, zgodnie z moimi nadziejami. Obawiałam się, czy nie wpadłam w nieuzasadniony zachwyt nad własnym zachowaniem i czy mój mąż rzeczywiście poczuł się rozweselony. Ale po chwili zauważyłam, że on naprawdę wygląda

młodziej. Staął i wyprostował ramiona, jakby zdjęto z nich ogromny ciężar.

Kiedy kilka chwil później żegnał się ze mną pod drzwiami sypialni, delikatnie dotknął palcami mojego policzka.

- Jesteś spełnieniem moich marzeń - powiedział. - Przemyszę to, co mi dzisiaj powiedziałaś. Dobranoc, moja droga Andy.

Kiedy wróciłam ze spaceru z George'em, musiałam jeszcze pozbyć się Belindy, która najchętniej plotkowałaby ze mną w nieskończoność. W końcu położyłam się do łóżka i wślizgnęłam pod ciepłą kołdrę. George postanowił pójść w moje ślady i przycisnął swoje gorące ciało do moich kolan. Pomyślałam, że miniony dzień był jednym z najpracowitszych, najbardziej zaskakujących, najstraszniejszych i, licząc upadek ze schodów, najboleśniejszych dni w moim życiu. Wyraźnie czułam obecność czegoś chłodnego i wrogiego w Czarnej Komnacie i wiedziałam, że coś wciągnęło Amelię do pustego pokoju. Ze zmęczenia nie potrafiłam nawet opisać wszystkiego, co się stało. Ale kłopoty już się skończyły, może nie licząc faktu, że rodzina całkowicie zignorowała sprawę Amelii.

Następnego dnia zamierzałam odwiedzić ten pusty pokój i sprawdzić, jak na mnie zadziała. Na samą myśl poczułam gęsią skórę, ale wolałam zmierzyć się z nieznanym niż schować głowę w piasek, jak wszyscy pozostali. Zasnęłam z mokrym nosem George na kolanie.

Nie wiem, dlaczego nagle się obudziłam. Nie słyszałam żadnego dźwięku, nawet szeptu. Ale jeszcze sekundę wcześniej śniłam o galopie przez bagna Yorkshire, a po chwili byłam już zupełnie przytomna i próbowałam przyzwyczać się do blasku księżyca. I wtedy to zobaczyłam.

Potrząsnęłam głową, nie mogąc uwierzyć własnym oczom, ale zjawą uparcie nie chciała zniknąć ani się oddalić. Stała przede mną, pół metra od mojego łóżka, sztywna i milcząca, jak martwa, zlodowaciała figura z piekła rodem. Pamiętam, że słyszałam jeszcze chrapanie George'a, chociaż wewnątrz czułam lodowate dreszcze strachu. Powoli, bardzo powoli wyciągnęłam ręce spod kołdry. Jeszcze ostrożniej zaczęłam podnosić się na łóżku, żeby usiąść. George poruszył się niespokojnie, ale nadal spał.

Martwa, cicha postać zmierzała w kierunku nóg łóżka. Dopiero kiedy znalazła się na wysokości okna, mogłam ją dokładnie obejrzeć. To była szkaradna starucha, starsza od samej śmierci. Z jej potwornie zdeformowanej twarzy zwisały kłęby białych włosów. Chciałam krzyknąć tak, żeby obudzić cały dom, ale ku mojej konsternacji udało mi się wydać tylko słaby jęk. Poczułam się uwięziona, przyszpilo - na do łóżka. Z przerażenia nie mogłam nawet ruszyć ręki.

- Co tu robisz? Czego chcesz? - Usłyszałam swój własny, skrzeczący głos.

- Jesteś obrazą dla tego domu - powiedziała starucha cienkim, nierealnym głosem. - Jesteś złym duchem, który wciąż tu powraca. Jesteś występna, a to, z czego się wzięłaś, jest jeszcze bardziej występne. Teraz zapłacisz za wszystko, co zrobiłaś.

Ze strachu zaczęłam ciężko dyszeć. Nagle George poruszył się przy moim boku i po raz pierwszy, odkąd zobaczyłam zjawę, poczułam strach o drugą istotę. Przesunęłam się na drugi koniec łóżka, dalej od tej potwornej kobiety. Albo ja byłam zbyt wolna, albo groteskowa starucha przemieszczała się z nadludzką szybkością. Nagle znalazła się tuż nad moim łóżkiem. W jej poskręcanych palcach tkwił złoty nóż o zakrzywionym ostrzu. Zjawa trzymała go nad głową i szykowała się do ciosu.

Stoczyłam się z łóżka pod ścianę, mocno trzymając George'a, który szczekał jak szalony i chciał zaatakować potwora.

- Kim jesteś? Czego chcesz ode mnie? - wrzasnęłam.

Co za idiotyczne pytania - pomyślałam. Nagle ohydna kreatura znalazła się po drugiej stronie łóżka i powoli zmierzała do przodu, by odciąć mi drogę.

Nawet nie myślałam o podjęciu walki. Starucha uniosła złoty nóż. Po chwili zobaczyłam, jak kieruje go prosto w moją pierś. Błyskawicznie chwyciłam poduszkę i rzuciłam nią prosto w ostrze. To zatrzymało zjawę. Ścisnęłam George'a łokciem i rzuciłam się do drzwi.

Klamka nie chciała się przekręcić. Boże - pomyślałam, rozpaczliwie szarpiąc ją zbielełymi palcami. Nie pamiętałam, żebym zamykała drzwi, ale mogłam to zrobić. Przekręciłam klucz. George szczekał jak wariat. Zobaczyłam, że starucha mknie w moją stronę. Poruszała się dziwnie, ale bardzo szybko. Klucz szczęknął w zamku i po chwili pchnęłam drzwi. Wypadłam na korytarz.

A zatem jednak zamknęłam drzwi. Jak ta kreatura dostała się do mojego pokoju?

Nie obejrzałam się, tylko pobiegłam najszybciej, jak potrafiłam, trzymając George'a przy boku. Cudem udało mi się zachować równowagę. Po paru chwilach szaleńczego biegu zatrzymałam się w panice pod drzwiami pewnej sypialni. Wiedziałam, kto śpi w środku, i wiedziałam, że specjalnie skierowałam tam swoje kroki. Zabębniłam pięściami o dębowe drzwi.

Usłyszałam stłumiony, męski głos. Bębniłam dalej, a George zaszczekał jak opętany. Bardzo mnie to cieszyło. Taki hałas musiał dać do myślenia tej babie, gdyby zamierzała mnie ścigać. Wprawdzie nikogo na razie nie widziałam, ale to mnie nie uspokoiło. W końcu, po nieskończenie długim czasie, drzwi się otworzyły i przede mną stanął John. Miał na sobie

tylko pośpiesznie naciągnięte bryczesy i nic poza tym. Nie przeszkadzałyby mi nawet, gdyby był w samym szlafroku. Rzuciłam się w jego ramiona, a George dostał szału z radości.

John jakimś cudem się nie przewrócił.

- Andy, na litość boską, co się dzieje? George, cicho! Jedyny sposób na uciszenie George'a polegał na wzięciu go na ręce. John wyłuskał go spod mojego na pół zdrętwiałego ramienia, po czym przytulił nas oboje. Dyszałam tak gwałtownie, że nie mogłam wydobyć z siebie słowa. Przez chwilę wtulałam się tylko w objęcia mężczyzny, który budził we mnie paniczny strach. Chciałam czuć go blisko siebie, silnego i ciepłego. Kiedy tak ścisnął mnie i mojego psa, wiedziałam, że jesteśmy bezpieczni.

- Już w porządku - powiedział miękko, niskim głosem, ogrzewając mi włosy oddechem. - Wszystko dobrze. George, spokojnie, poliz sobie moją rękę i uspokój się. Andy, czy już odzyskałaś dech? Możesz mi powiedzieć, co się stało?

- Prawie, jeszcze nie, ale prawie - wy dyszałam mu prosto w ramię.

- Tylko oddychaj spokojnie i głęboko... o, właśnie tak. - John nadal tulił mnie do siebie.

- A teraz opowiedz mi o wszystkim. Czy coś się stało George'owi?

Jego wielka dłoń spoczęła delikatnie na moich plecach. Zakrywał tyle mojego ciała. Przez płócienną koszulę czułam wyraźnie ciepło bijące od jego ręki. Czułam je wszędzie i to było wspaniałe. Nareszcie ożyłam. Nareszcie wiedziałam, że jestem bezpieczna. Liczyłam uderzenia jego serca, pewne, ciepłe i miarowe. Już mogłam oddychać. Wbrew woli odsunęłam się odrobinę. Tylko troszkę. Gdybym straciła jego ciepło, chyba zamarzałabym i jak lodowa figura roztrzaskałabym się na podłodze.

- Już mi lepiej. Naprawdę.

- Czy w twojej sypialni wybuchł pożar?

- Nie.

- Szafa spadła ci na głowę?

- Nawet nie drgnęła.

- Nietoperze w oknie?

- Ani jednego.

John zaklął gwałtownie.

- Ta przeklęta Błękitna Komnata - powiedział i przeklął jeszcze raz. - Zobaczyłaś coś i pomyślałaś, że to duch, prawda? Wydawało ci się, że coś widzisz i to coś wystraszyło cię prawie na śmierć?

- Naprawdę widziałam zjawę. Ona chciała mnie zabić. Miała bardzo wredny,

zakrzywiony nóż. Dlatego chwyciłam George'a i uciekłam. Do ciebie.

Nawet jeśli John zdziwił się, że nie pobiegłam do męża, który mieszkał tuż obok niego, to nie okazał tego. Po prostu przytulił mnie jeszcze raz, a ja objęłam go ramionami. Ciało Johna było takie ciepłe i jedwabiste. Nagle uświadomiłam sobie, że oto niemal przykleiłam się do mężczyzny - niebezpiecznego mężczyzny. A na sobie miałam tylko skąpą koszulę nocną.

- Cholera - powiedziałam, po czym bardzo powoli wyzwoiliłam się z jego uścisku.

- Zastanawiałem się, kiedy dotrze do ciebie, że właśnie weszłaś w paszczę lwa, może nawet niebezpieczniejszego niż zjawa z Błękitnej Komnaty - powiedział John z mieszaniną rozbawienia i czegoś jeszcze, czego nie potrafiłam nazwać. Potem westchnął głęboko. - Wiesz, Andy, ten lew nie jest specjalnie groźny, ale chyba nie potrafisz w to uwierzyć, prawda?

W tej chwili nie mogłam rozgrzebywać tych spraw.

- Gadasz bzdury. Chyba nie czas na takie tematy.

- Chodź - odparł ze śmiechem. - Opowiesz mi coś więcej na temat tej istoty, która cię zaatakowała z nożem. George, nie szczekaj przez chwilę, zaraz znowu cię wezmę, tylko zapalę jakieś świece.

George i ja podążyliśmy błyskawicznie za nim. Nie chcieliśmy puścić go dalej niż na pół metra od siebie. Ale najpierw zamknęłam drzwi, na klucz.

- Ta zjawa chyba mnie nie ścigała, ale wolałabym nie ryzykować. Możliwe, że na jej widok wpadłbyś w panikę i znowu znalazłabym się w fatalnej sytuacji.

John popatrzył na mnie, potrząsając głową.

- Jeszcze dwie minuty temu nie mogłaś wymówić słowa, a teraz żartujesz sobie w najlepsze. Jesteś zadziwiająca. - Śmiejąc się, zapalił świece.

Po chwili stanął przede mną z lichtarzem w ręku i przyjrzał mi się uważnie.

- Pewnie marzniesz - powiedział, po czym jakbym była dzieckiem, ubrał mnie we własny szlafrok, Na koniec zawiązał mi pasek w talii.

George zawył żałośnie, więc John natychmiast wziął go na ręce.

- Dziękuję, że tak szybko podszedłeś do drzwi. Jeszcze trzy sekundy i włamałabym się do środka.

John popatrzył na moje białe stopy.

- Mówisz niezwykle rzeczy. To twój szczególny talent. - John odstawił George'a na podłogę i umieścił świecznik na małym stoliku przy drzwiach. Potem podszedł bliżej i przyciągnął mnie do siebie, głaszcząc moje rozwichrzone włosy. Niesforne loki już dawno

uwolniły się spod nocnej przepaski.

- Czy już wszystko dobrze?

- Tak - powiedziałam wolno i dopiero teraz rozumiałam, jak bardzo się wystraszyłam.

- Może powinnaś teraz zawołać męża. Wiesz, to ten staruszek, który mieszka w tym samym korytarzu, po lewej. Chyba pomoże ci lepiej niż pasierb, nie sądzisz?

- Ty draniu - powiedziałam, po czym obróciłam się na gołej pięcie i podeszłam do drzwi. Otworzyłam je, stwierdzając z zadowoleniem, że nie drżą mi ręce. *

Wychodząc, zobaczyłam Lawrence'a i Thomasa, nadbiegających z przeciwnych kierunków. Lawrence dotarł do mnie jako pierwszy. Jednym spojrzeniem ogarnął szlafrok Johna, moje bose stopy i rozwiane włosy.

- Coś się stało. Wszystko w porządku?

Stałam w pewnej odległości od niego. Odzyskałam już równowagę i nie chciałam być przytulana przez żadnego mężczyznę.

- Tak - odparłam. - George i ja czujemy się dobrze.

Thomas zatrzymał się, zdyszany. Nawet w rozchełstany szlafroku i z rozczochraną fryzurą wyglądał jak anioł.

- Co tu się dzieje? - zapytał, ale Lawrence potrząsnął głową.

- Jeszcze nie wiem. Andy?

Staliśmy wszyscy na środku sypialni Johna. Świczki migotały przy otwartym oknie. Wtuliłam się w siebie, ale to nie wystarczyło. Podniosłam George'a. Chyba zrozumiał, że coś się stało i że go potrzebuję.

- Opowiedz im wszystko - poprosił John, po czym podszedł, żeby napalić w kominku.

Wtedy w drzwiach stanęła Amelia, patrząc na nas ze zdziwieniem. Jej przepiękne, czarne włosy spływały na plecy jak długi, jedwabny szal.

- Obudziłam się nagle, nie wiem dlaczego - zaczęłam, po czym przełknęłam ślinę. Usłyszałam drzenie we własnym głosie. - Nagle zobaczyłam coś potwornie brzydkiego, nie do końca ludzkiego. Stało przy moim łóżku, nieruchomo jak posąg. Po chwili zorientowałam się, że to straszliwa starucha, z poplątanymi, siwymi włosami. Kiedy zapytałam, czego chce, odparła, że jestem obrzydliwa i że za to wszystko zapłacę. Potem uniosła nóż i ruszyła na mnie. Rzuciłam w nią poduszką, zgarnęłam George'a i jakoś wydostaliśmy się z komnaty.

Zapadło milczenie.

- Czy pamiętasz dokładnie, co ci powiedziała ta kobieta?

Potrząsnęłam głową.

- Może jutro wszystko do mnie wróci. Teraz wiem tylko, że wspomniała o tej obrzydliwości. Trudno zapomnieć coś podobnego.

Cztery pary oczu wpatrywały się we mnie w całkowitej ciszy.

- Posłuchajcie. Wiem, że nie chcecie mi wierzyć po tym, co poczułam w Czarnej Komnacie i co mówiłam na temat wypadku Amelii. Ale to prawda. Nie zmyśliłabym czegoś takiego. Byłam przerażona. Ta starucha chciała mnie zabić.

Milczenie przerwał dopiero niski, uprzejmy głos mojego męża.

- Z pewnością coś się stało, Andy. Może masz ochotę na herbatę?

- Przepraszam was - oświadczył John - ale ja wybieram się do Błękitnej Komnaty.

- Idę z tobą - powiedział Thomas. Wiedziałam, że nic nie znajdą. Dlaczego starucha miałaby tam czekać?

- Nieżle się wystraszyłaś - powiedziała Amelia. - Nieważne, co to było, sen czy przywidzenie, ale jeszcze się trzęsiesz. Usiądź, Andy.

- Nie - zaprotestowałam. - Chcę wrócić do Błękitnej Komnaty.

Zignorowałam wyciągniętą rękę męża i z George'em u boku ruszyłam w stronę sypialni. Z każdym krokiem narastał we mnie lęk. Kiedy dotarłam do drzwi, byłam już sparaliżowana strachem. Czułam się bezradna i niezdolna do jakiegokolwiek ruchu.

George szczechnął.

- W porządku - zawołał do nas John. - Możecie wejść.

- Nic tu nie ma - oświadczył Thomas, wymachując z gracją lewą dłońią. Co, u licha, mogło mu się stać?

- Nie spodziewałam się, że starucha poczeka, żeby was poznać po tym, jak omal mnie nie zabiła. Może zresztą chciała mnie tylko wystraszyć. Nie wiem, ale ten zakrzywiony nóż był bardzo ostry. Aż błysnął, kiedy uniosła go nad głowę.

- Zakrzywione ostrze? - powiedział John, po czym nagle zamarł.

- Tak. Nie srebrne. Wyglądało jak stare złoto. Dlaczego pytasz?

John zaklął pod nosem.

- Chwileczkę - powiedział tylko, po czym zniknął z pokoju.

ROZDZIAŁ 15

Przysiadłam na krawędzi delikatnego krzesła, a George zajął swoje miejsce na kolanach. Pogłaskałam go za uszami i w milczeniu wpatrzyłam się w zimny kominek.

Do pokoju weszli Lawrence i Amelia.

- Andy - powiedział Lawrence, po czym ukląkł przy mnie i ujął moją dłoń. - Jesteś w nowym domu. Dzisiaj tyle się wydarzyło, tyle przerażających rzeczy, które mogłyby przyprawić nawet największych flegmatyków o koszmarny sen. Dobry Boże, nawet uderzyłaś się w głowę. Kto wie, co można zobaczyć w nocy po takim uderzeniu?

Uśmiechnęłam się do niego. Mówił z sensem.

- Nie zmyśliłam tego. To nie był sen. Wszystko stało się tak, jak mówiłam.

- Andy, w Devbridge Manor nie miało miejsca nic podobnego - powiedziała Amelia. - Tak, wuju?

- Opowiadano co prawda różne historie o duchach w tej komnacie, o dziwnych odgłosach i cieniach, ale nikt z nas nie zobaczył jeszcze niczego nienaturalnego - odparł Lawrence. - To tylko opowieści służby, nic więcej.

- Nieprawda - zaprotestował Thomas. - Pamiętam, że byłem tu kiedyś, niedługo po śmierci Caroline. Siedziałem przy kominku z książką i chyba się zdrzemnąłem. Coś nagle dotknęło mojego policzka. Poczułem zarazem ciepło i lód. Kiedy otworzyłem oczy, zobaczyłem ją, ale tylko przez sekundę. Potem znikła.

Spojrzałam na niego z uwagą. Nie chciałam w to wierzyć. To brzmiało jak twory wyobraźni przesądnego chłopca. Ale kim w takim razie byłam ja? Dziewczyną obdarzoną bujną fantazją?

Ale przecież to mi się nie śniło!

Podniosłam głowę, słysząc, że John wchodzi do pokoju. George także na niego spojrzał i szczerknął. Poklepałam go delikatnie po główce.

- Mój nóż jest na swoim miejscu, w zamkniętej szafce. Wbiłam w niego wzrok.

- Kolekcjonuję noże - wytłumaczył. - Do moich najcenniejszych skarbów należy mauretański nóż ceremonialny sprzed ponad trzystu lat. Ma zakrzywione ostrze i czerwony, jedwabny frędzel przy rękojeści. W samej rękojeści mieszczą się dwa duże rubiny. Co najważniejsze, nóż ten został wykonany ze złota, a nie ze srebra. Ale teraz leży bezpiecznie pod szklaną pokrywą.

- Chcę go zobaczyć - powiedziałam, po czym podniosłam się i wyszłam z sypialni

zanim mój mąż zdążył jęknąć i zapytać, czy jestem równie szalona jak Caroline.

John, chcąc nie chcąc, musiał iść ze mną - przecież nie wiedziałam nawet, gdzie trzyma swoją kolekcję. Oczywiście okazało się, że w swojej sypialni. Zapalił więcej świec. Wszyscy poszli za nami, nawet Amelia, która ziewała i powtarzała, że miałam zbyt wiele wrażeń. Stwierdziła też, że każdemu mogłoby się przyśnić coś dziwnego po tym wszystkim, co się stało w moim pierwszym, pełnym wrażeń dniu w Devbridge.

Ja sama w milczeniu pomaszero wałam za Johnem. I omal się nie zakrztusiłam na widok noża, który leżał na poduszce z karmazynowego aksamitu. Odskokczyłam o krok.

- To ten sam - powiedziałam. - Pamiętam nawet ten frędzel. Kiedy starucha uniosła nóż, spod spodu wypadło coś czerwonego. Widziałam też błyski tych rubinów. - Odwróciłam się, żeby spojrzeć im w oczy. - Jak ten nóż mógł tu wrócić tak szybko?

- Nie mógł - stwierdził rzeczowo Lawrence. - Musiałś widzieć go wcześniej i dlatego pojawił się w twoim koszmarze.

- Nie, nie widziałam go wcześniej.

- Andy. - Amelia klepnęła mnie po ramieniu. - Już po wszystkim. Nic ci się nie stało. George'owi też nic się nie stało. Mieliśmy ciężki dzień. Jutro to będzie już tylko złe wspomnienie.

Wtedy po raz pierwszy zaczęłam się zastanawiać, czy nie wyśniłam tej koszmarnej staruchy, czy cała ta upiorna wizja nie była tylko wytworem mojej wyobraźni, obciążonej tyloma dziwnymi przeżyciami. Sama nie wiedziałam, co o tym myśleć. Czułam się wyczerpana i nie miałam już nic więcej do powiedzenia. Odwróciłam się od nich i poszłam do Błękitnej Komnaty, a George potruchtał za mną.

- To dopiero jej pierwszy dzień w Devbridge. Boję się, co nastąpi drugiego - powiedział Thomas.

Ja też się bałam.

Zamknęłam drzwi, po czym po chwili wahania przekręciłam klucz w zamku. Starucha była albo duchem, albo efektem szoku po uderzeniu w głowę. Żadna z tych możliwości mi nie odpowiadała. Ku mojemu ogromnemu zdziwieniu zasnęłam od razu. A jednak George i tym razem okazał się szybszy - kiedy zasypiałam, słyszałam już jego chrapanie.

Następnego ranka moja pierwsza myśl była taka: Nie, nie wyobraziłam sobie tego. Chciałam przeszukać każdy cal Devbridge Manor, gdyby okazało się to konieczne i odszukać jakieś wskazówki co do tożsamości mojej upiornej zjawy.

Ale na widok spojrzeń, jakimi obrzuciła mnie rodzina w pokoju śniadaniowym, postanowiłam zmienić taktykę.

- Jesteście dla mnie tacy mili - powiedziałam pokornie, ze skromnym uśmiechem. - Pomogliście mi nawet wtedy, gdy w środku nocy moja wyobraźnia zaczęła szwankować i podsuwać mi jakieś straszne wizje. Bardzo was wszystkich przepraszam. To już przeszłość. Jeszcze raz dziękuję. Chętnie zjadłabym jajecznicę. .

Wzięłam talerz i podeszłam do stołu. Nałożyłam na talerz trzy plasterki bardzo chrupiącego bekonu i małą parówkę. Nie zdziwiło mnie specjalnie, że rozmowa przy stole toczy się z pewnymi oporami. Mimo wszystko nadal demonstrowałam wyśmienity humor, uśmiechałam się do wszystkich. Mówiłam wyłącznie o tak istotnych sprawach jak cudowna pogoda, tak nadzwyczajna jak na listopad. Po chwili rodzina wydała z siebie głębokie westchnienie ulgi i powróciła do normalnego zachowania.

Okolo południa przebrałam się w strój do konnej jazdy i wyruszyłam w stronę stajni z George'em. Niebo nieco się zachmurzyło, a cudowna pogoda należała już tylko do przeszłości. Ale Brantley zapewnił mnie, że do popołudnia nie będzie padać. A skoro tak twierdził sam Mojżesz, nie mogłam żywić wątpliwości. Rucker osiodłał dla mnie Małą Bess i pomógł mi jej dosiąść. Poklepałam klacz po lśniącej szyi. - Jesteś piękna, wiesz o tym? - zapytałam.

George szczekał, więc poprosiłam Ruckera, żeby mi go podał.

- Może sobie pobiegać później - powiedziałam.

Lekko trąciłam Małą Bess piętami, ale przed odjazdem obrzuciłam jeszcze Pioruna tęsknym spojrzeniem.

- Gdyby ktoś się pytał, powiedz, że pojechałam do wioski, spotkać się z naszymi kupcami - krzyknęłam do Ruckera, który odprowadzał mnie wzrokiem.

Ale nie pojechałam do wioski. Wybraliśmy się do wąskiego strumyka, który rozdzielał tereny Devbridge. Bess puściłam wolno, żeby najadła się do woli trawy, po czym zaniósłam George'a nad strumień. Usiedliśmy pod wierzbą.

- George - zaczęłam. - Ta starucha mogła być wyłącznie wytworem mojej fantazji. Nie sądzę, by tak było, ale musimy rozważyć taką możliwość.

George spojrzał na mnie, przekrzywiając głowę.

- Z drugiej strony, nie rozumiem, jakim cudem ty także mógłbyś ją sobie wyobrazić. Widziałam, jak na nią szczeкасз. Bałeś się tak samo jak ja, ale chciałeś skoczyć jej do gardła. Prawda, mój ty dzielny wojowniku?

George szczekał cichutko. Zaczęłam delikatnie drapać go po głowie, a on stał, drżąc lekko z przyjemności. Uwielbiał, kiedy go drapałam tam, gdzie sam nie bardzo potrafił sięgnąć.

- Czy nie uważasz, że to niemożliwe, żeby brutalny duch tak pieczołowicie i sprytnie zwrócił nóż Johnowi?

George znów szczechnął, prawdopodobnie na dźwięk imienia John.

- Ale wiesz, George, rozważamy teraz dwie zupełnie różne rzeczy. Coś straszego stało się w tej przeklętej Czarnej Komnacie. Potwornie się boję, bo nie wiem zupełnie, co to jest. Ale ta stara kobieta była bardzo ludzka. Nawet, jeśli straciłam rozum i wyśniłam ją sobie, to ty z pewnością nie. Nie, ona jest prawdziwa. A po drugie, ten wypadek Amelii w sąsiednim pokoju... Zbadamy to dokładnie po powrocie do Devbridge Manor. Chociaż nie mam specjalnej ochoty tam wracać. Ktoś usiłuje mnie zabić albo wystraszyć. Już ty za to wszystko zapłacisz. Co to znaczy? Kto to powiedział i dlaczego, George?

Mój pies milczał. Podniosłam go i przytuliłam. Po kilku minutach wyrwał się na wolność i rzucił w pogoń z bażantem, który nagle wyleciał z krzaków. W końcu podniosłam George'a i ponownie wsiadłam na Małą Bess. Nie pojechałam do małej wioski Devbridge - on - Ashton. Szczerze mówiąc, wydawało mi się to dość głupie, że ktoś przyszedł do mnie w środku nocy z mauretańskim nożem. Wróciłam do dworu z gotowym planem działań w głowie.

Stałam na środku pokoju, w którym Amelia spała wczorajszego dnia. Były tam tylko dwa wysokie, wąskie okna bez zasłon. Okna te wychodziły wprost na front budynku, na prawo oferowały widok na stajnie, a na lewo - na las. Poza tym w pokoju znajdowała się jedynie froterowana podłoga. Weszłam do każdej z przylegających komnat. Służyły albo jako sypialnie, albo małe saloniki i wszystkie zostały uroczo umeblowane.

Tylko w małym pokoju nie stał ani jeden mebel. Kiedy tam weszłam, nie poczułam niczego niezwykłego. Ale coś musiało tam być poprzedniego dnia. Coś zatrzęsnęło mi drzwi przed nosem. A kobieta, która zaatakowała mnie w nocy mauretańskim nożem Johna, wyglądała na krzepką i bardzo realną.

Zabrałam ze sobą George'a. Obwąchał wszystko uważnie, ale nie wyczuł w małym pokoju niczego więcej niż ja. Włosy nie stanęły nam dęba. Wróciłam do Błękitnej Komnaty, po czym zatrzęsnęłam drzwi. Tu mieszkała Caroline. To stąd wydostała się na parapet i dalej, do sąsiedniej komnaty i do wieży północnej.

Czy starucha z zeszłej nocy dałaby radę wyjść przez okna i przejść przez wąski parapet, żeby dotrzeć do innej komnaty?

Thomas opowiadał o zjawie, którą kiedyś widział. Czy to był duch Caroline? Czemu miałyby tu wracać, do tego akurat pokoju? Czy to dlatego służący uważali komnatę za nawiedzoną? A może Caroline bywała w tym małym pustym pokoju na górze?

Wyruszyłam na poszukiwania pani Redbreast, która pracowała jako gospodyni Lyndhurstow przez więcej lat niż ja chodziłam po tym świecie. Znalazłam ją w jej uroczym apartamencie we wschodnim skrzydle. Nie okazała ani zdziwienia, ani niezadowolenia moją wizytą. Zaprosiła mnie do miłego saloniku, umeblowanego meblami sprzed dwóch wieków. Na kominku płonął delikatny ogień, a zasłony odgradzały nas od jesiennego chłodu. Zanościło się na deszcz, ale kiedy wyraziłam tę obawę, pani Redbreast potrząsnęła tylko głową. Przecież Brantley powiedział, że nie będzie padać przed trzecią, pomyślałam.

- Napijesz się herbaty, milady? Przyjęłam poczęstunek. Pochwaliłam wyborną, indyjską herbatę i opowiedziałam pani Redbreast o tym, jak bardzo liczę na jej pomoc. Przecież Devbridge Manor to taki ogromny dom. Stwierdziłam, że w razie konieczności potrafię klamać jak ci przekłeci śliscy wigowie, o których dziadek opowiadał mi nie raz w niezbyt pochlebnych słowach. W rzeczywistości odkąd skończyłam piętnaście lat doskonale radziłam sobie z utrzymaniem różnych domów dziadka, łącznie z samym Deerfield Hali, znacznie większym od Devbridge Manor. W siedzibie dziadka miałam pod opieką kilkanaście sypialni więcej i salę balową wielkości całego londyńskiego domu. A jednak trzy lata później swobodnie rozprawiałam już na temat reperacji starej wanny i omawiałam z kucharkami kwestię przyrządzania befsztyków na modłę francuską.

Zapytałam gospodynię o jej rodzinę. Pochodziła z gałęzi Redbreastów z Hildon Dale, która mieszkała w Yorkshire od czasów wikingów. Stwierdziła nawet, że czuje w swoich żyłach krew przodków, którzy nie gardzili paleniem i grabieżą.

Ostrożnie prowadziłam konwersację, chcąc skierować ją na interesujące mnie tematy.

- Czy nie doznała pani nigdy żadnych nieprzyjemnych uczuć w Błękitnej Komnacie? - Zapytałam z niewinną miną, podając gospodyni filiżankę. - Może coś tam się ostatnio zmieniło?

Pani Redbreast ze zdziwienia upuściła filiżankę. Schwytałam ją w powietrzu szybko jak wąż. Na szczęście było pusta.

- Proszę mi odpowiedzieć, pani Redbreast. Teraz ja jestem tu panią, nie lady Caroline bądź jej duch. Proszę mi wyjaśnić, co pani widziała lub słyszała w mojej sypialni lub w innych pokojach, na przykład tam, gdzie pani Thomas spała na podłodze.

Pani Redbreast odznaczała się solidną posturą. Przekroczyła już granicę wieku średniego, ale nadal wyglądała atrakcyjnie, chociaż kunsztownie ufryzowane czarne włosy przecinały siwe pasma. Jednak to nie jej włosy, lecz oczy przyciągnęły moją uwagę. Były czarne jak węgiel i pełne przerażenia.

Co gorsza, gospodyni zaczęła wykręcać palce. Zdaje się, że wypłynęłam na głębokie

wody.

- Droga pani, jestem tutaj nowa - powiedziałam z uśmiechem. - Mój mąż opowiedział mi mniej więcej historię rodziny, ale nie znam wszystkich szczegółów. Proszę, żeby pomogła mi pani zrozumieć pewne sprawy.

- Milady - zaczęła wolno. - To, co stało się wczoraj, stanowiło dla nas wszystkich ogromne zaskoczenie.

- Szczególnie dla pani Amelii.

- Ach tak, biedna pani Thomasowa. Ona przecież tylko się zdrzemnęła, w środku dnia i przy otwartych drzwiach.

- Z całą pewnością były otwarte, kiedy panowie tam dotarli. Ale to nie w tym problem, prawda? Jestem obecną hrabiną Devbridge, pani Redbreast. To mój dom. Niewątpliwie słyszała pani o tym, co się wydarzyło w nocy.

O tak, z pewnością słyszała. Już sobie wyobrażałam wszystkie te plotki krążące wśród służby. Ciekawe, czy uważali mnie za kolejną Caroline. No cóż, Zmieniłam taktykę w postępowaniu z rodziną, ale nie zamierzałam rezygnować z rozmów ze służącymi. Wiedzieli wszystko i uwielbiali mówić. Tylko czy ich zachowaniem kierowała ostrożność, czy strach? Co błyszczało w ciemnych oczach mojej gospodyni?

Napieraj, powiedziałam do siebie, po czym nachyliłam się nad nią i ujęłam jej dłoń.

- W Czarnej Komnacie wyczuwam obecność zła - oświadczyłam, patrząc jej prosto w oczy. - W pokoju, do którego weszła żona pana Thomasa, było coś zupełnie innego. Ale zupełnie nie rozumiem, skąd się wzięła starucha w mojej sypialni. Proszę mi pomóc. Nie chcę zginąć lub oszaleć w tym domu, jak lady Caroline.

Pani Redbreast uwolniła rękę z uścisku, po czym szybko wstała z krzesła. Podeszła do okien i odsunęła granatowe draperie tak, jakby chciała się na nich zemścić.

- Lady Caroline przyniosła szaleństwo ze sobą. Ty jesteś przy zdrowych zmysłach, milady. Teraz, odkąd przyznałaś rodzinie, że wszystko tylko ci się przyśniło, nikt nie pomyśli inaczej.

Co prawda, to prawda, powiedziałam sobie.

- Rzeczywiście - przyznałam z uśmiechem. - Proszę mi opowiedzieć o lady Caroline.

- Po tym, jak się zabiła, natychmiast ludzie zaczęli gadać, zawsze szeptem, że wraca do Błękitnej Komnaty. Nie wierzyłam im. Kto chciałby mieszkać w domu nawiedzanym przez duchy?

- Ja nie - stwierdziłam krótko.

- W końcu poszłam tam sama, spędziłam noc w tym wielkim łóżu i przysięgam, że nic

mi się nie stało. Spałam bardzo dobrze, nawet lepiej niż zwykle. Po przebudzeniu poczułam wielki, nawet niezwykły spokój.

- Jakby ktoś czuwał nad panią w nocy, ktoś kto panią lubił i nie chciał pani skrzywdzić czy wystraszyć?

- Dokładnie tak się czułam - przytaknęła wolno pani Redbreast. - Pojawiło się tyle opowieści... Może nawet uwierzyłam w niektóre z nich, ale nigdy nie przyznałabym tego przed jego lordowską mością. Nawet jeśli biedna pani powraca czasem do sypialni, to dlatego, że tam spędziła najwięcej czasu.

- Czy Caroline bywała też w tym małym pokoju, który obecnie stoi całkiem pusty?

- Tak. To był jej pokój muzyczny. Grała na harfie, tak pięknie, że gdy słodkie dźwięki wydobywały się z okien, wszyscy podnosili głowy. Jej muzyka zawsze budziła uśmiechy zachwytu. Ktoś zresztą słyszał tę harfę w ciągu minionych lat.

- Czemu w pokoju nie ma mebli?

- Jego lordowską mość kazał usunąć wszystko z pokoju. Chyba harfa lady Caroline znajduje się obecnie w jednej z attyk. Nikt już tam nie chodzi.

- Bo trzymacie zamknięte drzwi?

- Tak, dokładnie dlatego. Otwieram je raz w tygodniu, do sprzątnia. Ale nie ma nic więcej, milady, przysięgam. Co do wczorajszej nocy trudno mi cokolwiek powiedzieć. Nic z tego nie rozumiem. W każdym wielkim domu są duchy, ale rzadko zagrażają mieszkańcom. Nikt by czegoś takiego nie zaakceptował.

- A zatem pozostaniemy przy teorii, że to był tylko koszmarny sen, pani Redbreast. Nie widzę innego rozwiązania. - Urwałam na chwilę. - Bardzo pani dziękuję. Czuję się o wiele lepiej. Szybko zapomnę o tej potwornej starej kobiecie, która napadła na mnie wczoraj z nożem pana Johna. To najmądrzejsze, co mogę zrobić.

- Tyle się wczoraj zdarzyło, milady. Tyle strasznych rzeczy w nowym domu... To musiało się wydawać zupełnie realne. A pani poczuła się jak w pułapce i ogarnęło panią przerażenie.

Trafiła w dziesiątkę.

- Tak, to prawda - powiedziałam, po czym podeszłam do drzwi. - Mam nadzieję, że nic więcej nie pojawi się w moich snach.

Zostawiłam ją stojącą na środku z rękami skrzyżowanymi na wydatnym biuście. Pomyślałam, że z pewnością porozmawia ze służbą jeszcze przed kolacją. „Kto wie, co naprawdę przydarzyło się nowej hrabinie Devbridge zeszłej nocy, kto wie?”. Zaczną dyskutować. Może sen, może szaleństwo, a nawet wizja? W końcu ktoś ujawni jakąś

tajemnicę i ja ją podsłucham.

Jeszcze nigdy w życiu nie czułam się tak samotna.

ROZDZIAŁ 16

To John znalazł mnie na środku małej, pustej komnaty - pokoju muzycznego Caroline. Właśnie myślałam, że pani Redbreast zapomniała zamknąć drzwi po wczorajszym zamieszaniu.

Nawet nie usłyszałam jego kroków. Poczułam tylko nowy prąd w powietrzu.

- Powiedziano mi, że zmieniłaś swoją historyjkę. Teraz zgadzasz się, że ta starucha była tylko snem.

- Owszem - powiedziałam szybko, odwracając się do niego. Nie zbliżyłam się nawet o krok. Chciałam utrzymać dystans, szczególnie po tym, co się stało ostatniej nocy.

- No cóż, skoro naprawdę w to wierzysz, to nie widzę powodu, dla którego miałabyś uciekać do Londynu.

- Nie, wyśniony nóż nie może cię zabić.

- Tak wynikałoby z moich doświadczeń. Uśmiechnęłam się do niego.

- Ciekawe, co byś odpowiedział, gdyby kogoś nurtowało, dlaczego wczoraj tak długo nie podchodziłeś do drzwi?

- Byłem nagi.

Popatrzyłam na jego ciało. Po prostu nie mogłam się powstrzymać. A on wiedział, niech go licho, wiedział, jakie obrazy wywołał w mojej głowie.

- Tak, widziałaś nagich mężczyzn, prawda, Andy? I ten widok wywołuje w tobie lęk. - Wzruszył ramionami. - To nieistotne. Jak już mówiłem, musiałem włożyć bryczesy.

Wbiłam wzrok w jego twarz.

- Lawrence twierdzi, że Caroline nie znosiła ciebie i Thomasa. Chciała mieć własnego dziedzica.

Gładko zaakceptował zmianę tematu.

- Nic nie pamiętam - odparł szybko. - Caroline... - urwał i wyjrzał przez wysokie okna, jakby szukał wzrokiem czegoś, co dawno zniknęło.

- Co? - spytałam.

- Caroline przypominała baśniową księżniczkę. Miałem dwanaście lat i mieszkałem u wuja raptem od sześciu miesięcy, kiedy się ożenił. Ani Thomas, ani ja nie sprzeciwialiśmy się jego decyzji. Caroline wydawała się bardzo miła, a jej śmiech brzmiał w naszych uszach jak najśłodsza muzyka. Poza tym była tylko osiem lat starsza ode mnie. Już wtedy wuj lubił młode żony.

- Nie dostrzegales w niej zadnych niebezpiecznych objawow?

- Mowisz o jej szalenstwie? To przyszlo pozniej. Pamietam, jak sluzba opowiadala sobie, ze slyszala o roznych dziwnych zachowaniach pani. Pamietam tez, jak wuj mowil mi, ze moja macocha nie czuje sie dobrze. Wytlumaczylem mu wtedy, ze Caroline jest w ciazy i ze to na pewno dlatego. Dodalem, ze brzemiennym damy czasem nawet wymiotuja.

- Skad wiedziales? I ty, dwunastoletni chlopiec, powiedziales cos takiego wujowi?

- O, wtedy mialem juz trzynascie, moze nawet czternascie lat. Tak, powiedzialem mu o tym i chyba oberwalem za karę. Mowiac szczerze, w moich wspomnieniach Caroline to radosna, beztroska kobieta, ni mniej ni wiecej. Ale rzadko tu bywalem. Jesteś zazdrosna o druga zone wuja Lawrence'a?

Milczalam, przygladajac mu sie z uwaga.

- Gdyby choc przez chwile pomyslec, ze ta kobieta, ktora odwiedzila mnie wczoraj, istniala naprawde, to chyba tylko tobie zalezaloby na wyploszeniu mnie z Devbridge Manor.

- Niewatpliwie. Nie pasujesz tutaj, nie powinnaś być mloda zona mojego wuja, który spędza noce samotnie w swoim apartamencie, podczas gdy ty spisz sama w oddzielnej sypialni.

- To nie twoja sprawa, gdzie śpimy.

W jego czarnych oczach błysnął gniew. Tym razem nie mogłam mieć wątpliwości. Ciemne źrenice zaświeciły intensywnym, mrocznym blaskiem, który uderzył mnie jak młotem.

- Chętnie wrzuciłbym cię do powozu i natychmiast odwiózł do Londynu - wymamrotał niskim głosem. - Ale ty wiesz, Andy, że nigdy nie nazwałbym cię obrazą dla tego domu. A tak powiedziała ta kobieta?

Potem odwrócił się i wyszedł, zanim zdążyłam cokolwiek zrobić. Wyjrzałam przez okno. Chwilę po prostu stałam, wczuwając się w atmosferę pokoju. Szukałam tej nieuchwytej siły, która zmusiła Amelię do krzyku, kiedy czekałam za drzwiami. Nagle pomyślałam, że to Caroline szuka mnie w swoim dawnym pokoju.

- Mam nadzieję, że czujesz się lepiej, Andy. Oczywiście to nie była Caroline.

- Judith - powiedziałam, odwracając się z radością. W tej dziewczynce nie kryły się żadne złe moce. - Wszystko w porządku, dziękuję.

- Martwiłam się o ciebie, Andy. Panna Gillbank także. Powiedziała, że przeżyłaś straszną noc i że ona sama nie miałaby odwagi przebiec tak do sąsiedniej komnaty.

- Chyba każdy z nas odważy się na wszystko, jeśli zostanie do tego zmuszony.

- Co tu robisz?

- To pokój muzyczny twojej mamy, prawda? Judith potaknęła, po czym przeszła się wokół, dotykając ścian opuszkami palców.

- Tak mi mówiła pani Redbreast. Opowiadała, że moja mama bardzo pięknie grała na harfie. Chyba nie odziedziczyłam jej talentu. Panna Gillbank zachęca mnie, żebym ćwiczyła, ale chyba sama wie, że sprawa jest beznadziejna. Andy, co się właściwie stało wczoraj? Wierzysz, że to tylko sen?

- Cóż, tak twierdzą wszyscy, więc może to prawda.

- Brzmi zgrabnie, ale niewiele wyjaśnia.

Z tą małą nie pójdzie mi tak łatwo, jak z resztą rodziny, pomyślałam.

- Czy umiesz dotrzymać tajemnicy, Judith? Podeszła do mnie z szeroko rozwartymi oczami.

- Nikomu nie powiem.

- Ta starucha wydawała mi się bardzo realna.

- Skąd wiesz?

- George też ją widział. Szczekał jak opętany i chciał się na nią rzucić. A psy nie szczekają na cudze koszmary.

- Nie, dobry Boże, ty masz rację. Czy mówiłaś o tym ojcu?

- Nie. Posłuchaj mnie, Judith. Dorośli nie wierzą w rzeczy, których nie da się rozsądnie wytłumaczyć. Nie uwierzyliby nawet wtedy, gdybym powiedziała im o George'u. Woleliby pozostać przy swojej wymyślonej teorii.

- Ale ty znasz prawdę. Czy wiesz już, co robić? Uśmiechnęłam się do niej i z pewnym trudem odpowiedziałam szczerze na pytanie.

- Pytasz, czy wyjadę z Devbridge, zanim ktoś sprawi, że „zapłacę za to wszystko”?

- Tak powiedziała ta kobieta?

- Między innymi.

- Za co masz zapłacić?

- Nie wiem. Ale jestem złem, które wciąż powraca do tego domu. Czy ty rozumiesz, o co chodzi?

Potrząsnęła głową. Może byłam zbyt otwarta, ale czułam, że Judith zasługuje na prawdę.

- Żałuję, że nie potrafię ci pomóc - powiedziała po chwili, po czym podeszła do mnie pod okno. - Często stawałam tutaj, żeby patrzeć, jak ogrodnicy strzygą trawnik przed domem. Pamiętam słodki zapach trawy. Nie, nie chcę, żebyś wyjeżdżała, Andy, ale wiem, że musisz być przerażona.

- Ja także nie chcę wyjeżdżać. Jestem teraz panią tego domu i niektórzy powiedzieliby, że powinnam tu być.

- W takim razie, co teraz zrobimy?

„My”, nie tylko ja i George. Judith wyciągnęła do mnie rękę. Serdecznie ją uścisnęłam

- Pójdiesz ze mną do Błękitnej Komnaty? Może uda nam się odkryć, kto mnie tak wystraszył. Starucha miała w ręku nóż Johna. Później nóż leżał na swoim miejscu. Jak to się mogło stać?

- Och nie, chyba nie wierzysz, że to John przebrał się za wiedźmę, po czym wszedł do twojej sypialni?

- To był jego nóż. Kiedy pobiegłam do jego pokoju, otworzył dopiero po paru minutach. Ciekawe dlaczego.

- Myślisz, że potrzebował czasu, żeby ściągnąć z siebie perukę i suknię staruchy i zamknąć mauretański nóż z powrotem w szklanej szkatule.

- Ale, Andy, skoro wybiegłaś przed nim z pokoju i nikt cię nie ścigał, to jak zdołałby dotrzeć do sypialni przed tobą?

- To znakomite pytanie, nie sądzisz? I jeszcze coś, Judith. Przed snem zamknęłam Błękitną Komnatę na klucz.

Judith przekrzywiła głowę. Gruby pęk blond włosów spłynął łagodnie na jej policzek.

- Nie rozumiem. Zaraz... poczekaj! - Nagle Judith, grzeczna młoda dama, która zakładała się o pieniądze, zagwizdała. - Inna droga do Błękitnej Komnaty? Sekretne przejście? O tym myślisz, prawda? Andy, niech mnie! Czarny, wąski korytarz, który wije się między ścianami domu. Fantastyczne!

- Jest jeszcze druga możliwość - powiedziałam. - Parapet między oknami. Daje się po nim przejść z jednego pokoju do drugiego. - Nie zamierzałam tłumaczyć dziewczynce, że w ten sposób jej matka uciekła, żeby popełnić samobójstwo.

- Wolałabym sekretne przejście - zaprotestowała Judith, po czym wyprowadziła mnie z pokoju.

Pomyślałam, że ja sama wolałabym przejście. Czy nie popełniłam błędu, wtajemniczając Judith w moje problemy? Wydawało mi się, że nie, ale w Devbridge wszystko wychodziło nie tak. Przynajmniej od mojego przyjazdu.

- Słyszałaś kiedyś o jakimś ukrytym korytarzu? Może twój ojciec albo Brantley wspominali o czymś takim?

- Nie - odparła, wyraźnie rozczarowana. - Ale jeśli któryś prowadzi do Błękitnej Komnaty, to już my go znajdziemy. Chociaż z drugiej strony, Andy, warto by rzeczywiście

zapytać ojca. Pewnie będzie wiedział, prawda?

- Pewnie tak.

Nie mogłam specjalnie wypytywać Lawrence'a o sekretne przejścia. Oczywiście z pewnością był najważniejszym źródłem informacji, ale nie mogłam dać mu poznać, że wcale nie zmieniałam zdania w sprawie wczorajszych wypadków. Natychmiast domyśliłby się, że nadal uważam staruchę za prawdziwą istotę.

- Nie pytaj go o to, Judith. Przez jakiś czas zajmiemy się tą sprawą na własną rękę. Ale my, we dwie, możemy poświęcić jej parę chwil. Dobrze?

Zgodziła się bardzo szybko. Czy mogłam liczyć na dyskrecję dwunastoletniej dziewczynki? Otworzyłam drzwi i weszłyśmy do mojej sypialni. George spał przed kominkiem. Otworzył oczy, zobaczył Judith i najwyraźniej przypomniał sobie, że mała go uwielbia, bo leniwie wstał i przeciągnął po kolei wszystkie łapki. Ale nie zaszczekał.

- Chyba Brantley udzielił mu kolejnej lekcji - powiedziałam, oszołomiona. - To dlatego jeszcze nie szczeka.

Judith uklękła przy George'u.

- Tęskniłeś za mną? - zapytała głosem pełnym szacunku. Czy chciałbyś dzisiaj ze mną spać? Mogę się zakraść do kuchni i przynieść ci, na co tylko masz ochotę. - Popatrzyła na mnie. - Czy da się go przekupić, Andy?

- Oczywiście, że tak. Uwielbia chrupiący bekon. Daj mu kawałek, a będzie twój.

George polizał Judith i pozwolił się wziąć na rękę. Bezwstydnik.

Judith roześmiała się, a pies zaczął wylizywać jej twarz, dopóki nie wysechł mu język.

- Czemu poszłaś do pokoju mamy, Andy? - zapytała.

- Ja też lubię widok z jego okien. Poza tym chciałabym go jakoś wykorzystać. Może na gabinet do pisania listów i innych rzeczy?

Kiwnęła głową. Chyba nie miało to dla niej znaczenia. Nic dziwnego, zważywszy, że jej matka umarła niedługo po porodzie.

- To duży pokój - powiedziałam. - Chyba zacznę od ściany przy kominku.

Judith delikatnie położyła George'a na dywanie. Mój pies zasnął natychmiast. Przysięgłabym, że na jego mordce widniał bezczelny uśmiezek. Judith podeszła do przeciwległej ściany.

- Szukamy głuchego dźwięku - poinstruowałam ją, zaczynając ostukiwanie.

Po chwili obie stukałyśmy w ściany. Jednak nie minęło nawet parę minut, a ktoś nam przerwał, stukając w drzwi. Błyskawicznie zeskoczyłam z krzesła. To była Amelia. Weszła do sypialni, po czym zbliżyła się i położyła mi dłoń na ramieniu.

- Posłuchaj, Andy, przypominałam sobie coś więcej na temat wczorajszych wydarzeń. Przed chwilą położyłam się na parę minut, bo Thomas mnie o to błagał. Ledwo zamknęłam oczy, przypominałam sobie, jak drzwi uderzyły cię w twarz. I że krzyknęłaś. - Nagle urwała. - Dobry Boże, to ty, Judith. Co ty tu robisz? Czemu stoisz na krześle?

- Przepraszam, Amelio... - Judith miała przerażoną minę. - Wiesz, znalazłam Andy i ona... eee...

- Chciałam powiesić obraz - dokończyłam. - Judith właśnie szukała właściwej wysokości.

Nie chciałam, żeby Amelia dowiedziała się o naszych poszukiwaniach. Wtedy już nikt by nie uwierzył, że nabrałam rozsądku.

Judith sprytnie milczała.

- Judith odwiedzała także George'a. Jest jego drugą wielką miłością, po Johnie - dodałam. - Ale George właśnie poszedł spać. Czy nie musisz wracać teraz na lekcje, Judith?

- Tak, Andy. Mogłabym przyjść jeszcze wieczorem? Pomogłabym ci powiesić obraz i potarosiłabym George'a.

- Oczywiście, serdecznie cię zapraszam. Amelia nie wypowiedziała ani jednego słowa więcej, dopóki Judith nie zamknęła cicho drzwi.

- Co jeszcze pamiętasz, Amelio? - zapytałam, prowadząc ją w kierunku krzesła przed kominkiem.

George łypnął na nią jednym okiem, po czym zasnął. Amelia usiadła, bawiąc się frędzlem przy rękawie sukni.

- Przypominam sobie, że wołałaś mnie, a ja stałam i patrzyłam na zamknięte drzwi. Nic nie robiłam i nie chciałam niczego robić. Potem położyłam świecznik na podłodze i położyłam się na boku z policzkiem na dłoni. Czułam się taka zmęczona. Nagle nie mogłam już utrzymać uniesionych powiek. I wtedy...

- Amelio, na litość boską, powiedz to wreszcie.

- Nie jestem szalona, wiem, że nie.

- Mów.

- Nad moją głową zebrało się takie ciepłe i gęste powietrze. Ale nie bałam się, Andy. Rozległ się taki dziwny, aksamitny głos. Usłyszałam go gdzieś w środku mnie samej. Powiedział, że przepraszam, że nie jestem tą właściwą. Potem przebudziłam się i zobaczyłam Thomasa i Johna.

Milczałam. Jeszcze nigdy w życiu nie czułam się tak przerażona. Nawet ostatnia noc i wizyta staruchy nie doprowadziły mnie do takiego stanu. Bo starucha z nożem była

człowiekiem z krwi i kości, a to nie. Cokolwiek ukazało się w pokoju muzycznym, chciało mnie, a nie Amelii. Nie mogłam w to wątpić.

- Wszyscy uznaliby mnie za wariatkę, ale kiedy Thomas przyznał się, że widział w tej komnacie jakąś młodą damę, postanowiłam wszystko ci opowiedzieć. Nie powtórzysz tego nikomu, prawda? Obiecuj mi, Andy. Thomas tak się o mnie martwi. Żeby się tylko przeze mnie nie rozchorował.

- Dobrze - odparłam, po czym dokładnie przemyślałam następną wypowiedź. - Amelio, czy wiedziałaś, że tamta pusta komnata to pokój muzyczny Caroline?

- Chyba tak. Zmarła dawno temu, więc niezbyt się tym przejmowałam. Sądzisz, że ona chciała ciebie, a nie mnie? Że to jej duch był tam wczoraj?

- To brzmi sensownie, czyż nie?

Amelia wstała, a jej delikatna twarz przybrała wyjątkowo zdecydowany wyraz.

- Nie obchodzi mnie, co Thomas o tym myśli. Natychmiast piszę do ojca, Andy.

- Znakomicie.

Wymaszerowała z mojej sypialni, zanim zdążyłam powiedzieć cokolwiek więcej. George uniósł łepkę i szczechnął.

Przez następną godzinę pracowicie opukiwałam drzwi, ale nie natrafiłam na żaden głuchy dźwięk. Nagle coś usłyszałam. Szybko się odwróciłam, by spojrzeć na drzwi. Zobaczyłam, jak klamka wolno się przekręca... Omal nie spadłam z krzesła.

Wtedy rozległo się ciche pukanie.

Musiałam wziąć się w garść. Sama zamknęłam te przeklęte drzwi, więc teraz musiałam je otworzyć. To nie była ani Caroline, ani koszmarna starucha, tylko Belinda.

- Jego lordowska mość mówi, że pani drzemała. To bardzo dobrze - powiedziała z szerokim uśmiechem. - Czy wszystkie duchy już uleciały z pani snów, milady?

- Nie zostało po nich ani śladu.

- To wspaniale. Złe sny są jak niektórzy ludzie, mawiała moja mama. Czasem po prostu wbijają się do głowy i sam diabeł nie może ich przegonić. - Belinda nie przestawała mówić, wyciągając suknię, którą uznała za odpowiednią na dzisiejszy wieczór. Nawet nie zapytała mnie o zdanie, tylko skinęła głową i wygładziła precudną, brzoskwiniową, jedwabną spódnicę z narzutą ciemniejszej barwy.

- A teraz wstążki - powiedziała do siebie Belinda. - O, tu są, jakie poplątane. Skąd się wziął ten bałagan...

Popatrzyła na mnie. Stałam bez ruchu, nie przyglądając się nawet, co robi.

- Pierwsze dni w nowym domu zawsze są trudne - dodała tonem zmartwionej niani. -

Nowe domy potrafią sprawić, że człowiek denerwuje się jak kanarek, który wypija kotu mleko. Kąpiel dobrze pani zrobi.

I tak oto w godzinę później, kiedy nareszcie wyschły mi włosy, zapukałam do drzwi panny Crislock. Dałam jej pięć minut na wyrażenie wszystkich obaw i trosk. Poskarżyła się, poradziła, co mam robić, i poklepała mnie po ramieniu co najmniej sześć razy.

- Tylko nie myśl teraz o mnie, Andy - powiedziała na koniec. - Czuję się świetnie. Wszyscy bardzo mi pomagają, szczególnie pani Redbreast. Dzisiaj chyba nie zjem kolacji ze wszystkimi. Jestem trochę niedysponowana i raczej nie powinnam się teraz pokazywać nowej rodzinie. Baw się dobrze, moja droga, i spróbuj zapomnieć o tych wszystkich okropnościach, które może nawet nie miały miejsca.

Pocałowałam ją, uściskałam, życzyłam lepszego zdrowia, po czym zeszłam na dół, prostując plecy.

Belinda zapewniła mnie, że wyglądam jak urocza, śliczna dama. Wolałabym wyglądać jak wściekła, brzydka i groźna wiedźma. Przydałby mi się pistolet, pomyślałam. Tylko skąd go wziąć? Sama świadomość, że nie jestem bezbronna, sprawiła, że poczułam się znacznie bezpieczniej.

- Milady - powiedział Brantley. - Czy wolno mi powiedzieć, że wygląda pani tak olśniewająco, jakby nie przeżyła pani żadnych dramatycznych przygód?

- Z pewnością wolno. Dziękuję.

Podszedł bliżej i ku mojemu zdumieniu ściszył głos do szeptu.

- Całe szczęście, że lord i lady Appleby już wyszli i uniknęła pani ich nieznośnego towarzystwa.

- Czy są aż tak straszni?

- Gorszi niż mały Cockly z wioski, który pomalował wszystkie kaczki ze stawu.

- Pomalował? Na jaki kolor? Ciałem Brantleya wstrząsnął dreszcz.

- Na różowo, milady. Ten mały łobuz pomalował je na różowo.

- Niemniej jednak jej lordowska mość z pewnością ucieszy się, że za trzy tygodnie w piątek zamierzamy wydać bal na jej cześć - powiedział mój mąż, który właśnie wchodził do jadalni z salonu.

- To dwa tygodnie przed Bożym Narodzeniem, wuju.

- Tak, Amelio. Wydamy pierwsze przyjęcie w sezonie, a że Andy zajmie się przygotowaniem, z pewnością będzie to też najwspanialsza impreza tej zimy. Co o tym sądzisz, moja droga?

- Przyjęcie świąteczne. Jestem zachwycona. Dziadek co roku urządzał huczną zabawę

w Deerfield Hali. To bardzo miłe z twojej strony, Lawrence. Mam nadzieję, że wszyscy mi pomogą.

Szczerze mówiąc, nie byłam pewna, co o tym myśleć. Zbyt wiele się wydarzyło w zbyt krótkim czasie. A teraz miałam wydać przyjęcie?

- Och, oczywiście, nie martw się, Andy - powiedziała Amelia. - Niestety, chyba nie możemy się już wycofać. Właśnie byli tu lord i lady Appleby. Ich córka, Lucynda, bardzo interesowała się Johnem. Na pewno wiąże z nim pewne nadzieje. - Amelia zachichotała.

Uśmiechnęłam się, widząc, że John i Thomas wchodzą do holu. Obaj marszczyli brwi, choć z bardzo różnych powodów.

- Już zdążyłeś uwieść jakąś miejscową pannę, John?

- Co takiego? Ach, masz na myśli pannę Appleby. - John wzdrygnął się tak samo jak Brantley, kiedy mówił o małym łobuzie, Cocklym. - Przecież to jeszcze dziecko.

- Co ty mówisz, John? - zaprotestowała Amelia. - Ona jest tylko dwa lata młodsza od Andy. Ach, te tęskne spojrzenia, którymi cię obdarzała... Wyglądała jak zboląta kałamarnica. Właśnie opowiadałam wujowi Lawrence'owi, że mama Appleby chce cię porwać dla swojej małej córeczki.

Amelia urwała nagle i rzuciła się w stronę męża.

- Och, Thomasie, najdroższy, co się stało? - Poblądłymi palcami badała jego policzki i czoło. - Źle się czujesz? Co cię boli? Powiedz koniecznie, to może uda mi się jakoś ci pomóc.

- Nie, nic mi nie jest - odparł Thomas, po czym potrząsnął głową, myśląc o czymś, o czym nikt poza nim nie wiedział. Bez słowa wyszedł i wrócił do salonu. Amelia patrzyła za nim z otwartymi ustami.

- Nie wierzę - powiedział wolno Lawrence, śledząc wzrokiem odchodzącego bratanka.

- Miał okazję wymyślić jakąś nową chorobę bądź uraz i nie wykorzystał jej? Co się stało twojemu mężowi, Amelio?

- Nie wiem - szepnęła. - I to mnie martwi. Panna Gillbank znów zjadła z nami kolację. Miała na sobie jedną z moich sukni, specjalnie przykrojoną przez Belinę. Jej klasyczne rysy wspaniale prezentowały się w muślinowej, błękitnej kreacji. W czasie rozmowy guwernantka zapytała o pannę Crislock, którą poznała tego dnia, będąc z Judith w ogrodzie. Nikt nic nie mówi! na temat starej kobiety. Nikt nie wspominał o wypadkach poprzedniego dnia. Co do Thomasa i Johna, obaj wydawali się roztargnieni i nie stanowili zbyt interesującego towarzystwa.

Mój mąż odprowadził mnie do sypialni, ale tym razem nie chciałam wejść do środka. Po prostu nie chciałam. Dzień już się skończył. Było ciemno, bardzo ciemno, pokój oświetlał

tylko słaby blask księżyca. Jasper wyprowadził George'a na spacer. Żałowałam, że nie wyprowadził i mnie. Zaczekałam w korytarzu, dopóki nie usłyszałam, że wracają.

- Znakomity wybór, panie George - powiedział Jasper. - Ten stary cis zasługiwał na uwagę, nawet jeśli miała się ona objawić w tej niezbyt estetycznej, płynnej postaci. Tak, dobra robota.

Nadal nie chciałam wejść do komnaty. Jednak podziękowałam Jasperowi, chwyciłam George'a w ramiona i zmusiłam się do otwarcia drzwi.

ROZDZIAŁ 17

W środku paliły się świece w trzech lichtarzach. Na kominku płonął solidny ogień. Było ciepło, ale ja stałam jak sparaliżowana i ściskając George'a nieco zbyt mocno, czułam, jak krew ścina mi się w żyłach. Wpatrywałam się w cienie, chociaż nie widziałam niczego wyraźnie, wszędzie szukałam ukrytego zagrożenia.

George szczechnął i usiłował się ode mnie uwolnić. On najwidoczniej nie dostrzegł niczego groźnego. Ale ja nadal w bezruchu wpatrywałam się w okna. Belinda zaciągnęła zasłony. Prosiłam, żeby tego nie robiła, ale widocznie zapomniała. A może chciała mnie oduczyć tego, co uważała za niezdrowy nawyk. Zamknęłam drzwi, pokręciłam klamką na wszystkie strony i upewniłam się, że nie można jej otworzyć. Odsunęłam draperie i otworzyłam okno, wpuszczając do środka chłodne, suche powietrze. Przez chwilę obmywałam w nim twarz i głęboko oddychałam.

W pokoju nic się nie ukrywało. Możliwe, że jeśli rzeczywiście zamknęłam drzwi ostatniej nocy, to ktoś włamał się przez otwarte okna. Zatrzasnęłam je na cztery spusty. Jeszcze raz przyjrzałam się otworom po kratkach. Czy Caroline nadal bywała w Błękitnej Komnacie, czy straszliwa śmierć trzymała ją blisko tego miejsca? Co za biedna, biedna dziewczyna. Nie wyobrażałam sobie, na czym polegała jej choroba, ale wiedziałam, że szaleństwo istnieje naprawdę. Jeden z najlepszych przyjaciół dziadka zapomniał nawet własną żonę i dzieci. W dniu, kiedy nie poznał dziadka, ja po raz pierwszy ujrzałam go płaczącego. Powiedział, że jego przyjaciel umrze zupełnie samotny, bo nie pamięta nikogo, kto będzie go opłakiwał.

Zdjęłam suknię i wciągnęłam przez głowę koszulę nocną. Zawiązałam bladoniebieskie, satynowe wstążki w eleganckie kokardki. To chyba moja mama nauczyła mnie tej sztuczki, już tyle lat temu. Nie mogłam nawet sobie przypomnieć jej twarzy. Podniosłam George'a i razem wdrapaliśmy się na stos ciepłych przykryć. W nocy nie obudziłam się ani razu.

Następnego ranka pojechałam na Małej Bess do Devbridge - on - Aston, wioski zbudowanej wokół placu kościelnego. Obok kościoła mieścił się cmentarz, którego najstarszy grób pochodził z roku 1311, a nieco dalej wił się strumień. Przypatrzyłam się białym kaczkom i kępom niewyrośniętych dębów i lip. Pośrodku szeregu kamiennych domów stała bardzo stara oberża o nazwie „The Queens Arms”. W miasteczku był też rzeźnik i kowal, którego młot dźwięczał głośno w porannym powietrzu, a także kilka małych sklepików ze

wszystkim, od tytoniu aż po skórę i beczki. Wielu mieszkańców krzątało się wokół swoich spraw. Uśmiechałam się i w ten sposób poznałam wielu z nich. Wszyscy zachowywali się przyjaźnie, co bardzo doceniłam. Przez wiele lat w Devbridge brakowało pani. Zaczęłam zapamiętywać imiona, co miało mi zapewnić popularność. Staralam się też wydać trochę pieniędzy w każdym sklepie, do którego zaglądałam. Na koniec zajrzałam do rusznikarza, którego siedziba mieściła się w małym pokoiku na parterze, na krańcu High Street. Właściciel nazywał się Forrester i był małym, śmiejącym się człowieczkiem o pomarszczonej twarzy i łysej głowie, który wyglądał na równolatka mojego męża. Wiedział, kim jestem, i chętnie powitał mnie w Devbridge nad Ashton. Jako hrabina, pani z Wielkiego Dworu, zdawałam sobie sprawę, że każde moje słowo i gest lub wymowne spojrzenie będą szeroko komentowane i omawiane przez całą wioskę. Gdyby dziadek obserwował mój przejazd przez miasteczko, z pewnością poklepałby mnie po policzku i powiedział, że zachowywałam się dokładnie tak, jak powinnam. Traktowałam ludzi z szacunkiem, na który pewno zasłużyli. Wszyscy uznali mnie chyba za prawdziwą damę, o ile oczywiście nie spostrzegli wrednego błysku w moich oczach. Wtedy dziadek wybuchnąłby śmiechem.

- Ashton to nazwa tego wąskiego, krętego strumienia, który niegdyś był o wiele szerszy - tłumaczył pan Forrester. - Szczególnie w czasach Cromwella.

Po dziesięciu minutach dalszej obserwacji postanowiłam zaryzykować.

- Co się stało z małym Cocklym, panie Forrester, tym, który pomalował kaczki na różowo?

Muszę przyznać, że go zaskoczyłam. Po chwili uśmiechnął się szeroko.

- Został zbity przez samego proboszcza, dostał dwanaście klapsów, po czym musiał wyczyścić te biedne kaczki. Ale go podziobały, małe diablice!

I właśnie wtedy, kiedy jeszcze śmiał się z historii o różowych kaczkach, poprosiłam, żeby znalazł mi najmniejszy pistolet, jaki istnieje. Miał to być rzekomo prezent gwiazdkowy dla kuzyna, który potrzebował niewielkiej, poręcznej broni. Pan Forrester powiedział, że najlepszy będzie pistolet, broń wystarczająco mała, by zmieścić się do torebki damy, o ile oczywiście jakakolwiek dama chciałaby mieć do czynienia z czymś tak odstręczającym jak broń. Pan Forrester obecnie nie trzymał pistoletów w sklepie, ale kiedy ku jego zachwytowi zamówiłam najdroższy pistolet z zaoferowanych, obiecał zdobyć go przed upływem tygodnia. Zapłaciłam z góry, czym zaskarbiłam sobie podziw i trzy głębokie ukłony pana Forrestera i jego małych wnuków, którzy odprowadzili mnie do wyjścia.

Zajrzałam jeszcze do rzeźnika, zamówiłam wieprzowinę, którą mi polecił, kupiłam trochę naczyn i w końcu odnalazłam miejscową szwaczkę, u której natychmiast zamówiłam

trzy szlafroki z najszlachetniejszych materiałów, jakie miała. Na koniec weszłam do starego kościoła. Spotkałam się z wikarym, panem Bournem, gdyż powiedziano mi, że proboszcz odwiedzał właśnie biskupa w Yorku.

Po powrocie do Devbridge Manor zobaczyłam, że Piorun właśnie usiłuje staranować jednego ze stajennych. Bez namysłu zeskoczyłam z Małej Bess i podbiegłam do chłopca.

- Oddaj mi lejce - powiedziałam, a on wykonał polecenie bez dyskusji.

Nie pociągnęłam ani nawet nie zwinęłam lejców, tylko pozwoliłam Piorunowi wierzgać jeszcze energiczniej. Zarżał, prychnął i machał przednimi kopytami. Był rozwścieczony do ostatnich granic. Trzymałam się tak daleko od niego, jak tylko mogłam, ale jednocześnie zaczęłam do niego mówić. Tak, jak uczył mnie dziadek, zniżyłam głos i czule powtarzałam różne brednie, głównie o tym, że wszystko będzie dobrze, że Piorun jest wspaniałym rumakiem i że sama bym się zdenerwowała, gdyby ktoś mnie szarpnął tak, jak stajenny szarpnął jego. Obiecałam mu też wielkie jabłko w nagrodę za uspokojenie.

Stopniowo, bardzo stopniowo przestawał wierzgać, a ja powoli ściągałam lejce, zbliżając się do jego szyi, dopóki nie poczułam na twarzy ciepłego oddechu konia. Zadrżał.

- Już dobrze - powiedziałam i pozwoliłam mu wbić pysk pod moje ramię. Omal mnie nie przewrócił. Mówiłam do niego jeszcze przez pięć minut, zanim wreszcie opuścił głowę. Na koniec wezwałam cicho stajennego, który stał nieopodal blady i spocony, wykręcając ręce ze zdenerwowania.

- Sytuacja opanowana. Przynieś mi jabłko, tylko szybko.

Dałam temu pięknemu koniowi ogromne jabłko. Poczułam jego wargi na dłoni. Potem nakarmiłam go marchewkami, które podsunął mi Rucker. Bez słowa objęłam Pioruna za szyję, po czym wskoczyłam na jego nagi grzbiet. W Londynie nigdy nie mogłabym sobie na to pozwolić, ale w Yorkshire to ja byłam panią. Koń spojrzał na mnie z uwagą.

- Tylko ty i ja, Piorunie. Pospacerujmy sobie, dopóki się nie uspokoisz i nie odzyskasz dobrego humoru.

I tak zrobiliśmy. Piorun szedł przez chwilę, potem z nudów przeszedł w kłus. Nie pozwoliłam mu galopować, bo gdyby znów odezwała się w nim złość, nie umiałabym nad nim zapanować. Pojechaliśmy nad strumień, tam z niego zeskoczyłam.

- Nauczę tego chłopca moresu. Już nigdy nie pociągnie cię za lejce. Jeśli tylko spróbuje, będziesz mógł go kopnąć. Nie, on już cię nie zdenerwuje.

Usłyszałam śmiech. Oczywiście to nadchodził John. Kiedy się odwróciłam, stał niecałe dwa metry ode mnie. Miał na sobie strój do jazdy i trzymał czapkę w prawej dłoni. Wyglądał potężnie i niebezpiecznie. Instynktownie cofnęłam się o krok i wpadłam prosto na

Pioruna. Koń tylko trącił mnie pyskiem.

Śmiech spełził Johnowi z ust. Nie chciałam się z nim spotkać na polu bitwy. Niemal widziałam nieistniejący miecz w jego dłoni. Najwyraźniej był wściekły. No cóż, czego mogłam się spodziewać? Zabrałam jego konia.

- Coś ty, do cholery, zrobiła?

Oczywiście nie gniewał się wyłącznie o konia. Chodziło o to, że znów przed nim uciekłam.

- Czy Rucker ci nie powiedział, że wzięłam Pioruna na przejażdżkę, żeby się uspokoił?

- Mówiłem, żebyś nigdy na niego nie wsiadała. - John zerknął na Pioruna i uderzył go ręką w czoło. - Najwidoczniej Rucker nie uznał za konieczne poinformować mnie, że pojechałaś na oklep. Czyś ty oszalała?!

- Nie sądzę - odparłam. - Szczególnie odkąd zmieniłam swoją wersję wydarzeń w Błękitnej Komnacie, nikt nie uważa mnie za nową Caroline. Nie skrzywdziłam twojego przeklętego konia i nic mi się nie stało. A jak tam twój nóż, John? Śpi spokojnie na aksamitnej poduszeczce?

- Przestań.

Chciałam wskoczyć na grzbiet Pioruna, ale wiedziałam, że mi się nie uda. John nie mógł mnie skrzywdzić, kiedy jego koń rozkosznie trącał mnie nosem w szyję.

- Nie zachowuj się jak żołnierz w starciu z nieprzyjacielem. Posłuchaj mnie. Nie zasłużyłam na twój gniew. Gdybym nie wzięła lejca, Piorun zmiażdżyłby stajennego.

W tej samej chwili Piorun zaczął żuć moje włosy. John spojrzał na swojego konia, potem na mnie i wreszcie wybuchnął mimowolnym śmiechem.

- Zasłużyliście na baty - oświadczył, po czym zaczął delikatnie wyplątywać moje długie loki spomiędzy zębów konia.

- Tylko pomyśl, kto inny mógłby się na to zdobyć? - zapytałam jak ostatnia kretyńska.

- Nie sięgasz mi nawet do brody. To prawda, jesteś silna. Właśnie dosiadłaś Pioruna, co dla niewiasty stanowi niemały wyczyn. Ale i tak nadal mógłbym ci zrobić, co tylko bym zechciał. Bądź łaskawa poskromić swój język, pani. Och tak, chętnie bym cię stłukł na kwaśne jabłko.

Nagle porwał mnie w ramiona. Piorun zarżał, a ja upuściłam lejce i w panice usiłowałam się uwolnić. Musiałam mieć straszny wyraz twarzy, bo John natychmiast mnie wypuścił. Popatrzyłam prosto w białą, rozmytą pustkę, a potem zrobiło mi się czerwono przed oczami. Krzyknęłam przeciągle i padłam na kolana.

Usłyszałam czyjś wrzask, ktoś jęczał w agonii. Widziałam bladą twarz mojej matki, jej oczy pełne łez i wykrzywione w przerażeniu usta. Pośród krzyków zjawił się nagle mężczyzna. Rozejrzał się, po czym wzruszył ramionami i odszedł. Wrzaski nie ustawały, aż nagle wszystko zniknęło i przed oczami stanęła mi znów ta pusta biel.

John natychmiast runął na kolana naprzeciwko mnie. Przytulił mnie do siebie, jego ręce głaskały mnie po plecach. Czułam jego twarde, silne ciało. Przez chwilę pragnęłam dostać całą jego moc dla siebie, ale wiedziałam, że to niemożliwe. Jego głos szeptał mi do ucha kojące słowa. Nie rozumiałam, co mówi. Mój kapelusz leżał na ziemi. Wtedy ręce Johna wdarły się w moje włosy, rozwiązały wstążki i wyjęły klamry, które Belinda wpięła z takim poświęceniem. Jego palce dotknęły mojej głowy. Aż nagle się wycofały. Wbrew własnej woli popatrzyłam na Johna. klęczeliśmy naprzeciwko siebie w dziwnych pozach. Wiedziałam, że to niestosowne. Byłam przecież żoną jego wuja i zdawałam sobie z tego sprawę, tak samo jak z faktu, że tuż obok mnie był mężczyzna. Mężczyzna, który z łatwością mógłby mnie skrzywdzić, poniżyć, zranić, tak że krzyczałabym i krzyczała aż do śmierci. Zaczepnęłam głęboko powietrza, po czym powoli zaczęłam się od niego odsuwać. Opuścił ręce i zerwał się błyskawicznie na równe nogi. Po chwili podszedł do konia i miękko wskoczył mu na grzbiet.

- Powiedziałem ci, że nigdy nie zaznasz ode mnie krzywdy - powiedział z wysokości grzbietu Pioruna. - Ten strach to coś bardzo mrocznego, co tkwi głęboko w tobie. Cokolwiek to jest, jest złem, bo niszczy ci życie. Przez ten lęk poślubiłaś starca. A ja? Spójrz tylko, pani. Twoja obecność pozbawia mnie męskości. Dobry Boże, to się musi skończyć. - Jego twarz wyrażała taki ból, że nie potrafiłam znieść tego widoku.

Wbił buty w boki Pioruna i odjechał.

Bardzo długo nie mogłam się ruszyć. Jeszcze dłużej zaplatałam włosy, upinałam wstążki i doprowadzałam do porządku kapelusz.

Powrót do dworu zajął mi dwadzieścia minut. Koń, którym John przyjechał nad strumień, najwidoczniej sam znalazł drogę do stajni. Spotkałam się z panią Redbreast i przedyskutowałam problem wymiany obrusów, które zbyt wiele razy były cerowane. Potem ustaliłam z kucharkami menu na nadchodzący tydzień. Razem z George'em pobawiłam się z Judith i uczestniczyliśmy w jej lekcji geografii. Nauczyłam się nawet, jak powiedzieć „dzień dobry” po chińsku, w dialekcie mandaryńskim.

Panna Crislock towarzyszyła nam przy kolacji, co sprawiło mi ogromną radość. Tylko ona naprawdę mnie znała. I kochała.

John nie przyszedł.

Mój mąż odprowadził mnie do sypialni i delikatnie ucałował w policzek. Następnie

jeszcze przez godzinę spacerowałam z George'em, dopóki zimno nie zmusiło nas do powrotu.

Tej nocy spałam okropnie, w przeciwieństwie do George'a, który chrapał w najlepsze aż do samego rana.

ROZDZIAŁ 18

Dni mijały szybko. John rzadko bywał w majątku Devbridge Manor. Krążyły wieści o tym, że lady Appleby dopadła go i przykuła łańcuchem do stołu, tak by jej córeczki mogły do niego robić słodkie oczy. Mam nadzieję, że cierpiał. Serdecznie mu tego życzyłam.

Co do Thomasa, to chyba wrócił do siebie. Wmówił sobie, że zaraził się ospą wietrzną od dzieci ze wsi. Nie zanotowano tam jednak przypadków ospy i w końcu okazało się, że to tylko niegroźna wysypka. Amelia uważała, że wywołała ją prawdopodobnie szorstka wełna, która otarła mu pierś. Teraz własnorecznie sprawdzała każdą tkaninę, która mogła wejść w kontakt z ciałem ukochanego męża.

Podobno Lawrence opowiadał, że John uczy się wszystkiego, co może, i że uczy się szybko. I dlatego - jak stwierdził pewnego wieczoru przy kolacji - tak rzadko go widzimy. Był zajęty. Cieszyłam się, że nie spotykam go zbyt często, a jednocześnie bardzo mnie to smuciło. Dlatego uznałam, że chyba brakuje mi piątej klepki.

Nie widywałam się z Johnem i wiedziałam, że tak jest lepiej. Z drugiej strony było coś, czego nie chciałam wiedzieć, badać i rozumieć. Coś, czego nie chciałam do siebie dopuścić.

Mały elegancki pistolet - sam pan Forrester przywiózł go dla mnie z Yorku - leżał sobie bezpiecznie pod poduszką, owinięty w jedną z chusteczek. Dziadek nauczył mnie strzelać. Pewnego popołudnia postanowiłam wypróbować nową broń.

W tydzień później Lawrence zaproponował, żebym zaprosiła Petera do domu na Boże Narodzenie. Natychmiast napisałam list, a Lawrence go opieczętował. Mój mąż był naprawdę wspaniałym człowiekiem. Bardzo troskliwym. I o tym nigdy nie mogłam zapomnieć. John nad strumieniem twierdził, że moim życiem rządził strach przed mężczyznami, co zaowocowało małżeństwem z jego wujem. Wiedziałam, że John ma rację, ale nie chciałam niczego zmieniać. Czasem tylko, kiedy w nocy leżałam w łóżku, próbując zasnąć, John zakradał się podstępnie w moje myśli. Czułam wtedy ogromny ból i żal, żal, który pozostawił po sobie pustkę. Jednak w świetle dnia przypominałam sobie od razu, jaki był John. Wielki i niebezpieczny. I jeśli gdzieś głęboko w mojej duszy naprawdę panowały ciemności, to właśnie przez Johna i innych mężczyzn, przez to, kim byli i jaki wywarli na mnie wpływ.

Ja sama zresztą nie miałam ani chwili czasu, pochłonięta przygotowaniami do balu. Wszyscy zresztą prawie niczym innym się nie zajmowali. Listę gości przygotowano i poprawiono, przedyskutowano, sporządzono na nowo, aż wreszcie zaproszenia dotarły, do

adresatów - z czego wiele za pośrednictwem posłańca. Lawrence był usatysfakcjonowany. Wybrano menu. Zapytałam, czy moglibyśmy wynająć orkiestrę - tę samą, która grała dla mnie przed dwoma laty, kiedy debiutowałam w towarzystwie. Rzecz jasna, Lawrence, mój dobry mąż, kazał Swansonowi, zarządcy, by tego osobiście dopilnował.

Dzięki Bogu nie mogłam narzekać na brak zajęć. Czarna Komnata i jej złowieszczą obecność nie zaprzętały już moich myśli. Nigdy tam nie wróciłam. Nie zbliżałam się również do pokoju muzycznego Caroline. Co wieczór zamykałam również podwoje do Niebieskiej Komnaty.

Na trzy dni przed balem przyjechali rodzice Amelii. Ojciec Amelii, Hobson Borland, wicehrabia Waverleigh, okazał się tak pochłonięty własnymi myślami oraz wewnętrznym dyskursem na temat zjawisk pozaziemskich, że ledwo zdążył przekroczyć próg, wylał całą podaną mu herbatę do pięknej donicy stojącej obok otomany, na której spoczął wraz z małżonką Julią. Nie zwrócił zupełnie uwagi na ten incydent, nie wypowiedział ani słowa i wbił wzrok w daleki kąt salonu.

Co dziwniejsze, choć może nie należało się dziwić, ojciec Amelii całkowicie dorównywał Thomasowi wspaniałą aparycją. Wicehrabia zatopił się w świecie duchów, Thomasa pochłaniały problemy związane ze zdrowiem - niektórzy powiedzieliby, że równie tajemnicze jak świat zjaw.

Co ciekawe, Amelia traktowała dziwactwa ojca tak samo jak dziwactwa Thomasa - z miłością, tolerancją i nieskończoną cierpliwością.

Wicehrabinie udało się w końcu przykuć na chwilę uwagę małżonka.

- Hobsonie, mój drogi, mają tu miejsce pewne tajemnicze zjawiska, które powinieneś wyjaśnić. Pamiętasz? Twoja córka Amelia informowała cię o tym w liście. Pisała, że jesteś jej potrzebny, by rozwikłać problemy pozaziemskie.

- Amelia? Ach tak, moja wspaniała córka, którą to ja sam sprowadziłem na nasz magiczny świat. Pamiętam, ten przeklęty konował wpadł do rowu i przywłókł się na nasze wezwanie dopiero po trzech dniach. W dodatku ze złamaną ręką.

- Tak, poradziłeś sobie doprawdy wspaniale, mój drogi.

- Czyż nie przybyłem tu na prośbę Amelii?

- Tak, ojczu. Zaszły tu pewne tajemnicze zjawiska, które należy wyjaśnić, tak jak już wspomniała mama. Będzie również świąteczny bal. - Z tymi słowami odwróciła się do Lawrence'a. - Mój ojciec jest także wspaniałym tancerzem. Ma tyle gracji, co Thomas.

- Lubię tańczyć - rzekł wicehrabia. - Taniec zabija czas między polowaniami. - Zawiesił głos i wyciągnął rękę. - Tam w kącie zdarzyło się coś bardzo interesującego.

Wyczuwasz to, moja droga?

Pytanie to wicehrabia najwyraźniej skierował do mnie. Potrząsnęłam głową.

- Gdybyś jednak zechciał, panie, zbadać pewne dwie komnaty, byłibyśmy ci szczerze zobowiązani.

Wstał natychmiast i powiódł po nas wzrokiem.

- A zatem? Gdzie są te komnaty? Mamy tkwić tu beczynnie przez cały dzień? Interesuje mnie jednak również ten kąt, o którym już wspominałam. Julio, zanotuj, abym zbadał go później.

- Oczywiście, drogi Hobsonie - odparła wicehrabina Waverleigh.

Zupełnie nie miałam ochoty oglądać ponownie Czarnej Komnaty, a jednak tam poszłam. John, którego nie widziałam już od półtora dnia, zjawił się wkrótce po przybyciu rodziców Amelii. Towarzyszył mnie, Amelii i jego lordowskiej mości do zachodniego skrzydła. Lawrence wymówił się, tłumacząc, iż nie znajduje upodobania w pozaziemskich tajemnicach.

Thomas roześmiał się tylko i poklepał żonę po policzku.

- Tylko nie zasypiaj tym razem, moja droga. Amelia zbladła jak ściana, ale wzięła się w karby i nawet zdobyła na uśmiech.

- Czy ktoś wie, co wydarzyło się w tej komnacie? - spytał wicehrabia. - Może jakaś tragedia?

- Nie - odparłam. - Nikt nawet nie pamięta, dlaczego pomalowano ją na czarno. Amelia pokazała mi ten pokój i powiedziała, że jak wieść niesie była hrabina zaszytyłowała tu kochanka, ale nie ma na to dowodów. Tylko ja czułam, że czai się tu zło. Nikt poza mną nie dostrzegł w tym pokoju niczego szczególnego.

- Mhm, zobaczymy. Jest pani wyczulona na takie zjawiska, moja droga?

- Jak dotąd nic na to nie wskazywało.

Bałam się tam wejść. Zatem Amelia, dla której był to tylko zwykły pokój jakich wiele, podeszła pierwsza do drzwi, po czym odsunęła się na bok, by puścić ojca przodem. Waverleigh szedł niezwykle wolno, krok za krokiem, wężąc i nasłuchując w takim skupieniu, że omal nie potknął się o taboret ustawiony przy drzwiach. A potem zastygł w bezruchu. Patrzył niemo w ten sam kąt, który tak bardzo mnie przeraził. Lord nie był jednak tchórzem i wkroczył w sam środek miejsca, z którego wiał ów straszliwy chłód. Ja natomiast wycofałam się na korytarz.

- Czuje pan, sir? - zawołałam. - To jest jedyne takie miejsce w tym pokoju. Tam właśnie odczuwa się zimno, ten rodzaj zimna, które przenika aż do kości... mało... sięga

duszy. I jest w nim coś groźnego, tak, jakby w tym kącie wydarzyła się kiedyś jakaś tragedia.

Nie odezwał się. Stał nieruchomo z przymkniętymi oczami. Nikt nie wyrzekł ani słowa, wszyscy wbili wzrok w wicehrabiego. W końcu Waverleigh otworzył oczy, skinął na córkę, wyszedł na korytarz i ujął me ręce w swoje dłonie.

- Proszę posłuchać. W komnacie nie mieszka żaden duch, który nie może się z niej wyzwolić. Czuję to samo, co ty, moja droga. Nawet więcej. W tym pokoju naprawdę zdarzyła się tragedia, ale to zło przenikające przestrzeń nie pochodzi ze świata duchów. To zło z naszego świata - mieszka tu razem z nami w tym domu. - Ojciec Amelii przymknął oczy i osunął się na podłogę w korytarzu.

Przerażona, upadłam na kolana.

- Nie, Andy. Wszystko w porządku. Ojciec zawsze słabnie przy takich seansach. Myślę, że wyczerpuje go to, co czuje i widzi. John, czy mógłbyś go zanieść do sypialni? Prześpi się godzinę, a potem znów poczuje się lepiej.

- Tak jak ty, Amelio?

- Tak jak ja. W moich żyłach płynie przecież ta sama krew. Ale ja nie widzę w tym pokoju nic niezwykłego. No, może poza tą absurdalną czarną farbą, prawda John?

John przerzucił sobie hrabiego Waverleigha przez ramię i ruszył w stronę sypialni.

Na wieść o tym, że jej mąż śpi twardo we własnym łóżku, lady Waverleigh tylko skinęła głową.

- Mój drogi Hobson za chwilę poczuje się lepiej. A potem wypije trzy filiżanki bardzo mocnej herbaty. - Westchnęła i uśmiechnęła się. - Tak zwykle postępuje. Mam nadzieję, że był pani pomocny, prawda, pani Devbridge?

- Oczywiście, hrabino. - Nic innego nie przyszło mi do głowy. Czy miałam jej powiedzieć, że w tym domu mieszkało zło, nie to zło z przeszłości, ale zło, które żyje w nas? I dodać, że nie rozumiem, co to znaczy? Wiedziałam jednak, że ono jest. Jest i czeka.

Tylko na co?

Następnego ranka przy śniadaniu lord Waverleigh opowiadał o zamku w Kornwalii, obecnie całkowicie zrujnowanym, położonym niedaleko Penzance, w którym on osobiście odkrył dwanaście różnych duchów; wszystkie jednak wydawały się nader żywe i aktywne, mimo iż, rzecz jasna, już dawno umarły.

- Żaden z nich nie chciał opuścić zamku, choć rezydencja była w opłakanym stanie i nikt już tam nie mieszkał. Czuję, że wyjątkowo upodobały sobie to miejsce. Nie dawały się zresztą we znaki okolicznym mieszkańcom. Uwielbiały natomiast straszyć wszystkich Anglików, którzy przypadkiem trafili do zamku.

Nie chciałam mu wierzyć, a jednak wierzyłam. Tuż po śniadaniu wicehrabia zamierzał obejrzeć pokój, w którym zasnęła Amelia, i pokój muzyczny Caroline. Gdy poprzedniego wieczoru Lawrence odprowadzał mnie do sypialni, wyznał, iż pragnąłby mu towarzyszyć. Uśmiechnął się wtedy do mnie i pogładził wierzchem dłoni po policzku.

- Doskonale sobie poczynasz, Andy. Jestem z ciebie dumny. Kiedy byłem dzisiaj w wiosce, słyszałem peany na twoją cześć. Postąpiłaś bardzo rozsądnie, wkładając trochę grosza do kieszeni sklepikarzy. Znakomicie, naprawdę znakomicie. - Pocałował mnie w policzek, do czego zdążyłam się już przyzwyczaić.

Nie odsuwałam się od Lawrence'a nawet w myślach. Postęp - pomyślałam. Zaufanie. Mój mąż był dobrym człowiekiem. Ponownie obiecałam sobie, że nigdy nie zapomnę, co dla mnie zrobił. A co dla mnie zrobił?

Nie należałam do słodkich przyłepiek, ale czy to miało jakieś znaczenie? Nie byłam źle wychowana ani złośliwa. Powodowałam u mego męża doskonały humor, co często mi powtarzał. Moje stosunki z rodziną i służbą układały się dobrze. Lubiłam córkę Lawrence'a i odnosiłam wrażenie, że ona też darzy mnie sympatią. Taka sytuacja wychodziła wszystkim na dobre.

Po raz pierwszy w życiu zaczęłam jednak zdawać sobie sprawę z tego, jak bardzo jestem arogancka. Wszystko zaplanowałam i założyłam, że nic się nie zmieni, o ile nie wyrażę takiej woli. Musiałam się również sama przed sobą przyznać, że jestem głupia. Gorzej. Byłam kompletną idiotką. Popełniłam potworny błąd, wychodząc za mąż za Lawrence'a. Co się jednak stało, to się nie odstanie. A Lawrence mógł ode mnie oczekiwać wyłącznie dobroci, czułości i lojalności.

Tego poranka zasiadłam do stołu w towarzystwie lorda i lady Waverleigh, a także oczywiście George'a.

Lady Waverleigh bardzo polubiła George'a, a on bezwstydnie wykorzystywał jej sympatię.

Kiedy posmarowałam masłem tost i dałam George'owi kawałek chrupiącego bekonu, do jadalni wszedł Brantley ze srebrną tacą.

- List do pani - powiedział i wyszedł z pokoju równie szybko, jak się w nim zjawił.

- Od początku mówiłam, że to on jest Mojżeszem - powiedziałam z uśmiechem do gości, a po chwili byłam już tak podniecona, że o mało nie podarłam kartki. - To od kuzyna - powiedziałam i schyliłam głowę, aby przewrócić stronę. Nie spodziewałam się jeszcze odpowiedzi na zaproszenie. Ale może Peter pogodził się już z moim małżeństwem i chciał dać temu wyraz. List składał się z dwóch stron.

25 listopada, 1817 Bruksela, Belgia.

Najdroższa Andy,

Przyjadę do Ciebie, jak tylko będę mógł wyjechać z Brukseli. Proszę Cię, przeczytaj także list od ojca, który załączam. Wysłał go za moim pośrednictwem, gdyż bał się, że inaczej w ogóle go nie otworzysz. Sądzę również, że nie chciałby, ażeby Ust przejęto, gdyż w takim wypadku w ogóle by do ciebie nie dotarł. Choć ojciec nie podaje przyczyn, wiem, że jest gotów na wszystko, byle tylko się z Tobą spotkać.

Przeczytaj to, Andy, zrób to dla mnie. W święta na pewno się spotkamy. Proszę, uważaj na siebie.

Uściski, Peter

Podniosłam wzrok na siedzących przy stole znajomych - docierały do mnie strzępy rozmów, ale twarze zamazały mi się przed oczami.

Ojciec. Nie, tylko nie on. Nie ten straszny człowiek. Chyba myślałam, że umarł. Powinien był umrzeć już dawno temu. Nie zasłużył na to, żeby żyć, a jednak żył, bo pisał do mnie, a mama leżała w grobie od ponad dziesięciu lat.

Drżały mi palce. Nie rozpoznałam charakteru pisma ojca - litery były duże, ciemne, grube, lekko pochylone.

22 listopada 1817 Antwerpia, Belgia.

Najdroższa córeczko,

Modłę się, abyś przeczytała ten list. Nie będę trwonił czasu na to, by Ci powiedzieć, jak bardzo przeżyłem nasze rozstanie. Być może wkrótce zgodzisz się dać mi jeszcze jedną szansę i będę miał okazję się przekonać, na jaką kobietę wyrosłaś.

Czytałem o Twoim ślubie z hrabią Devbridge. Nie mogę się z tym pogodzić, Andreo. Znalazłaś się w niebezpieczeństwie, śmiertelnym niebezpieczeństwie. Wiem, że trudno ci w to uwierzyć, ale zrób, co mówię. Opuść natychmiast Devbridge. Wyjedź, jak tylko będziesz mogła, i nie pozwól, by ktoś Cię wysledził. Wróć do Londynu, do domu dziadka. Przybędę natychmiast i wszystko ci wyjaśnię. Peter czeka, więc muszę kończyć, ale chciałbym jeszcze dodać, że zawsze bardzo Cię kochałem.

Twój ojciec Edward Kent Jameson

Wstałam od stołu, uśmiechnęłam się do państwa Waverleigh i poprosiłam o wybaczenie. George zaszczekał, po czym znów położył się na podłodze. Poszłam do sali balowej położonej w najdalszym zakątku posiadłości. Nikogo tam nie było. Tydzień wcześniej sześcioro służących wyczyściło wszystko na wysoki połysk. Kryształowe żyrandole błyszcząły jak brylanty. Ciężkie brokatowe draperie zasłaniające wysokie okna

zdjęto i trzepano tak długo, dopóki cały pięcioletni kurz nie osiadł na podłodze.

Raz jeszcze otworzyłam kopertę i podeszłam do najdalszego okna, które umyło tak dokładnie, że wydawało się, że go nie ma. Ponownie przebiegłam wzrokiem treść listu.

Chciał, żebym natychmiast wyjechała z Devbridge. Ale dlaczego? Z jakiego powodu? Dlaczego go nie podał? Ach, tak się spieszył, że nie miał czasu. Absurd. Żaden powód nie istniał. Ojciec chciał po prostu odnowić ze mną kontakt. Ale dlaczego? Miał chyba wystarczający majątek. A może obawiał się, że ktoś inny przeczyta list i też się zaniepokoi. Czym?

Dowiedział się więc o ślubie. I to niby z powodu małżeństwa z Lawrence'em znalazłam się w niebezpieczeństwie? Bzdura. Ale widziałam przecież tę starą kobietę z nożem Johna w ręku, gotową wbić mi ostrze prosto w serce.

Podniosłam wzrok na dwóch ogrodników koszących trawę, nieopodal przechadzały się leniwie dwa pawie, dumnie prezentując ogony. Scenka rozgrywająca się właśnie przed moimi oczami wydawała się tak normalna, spokojna, prawdziwa. Coś jednak w tym domu nie było ani normalne, ani prawdziwe. W Devbridge czaiło się zło.

Czy to właśnie ja znalazłam się w niebezpieczeństwie?

Złożyłam listy i poszłam do sypialni. Belinda układała właśnie szczotki i kremy na toaletce. Podeszłam do biurka i wyjęłam włoską szkatułkę na listy. Była pusta. Wsunęłam do niej oba listy i zamknęłam ją na klucz. Popatrzyłam na mały złoty kluczyk. Już zamierzałam wrzucić go do szuflady, gdy coś mnie nagle powstrzymało. Znalazłam złoty łańcuszek, owinęłam go wokół kluczyka i powiesiłam sobie na szyi.

Wyjęłam spod poduszki pistolet i włożyłam go do kieszeni. Nie zamierzałam wyjeżdżać, z drugiej jednak strony nie byłam idiotką. Niezależnie od tego, co miał na myśli mój ojciec, chciałam być przygotowana. Gdyby ta kobieta znów zjawiła się w moim pokoju, na pewno bym ją zabiła. Zastrzeliłabym zresztą każdego, kto by mi zagroził. Niech no tylko tu przyjdą - pomyślałam. Niech no tylko zjawi się tutaj mój najdroższy tatuś i stawi mi czoło.

Tej nocy nie miałam jednak żadnych gości.

ROZDZIAŁ 19

Następnego ranka wszyscy poszliśmy z lordem Waverleigh do pustego pokoju muzycznego Caroline. Amelia nie chciała nam towarzyszyć. Nie miałam o to do niej pretensji. Z Lawrence'em u boku poszłam za panem Waverleigh do pokoju Caroline.

Nie ruszałam się. Patrzyłam tylko jak lord Waverleigh chodzi w milczeniu po pokoju. W końcu podniósł głowę.

- Nie dokonano tu żadnego aktu przemocy. Pokój należał do młodej damy. Może pisała tu listy, czytała albo zajmowała się tuzinem innych rzeczy - Czuła się tu bezpiecznie. Uważała ten pokój za swoje schronienie. Czuję, że nie była szczęśliwa, ale nic poza tym. Czy właśnie tutaj zasnęła Amelia? Na podłodze w tym pokoju?

- Tak, ojczy - odparła Amelia, stając w progu. - Czułam, że ta młoda dama - pokój należał do Caroline - to druga żona wuja Lawrence'a. Ona mnie przepraszała. Przysięgam. Oczywiście nie słowami. Miałam wrażenie, że jest jej po prostu przykro, gdyż okazałam się niewłaściwą osobą.

- A więc to była twoja druga żona, Lawrence?

- Tak, biedna Caroline zabiła się zaraz po urodzeniu dziecka. Wszystko to było niezwykle tragiczne, smutne. Niestety żona cierpiała na chorobę psychiczną. Była zaledwie w wieku Andy, kiedy umarła. Jej śmierć mocno nas dotknęła.

Lord Waverleigh zaczął coś mówić, a potem pokręcił głową. Popatrzył na córkę, która zrobiła krok w głąb pokoju.

- Skoro ty okazałaś się niewłaściwą osobą, Amelio, kto w takim razie był tą właściwą?

- Przypuszczam, że ja - odparłam. - Ale nic w tym pokoju nie czułam. Absolutnie nic. Gdyby Caroline zależało akurat na mnie, stworzyłam jej wiele okazji, aby mogła się ze mną porozumieć, czy też przekazać mi swoje myśli. A tam była tylko pustka.

- Mmm - mruknął Waverleigh, pocierając podbródek. - Jest pani trzecią żoną, Caroline była drugą. Ciekawa jestem, czego ona chce. Ciekaw jestem również, dlaczego nie przyszła do pani, skoro stworzyła jej pani taką możliwość?

- Nie wiem - wyznałam.

- Chciałbym obejrzeć miejsce, w którym się zabiła - powiedział Waverleigh.

Sądziłam, że Lawrence odmówi. Był blady, zacisnął pięści. Oczywiście cała ta rozmowa mocno wytrąciła go z równowagi. Choć wszystko wydarzyło się wiele lat temu, Caroline była jego żoną, kochał ją i opłakiwał po tym, jak wyskoczyła z północnej wieży. W

końcu jednak skinął głową.

- Bardzo dobrze - powiedział. - Tędy proszę.

John, Lawrence i ja poszliśmy za lordem do północnej wieży. Przy końcu zachodniego skrzydła były wąskie schody wijące się ostro w górę, aż do drzwiczek, które jęknęły niczym zawadzający duch, kiedy mój mąż zdołał je otworzyć. W okrągłym pokoju stało okrągłe łóżko ze zniszczoną kapą. Pod ścianę wciśnięto komódkę. Nic poza tym.

- Nie kazałem sprzątać pokoju - powiedział Lawrence. - Wszystko tutaj jest starsze od dębów ze wschodniej puszczy, a one są naprawdę bardzo stare. Nie wiem, kto spał w tym łóżku, ale jeśli ktoś nadal w nim śpi, to nie widzę powodu, aby mu przeszkadzać.

Podszedł do wąskich drzwi i otworzył je na oścież. Skrzypnęły. Za drzwiami znajdował się półkolisty balkon, zabezpieczony metrową balustradą. Podeszłam do niej i spojrzałam w dół. Było bardzo wysoko, o wiele wyżej niż sądziłam. Poniżej biegła kamienista ścieżka. Poczułam gęsią skórę. Weszła na balustradę i skoczyła. Przymknęłam oczy. Och, Caroline - pomyślałam, jakże mi przykro.

- To ja ją znalazłem. - Szybko odwróciłam głowę. Tuż za mną stał John. - Wylądowała tutaj, na wysokości tego drugiego kamienia. Wciąż jest poplamiony krwią. W żaden sposób nie daje się zmyć. Kiedy ją znalazłem, z początku sądziłem, że śpi. Potem przewróciłem ją na bok. Było tyle krwi, tyle krwi...

- Tak mi przykro - powiedziałam. - Musiało to być dla ciebie bardzo trudne.

- Nie trudniejsze niż dla Caroline - powiedział i odwrócił się. - Sądziłem, że odczuję, w jakich okolicznościach zginęła, ale tak się nie stało. Z mojego doświadczenia wynika, że kobieta lub mężczyzna, którzy decydują się na samobójstwo, stoją w obliczu niewyobraźalnie bolesnej i trudnej decyzji. Że człowieka ogarniają wątpliwości, doświadczą bólu, rozterki, męki, strachu... Nie jest łatwo przekonać siebie samego, że lepiej wybrać śmierć niż życie. A w tym przypadku nie czuję niczego z tego, co ona mogłaby czuć. Zupełnie nic. Dziwne. Zwykle doznaję w takich przypadkach niezwykle silnych przeżyć.

- Caroline nie była zdrowa - powiedziałam. - Być może umysł jej reagował inaczej niż mój lub pański. Pewnie dla niej nie była to wcale poważna decyzja. Postanowiła zakończyć życie pod wpływem impulsu.

- Oczywiście, to niewykluczone - odparł, lecz wciąż marszczył czoło. Odwrócił się do mego męża i zaśmiał nagle. - Sądzę, że to wspaniałe stare łóżko służyło twym przodkom do zabawiania okolicznych dam. Może ukrywali nawet w tej wieży kochanki. Ale to tylko spekulacje.

- Istotnie. To mi nawet pasuje do pradziadka Leylanda Lyndhursta. Reputacja tego

człowieka pozostawia wiele do życzenia. Żył bardzo długo, a mawiano, że przeniósł się do wieczności z uśmiechem na ustach. - Odwrócił się do mnie. - Pokażę ci jego portret, Andy. Sama ocenisz, czy wygląda na pożeracza damskich serc.

Lord Waverleigh odwrócił się i wyszedł z wieży. Słyszałam, jak schodzi po krętych stopniach. Popatrzyłam raz jeszcze na kamienie w miejscu, gdzie spadła Caroline. Wzdrygnęłam się.

- Chodź, Andy - powiedział Lawrence. - Mimo tych wszystkich zabawnych opowieści i intrygujących teorii na temat łóżka doznaję tu zawsze bardzo przykrych przeżyć.

Doskonale wiedziałam, co ma na myśli.

- Tak mi przykro - odparłam i ujęłam go pod ramię. - Z powodu Caroline.

John poszedł za nami na dół.

Po lunchu George i ja zajrzeliśmy do stajni. Rucker siodłał właśnie Małą Bess i nie zwrócił specjalnej uwagi na Johna, który aż zamrugał na mój widok.

- Sądziłem, że jesteś z Judith albo panią Gillbank. A może z panią Crislock. Wydaje mi się, że cię szukała.

- Ze wszystkimi spotkam się później. Chciałabym, żeby najpierw rozjaśniło mi się w głowie.

- A cóż takiego trzeba w niej rozjaśniać? - spytał z krzywym uśmiechem.

Pomyślałam o tych przeklętych listach i ziarnie strachu, które zaczęło już we mnie kiełkować. Pokręciłam głową.

Zostawiliśmy Małą Bess na podwórzu i poszliśmy po Pioruna.

Piorun zobaczył swego pana, potem mnie. Przysięgłabym, że nie wie, co robić. Stał tylko i przenosił spojrzenie ze mnie na Johna, potrząsając przy tym ogromną głową.

- Dość tego, ty niewychowany potworze! - wrzasnął John. - To ja jestem twoim panem, a nie ta młódka, która nawet nie potrafi zadbać o wierność swego czworonoga.

- Co za zniewaga. Chyba będę się musiała na tobie zemścić.

George podbiegł do nas z wysoko podniesionym ogonem, poszczekując przy każdym kroku. Po drodze podniósł patyk. Piorun prychnął i podbiegł do nas pod płot.

- Rzuć George'owi patyk - powiedział John, zakładając koniowi uzdę. - Tylko daleko. Musi trochę pobiegać. Ostatnio pochłania naprawdę góry jedzenia..

Posłałam patyk na odległość co najmniej dziesięciu metrów.

- To na pewno pomoże - zawołałam, osłaniając oczy przed słońcem. - Obawiam się, że lady Waverleigh karmi George'a, ilekroć tylko on się do niej zbliży. Traktuje go dokładnie tak, jak swego męża.

Patrzyłam, jak John dosiada Pioruna, znów rzuciłam George'owi patyk, walczyłam z nim chwilę, gdy go przyniósł, i przynajmniej na pięć minut zapomniałam, że coś w Devbridge Manor jest nie tak. Mimo że najchętniej zadałabym kłam wszystkiemu, co napisał ojciec, sama czułam, że coś jest nie w porządku.

W końcu, kiedy oboje dosiedliśmy koni, George zdecydował się zostać. Bawił się doskonale z Jasperem, który rzucał kije o wiele dalej niż ja, dzięki czemu mój pies miał czas na to, żeby po drodze wachać kwiatki i krzaczki, a dopiero potem, zgodnie z regułami gry, oddać patyk. Taka zabawa mogła go również uchronić przed śmiercią z przejedzenia.

Mała Bess cofnęła się i potrzęsła głową, kiedy usadowiłam się na jej grzbiecie. Pochyliłam się i natychmiast poklepałam ją po szyi.

- Już dobrze, mała. Co się dzieje?

- Chce się bawić. Nie po raz pierwszy tak się zachowuje.

- Wiesz dlaczego twój wuj ją kupił?

- Nie. Widać zdecydował, że pojedzie do Londynu i znajdzie sobie żonę. A Małą Bess kupił z myślą o przyszłej małżonce.

- Kiedyś go o to zapytam. A może to koń wyścigowy w przebraniu?

- W to wątpię.

Nigdy nie odnosiłam wrażenia, że Lawrence przyjechał do Londynu w poszukiwaniu żony. Twierdził, że uczucie do mnie poraziło go mocno i zupełnie niespodziewanie, a ja w to wierzyłam. Lawrence nie sądził, że zdobędzie się jeszcze kiedyś na miłość. Nie w tym wieku. Niemniej jednak odnosiłam wrażenie, że przywiózł Małą Bess do Devbridge specjalnie dla mnie. Pokręciłam głową. To wszystko kompletnie nie miało sensu.

Zerkałam na Johna jadącego na Piorunie. Cudowny był z niego jeździec, wraz z tym ogromnym ogierem stanowił idealną całość. Patrzył gdzieś w przestrzeń. Tak bardzo pragnęłam, by obdarzył mnie choć jednym spojrzeniem, ale moje nadzieje nie ziściły się. Nie - myślałam. Nie. Muszę z tym skończyć. Nie chciałam, żeby John przebywał w pobliżu. A jednak, gdy czułam jego bliskość, zbierało mi się na płacz. Wiele dałabym za to, by nigdy nie tracić go z oczu. To wszystko jednak nie miało sensu. Pomyślałam o mężu. Byłam mu winna absolutną lojalność. Pomyślałam o moim strachu przed mężczyznami, który tkwił we mnie tak głęboko, że musiał stać się nieodłączną częścią całego mojego życia. Wiedziałam, że nigdy się z tego strachu nie wyzwolę. Zresztą nawet nie pragnęłam takiego wyzwolenia. Młodzi mężczyźni, tacy jak John, mogli okazać się niebezpieczni. Ranili, niszczyli i poniżali. Nie mogłam o tym zapomnieć, niezależnie od uczuć, jakie do niego żywiłam. A gdybym zapomniała, postąpiłabym głupio i nierozważnie, tak jak moja matka. Nie, mój strach był

prawdziwy i ostrzegał przed niebezpieczeństwem. Nie chciałam z nim walczyć.

Jechaliśmy obok siebie gęsto zadrzewioną drogą.

- Jak sądzisz, z jakiego powodu Caroline chciała z tobą rozmawiać?

- Nie wiem - odparłam, uświadomiwszy sobie nagle, że mówimy o duchu dawno zmarłej żony mojego męża. Co więcej, wcale nie uważałam tego za szczególnie dziwne. - Nie rozumiem raczej, dlaczego się nie odezwała. Stworzyłam jej wiele okazji. Przychodziłam do tego pokoju bardzo często. Wielokrotnie również z niego wychodziłam.

- I jesteś całkiem pewna, że chcesz usłyszeć, co ona ma do powiedzenia?

- Och tak. To musi być coś ważnego, szczególnie dla niej. Może chce mnie prosić o opiekę nad Judith i zapewnienie, że nie będę wredną i podłą macochą. Zresztą obiecywałam jej to kilkakrotnie, kiedy wchodziłam do jej pokoju, ale tam naprawdę nic nie ma. Niewykluczone, że Caroline zaczęła mi ufać. Wie, że nie skrzywdzę jej dziecka.

- Judith była zawsze bardzo szczęśliwa. Wuj nie zajmuje się nią szczególnie troskliwie, ale Judith to nie przeszkadza. Ma swoją pannę Gillbank, a ta dama bardzo ją kocha. Sądzę, że za jakieś pięć lat Judith będzie pięknocią. A jak ty myślisz?

- Złamie serca wszystkim okolicznym kawalerom, kiedy tylko na nich spojrzy - odparłam.

Wychylił się, by poklepać Pioruna po szyi.

- Lord Waverleigh mówił różne dziwne rzeczy o Czarnej Komnacie. Jak sądzisz, o co mu chodziło?

- Wolę o tym nie myśleć. Cała ta historia przyprawia mnie o gęsią skórkę.

- Zło mieszka w tym pokoju teraz, mieszka w Devbridge, tuż obok nas - myślał głośno. - Jego lordowską mość poniosła chyba wyobraźnia - skonstatował, kręcąc głową.

- Jeśli nawet nie, to by znaczyło, że to samo zło popełniło kiedyś w Czarnej Komnacie potworną zbrodnię. Co to mogło być?

Odwrócił ode mnie wzrok i spojrzał na klony.

- Już o tym myślałem. W niedalekiej przeszłości nie wydarzyło się tutaj nic strasznego. A na tym polu można sobie wspaniale poskakać. - Uniósł znacząco brew.

Zaśmiałam się i dźgnęłam Bess piętami. Prychnęła, szarpiąc lejce. Poklepałam ją znówu, tym razem lekko skonsternowana.

- O co chodzi, mała?

John jechał przede mną. Piorun poszybował w powietrzu ponad drewnianym płotem z przynajmniej metrowym zapasem. Ziemia była grząska, usiana połamanymi gałęziami, ale dla Pioruna nie stanowiło to żadnego problemu.

- Pokażmy mu, co potrafimy, Bess. Wchyliłam się naprzód, przyciskając do jej szyi.

Zadrzała i zaczęła biec szybciej, niż mogłam to sobie kiedykolwiek wyobrazić. Zbliżaliśmy się do płotu. Wyprostowałam się w siodle. Byliśmy gotowe. Bess zarżała głośno, żałośnie i jednocześnie skoczyła.

Przywarłam do końskiej szyi i ściągnęłam lejce, ale na darmo. Straciłam kontrolę nad Bess, która zachowywała się jak oszalała - byłam dla niej jedynie zbędnym ciężarem, więc chciała jak najprędzej zrzucić mnie z grzbietu.

Czułam, jak się wije, zdając sobie jednocześnie sprawę z tego, że nie zdoła zachować równowagi. Z ogromną trudnością pokonała przeszkodę, lecz zanim jej kopyta sięgnęły mulistej ziemi po drugiej stronie, wydała z siebie dziwny odgłos - gniewu i bólu zarazem, a potem wyrwała mi lejce z dłoni. Kiedy pognała na złamanie karku w stronę zwałonych drzew, wyzwoliłam się ze strzemion i zeskoczyłam, lądując na plecach w niewielkiej rozpadlinie. Przetoczyłam się po ziemi, chwytając po drodze kępy trawy. A potem uderzyłam w coś głową i poczułam, że przeszywający ból wprost rozrywa mi czaszkę.

Zanim straciłam przytomność usłyszałam, jak Mała Bess, padając, rży głośno z bólu i strachu. A potem nie docierały już do mnie żadne obrazy ani dźwięki.

ROZDZIAŁ 20

Nie chciałam otwierać oczu. Nie chciałam wracać do rzeczywistości, bo wiedziałam, że wcale mi się nie spodoba. Poczułam, że ktoś - John - oplata mnie ramionami. Znałam jego dotyk. Serce waliło mu głośno, mocno, zbyt mocno, więc otworzyłam oczy, żeby przestał się o mnie martwić. Nie widziałam go jednak wyraźnie, mimo iż mrugałam, aby odzyskać jasność widzenia.

Chciałam unieść rękę, ale nie mogłam.

- Jesteś tam, prawda?

- Jestem i nigdzie się nie wybieram. Jak się czujesz? Wzmocnił uścisk. A ja wcale się go nie bałam - przeciwnie. Wiedziałam, że pod jego opieką nic mi nie grozi. Miła świadomość.

- A niech to... - szepnęłam. - Postaw mnie. Szybko.

Puścił mnie natychmiast, zatoczyłam się, odwróciłam i zwymiotowałam na rosnące na polu żonkile. Głowa bolała mnie tak bardzo, że zapragnęłam umrzeć. John znów otoczył mnie ramionami i otarł chusteczką usta.

- Lepiej?

- Tak, ale głowa mi zaraz opadnie albo pęknie na pół. To byłby dopiero kłopot. Może mógłbyś coś na to poradzić? Czuję się naprawdę okropnie.

- Nic dziwnego. Leż spokojnie i słuchaj. Nie myśl, słuchaj i nie ruszaj się. O tak. Oddychaj płytko, wolno. Dobrze. No więc tak. Kiedy zatrzymałem Pioruna, zobaczyłem, że Mała Bess robi korkociąg w powietrzu, a potem ty przeleciałaś jej nad głową. Co się stało? Czy ona się potknęła? W jaki sposób zdołała cię zrzucić? Jeśli czujesz się na siłach, powiedz...

Wróciła mi pamięć. Otworzyłam oczy. Chciałam usiąść, ale John mi nie pozwolił.

- Nie ruszaj się. O co chodzi?

- Boże, stało się chyba coś strasznego. Mała Bess zachowywała się jak oszalała, nie potrafiłam jej uspokoić. Proszę cię, idź, zobacz, co z nią.

- Za chwilę. Możesz poruszyć nogami? Mogłam. Nie chciałam, ale mogłam i poruszyłam, bo wiedziałam, że John nie wypuści mnie z objęć, dopóki nie postawi na swoim.

Przesuwał mi dłońmi po żebrach i barkach. Pozwoliłam mu na to. Nie miałam wyboru. Ku swemu zdziwieniu nie odczuwałam wcale strachu, choć John się nie zmienił - wyglądał tak samo jak zawsze - był zbyt ogromny, zbyt silny i zbyt niebezpieczny. Wystarczyło na

niego popatrzeć, żeby się przestraszyć. A jednak czułam się bezpieczna w jego objęciach.

- Dobrze, zaraz pójde do Bess - powiedział. Położył mnie delikatnie na ziemi, zdjął kurtkę do konnej jazdy, złożył ją i wsunął mi pod głowę. - Jeśli się ruszysz, nie będę zachwycony.

- Przygotuj się więc na zachwyty - szepnęłam, a John uśmiechnął się w odpowiedzi.

W parę minut później znów wziął mnie w ramiona i zaczął delikatnie kołysać.

- Jak ona się czuje?

- Chyba nie będziemy musieli jej zastrzelić. Rucker zna się na koniach, mój służący Boynton zresztą też. Prawą przednią nogę prawdopodobnie skrzyła, a na grzbiecie ma rany. Zobaczymy.

- Może będę mogła pomóc - powiedziałam. - Spędziłam wiele godzin w stajni w Deerfield Hali. Nauczyłam się tam opieki nad końmi. Boże, nie pozwolę jej zastrzelić. To na pewno moja wina. Na pewno zrobiłam coś...

Mówił teraz wolno, ważąc słowa.

- Nie, to nie była twoja wina. Leż spokojnie.

Wpatrywałam się uważnie w jego twarz, by odczytać jej wyraz. John miał ponurą minę. Był też najwyraźniej zły.

- Nie - powiedziałam. - Nie sforsowałam jej, prawda, John?

- Oczywiście, że nie. Jeździsz za dobrze. Zaczerpnął głęboko powietrza, a gdy wreszcie się odezwał, jego głos był całkowicie wyzuty z uczuć.

- Mówiłem ci, że ma rany na grzbiecie. Popatrz, co odkryłem pod siodłem.

W rękę trzymał spory zwój drutu. Do drutu przymocowano kolce, wygięte w dół. Kolce pokryte krwią. Krwią Małej Bess.

Leżałam i wpatrywałam się bezmyślnie w tę okropną rzecz, jaką John trzymał w rękę.

- Nie, przecież to niemożliwe, prawda? Kto byłby zdolny do takiej podłości?

- Ktoś umieścił to pod siodłem. Ten ktoś wiedział, że Bess wpadnie w szał. Za każdym razem, gdy poprawiałaś się w siodle, za każdym razem, gdy opasywałaś ją nogami, kolce wbijały się jej w plecy. Gdy przygotowywałaś ją do skoku, Mała Bess odczuwała potworny ból i dlatego tak bardzo usilnie próbowała zrzucić cię z siodła. Bardzo chciałbym wiedzieć, kto to zrobił. Chcę go zabić.

- Nie, to ja zabiję tego przekłętą drania. To, że próbował mi zrobić krzywdę, to jedno, ale zranić w ten sposób mojego konia... Boże, ja go zastrzelę!

Wzmocnił uścisk, jakby pod wpływem zdziwienia. A potem uśmiechnął się do mnie.

- Jeszcze zobaczymy - powiedział, po czym znów zamilkł na chwilę. - Wiesz, Andy,

gdybym to ja na niej jechał, druty od razu wbiłyby się bardzo głęboko. Ale ty jesteś mniejsza, lżejsza, więc to wszystko zajęło więcej czasu. Musiałaś wykonać więcej ruchów. Tak czy inaczej stało się. W chwili, gdy spięłaś ją do skoku, Bess była oszalała z bólu. Musiała okropnie cierpieć.

Przełknęłam ślinę.

- Gdybym nie przeleciała jej przez głowę, pewnie upadłaby na mnie.

- Prawdopodobnie tak.

W myślach miałam treść listu ojca.

- Ostrzeżenie, jeszcze jedno ostrzeżenie - mruknęłam, wtulając twarz w koszulę Johna.

- Ten, kto to zrobił, nie mógł być pewien, że zginę. Tak samo zresztą było w przypadku tej kobiety z twoim nożem, która zaczęła mi grozić, że za wszystko zapłacę, cokolwiek by to miało znaczyć. Dwa ostrzeżenia. Dlaczego? Z jakiego powodu?

- Nie wiem. Ale teraz jestem naprawdę wściekły i muszę się dowiedzieć. Najpierw wróc do Londynu, do domu dziadka.

Uznałam tę propozycję za dobry plan. Brzmiał logicznie. W taki oto sposób mogłam zapewnić sobie bezpieczeństwo. Zamykałam za sobą kutą, żeliwną furtę. A za nią nie groziło mi już nic. Z drugiej strony, za bramą nie było żadnych odpowiedzi.

- Nie, nie mogę wyjechać - odparłam smutno. - Nie rozumiesz? Jeśli wyjadę, nigdy się nie dowiemy, kto to zrobił i dlaczego. Przecież nawet gdybym wyjechała, ten, kto chce mnie skrzywdzić, mógłby mnie wysledzić. Nie dyskutuj ze mną. Wiesz, że mam rację. Nie zaznam spokoju, dopóki się nie dowiem, kto jest za to wszystko odpowiedzialny. Przecież mam broń. Kupiłam pistolet. Umiem się nim posługiwać i mam go przy sobie. Przymocowałam go do paska owiniętego wokół uda.

Wzmocnił, a potem znów rozluźnił uścisk. Nie przekonałam go oczywiście, bo przecież był mężczyzną.

- Masz rację, ale czy dostrzegasz jeszcze jeden wielki problem? Nie wiemy, skąd nadejdzie następny atak.

- Postaram się już nigdy nie być sama. Mam pistolet, potrafię strzelać. Pokaż mi tylko tego łajdaka, a od razu pošlę mu kulkę. Zwykle jest przy mnie George. A George robi dużo hałasu. Będzie mnie bronił.

Nie odezwał się, ale wiedziałam, że John, podobnie jak dziadek milczy, dopóki nie zbierze wszystkich argumentów.

- Czujesz się na tyle dobrze, żeby wrócić do domu?

- Tak.

Włożył kurtkę, zwój drutu wsunął do kieszeni.

- Trzymaj się mnie. Podniósł mnie do góry. Z twarzą przytuloną do policzka Johna przytrzymałam się jego koszuli. Podeszliśmy do Pioruna, który o parę metrów dalej przeżuwał właśnie smaczną trawkę.

- Teraz uważaj. Kiedy go dosiędziemy, chcę, żebyś usiadła przede mną.

- Chyba dam radę.

- Grzeczna dziewczynka.

Nie wiem, jak mu się to udało, ale wpakował nas oboje na grzbiet Pioruna, a mnie usadowił z przodu. Ból był tak potworny, że nie mogłam usiedzieć na miejscu, mimo że wciskałam sobie pięść w usta.

- Dobrze - powiedział. - Już dobrze. Oddychaj spokojnie. O tak. Będę cię podtrzymywał i pojedziemy bardzo powoli. - Jedną ręką przytulił mnie do piersi, drugą manewrował cugłami. - Zamknij oczy. Dzięki temu nie będzie ci się kręciło w głowie. A jeżeli znowu zrobi ci się niedobrze, powiedz. I postaraj się nie martwić o Małą Bess. Kiedy tylko wrócimy, pošlę po nią Ruckera.

- Cieszę się, że byłam z tobą - szepnęłam. - Tym razem mój pistolet nie bardzo by mi pomógł. Skończyłabym marnie w tych żonkilach.

- Znam cię, Andy. Na pewno coś byś wymyśliła.

- Naprawdę tak sądzisz, czy mówisz to tylko po to, żeby mi poprawić samopoczucie?

Pochylił się, pocałował mnie w czoło i zaklął.

- Przepraszam. To się już nie powtórzy. Zapomnij, że to zrobiłem, dobrze?

Ale ja wiedziałam, że nie zapomnę. Wciąż czułam ciepły, delikatny dotyk jego ust.

- Miałem na myśli dokładnie to, co powiedziałem, Andy. Jesteś inteligentna i odważna. Na pewno coś byś wymyśliła. A teraz zdecyduj, co mam powiedzieć wujowi.

Pomyślałam o liście od ojca, spoczywającym bezpiecznie w mojej włoskiej szkatułce. Nie wspomniałam o nim Lawrence'owi. Dlaczego? Bo tym kimś mógł być każdy. Nie mogłam tylko znaleźć żadnego powodu, dla którego ktokolwiek, a szczególnie mój mąż, miałby ochotę mnie skrzywdzić. Nigdy nie zrobiłam nic złego ani jemu, ani nikomu mieszkającemu pod jego dachem. Lawrence nawet dobrze mnie nie znał. Nie musiał się ze mną żenić. Nie musiał wracać do domu dziadka po tym, jak przyszedł tam z kondolencjami. Nie, kompletny absurd.

- Nie chcę nikogo o niczym informować. Lepiej, żeby ten ktoś się martwił tym, co wiemy, a czego nie.

- Zgoda. W takim razie co? Zajęcza nora?

- Rucker i wszyscy inni, którzy popatrzą na grzbiet Bess, będą pewni, że te rany nie mogą mieć nic wspólnego z żadną króliczą norą.

- Ruckerowi powiem prawdę. Niech się sam zajmie Bess. Poproszę go o dyskrecję. To dobry człowiek. Kiedy zobaczy, co ten łajdak zrobił Małej Bess, będzie wściekły. Ale zachowa milczenie. Jediną osobą, która zna prawdę, będzie ten, kto umieścił drut kolczasty pod siodłem.

- Wcale mi się to nie podoba - szepnęłam, wtulając twarz w ramię Johna.

- Twoja próżność wyraźnie daje o sobie znać. Nie pozwolę, aby ktokolwiek pomyślał, że to ty zawiniłaś. Powiem, że to była głęboka nora, która wyrosła przed tobą jak spod ziemi, i której w żaden sposób nie dało się ominąć. A jak mi nie uwierzą, to i tak będę cię bronił do upadłego.

Chciałam go palnąć, ale nie mogłam nawet zacisnąć pięści.

John zaśmiał się tylko i wzmocnił uścisk.

Po drodze musiał jeszcze raz zatrzymać Pioruna, bo znów zrobiło mi się niedobrze. John wytrzymał to zresztą całkiem nieźle, a ja czułam się tak fatalnie, że było mi właściwie wszystko jedno.

W domu było stanowczo za dużo ludzi. Wszyscy krążyli wokół mnie, mówili, pochylali się nade mną, wyrażali swoje zdanie i gdybym miała więcej siły, kazałabym się im wszystkim wynieść do diabła. Czułam się jednak bardzo słabo i John położył mnie na sofie. Leżałam z zamkniętymi oczami i co chwila traciłam kontakt z rzeczywistością.

W końcu rozpoznałam kojący głos Thomasa. I wcale nie chciałam go zabić, co znaczyło, że czuję się nieco lepiej.

- Wuju, połóż jej ten mokry okład na czole. Amelia zawsze robi mi takie kompresy, gdy cierpię na migrenę.

Mokry okład działał cuda.

- Dzięki - wymamrotałam.

- Leż spokojnie, Andy - powiedział mój mąż. Czułam jego ciepły oddech gdzieś w okolicach ucha. Wyczułam w tym oddechu coś jeszcze - zapach brandy - znajomy, uspokajający i odetchnęłam nieco głębiej, by go wchłonąć.

- Naprawdę nic mi nie jest... daj mi tylko chwilę... Wtedy musiała wtrącić się Amelia.

- Powinieneś posłać po lekarza, wuju.

- Nie chcę żadnego lekarza. Amelio, pilnuj swego nosa.

Usłyszałam śmiech Johna.

- Pozwólcie jej przez chwilę poleżeć w spokoju - powiedział.

- Dobrze - odezwał się mój mąż. - Ale wcale mi się to nie podoba. Czułbym się znacznie lepiej, gdyby obejrzał ją Cuthbert.

- Ale dopiero jak umrę - powiedziałam. - Zdołałam otworzyć oczy i popatrzyłam Lawrence'owi w twarz. - Jesteś moim mężem. Masz się mną opiekować. Nie znęcaj się nad mną i nie dopuszczaj do mnie Cuthberta.

- Zgoda - odparł z rozbawieniem w głosie, a ja znów odpłynęłam w eter. Było mi tam dobrze, ciepło, niewyraźne głosy cichły, ból stawał się mniej dokuczliwy.

Nie wiem, kto zaniósł mnie do sypialni, ale zanim dzięki laudanum od nieocenionej pani Redbreast zapadłam w sen, zobaczyłam nad sobą twarz Belindy.

Obudziłam się późnym popołudniem. Leżałam, czekając, czy przyjdzie ból. Na szczęście dokuczała mi tylko migrena. Wstałam z łóżka. Belinda zdjęła mi ubranie i włożyła szlafrok.

Usłyszałam jakiś dźwięk. Belinda, siedząca na krześle obok łóżka, zerwała się na równe nogi.

- Nie, nie, proszę się nie ruszać. Pani kończyny... na pewno nie są na to gotowe.

- Kończyny mam w porządku - odparłam i postawiłam stopy na podłodze. Wstałam powoli - sztywna, posiniaczona i obolała - ale poza tym czułam się nienajgorzej. - Ta jama wcale nie była taka głęboka - powiedziałam, pomyślałam o Johnie i uśmiechnęłam się. Mimo wszystko zdobyłam się na uśmiech.

Belinda natychmiast znalazła się przy mnie. Uniosłam rękę, by ją powstrzymać.

- Nie, Belindo, naprawdę czuję się świetnie. Mam ochotę na gorącą kąpiel. Wypłuczę i wymyję cały ból.

A w dodatku pozbędę się ciebie - pomyślałam i natychmiast poczułam się winna. Ona się przecież o mnie martwiła. Ale chciałam zostać sama. Patrzyłam za Belinda, która z marsową miną wychodziła z pokoju, zerkając na mnie przez ramię.

Bałam się. Pistolet... W panice sięgnęłam pod poduszkę. Był na swoim miejscu. Kto go tam włożył? Miałam nadzieję, że John. Bo gdyby to zrobiła Belinda, napomknęłaby coś na ten temat Lawrence'owi. Nie, to musiał być John. Czy dopuścił jednak do tego, by pistolet zobaczyła Belinda? Siedziałam przez chwilę bez ruchu z pistoletem w ręku, patrząc na niegdyś zakratowane okna. Kraty zamontowano z uwagi na Caroline, która była przecież niespełna rozumu.

Przez dłuższy czas nie zajmowałam się niczym poza oddychaniem. W końcu wróciła Belinda, niosąc wystarczająco dużo wody, żeby mnie utopić, a nie tylko wykapać.

W godzinę później, w towarzystwie Belindy depczącej mi po piętach, wyszłam z

Błękitnej Komnaty ubrana w siermiężną, starą suknię, wypłowiła po wielu praniach. Na nogach miała zniszczone buty. W tym stroju chadzała zwykle po wrzosowiskach Deerfield. Zrzuciła też na siebie równie zniszczoną aksamitną pelerynę i wciągnęła rękawiczki. Pistoletu nie przywiązywała do uda - włożyła go do kieszeni. Mogła go w każdej chwili wyciągnąć i wystrzelić. Wiedziała, jak się bronić, i była na to zdecydowana. Dokuczał mi bardzo ból głowy, ale byłam raczej zła niż obolała.

Brantley tkwił przy wejściu. Zobaczył mnie i zastygł w bezruchu niczym posąg nagiego greckiego boga, stojący w kącie salonu.

- Wybieram się na spacer - powiedziałam, a mój głos był zimny jak powietrze, sączące się do środka przez szparę pod drzwiami. - Nic mi nie będzie, Brantley. Możesz się o mnie nie martwić. Wpadłam w zajęczą norę, bardzo wielką norę, ale nie jestem beksą. Nic mi się nie stanie. Idę się przejść nad strumień. Lubię go. - Urwałam i czekałam, aż Brantley otworzy przede mną drzwi. Byłam bardzo ciekawa, czy od razu naskarzy Lawrence'owi, że jego idiotka żona poszła na spacer.

Idąc szerokim trawnikiem, zastanawiałam się, czy podjęłam słuszną decyzję, aby tu pozostać. Jak będzie wyglądała moja przyszłość w tym Devbridge Manor?

Nie wyglądała obiecująco. Wzdrygnęłam się, ale nie z zimna, choć było chłodno, a niebo zasnuły ołowiane chmury. Nie zauważyłam tego wcześniej, ale drzewa nie miały już liści, płomienne kolory jesieni zniknęły z gałęzi. Do Yorkshire w końcu zawitała zima. Chciałam wyzwolić się całkowicie spod wpływu środka uspokajającego, a strach przenikający mnie do szpiku kości okazał się pomocny przy wychodzeniu z letargu.

Szłam ze spuszczoną głową w kierunku strumienia, zatopiona w rozmyślaniach. Mówiłam Brantley - owi, dokąd się wybieram. Nikt by się chyba nie odważył, aby mnie teraz zaatakować. To byłoby stanowczo zbyt ryzykowne. Komu właściwie mogłam ufać?

Johnowi - pomyślałam. Musiałam mu zaufać. Nie miałam innego wyjścia. Myślałam dalej, próbowałam uporządkować fakty, ale nie doszłam do żadnych wniosków. Nic nie przychodziło mi do głowy. Być może z wyjątkiem tego, że Caroline chciała ze mną porozmawiać, jeżeli można w ten sposób określić kontakt z duchem.

A to zło w Czarnej Komnacie? Zło, wciąż żywe, gotowe do ataku. Czekające, czekające... na co?

Doszłam na brzeg strumienia. Otuliłam się peleryną i upadłam pod jedną z rozległych wierzb. Popatrzyłam w dal poprzez wąską wstążkę szarej wody. Powierzchnia była wciąż nieruchoma, niczym gładka szara płyta. Nie miałam pojęcia, gdzie podziały się kaczki. Uświadomiłam sobie nagle, że zapomniałam o George'u. Nie było go ze mną w Błękitnej

Komnacie. Miałam nadzieję, że panna Crislock albo Judith dobrze się nim zaopiekują. Nie wiem, co bym zrobiła, gdyby George'owi stało się coś złego. Najchętniej wróciłabym po niego do domu, ale nie miałam siły. Wpadałam w histerię. Nic złego nie mogło mu się przydarzyć. Gdyby jednak... rozdarłabym całe Devbridge Manor na strzępy gołymi rękami.

 Nie wiem, jak długo tak rozmyślałam. W końcu usłyszałam za sobą głos.

 - Belinda zatrzymała mnie w korytarzu i zaczęła narzekać, jak to uciekłaś z łóżka, omal nie utonęłaś w wannie i w końcu wyszłaś z domu. Zapytałam Brantleya, czy cię widział, a on mi na to, że wyglądałaś jak trup i że właśnie zamierzał cię szukać. - Przerwał na chwilę i wzruszył ramionami. - Ale w końcu to ja przyszedłem. - Znałam go aż za dobrze. Zbierał siły, żeby dobrać mi się do skóry. I rzeczywiście. John uniósł dłoń i pogroził mi palcem.

 - Naprawdę nie miałam szans, żeby się utopić.

 - A niech cię, Andy. Obiecałaś, że nigdy nie będziesz sama. Co z tobą? Czy ten upadek pomieszał ci w głowie? Nie, chyba nie. Ty już po prostu taka jesteś. Odpowiedz mi, ale już!

ROZDZIAŁ 21

Patrząc na to wszystko w tym szczególnym świetle, trudno było odmówić mu racji. Pokręciłam tylko głową, ale nie odezwałam się ani słowem, co jeszcze bardziej wyprowadziło go z równowagi.

Staął na wprost mnie w szerokim rozkroku, z rękami opartymi na biodrach. Nie zasłaniał słońca, bo nie świeciło, ale zajmował masę miejsca.

On jest stanowczo za wielki - przemknęło mi przez myśl. Za wielki i za silny. Ale wiedziałam, że nie jest niebezpieczny, chociaż akurat w tamtym momencie miał ochotę wrzucić mnie do strumienia.

Uśmiechnęłam się więc do mężczyzny, przez którego omal kiedyś nie umarłam ze strachu.

- Mam pistolet. - Wyjęłam rękę z kieszeni i wycelowałam w Johna. - Jestem całkowicie bezpieczna.

Zaklął. Przekleństwo było wyjątkowo barwne. Nigdy dotąd nie słyszałam równie płynnego i twórczego opisu zestawionych ze sobą zwierząt i ludzi. Dziadek byłby z pewnością pod wrażeniem. Na pewno poklepałby Johna po plecach.

- Boże! Możesz to powtórzyć?

- Tak, ale najpierw cię uduszę. Nie sądz, że się z tego wywiniesz, Andy. Nie odwracaj mojej uwagi. Zwykle znakomicie ci się to udaje, ale nie tym razem. Co ty robisz? Niech cię, nie zabrałaś nawet George'a!

- George oddałby za mnie życie, gdyby sądził, że grozi mi niebezpieczeństwo. O, mój Boże! Mam nadzieję, że nikt nie zaczął mnie szukać. Powiedz, że nie zawiadomiłeś nikogo o moim chwilowym zniknięciu i nie wszcząłeś alarmu?

- Nie, powiedziałem Brantleyowi, żeby się nie martwił. Obiecałem, że cię przypilnuję. Sądzę, że wuj Lawrence, panna Gillbank, twoja pasierbica i panna Crislock świetnie się bawią w towarzystwie wicehrabiego Waverleigh, czy też „drogiego Hobsona”, jak go nazywa małżonka. Lady Waverleigh ubarwia opowieści wicehrabiego przerażającymi szczegółami. Co do Thomasa, to leży na górze, a Amelia robi mu delikatny masaż czoła. Mówił mi przynajmniej, że tym właśnie zamierzają się zajmować. Ale nie jestem pewien, czy mu wierzę. Amelia miała zaróżowione policzki i błyszczące oczy. Sądzę, że raczej... nie, nieważne. Nie jest ci zimno?

Pokręciłam głową.

- Czy to ty odpiąłeś pistolet?

- Oczywiście. Kiedy niosłem cię na górę. Wykorzystałem chwilę, kiedy Belinda słała ci łóżko i robiła mnóstwo zamieszania, załamując nad tobą ręce i miotając się bez celu po sypialni. Wtedy włożyłem pistolet pod poduszkę.

- Znalazłam go, dzięki. Ale takie zachowanie kompletnie nie pasuje do Belindy. Kiedy przyjechałam do Devbridge, powiedziała mi od razu, że ma zawsze własne zdanie na każdy temat. Jest silna i niezależna.

- Możliwe, ale zachowywała się jak kura, której pisklę znalazło się niebezpiecznie blisko topora. Uspokoiła się dopiero wtedy, gdy wmusiliśmy ci laudanum. Dlaczego przyszłaś tu sama?

Tak bardzo pragnęłam, żeby John przestał mnie wypytywać, ale wiedziałam, że nie podda się łatwo.

- Jesteś zupełnie taki, jak mój dziadek. On nigdy nie dawał za wygraną. Dopóki nie osiągnął celu. Zawsze nalegał, naciskał i marudził, aż wyciągnął ze mnie wszystko, co sobie życzył. A jeśli usłyszał coś, z czego nie był zadowolony, kręcił tylko głową i szedł po butelkę brandy. Zresztą dobrze, niech ci będzie. Może rzeczywiście ten upadek pomieszał mi w głowie. Chciałam po prostu spokojnie pomyśleć, zastanowić się, kto to wszystko robi i dlaczego.

- I do jakiego wniosku doszłaś? Odkryłaś tożsamość swego prześladowcy i motyw, które nim kierują? Miałaś dużo czasu, nikt ci nie przeszkadzał, dopóki ja nie pokrzyżowałam ci planów i nie poszedłem za tobą.

- Twój sarkazm jest zbyt mało subtelny - westchnęłam. - Przykro mi. Masz prawo rzucić mi te wszystkie przekleństwa prosto w twarz. - Delikatnie wepchnęłam pistolet do kieszeni i uśmiechnęłam się krzywo. - Ale widzisz, dzięki temu ja mogę ochronić ciebie.

Przez chwilę myślałam, że John wybuchnie - on jednak zdołał się opanować. Mój dziadek nie potrafił tak skutecznie trzymać nerwów na wodzy.

- Dzięki, że już na mnie nie krzyczysz. Głowa wciąż bardzo mnie boli. Prawdę mówiąc, nie doszłam jeszcze do żadnych wniosków. Nie znalazłam żadnego punktu zaczepienia, więc co tu mówić o wnioskach...

- Rozumiem, co chcesz przez to powiedzieć, ale strasznie mnie to denerwuje.

- Nie mogłam się nie uśmiechnąć.

Odszedł nad brzeg strumienia, pochylił się, wziął do ręki kamyczek i puścił kaczkę po wodzie. Cztery skoki. Nieźle.

- Mój rekord to sześć! - zawołałam.

John puścił jeszcze trzy kaczki, ale żadna z nich nie odbiła się więcej niż pięć razy. Kiedy wrócił do mnie, przerzucał kamyk z jednej dłoni do drugiej.

- Sześć? Będziesz musiała to udowodnić.

- Oczywiście - powiedziałam.

John nie usiadł. Stał nade mną i patrzył, jak puszczam te przeklęte kaczki. W końcu przemówił, ale odnosiłam wrażenie, że wcale nie chce się odzywać, że z trudem dobiera słowa.

- Chcesz znać prawdę? Tego pierwszego wieczoru, kiedy weszłaś do salonu z moim wujem u boku i obrączką na palcu, patrzyłem na ciebie z niedowierzaniem. To naprawdę byłaś ty? Jak to możliwe? Zostawiłem cię w Londynie, kiedy byłaś jeszcze bardzo młoda. Co, u diabła, robiłaś w towarzystwie mojego wuja? A potem usłyszał mnie George i przebiegł przez salon, żeby się ze mną przywitać.

Nie, nie chciałem wierzyć, że to ty, ale skoro to już byłaś ty, nie mogłem uwierzyć w ten ożenek. Czasem budzę się w nocy i łudzę się przez chwilę, że to wszystko nieprawda, że wcale za niego nie wyszłaś i że wciąż jesteś w Londynie i czekasz tam na mój powrót. Ale, oczywiście, ty jesteś tutaj, w dodatku jako cudza żona. Wiesz, kiedyś zostałem ranny. Pod Lizboną, w walce z oddziałem rebeliantów. I powiem ci, że cierpiałem bardziej z powodu twego zamążpójścia niż z powodu rany, jaką mi wtedy zadano. Wiedziałem, że nie mogę po prostu zostać tutaj i trzymać się od ciebie z daleka. Och, wiem, boisz się mnie, boisz się zapewne każdego mężczyzny. Może któregoś dnia mi opowiesz, jakie są przyczyny tego strachu. Ale to teraz nieważne. Pragnąłem cię dotykać, całować, nauczyć się, że nie masz powodu do obaw. Nigdy bym cię nie skrzywdził i niezależnie od tego, co spotkało cię w przeszłości, pozwoliłbym ci o tym zapomnieć. Ale, rzecz jasna, nie mogłem zrealizować swoich planów. Jesteś żoną mojego wuja. Wiedziałem, że muszę wyjechać. Nie mogłem tu tak po prostu zostać, przebywać w pobliżu i nie mieć cię dla siebie. Codziennie uświadamiałem sobie coraz wyraźniej, że jesteś żoną jego, nie moją. Wtedy jednak ta starucha zaatakowała cię nożem z mojej przeklętej kolekcji. Wszystko się zmieniło. Nie mogłem cię zostawić. Groziło ci niebezpieczeństwo.

John był ogromny, czarny, ponury i wyglądał teraz groźniej niż burza, która przybiera na sile przetaczając się na horyzoncie. Ani na chwilę nie odwrócił ode mnie wzroku. Nie mogłam znieść bólu, jaki wyraźnie w nim wyczuwałam.

- Boże, jaka szkoda, że w ogóle tu przyjechałaś...

A ja się nie bałam. Zupełnie się nie bałam. Byłam kimś zupełnie innym niż kiedyś. Przypomniałam sobie, co czułam, kiedy po raz pierwszy zobaczyłam Johna z George'em,

kiedy śmiał się ze mnie, i kiedy mi dokuczał. Wtedy jednak byłam tamtą sobą i wszystko, co czułam uczyniłam jedynie częścią tego przeraźliwego strachu. Jednak nie strach miał tutaj decydujące znaczenie i doskonale zdawałam sobie z tego sprawę. Nie byłam tylko pewna, czy potrafię znieść prawdę i zmusić się do tego, by ją zrozumieć.

- Pragnąłeś mnie? - Rozumiałam dokładnie sens swego pytania, czułam je w sobie, napawałam się nim i czekałam z utęsknieniem na odpowiedź.

- Niesłychane! Czy ty naprawdę nie widzisz, kim jesteś? Ależ tak, pragnąłem cię od pierwszej chwili, od chwili, kiedy pobiegłaś za George'em w Hyde Parku. Pamiętam, jak wtedy wyglądałaś... jaka byłaś oburzona i zraniona faktem, że George garnie się do mnie bardziej niż do ciebie. W tej właśnie chwili zrozumiałem, że jesteś dla mnie stworzona. Śmiałem się wtedy do łez, po raz pierwszy od bardzo, bardzo dawna. Ale pragnąłem czegoś więcej, pragnąłem ciebie. Ty za to nie chciałaś mieć ze mną nic wspólnego. Po raz pierwszy w życiu starałem się naprawdę zwrócić na siebie uwagę kobiety. Nie mogłem jednak liczyć na twoje zainteresowanie, nawet gdyby miało od tego zależeć moje życie. Boże! Nie chciałaś mi nawet podać swojego imienia. Byłem strasznie zawiedziony, lecz nie mogłem nic na to poradzić. Musiałem się pogodzić z porażką i uciec. Przyjechałem więc do Devbridge, planując powrót do Londynu, kiedy minie okres twojej żałoby.

Roześmiał się brzydkim, kąpiącym śmiechem, szydząc z samego siebie.

- I ta decyzja okazała się dla mnie naprawdę zgubna w skutkach, prawda?

Stałałam naprzeciwko Johna. Czułam się tak, jakbym znalazła się nagle w głębokiej dziurze, otaczała mnie czarna ziemia, nade mną wisały ciężkie chmury, dziura zaczynała się zapadać, a ja razem z nią. Do oczu napłynęły mi łzy i zaczęły spływać po policzkach.

John zdjął rękawiczkę, dotknął delikatnie palcami mojej twarzy i otarł łzy.

- Między nami właściwie nic nie zaszło - powiedział i ujął moją twarz w dłonie. - I nigdy nic więcej nie zajdzie. Pewnie nie powinienem był ci tego wszystkiego mówić. Wszystkie te słowa wymknęły mi się zupełnie bezwiednie, bez zastanowienia. Ale to wszystko nie ma teraz znaczenia, Andy. Nie mogę wyjechać, dopóki nie wyjaśnię, co się tu właściwie dzieje. Nie pozwolę cię skrzywdzić. Wolałbym wyrwać sobie serce z piersi. Kiedy spadałaś z grzbietu Małej Bess, o mało nie umarłem ze strachu. Rozumiesz z tego choć trochę?

Miał bardzo ciepłą dłoń. A we mnie narastał ból.

- Tak - odparłam. - Rozumiem. - Po raz pierwszy w życiu uniosłam dłoń i dotknęłam czubkami palców twarzy mężczyzny, który nie był moim dziadkiem. John był tak ciepły, tak pełen pasji - pulsowało w nim życie. Miałam ochotę się rozplakać - postąpiłam tak beznadziejnie głupio, zniszczyłam własne życie, ale to nie miało znaczenia. Co się stało, to

się nie odstanie. Nie mogłam niczego zmienić.

Opuściłam rękę.

- Co powinniśmy zrobić?

Odwrocił ode mnie wzrok. Był spięty. Czułam to samo.

- Bal odbędzie się pojutrze. A goście zaczną się zbierać jutro rano. Nie ma sposobu, aby to teraz odwołać. Wuj Lawrence rozważał taką możliwość, kiedy odpoczywałam w swoim pokoju, lecz niektórzy z zaproszonych gości są już w drodze, niektórzy jadą nawet z Londynu. Nie, bal musi się odbyć, a pewne osoby zostaną u nas nawet przez parę dni, zanim wyruszą na kolejne przyjęcia bożonarodzeniowe. Cóż, będziemy musieli zachować czujność. Nie wolno ci znowu rozważać tych problemów w samotności. Następnym razem tak łatwo się mnie nie pozbędziesz.

- I co na przykład zrobisz?

Uśmiechnął się, delikatnie objął mnie za szyję i musnął wargami moje usta. Nie poruszyłam się. Nie wykonałam żadnego ruchu, po prostu tam stałam, czekając, aż eksploduje mi mózg. Ale to wcale nie był strach, tylko coś zupełnie innego. Nie wiedziałam, co robić. A właściwie wiedziałam. Chciałam otoczyć Johna ramionami i zostać z nim tak na zawsze. Oczywiście niczego podobnego nie zrobiłam.

Lojalność - pomyślałam. Obiecywałam mężowi lojalność. Odsunęłam się od Johna bardzo wolno. Towarzyszył mi przy tym taki ból, że on nie mógł tego nie zauważyć.

- Przebrniemy przez to razem - powiedział. - Chodź, wrócimy do domu.

- Chętnie posłucham przerażających opowieści wicehrabiego.

- Ja też. Jeżeli nie będą się wiązały z jakimiś pokutującymi duszami z Devbridge.

Byłam przeciwnego zdania. Zależało mi na tym, by dowiedzieć się jak najwięcej o wszystkich, którzy tam zmarli.

Wszyscy byli w salonie. George siedział bardzo spokojnie obok Judith z głową opartą na łapach. Wszyscy słuchali lorda Waverleigh. Lord popatrzył na nas przez chwilę i przywołał gestem.

- Znów doskonale pani wygląda, młoda damo - powiedział. - Proszę podejść i posłuchać opowieści o pewnym szkockim magnacie, który zamurował małżonkę żywcem w małżeńskiej sypialni.

Judith aż się wzdrygnęła. A ja, biorąc pod uwagę taki wstęp, wcale się jej nie dziwiłam. Mimo to zdobyłam się na uśmiech, a John poprowadził mnie na krzesło.

- Proszę, niech pan nam opowie, jak źle skończył ten nikczemnik.

- To było właśnie najgorsze. Jego żona nie umarła. Jeden ze służących magnata

wyciągnął ją zza ściany i pielęgnował, dopóki nie wróciła do zdrowia. Przypuszczam, że byli od dawna kochankami i właśnie dlatego Szkot postąpił tak okrutnie, ale trudno cokolwiek w tej sprawie wyrokować. Tak czy inaczej, służący Szkota i jego żona, którą uznał za zmarłą, uknuli pewien plan. Żona zaczęła nawiedzać męża mordercę. Nie wiem, jakich sztuczek użyli, ale wystraszyli magnata do tego stopnia, że rzucił się ze skały prosto do Loch Ness. Są tacy, którzy przysięgają, że pożarł go potwór.

Judith odetchnęła głęboko. Panna Gillbank ścisnęła ramię dziewczyny.

- Ten łajdak zasłużył na taki koniec - powiedziała. Panna Crislock myślała chwilę.

- Takie historie stanowią doskonałą przestrożę dla podobnych nikczemników. I są naprawdę przerażające. Co o tym sądzisz, Lawrence?

Mój mąż wstał i skrzyżował ramiona na piersiach.

- Moja droga pani. Każda niewierna żona zasługuje na to, żeby ją zamurować.

- Tyle że my nie mamy na to żadnych dowodów - wtrącił Waverleigh. - Może mąż był po prostu okrutnikiem, znęcał się nad nią, a w końcu nawet i to mu nie wystarczyło. Może nie podobał mu się sposób, w jaki prowadziła dom, i dlatego postanowił się jej pozbyć. Niewykluczone, że znalazł sobie inną... Tak czy inaczej, nie postąpił najpiękniej. Nie sądzi pan, że otrzymał dokładnie to, na co zasłużył? Lawrence uśmiechnął się tylko.

- Skoro tak, a żona była mu wierna, sądzę, że zasłużył na śmierć w Loch Ness. Andy, masz zaróżowione policzki... Jesteś bardzo podekscytowana.

- Oczywiście. Nie mogę się już doczekać gości. Jak to ładnie z twojej strony, że zorganizowałaś ten bal. Spotkam wszystkich sąsiadów. - Uśmiechnęłam się do niego i poczułam nagły przyptyw ciepłych uczuć w stosunku do męża.

Odwrociłam się.

- George, poświęciłeś Judith dość uwagi. Teraz czas, żebyś poszedł ze mną na spacer. Judith, nie pozwoliłaś mi się odegrać. Chodź z nami - może tym razem to ja cię pokonam i będziemy kwita.

George, zdrajca, wybrał jednak cis wskazany przez Judith. Jęknęłam i wróciłam do domu po pieniądze, które byłam winna swojej pasierbicy. Lawrence stał w holu z dwoma szylingami w ręku. Roześmiał się i podał je córce.

Tej samej nocy, kiedy wyjęłam pistolet z kieszeni pięknej sukni w kolorze lawendy i chciałam schować go pod poduszką, zobaczyłam rytualny nóż Johna Moorisha. Nóż z piękną czerwoną rękojeścią. W skąym świetle wypolerowana klinga lśniła jak złoto. Była naprawdę piękna. I mogła niezwykle łatwo zagłębić się w serce.

Doznałam tak ogromnego szoku, że zrobiło mi się niedobrze. Cofnęłam się

gwałtownie i zasłoniłam dłońmi usta, żeby nie krzyknąć. George szczerknął i wskoczył na łóżko. A ja stałam i patrzyłam na nóż, który tak mnie przeraził.

Potem zmusiłam się jednak, żeby wziąć go do ręki. Nie czekałam.

Razem z George'em poszliśmy długim korytarzem do pokoju Johna.

ROZDZIAŁ 22

Otworzył drzwi w szlafroku. W dłoni trzymał książkę. George dostał szału na jego widok. John wziął psa na ręce, nie mówiąc ani słowa, i odsunął się od drzwi, abym mogła wejść do środka. Wiedziałam, że zachowuję się niestosownie, ale nie miało to dla mnie znaczenia. Nie odezwałam się ani słowem - zaprezentowałam mu tylko swoje znalezisko.

John wciągnął głęboko powietrze, wziął ode mnie nóż i poszedł w daleki kąt pokoju, gdzie przechowywał kolekcję białej broni. Zauważyłam, że jest bosy. Miał bardzo duże stopy. Solidne, mocne stopy.

Podszedł z powrotem do mnie, z George'em pod pachą.

- Noża oczywiście brakuje. Gdzie go znalazłaś?

- Pod poduszką. Podniosłam ją, żeby schować pistolet, i zobaczyłam nóż.

Wskazał mi duże krzesło z oparciem, stojące na wprost kominka.

- Usiądź - powiedział i podszedł z George'em do biurka, gdzie stała butelka brandy.

Nalał mi okazałą porcję do pięknego kryształowego kieliszka.

- Wypij.

Wypiłam posłusznie. Poczułam w żołądku ciepło, potem gorąco, wreszcie eksplozję. Zakrztusiłam się i zakasłałam.

- Boże - jęknęłam.

- Świetnie, odzyskałaś rumieńce. - Oparł łokcie o półkę nad kominkiem. Ani na chwilę nie przestawał drapać George'a za uszami, a ten głupi pies lizał go po rękę.

- Ktoś, kto podłożył drut kolczasty pod siodło małej Bess, najwyraźniej nie jest usatysfakcjonowany wynikiem swoich poczynań. Nikt nie został ranny, nikt nawet nie wydaje się przerażony. W związku z tym ponawia próby. Po prostu podwyższa stawkę.

- Tak, i robi to z powodzeniem. Jestem naprawdę przerażona. Na widok noża o mało nie zemdlałam.

- Ale wzięłaś się w garść i przyszłaś do mnie, żeby sprawdzić, czy to ten sam nóż. Tak, ten sam.

Przyszłam do Johna niedokładnie z tego powodu, ale nie rozwijałam tematu.

- Sądysz, że ten ktoś miał nadzieję, że uznam cię za prześladowcę?

- Dobre pytanie. Z pewnością ktoś przyszedł do mojego pokoju i zabrał nóż. Potem musiał odczekać, aż twoja sypialnia będzie pusta, a potem - niezauważony - wszedł do środka i wsunął go pod poduszkę.

- Tak - odparłam i powoli wstałam z krzesła. - Nie powinnam tutaj siedzieć. Muszę pójść do Błękitnej Komnaty.

Odprowadził mnie do pokoju.

- Opukałam dokładnie wszystkie ściany - powiedziałam stając w progu. I nie znalazłam żadnych ukrytych drzwi wiodących do jakiegoś tajemnego przejścia.

- Nie wiedziałem. Ale to był świetny pomysł, Andy.

Oddał mi George'a, który zaskowyczał z żalu, potem poklepał mnie po policzku i ruszył długim korytarzem do swojej sypialni. Granatowy, aksamitny szlafrok płątał mu się wokół kostek.

Mocne, solidne stopy - pomyślałam raz jeszcze.

Kolejną noc przeleżałam w łóżku, wpatrzona w ciemny sufit, z George'em zwiniętym w kulkę u mojego boku. Ani na chwilę nie zamknęłam oczu - czekałam, aż wstanie słońce.

Następnego dnia od rana zaczęli zjeżdżać się goście - przywieźli ze sobą służących, śmiech, ostrokrzew, prezenty i więcej kufrów, niż byłam w stanie zliczyć. Na podwórzu przed stajnią zaroilo się od powozów.

- Rucker da sobie radę? - spytałam Lawrence'a, kiedy przywitaliśmy już lorda i lady Maugham, długoletnich przyjaciół rodziny Lyndhurstów.

- Wszyscy goście są już chyba na miejscu. Rucker na pewno panuje nad sytuacją. Mamy dość miejsca dla wszystkich koni. Jak się czuje Mała Bess?

- Pamiętasz o wszystkim, prawda? - Uśmiechnęłam się do niego. Po raz pierwszy zaczęłam się zastanawiać, czy to przypadkiem nie Lawrence chce mnie zabić albo wystraszyć na śmierć. Nie, pomyślałam, to kompletnie nie ma sensu.

Ale tak naprawdę nic nie miało sensu.

- Tak, zaglądałam do niej rano. Na szczęście powoli wraca do zdrowia. Gdybyśmy musieli ją zastrzelić, chyba bym...

Delikatnie dotknął palcami mego policzka.

- Wiem, kochanie. Na pewno bardzo byś to przeżyła. Ale Mała Bess na pewno wyzdrowieje. Ja też do niej zaglądałam.

Czy to ty włożyłeś ten okropny drut pod jej siodło? - myślałam, patrząc na Lawrence'a.

Nie wiedziałam, czy zauważył rany na grzbiecie Bess, ale najwyraźniej nie, bo przecież coś by na ten temat powiedział. Pewnie Rucker zarzucił derkę na płócienny opatrunek. Albo też Lawrence wiedział wszystko na temat wypadku, wiedział, bo...

Panna Crislock przyszła do mojego pokoju, gdy Belinda pomagała mi zmienić suknię.

Przebierałam się przynajmniej trzy razy dziennie i toaleta pochłaniała mi masę czasu.

- Dziwne - powiedziała panna Crislock, gdy już obejrzała sobie dokładnie pokój i ustawiła w równym rzędzie butelki na toalecie.

- O co chodzi, Milly?

- Widziałam wczoraj, że Amelia wychodziła z pokoju Johna. Czy to nie zastanawiające?

Poczułam dziwną miękkość w kolanach. Amelia? Nie - pomyślałam. Nie.

- Może chciała coś od niego pożyczyć - zasugerowałam. - Coś dla Thomasa.

- Najwyraźniej. Niosła jakieś zawiniątko.

Nie mogłam tego znieść. Po prostu nie mogłam. Ucałowałam Milly w policzek i razem zeszyliśmy na dół.

Dom udekorowano ostrokrzewem z okolicznych lasów i tym, który przywieźli goście. W ogromnym wysokim kominku płonęło wielkie polano. Całe wolne miejsce w rezydencji zajmowały podarki. Zaraz po lunchu przybył posłaniec z Yorku z przesyłką dla mnie. Pobiegałam w podskokach do pokoju Judith. Byłam taka uszczęśliwiona, że prezent nareszcie dotarł. I to w dodatku na czas. A byłam już niemal przygotowana na rozczarowanie.

- Andy, kochanie - powiedziała panna Gillbank z uśmiechem. - Przyszłaś w trakcie lekcji włoskiego. No, moja bystra panno - dodała, odwracając się do Judith - co masz do powiedzenia?

- Come sta? Favorisca sedersi - odparła Judith, wskazując dłonią krzesło.

- Sto molto bene, e Lei?

- Na miłość boską, Andy, u mnie też wszystko w porządku. Ale teraz siadaj. Co jest w tym pudle? Czy to mój prezent gwiazdkowy?

- Przykro mi, ale będziesz musiała poczekać. Widzisz, założyłam się z panną Gillbank i przegrałam. Dokładnie tak samo jak z tobą. Tylko że panna Gillbank jest bardziej wytrawnym graczem niż ty i chciałaby, żeby ten zakład był naprawdę wyjątkowy.

- Panno Gillbank? Nie wiedziałam, że pani też lubi hazard. O co się pani założyła?

- Pamięta pani, panno Gillbank? - spytałam. Patrzyła to na pudło, to na mnie.

- Zabawne, ale kompletnie nie pamiętam.

- No tak. A więc słuchaj, Judith. Założyłam się z panną Gillbank, kiedy we trzy wychodziłyśmy kiedyś z ogrodu. Wtedy po raz pierwszy pozwolono ci zjeść kolację z dorosłymi, a panna Gillbank założyła się ze mną, że wkrótce znów będziesz mogła zasiąść z nami do wieczornego posiłku. Ja jej nie uwierzyłam, bo kto w końcu chciałby jeść kolację z dziewczyną tak piękną i miłą dla George'a? Dlatego postawiłam prawie wszystko co miałam

na to, że już nigdy nie będziesz mogła jeść kolacji z dorosłymi. I przegrałam. Kiedy tylko wyjadą nasi goście, panna Judith Lyndhurst będzie mogła jeść kolację z dorosłymi przez cały tydzień. Twojemu ojcu bardzo na tym zależy. - Oczywiście kłamałam, ale kogo to obchodziło? - A więc panno Gillbank, oto pani wygrana.

I tak, nie zostawiając jej żadnej szansy, podeszłam do biurka Judith, odsunęłam parę książek i postawiłam na blacie duże pudło. Otworzyłam je i się cofnęłam.

- Dokładnie taka, jak pani sobie życzyła. Mam nadzieję, że nie będzie pani zawiedziona.

Panna Gillbank nie mogła dobyć z siebie głosu. Uniosła rąbek srebrnego papieru i bez słowa wpatrywała się w stół.

- Co to jest, panno Gillbank? - spytała Judith.

- Suknia panny Gillbank na jutrzejszy bal - odparłam. - Podoba ci się?

Judith aż pisnęła z wrażenia, a panna Gillbank, wciąż bez słowa, wyjęła z pudła piękną suknię, jaką dla niej zamówiłam. Przedtem wyjęłam ukradkiem z szafy panny Gillbank jedną z jej sukien, tak by Belinda mogła ją wymierzyć.

Suknia była cudowna - złocista, aksamitna, z dużym dekoltem, stanem wykończonym złotym atłasem. Rękawy miała długie i dopasowane. Poza tym nie ozdobiono jej ani koronkami, ani mereżką, ani wstążkami - była więc prosta i elegancka, o klasycznym kroju.

Judith dotknęła miękkiego atłasu.

- Och, proszę ją natychmiast przymierzyć, proszę panno Gillbank.

A panna Gillbank, ta zrównowazona i zawsze opanowana guwernantka, ostrożnie włożyła suknię z powrotem do pudła i wybuchnęła płaczem.

- Ojej - zawołała Judith. - Sądzisz, że prezent jej się nie podoba? Może coś źle zrozumiałaś? Może panna Gillbank wolałaby inny kolor? A może dekolt jest za duży? Sięga prawie do talii.

Panna Gillbank śmiała się przez łzy. Nie chciała przymierzyć sukni. Wymamrotała tylko, że zanim włoży ją po raz pierwszy, co miało nastąpić następnego dnia wieczorem, musi wyglądać idealnie.

Wychodząc z pokoju dziecinnego, pogwizdywałam cicho. Na dobre piętnaście minut udało mi się zapomnieć, że ktoś nie był zadowolony z mojego pobytu w Devbridge. A cóż takiego wynosiła wczoraj Amelia z pokoju Johna? Z pewnością nie nóż. Z pewnością nie.

Podniosłam wzrok i zobaczyłam, że mija mnie jakiś nieznamy mężczyzna.

- Proszę zaczekać! - krzyknęłam. - Kim pan jest? - Proszę zaczekać!

Lecz zanim skręciłam za róg, po mężczyźnie nie było już ani śladu.

- A niech to - mruknełam. Palce wciąż miałam zaciśnięte na kolbie pistoletu. Byłam gotowa na atak. Nie skamieniałam ze strachu.

Tego wieczoru, ubrana w kolejną piękną suknię, stałam u boku męża, podczas gdy trzydzieścioro sześcioro naszych gości zasiadało do stołu. Wcześniej podsłuchałam, jak Brantley poucza Jaspera, by ten powiększył stół o elementy zebrane w specjalnym schowku na meble.

Stół prezentował się wspaniale. Kryształ lśnił, srebra i zastawę ustawiono w idealnym porządku. Brantley wynajął do pomocy dziesięciu dodatkowych służących, tak że każdy z nich miał pod opieką tylko trzech gości.

Menu, w które wtrącali się chyba wszyscy mieszkańcy Devbridge, zadowoliliby nawet tego ograniczonego żarłoka, Księcia Regenta. Podano szesnaście różnych dań - tyle naliczyłam, gdy elegancko i oficjalnie podawano je do stołu.

Popatrzyłam na pannę Gillbank, która wyglądała po prostu pięknie w jednej z moich zielonych sukien, troszkę dla niej przedłużonych. Belinda upięła jej włosy. Posadziłam pannę Gillbank niedaleko syna miejscowego baroneta, o którym kiedyś wspomniała. Panna Gillbank bawiła się dobrze - śmiała się. Zerknełam na Amelię i Thomasa, siedzących obok siebie, mniej więcej w połowie niezwykle długiego stołu. Rozmawiali ze sobą cicho. O czym? A. potem, jak na komendę, odwrócili się do swoich sąsiadów.

Moja droga panna Crislock siedziała po lewej ręce Lawrence'a. Uśmiechała się - zapewne zdołał ją czymś rozbawić. Wszyscy byli w znakomitych humorach. Nawet nie zaczęłam liczyć, ile butelek wina włąli w siebie moi goście podczas dwugodzinnej kolacji.

Popatrzyłam na Johna, choć wcale nie miałam na to ochoty, i choć wiedziałam, że sprawi mi to ból, zmusi do stawiania kolejnych pytań i wyzywania samej siebie od idiotek. Lawrence siedział obok najpiękniejszej kobiety, jaką widziałam w życiu - lady Elizabeth Palmer. Lady Palmer była bogatą wdową i nie mogła mieć więcej niż dwadzieścia pięć lat. Sądzę, że Lawrence próbował wyswatać swojego spadkobiercę i dlatego ją zaprosił. Musiałam szczerze przyznać, że ma znakomity gust. Lady Elizabeth nie wzbudziła mojej sympatii, ale i też nie zachowała się w stosunku do mnie szczególnie sympatycznie zaraz po przyjeździe. Zmierzyła mnie od stóp do głów tak aroganckim spojrzeniem, że miałam ochotę dać jej po buzi. Niestety, cieszyła się wręcz nieskazitelną urodą. Burzę złocistych loków upięła na czubku głowy, zostawiając kilkanaście niesfornych pasm, które opadały jej na ramiona - stanowczo za bardzo odsłonięte. Mój dziadek wpatrywałby się bez słowa w jej twarz i dekolt. Kiedyś wyznał mi bowiem, że ideał należy podziwiać w milczeniu.

Pod tym względem John znacznie się od niego różnił. Śmiał się, bawił lady Elizabeth

rozmową i wsłuchiwał się w każde wypowiedziane przez nią słowo. Na sam ten widok robiło mi się niedobrze. Zorientowałam się, że jestem zazdrosna, dopiero przy wyjątkowo pysznej sałatce krabowej. Omal nie upuściłam widelca i byłam przerażona swoim zachowaniem. Przystałam po prostu jeść i nie spuszczałam z nich wzroku. Rozmawiali ze sobą - prawie stykając się głowami - złotowłosą i ciemną. A niech go licha!

Nie wolno mi było odczuwać zazdrości. Nosiłam obrączkę na palcu, a John był dla mnie tylko bratankiem męża. I miał nim na zawsze pozostać. Musiałam się również liczyć z tym, że w końcu sprowadzi żonę do Devbridge. Tą żoną mogła być na przykład lady Elizabeth Palmer.

Okłamał mnie, okłamał, tak jak każdy inny mężczyzna. A ja, głupia, byłam tym w dodatku zaskoczona. Poświęcał lady Elizabeth całą swoją uwagę, czarował ją dowcipem, humorem, inteligencją, a robił to wszystko po tym, jak dzień wcześniej otworzył przede mną serce.

Kłamca.

A jednak wcale nie chciałam, żeby włączył się po Devbridge milczący i ponury, a w dodatku nieszczęśliwy wyłącznie z tego powodu, że nie może być ze mną. Poza tym ja też nie chciałam być z nim. Wydawał mi się zbyt ogromny, zbyt silny, zbyt... - sama śmiałam się w duchu z tej wyliczanki.

Ale tak naprawdę sytuacja nie wydawała mi się zabawna. John mnie okłamał. Tak, jak mój ojciec. Wtedy przypomniałam sobie o liście i zdałam sobie sprawę, że ani słowem nie wspomniałam o nim Johnowi. Nie widziałam takiej potrzeby.

Cóż mi pozostało? Rozmawiałam z sąsiadami - księciem Manchesteru, człowiekiem o ciężkim poczuciu humoru, i z markizą, która miała największy biust, jaki kiedykolwiek widziałam w życiu. W przeciwieństwie do panów siedzących przy stole próbowałam na ten biust nie patrzeć.

Starłam się być duszą towarzystwa. Zdobyłam się na parę żartów i udawałam, że bawią mnie ich dowcipy. Markiza z dużym biustem okazała się zabawna, a jej opowieści o pekińczykach (a miała ich chyba tuzin) urocze. Stary książę uwielbiał plotkować o ludziach, których nie znałam, ba, o których nawet nie słyszałam, ale śmiałam się i prowadziłam rozmowę tak, jak tego ode mnie oczekiwano. Chciałam, żeby Lawrence był ze mnie dumny.

Co do mego wyglądu, to włożyłam błyszczącą, srebrzystą suknię i wiedziałam, że prezentuję się znakomicie. Może nie mogłam się poszczycić tak alabastrowym dekoltem jak lady Elizabeth, ale miałam rudobrzązowordzawe włosy, niczym jesienny dywan, nie tak stylowe jak jej - być może, ale...

Musiałam przestać. John nie należał do mnie. I nie wolno mi było liczyć na to, że kiedyś będzie mój. Jak mogłam się tak zmienić? John był wciąż tym samym mężczyzną, którego spotkałam trzykrotnie w Londynie i trzykrotnie odtrącałam. Tyle że tak naprawdę wcale nie chciałam, by odszedł.

Narobiłam straszego bałaganu.

Teraz jednak musiałam pełnić rolę gospodyni. Nie byłam jakąś prowincjonalną panienką, tylko hrabiną, i mimo młodego wieku znałam doskonale swoje obowiązki. Wiedziałam, jak się zachować. Toteż, kiedy wstałam od stołu, aby odprowadzić panie, popatrzyłam tylko na mojego męża i uśmiechnęłam się do niego, a on skinął głową.

- Panowie - powiedziałam na tyle głośno, by przykuć uwagę zebranych - panie zostawią was przy portu.

Niewielu z nich zwróciło jednak uwagę na ten komunikat. Większość była nieźle wstawiona. Nie mogli się już doczekać alkoholu. Odwróciłam się od progu i zawołałam, tym razem głośniej:

- Drogie panie, wypijemy brandy w salonie. Porozmawiamy też o Napoleonie. No i zdecydujemy, który z panów zebranych przy stole jest najprzystojniejszy, najbardziej wykształcony i czarujący.

Kilka pań roześmiało się, inne popatrzyły na mnie z dezaprobatą, ale zupełnie się tym nie przejęłam. Bałam się spojrzeć na mego męża - nie byłam pewna, co sądzi o uwadze, którą wygłosiłam na odchodnym.

Panowie usłyszeli każde słowo. Teraz wszyscy mówili jednocześnie. Niektórzy z nich wydawali się oburzeni, inni śmiali się głośno, pokrzykiwali.

Czułam, że czeka mnie mężowska reprimenda.

W salonie starałam się zabawić panie, jak najlepiej umiałam. Istotnie przez chwilę gawędziłyśmy o Napoleonie, lecz zaraz potem przeszłyśmy do jego biednej żony, księżniczki austriackiej, Marii Luizy. Wspomniałyśmy i o tym, że Napoleon tak bardzo pragnął potomka, że ledwo stanął na francuskiej ziemi, a już zaciągnął żonę do namiotu i skonsumował małżeństwo, zanim jeszcze zostało na dobre zawarte.

- Mężczyźni postępują z kobietami naprawdę okropnie - powiedziała lady Elizabeth Palmer, która wreszcie wykazała zainteresowanie tematem innym niż plotki czy moda. - No a teraz, która z pań jest gotowa głosować na najbardziej czarującego mężczyznę przy stole?

Panie roześmiały się.

- To był naprawdę świetny pomysł, młoda damo - powiedziała lady Caldecore, wachlując się energicznie. - Udało się pani przykuć ich uwagę. Bardzo jestem ciekawa, o

czym teraz mówią.

- Zastanawiają się, oczywiście, którego wybierzemy - odparła lady Elizabeth, a potem zrobiła taką minę, jakby zobaczyła mnie naprawdę w innym świetle. - To rzeczywiście był świetny pomysł.

Następnie zabrała głos markiza z ogromnym biustem.

- Słyszałam, że Napoleon miał podobno wiele kochanek, co doprowadzało do pasji Josphine. Opowiadała wszystkim, kto chciał słuchać, że z Napoleona nie był znowu taki wspaniały mężczyzna, jeśli wiecie, co mam na myśli.

Ja chyba nie zrozumiałam.

- Cóż, skoro wciąż ma kochanki, nawet teraz, po ślubie z Marie - Louise, to rzeczywiście kiepski z niego mężczyzna - powiedziałam.

Wszystkie zebrane w salonie panie popatrzyły na mnie jak na idiotkę.

- Moja droga hrabino - odezwała się ze śmiechem lady Elizabeth - jest pani przecież mężatką. Lawrence pokazał pani z pewnością, jakim jest mężczyzną.

Popatrzyłam na nią bez słowa.

- Lord Devbridge troszczy się bardzo o swoją młodziutką małżonkę. Jest cierpliwy i wyrozumiały. Podajcie mi brandy, moje drogie - poprosiła moja nieoceniona panna Crislock.

Ale nawet i teraz damy nie rezygnowały. Stłoczone wokół mnie uśmiechały się ironicznie, unosiły pytająco brwi, a nawet się śmiały, zasłaniając usta.

Panna Gillbank miała przerażoną minę.

- Czy chce pani przez to powiedzieć, że jest jeszcze dziewicą? - spytała pani Birkenheid. Nachyliła się nade mną bardzo nisko, czułam zapach jej duszących perfum.

Amelia odchrząknęła głośno.

- Proponuję, żeby Andrea zagrała dla nas sonatę Mozarta. Jest bardzo utalentowana. Potrafi również śpiewać. No, chodź Andy, pokaż, co potrafisz.

- Ona już pokazała. Naszym panom, w salonie - odezwała się jedna z dam matczynym tonem.

Podeszłam do instrumentu i zaczęłam grać. Zagrałam całkiem nieźle. Kiedy podniosłam wzrok, zobaczyłam nad sobą Lawrence'a.

- Przepraszam, Lawrence. Diabeł mnie chyba pod - kusił - powiedziałam, kiedy tylko umilkły oklaski.

Roześmiał się, spojrział na stojącego obok dżentelmena i obwieścił wszem wobec:

- Żona powiedziała mi właśnie, że to diabeł ją podkusił.

W ten sposób miałam już wyrobioną reputację.

Jak się później dowiedziałam od panny Crislock, uznano mnie za osobę niezwykle oryginalną. Nie było żadnych wątpliwości co do tego, że podczas kolejnego pobytu w Londynie znajdę się w centrum zainteresowania.

- To znaczy?

- Będiesz zapraszana na przyjęcia i takie tam... - powiedziała i obdarzyła mnie przeciągłym spojrzeniem. - Chyba nie jesteś szczęśliwa, Andy. Co się stało?

Przełknęłam ślinę.

- Nic, Milly. Wszystko jest w absolutnym porządku.

Lawrence odprowadził mnie do Błękitnej Komnaty dopiero koło drugiej nad ranem.

- Wciąż mnie zadziwiasz, Andy - powiedział z zamyśloną miną.

- Mam nadzieję, że w większości wypadków są to przyjemne niespodzianki.

- Przynajmniej w połowie. Nie martw się. Ta była fantastyczna. Panowie mówili wyłącznie o tym, kto jest najbardziej czarujący, inteligentny i zabawny.

- Lady Elizabeth Palmer doskonale to przewidziała. Muszę ci zresztą przyznać, że byłam sama sobą zaskoczona. Większość naszych gości to doskonali kompani.

- Owszem. I lubią cię. Prawdę mówiąc, nawet tego nie oczekiwałem, bo jesteś bardzo młoda. Ale udało ci się ich oczarować.

- Powiedziałeś to tak, jakbyś nie był do końca przekonany, czy naprawdę podobało ci się moje zachowanie.

- Naprawdę? Mylisz się, kochanie. Dobranoc, dziecko. - I z tymi słowami odszedł.

Czy naprawdę myślał o mnie jak o dziecku?

ROZDZIAŁ 23

Następnego dnia wczesnym rankiem nakładałam dość nieprzyjemnie pachnące smarowidło sporządzone według receptury mojego dziadka na grzbiet Bess. Klacz miała siedem głębokich ran, tworzących niemal idealne koło. Na samą myśl o tym, jak drut kolczasty wbijał się w jej ciało dostawałam szału. Potwór, który dokonał tak nikczemnego czynu, zasłużył na kulkę między oczy.

- Widzę, że lepiej się czuje.

To był John. Odwróciłam się powoli. Nie chciałam go widzieć. Ponad wszystko na świecie pragnęłam jednak stać tak i patrzeć na niego, dopóki Mała Bess nie wykopie mnie z boku.

Porzuciłam te bezsensowne rozważania.

- Tak, ma się lepiej, o wiele lepiej dzięki Ruckerowi, ale wciąż jestem taka wściekła, że chyba wybuchnę. Jest bardzo wcześnie. Nie sądziłam, że budzisz się o świcie.

Otaksował mnie wzrokiem, a ja wiedziałam, co dostrzegł - miałam na sobie ciemnobrązowy płaszcz i grube buty, tak zniszczone, że już w zeszłym roku nadawały się wyłącznie do wyrzucenia. Włosy szesałam gładko z czoła i upięłam w węzeł na szyi. Poskręcane pasma zaczęły się jednak powoli wymykać z prowizorycznego koka.

John się uśmiechnął.

- Ty przecież wstałaś. A ja nie mogę?

- Kiedy w środku nocy szłam na górę, ty wciąż dotrzymywałaś towarzystwa lady Elizabeth Palmer.

Wiem, że mój oskarżycielski ton nie uszedł jego uwadze. Przecież nie był głupcem. Miał jednak czelność, by się do mnie uśmiechnąć.

- Nie musisz chyba podawać jej pełnego nazwiska. Lady Elizabeth w zupełności wystarczy. Nie ma tu chyba drugiego takiego gościa jak ona, nie sądzisz?

Owszem, podzielałam tę opinię, ale nie zamierzałam mu tego mówić. John, niczym jednak niezrażony, kontynuował:

- Ciekawe, że to zauważyłaś. Nie masz jednak ochoty rozwijać tematu. Mówią mi to wyraźnie twoje usta, zaciśnięte w linijkę. Przejdę zatem na bezpieczniejszy grunt. Tak więc, wielu panów już wstało, a jeśli nie rozmawiają, to piją kawę i czytają gazety.

Ach, korzystając z nieobecności wuja, mówili również o tobie. Wywołałaś niezłe zamieszanie, Andy. Nie sądzę, by wuj był tym zachwycony.

- Jeśli koniecznie chcesz wiedzieć, to już go przeprosiłam. Nie jestem kompletną idiotką. Lawrence z pewnością dojdzie do wniosku, że tak naprawdę ma poważną i odpowiedzialną żonę.

- Ależ nie chodzi mi o to, co powiedziałaś, zabierając panie do saloniku. Miałem na myśli coś zupełnie innego.

Przykuł moją uwagę.

- Innego? Nic innego nie mówiłam, przysięgam. Dużo słuchałam. Śmiałam się. Grałam Mozarta. Nawet nie najgorzej, chociaż nie wypada mi się tak chwalić. Ale, przysięgam nie powiedziałam nic, przez co Lawrence mógłby się czuć zakłopotany.

John roześmiał się serdecznie.

- Do licha! Ty naprawdę nie rozumiesz, o co chodzi. Nie odpowiedziałam. Wyglądałam nowy, czysty opatrunek na grzbiecie Małej Bess, która odwróciła głowę, żeby sprawdzić, co się dzieje. Pogłaskałam ją delikatnie i poklepałam po szyi, po czym przeniosłam wzrok na Johna.

- Nie, naprawdę nie wiem, o czym mówisz.

- Tak mi się też wydaje - odparł, przekrzywiając lekko głowę. Wiedziałam, że John wykonuje taki gest, ilekroć jest zakłopotany lub zaintrygowany.

- Ale widzę, że chcesz mi powiedzieć, więc wyduś to z siebie. Czym wprawiłam Lawrence'a w zakłopotanie?

- Wszyscy wiedzą, że wciąż jesteś dziewicą. Drgnęłam tak mocno, że Mała Bess wierzgnęła ze strachu. Uspokajałam ją przez chwilę.

- Niemożliwe - powiedziałam w końcu wściekła i obrażona. - To znaczy, jestem, ale nic na ten temat nie mówiłam. Przecież to byłoby absurdalne, nielojalne i po prostu głupie. Wyobrażasz sobie, że podchodzę do markizy i mówię; „No cóż, moja droga pani, jestem żoną, ale dziewicą”.

- Nie, o to cię nie posądzałem - rzekł, wyłamując sobie palce. - Ale panie mówiły chyba o tym, że Napoleon nie słynie z... no, nie jest bogato wyposażony przez naturę, to znaczy, jeśli chodzi o rozmiar...

- Jakie wyposażenie? Jaki rozmiar? Chodzi ci o to, że nie jest wysoki? Słyszałam o tym. Ale co z tego? Jaki to ma związek z dziewictwem?

Przewrócił oczami, ale wydawał się szczerze skruszony, co bardzo mnie zdziwiło. Zażenowany, najwyraźniej żałował, że poruszył ten temat.

- Zapomnij o tym. Przepraszam, że to powiedziałem. Chciałem sobie zakpić z twojej naiwności, ale nie mogę. Andy, po prostu o wszystkim zapomnij. Jesteś niewinna i nie widzę

w tym nic złego. I nie pozwól sobie nikomu wmówić, że jest inaczej. Nie masz za co przepraszać mojego wuja. Nie musisz go absolutnie za nic przepraszać.

- Ale...

Dotknął opuszkami palców moich ust. W jego głosie wyraźnie pobrzmiwała czułość, z domieszką rozbawienia.

- Nie, Andy, po prostu o tym zapomnij. Jeśli kiedykolwiek znów usłyszysz coś na ten temat, jakieś docinki albo komentarze, po prostu je zignoruj.

Niepewnie skinęłam głową.

- Pozwól, że sprecyzuję dokładniej, o co mi chodzi. Jeśli w ciągu najbliższych dni usłyszysz jakieś uwagi, szczególnie na temat Napoleona, po prostu się nie odzywaj, dobrze?

- Dobrze, ale ja nie...

- Mała Bess czuje się znacznie lepiej - powiedział. Jednak jeszcze przez co najmniej dwa tygodnie nie powinnaś na niej jeździć. I nie waz się nawet wsiadać na Pioruna. On nie musiałby cię nawet wrzucać do zajęcej nory. Wrzuciłby cię po prostu do dziury, którą by sam wykopał. Zjadłby cię na śniadanie razem ze swoją owsianką. On...

- Naprawdę powiedziałeś już dość. Najwyraźniej życzyłybyś sobie, żeby spotkał mnie taki los, skoro wymyślasz takie rzeczy.

- Możliwe. Teraz zapytaj wuja Lawrence'a, czy ma dla ciebie jakiegoś lepszego wierzchowca. Piorun nie pozwoliłby ci się nawet nakarmić. Odgryzłby ci rękę. Ach tak, i jeszcze jedna sprawa. Nie staraj się zgubić Boyntona, mojego lokaja, który będzie teraz za tobą chodził krok w krok. - Odwrócił się i wyszedł ze stajni.

Popatrzyłam za nim z niedowierzaniem. Boynton miałby za mną chodzić?

O co w tym wszystkim chodziło? Ostrzeżenie przed Piorunem? Zgoda, nic nowego, ale te rozmiary Napoleona? To było naprawdę bardzo dziwne. Cóż, zamierzałam przestać o tym myśleć. Boynton depczący mi po piętach? Już na samą myśl o tym zrobiło mi się różniej.

Jak się okazało, tego dnia nie miałam czasu, aby myśleć o czymkolwiek innym niż bal.

Przedtem tylko raz w życiu widziałam bardziej zaaferowanych służących - a było to na moim debiutanckim balu. Nawet Brantley stracił panowanie nad sobą i zaczął wrzeszczeć na jednego z lokajów za przewrócenie palmy w donicze. A przecież Brantley nigdy nie krzyczał. Służący uznali to zatem za dobry omen. Śmiałam się do rozpuku. Nie mogłam nic na to poradzić. Brantley przestał wrzeszczeć i wyglądał tak żałośnie, że chciałam go pocieszyć. On jednak nie byłby wcale z tego zadowolony, więc nie powiedziałam nic - uśmiechnęłam się tylko do niego.

Tego wieczoru zesłam na dół w przepięknej jasnoblękitnej sukni - jak zapewniła mnie Belinda - dokładnie w kolorze moich oczu. Suknia była głęboko wycięta - krawcowa twierdziła, że jest to absolutnie konieczne i że w innym fasonie wyglądałabym absurdalnie, i nikt nie przyszedłby więcej do jej sklepu. Jęczała, że umarłaby z głodu, a to wszystko z mojej winy. Uznałam, że z pewnością przesadza. Jaki związek mógł mieć mój biust z jej przyszłą karierą zawodową? Pozwoliłam jej jednak wyciąć suknię tak głęboko, jak sobie życzyła. Uważałam jednak, że wystawiam na widok publiczny zbyt obszerne fragmenty białego ciała i zwierzyłam się Belindzie ze swoich rozterek. Belinda wydała tylko okrzyk oburzenia. A kiedy zaproponowałam, że narzucę na siebie szal, myślałam, że pęknie ze złości.

Patrzyliśmy na siebie jak dwa walczące koguty - nie widziałam właściwie nigdy walczących kogutów, ale mogłam łatwo sobie wyobrazić jak wyglądały, stojąc teraz na wprost Belindy. Byłam gospodynią balu, musiałam być czarująca. Nie miałam wyboru.

- Dobry wieczór, lady Elizabeth. Czy wolno mi wyrazić zachwyt, jaki budzi we mnie pani suknia?

- Ależ oczywiście - odparła, po czym zmierzyła mnie wzrokiem. - Nie sądziłam, że zdecydujesz się na tak wycięty dekolt. Wydajesz się tak młoda... Wyglądasz jednak bardzo stosownie, Andreo.

- Och, nazywaj mnie Andy.

- Dobrze. Tak, wszyscy panowie są gotowi się ze mną zgodzić. Szczególnie twój drogi mąż, który trzyma cię naprawdę na długiej smyczy, jak na świeżo upieczonego małżonka.

- Nie wiem, co pani ma na myśli, ale spieszę zapewnić, że nie jestem psem. Nawet George'a nie trzymam na smyczy. Chciałaby pani poznać George'a?

- Już go poznałam. Nie chciał zostawić Johna w spokoju. Musieliśmy go zabrać na spacer do wschodnich ogrodów, bo w przeciwnym razie zamęczyłby cały dom swoim szczekaniem. Ma dziwny kolor, po prostu musztardowy, i jest to wyjątkowo jadowity odcień musztardy. W każdym razie jeśli chodzi o smycz, miałam tylko na myśli, że twój mąż traktuje cię trochę jak uczennicę wymagającą troski i opieki, której bynajmniej nie potrzebujesz, nie wspominając już o jego cierpliwym oczekiwaniu na skonsumowanie waszego związku. Jak długo zamierza czekać? Kiedy skończysz dwadzieścia jeden lat?

- Już skończyłam.

- Ach, więc ślubowałaś czystość? I Lawrence się na to zgadza? Wszyscy uważają, że to bardzo dziwne. Twoja suknia jest jednak naprawdę bardzo piękna. Ten niezwykły odcień błękitu... niezwykle subtelny. Dziwne, że próbujesz oszołomić wszystkich zebranych tu mężczyzn swoim wspaniałym ciałem, a odmawiasz go swemu mężowi.

Nie mogłam puścić tej przemowy mimo uszu. Usłyszałam stanowczo za dużo, by milczeć. Mój urok osobisty błyskawicznie się ulotnił. Byłam gotowa do walki.

- Lubię olśniewać mężczyzn. Sądziłam jednak, że to moje włosy, nie biust, znajdą się dziś wieczorem w centrum zainteresowania. Mój mąż twierdzi, że mienią się w nich wszystkie barwy jesieni. Podziwia moje włosy. Wszyscy inni mężczyźni również z pewnością je podziwiają. - Przerwałam na chwilę i westchnęłam. - Choć, jeśli mam być tak zupełnie szczerą, to pani ma najpiękniejsze włosy, jakie widziałam w życiu. Na ich widok poczułam się wręcz nieswojo, nie wspominając nawet o tym, że jestem o panią zazdrosna. A więc tak to wszystko wygląda. Mam nadzieję, że będzie się pani dobrze bawić. Idzie pani do saloniku?

- Za chwilę - powiedziała.

- Ach prawda, lady Elizabeth. Byłabym zapomniała. Chciałam panią zapytać, co sądzi pani o rozmiarach Napoleona, o jego wyposażeniu?

Wciągnęła tyle powietrza, że o mało nie pękła. Patrzyła na mnie tak, jakbym jej właśnie powiedziała, że ma muchę na czubku nosa. A potem zaczęła się śmiać. Śmiała się do łez, a w końcu dostała czkawki. Nawet gdy weszła już na podest i skręcała w zachodnie skrzydło, wciąż słyszałam jeszcze jej chichot.

Bardzo żałowałam, że nie wiedziałam, czym ją tak rozbawiłam.

Był to już zapewne mój dwudziesty bal w życiu, ale pierwszy, na którym pełniłam rolę gospodyni - zorganizowałam wszystko - od listy gości począwszy, na wysprzątaniu sali skończywszy. Parę razy towarzyszyłam nawet służącym przy sprzątaniu. Przyzwyczyłam się do tego w Deerfield. W dniu balu służący promienieli. Byli zadowoleni z siebie, ale także ze mnie. Brantley nigdy nie promieniał, lecz wielokrotnie w ciągu tego wieczora skinął mi głową z aprobatą.

Wiedziałam, że nigdy nie zapamiętam wszystkich dań serwowanych podczas kolacji, choć spędziłam wiele godzin nad menu, a kilkakrotnie wdałam się nawet w płomienną dyskusję z panią Redbreast i kucharką, co sprawiło im obu ogromną przyjemność. Patrząc na niekończący się strumień nakryć poustawianych troskliwie na stole, policzyłam je jednak raz jeszcze. W sumie miały być czterdzieści dwa talerze. A było czterdzieści trzy. Boże, jak to się stało?

Podano pieczoną solę, ostrygi, pasztety z dziczyzny, ozory w galarecie, faszerowanego dorsza, kotlety wieprzowe i tak dalej, i tak dalej. Między sufletem z ryżu i puddingiem nawet najbardziej wybredne podniebienie mogło znaleźć w menu coś dla siebie. Ja byłam zbyt podniecona, by jeść; z trudem udawało mi się usiedzieć na krześle.

Wszyscy bawili się chyba doskonale. Panowie nie zostali w jadalni, ponieważ

wszyscy inni nasi goście zjeżdżali powoli na bal. Lawrence wyprowadził ich więc skutecznie z salonu i powiódł do sali balowej.

Do dziesiątej w sali balowej było już co najmniej sto dwadzieścia osób - wszyscy rozmawiali, śmiali się i pili więcej ponczu z szampanem niż należało. Nad głowami błyszczały żyrandole, a zapach zimowych kwiatów był słodki i uwodzicielski. Na szyjach, przegubach i w uszach lśniło mnóstwo klejnotów. Każdy złodziej, któremu udałoby się je zdobyć, pomyślałby z pewnością, że umarł i znalazł się w niebie. Tylu pięknych ludzi, którzy byli tu dlatego, że ja ich zaprosiłam... No cóż, muszę chyba też oddać sprawiedliwość Lawrence'owi - mój mąż z pewnością przyczynił się w znacznym stopniu do sukcesu przyjęcia.

Orkiestra grała wspaniale. Wystukiwałam właśnie pantoflem rytm, gdy John dotknął delikatnie mojego ramienia.

- Walc, Andy? Szczególnie lubię walca. Zatańczysz ze mną?

Nie odpowiedziałam. Wciągnęłam tylko głęboko powietrze i wsunęłam się w jego ramiona. Był wspaniałym tancerzem - pełnym wdzięku. W dalszym ciągu wydawał mi się zbyt wysoki i potężny, ale prowadził doskonale i czułam się przy nim bezpieczna - co bardzo mnie dziwiło, gdyż John był przecież mężczyzną, lecz tak właśnie się czułam. Powoli zaczynałam się do tego przyzwyczajać. Kołowaliśmy po parkiecie, a ja śmiałam się i bawiłam tak świetnie, że pragnęłam, by ten taniec trwał wiecznie. Tak się jednak nie stało, a potem tańczyłam już z mężem. Lawrence tańczył bardzo dobrze, z wdziękiem trzymał mnie na stosowną odległość. Uśmiechałam się do niego niemal przez cały czas. Powiedział, że jest ze mnie dumny. Wspomniał również, że ma za żonę najpiękniejszą kobietę na balu, co napawa go dumą i radością. Ani razu jednak nie spojrzął na mój dekolt. Czy odczuwał pokusę, by to zrobić? Miałam nadzieję, że nie.

- Dzięki - powiedziałam. - Jesteś bardzo miły, Kiedy taniec się skończył, mąż pocałował mnie w policzek i stwierdził, że podoba mu się moje uczesanie.

- Kiedyś chyba wspominałaś, że szczególnie cię zachwyca ta mieszanina kolorów.

- Zapewne - odparł, słodko jak miód. - Nigdy przedtem nie widziałem na kobiecej głowie takiej feerii barw.

Przesunął mi palcem po policzku - uśmiechnęłam się. Mój mąż zawsze dokładnie wiedział, kiedy i co powiedzieć. Zostawił mnie, by zająć się markizą, która - jak mi wyznał - stwierdziła, że jestem zuchwałą dzierlatką i w dodatku całkowitą ignorantką. Nie sądziłam, by można to było uznać za komplement, zważywszy jadowity ton całej wypowiedzi.

Tymczasem czekał już na mnie kolejny partner do tańca - nieco... wstawiony, ale

trudno. Sądziłam, że przed końcem balu nauczę się tak lawirować, by unikać kopnięć w kostkę. Z radością zauważyłam, że wszędzie było pełno panów - wszyscy chętni do tańca. Zachowywali się tak sympatycznie, zapewne głównie z uwagi na święta, a poza tym Lawrence uprzedził ich niewątpliwie, że tego wieczoru nie mogą liczyć na żadne inne rozrywki. Karty i hazard musieli odłożyć na później. Dlatego też żadna z dam nie została bez partnera. Mój dekolt budził powszechne zainteresowanie, ale nie zostałam zmuszona, by powiedzieć komukolwiek coś niemilego. Znalazł się wprawdzie jeden chudzielec, który aż się ślinił na mój widok, ale wydał mi się tak zabawny, że zaczęłam się śmiać. Nie sprawiło mu to przyjemności. Wolałby zapewne, żebym poczuła się urażona. Kiedy wspomniałam o tym Lawrence'owi, wydawał się ubawiony. Chudzielec nosił wkładki w smokingu. Gdybym go uderzyła, wkładki mogłyby się wysunąć.

Co do lady Elizabeth Palmer, to obawiałam się, że biedactwo zedrze sobie trzewiczki - tańczyła niemal bez przerwy... Trzykrotnie wirowała w walcu z Johnem, a to był prawdziwy skandal - tak przynajmniej powiedziałam pannie Gillbank i pannie Crislock. Obie bardzo się śmiały. Panna Gillbank tańczyła co najmniej dwukrotnie z młodym baronetem, Christopherem Wilkinsem, obok którego siedziałam przy kolacji dwa wieczory z rzędu.

Wypiłam więcej ponczu, niż powinnam, aż w końcu - dopiero o trzeciej nad ranem - goście zaczęli się rozchodzić.

O czwartej dosłownie padłam na łóżko i przygniotłam George'a, który wyraził swoje niezadowolenie głośnym szczenięciem.

ROZDZIAŁ 24

Kolejne cztery dni wykorzystywałam na rozwijanie pewnych ważnych umiejętności. Nauczyłam się, jak plotkować. Nauczyłam się nie dawać po sobie poznać, że czegoś nie rozumiem. Nauczyłam się bez obaw flirtować z mężczyznami - sędzę, że czwartego dnia wychodziło mi to całkiem niezle. Mimo to wiedziałam, że żadnemu z nich nie mogę ufać. Żadnemu z wyjątkiem Johna.

Dwa dni po balu przyszedł za mną do stajni, gdzie opatrywałam Małą Bess. Spotkaliśmy się też w godzinę potem, jak lady Elizabeth w końcu przyparła mnie do muru i zmusiła do rozmowy o Napoleonie. Dopadła mnie w saloniku, gdzie uciekłam przed markizą, która w obecności co najmniej dwudziestu dam stwierdziła, że powinnam być wyższa, gdyż mój biust wydaje się zbyt duży w stosunku do tułowia. Oczywiście markiza nie miała racji, była to kolejna z tych szpil, jakie od czasu do czasu wbijają nam mili goście.

- Już dłużej tego nie wytrzymam - powiedziała lady Elizabeth, podchodząc do mnie na odległość pięciu centymetrów.

- O co chodzi? Gorset wpija się pani w żebra? Albo pokojówka miała czelność, by odmówić przyniesienia ciepłej wody?

- Zamknij buzię - powiedziała, najwyraźniej poirytowana. - Nie rozśmieszysz mnie, więc nie próbuj. Ktoś musi ci wreszcie powiedzieć i chyba to będę musiała być ja. Chodzi o Napoleona.

- O ten jego przekłety rozmiar?

- Tak - odparła, patrząc na mnie, jakby wyrósł mi drugi nos.

- John zabronił mi podejmować ten temat. Powiedział, że mam po prostu o tym zapomnieć. Muszę pozostać w błogiej nieświadomości.

- Rozmiar mężczyzny bądź jego wyposażenie to jego męskość - powiedziała niczym niezrażona lady Elizabeth. - Chyba wiesz, że mężczyźni noszą spodnie, a w nich...

Patrzyłam na nią bezmyślnie

- Oczywiście, czy wyglądam na idiotkę? Przewróciła oczami i przytaknęła dosłownie w tym samym momencie.

- Tak.

Wtedy, zupełnie niespodziewanie, zza rogu wyłonił się mój mąż i omal nie potracił lady Elizabeth.

- Mój Boże, przepraszam. Co robicie, drogie panie? Rozmawiacie o modzie?

- Właśnie - odparłam. - Ja nie lubię falbanek, a lady Elizabeth powiedziała, że tej wiosny falbanki będą najmodniejsze. Jestem zawiedziona.

- Potrafisz mnie rozbawić, nawet kiedy kłamiesz mi prosto w oczy - odparł mój mąż i poszedł w swoją stronę.

A teraz, kiedy wsmarowywałam maść w grzbiet Małej Bess, do stajni wszedł John.

Uśmiechnął się jak grzesznik, który dostał się do raju bez wiedzy świętego Piotra.

- Właśnie rozmawiałem z lady Elizabeth. Powiedziała mi o waszej niedokończonej rozmowie.

- Próbowałam nie słuchać niczego, co miałyby jakikolwiek związek z Napoleonem, ale ona była uparta.

- Wtedy nadszedł mój wuj?

- Owszem. - Popatrzyłam na niego przez ramię. - Rzeczywiście zaczęła coś mówić na temat spodni, ale nadszedł Lawrence. - Westchnęłam. - Jest taka piękna. Czuję się jak żaloszna idiotka. Mam ochotę jej przylać, bo jestem zazdrosna.

Odrzucił głowę do tyłu i wybuchnął śmiechem. Mała Bess zarżała, Piorun poruszył się niespokojnie.

- Ona uważa cię za oryginał – powiedział.

- Ja ją również.

- I za kompletną ignorantkę.

- Wiem, niech ją diabli...

- Ale przecież to nie ma znaczenia, prawda? Popatrzyłam na niego, naprawdę uważnie mu się przyjrzałam i w końcu zdobyłam się na odpowiedź.

- Nie wiem. Ma?

Nie odpowiedział, tylko poklepał Małą Bess po karku.

- Uważasz na siebie? - Tak.

- Nie, wcale nie. Przyszedłem za tobą do stajni, żeby sprawdzić, czy jakiś drań nie spróbuje cię zabić. Nie opuszczaj gardy, Andy. Ten, kto chce cię dopaść, cokolwiek by to znaczyło, wciąż tu jest. Boynton po prostu nie może chodzić za tobą jak cień. Uważaj.

Miał rację, a zdałam sobie dokładnie sprawę z całej sytuacji, kiedy szłam korytarzem do pokoju. Nie natknęłam się na żadnego służącego. Dom był pusty. Pusty, a jednak wypełniony czymś groźnym, czymś, czego nie rozumiałam - podobnie jak Czarnej Komnaty i tego zimnego prądu zdradzającego zło mieszkające wśród nas.

Belinda przepadła jak kamień w wodę. Zabrałam George'a na długi spacer. Boynton szedł o parę metrów za mną. Byłam wdzięczna Johnowi. Dzięki Boyntonowi czułam się

bezpieczna.

Kolacja tego wieczoru minęła w minorowych nastrojach. Thomas wzdychał, a rodzice Amelii najwyraźniej wyczerpali już cały zapas opowieści z zaświatów, toteż całą swoją uwagę skierowali na talerze. Lawrence jadł w milczeniu, najwyraźniej zatopiony w głębokich rozmyślaniach. Panna Gillbank uśmiechała się wprawdzie dość często, ale nie do nas, ale do tego, o kim myślała. Byłam ciekawa, czy to baronet Christopher Wilkins tak zajmuje jej myśli. Panna Crislock opowiadała o świątecznych podarkach, jakie uszyła własnoręcznie dla przyjaciół z Londynu. Wyznała, że dla mnie przygotowuje specjalną niespodziankę. Pocziwa dusza. Już od dziesięciu lat byliśmy razem i co roku wymyślała coś zupełnie niezwykłego. Na zeszłoroczną Gwiazdkę zamówiła dla mnie łyżwy i wynajęła instruktora jazdy. Omal nie skręciłam sobie karku, ale to nie miało znaczenia. Gdyby panna Crislock znajdowała się wtedy w pobliżu, rzuciłabym się jej na szyję i podziękowała za to, że zawsze mogę na nią liczyć.

John spytał, co przygotowała dla niego, ale pokręciła tylko głową i stwierdziła, że musi poczekać, tak jak my wszyscy.

Wszyscy poszli wcześniej spać. Belinda nie wróciła. Gdzie się podziała? W pokoju było pusto. Wcale mi się to nie podobało. Przytulałam George'a, dopóki nie zaczął mi się wrywać.

Następnego ranka obudziłam się o dziesiątej, przeciągnęłam i pogłaskałam George'a, który przywarł pyskiem do mojego policzka i wytrwale lizał mnie po nosie. W końcu opuściłam nogi na podłogę. Mały złoty kluczyk do włoskiej szkatułki upadł na podłogę. Zdażyłam już zapomnieć o tym przekętym liście mojego ojca, z którego wynikało właściwie tylko to, że powinnam jak najszybciej wyjechać z Devbridge.

Doszłam do wniosku, że należy się jednak nad tym zastanowić. Chciałam ponownie przeczytać list.

Z George'em pod pachą podeszłam do biurka i otworzyłam górną szufladę. Podniosłam szkatułkę, zdjęłam łańcuszek z szyi, włożyłam kluczyk do zamka i stwierdziłam, że zamknięcie jest zniszczone. Patrzyłam na pudełeczko, nie wierząc własnym oczom. Wolno podniosłam wieczko. Szkatułka była pusta. List ojca zniknął.

George nie pojął znaczenia tego faktu, myślał wyłącznie o porannym spacerze.

Ubierałam się, z trudnością powstrzymując drżenie. Boynton wyłonił się z cienia i szedł w odległości dziesięciu metrów za nami. Zamierzałam go poprosić, żeby następnym razem zabrał ze sobą dwóch przyjaciół.

Tego samego dnia wyjechali rodzice Amelii. Lord Waverleigh przeszedł się raz

jeszcze po pokoju Caroline. Stwierdził, że nic w nim nie ma, a ja musiałam się z nim zgodzić. Ani śladu Caroline. Czy to na pewno ona zamknęła Amelię w pokoju muzycznym? A może to wszystko podpowiadała mi tylko wyobraźnia? Może oszalałam?

Waverleigh zbadał raz jeszcze Czarną Komnatę i oznajmił nam wszystkim, że zło wciąż tam mieszka i jest całkiem realne. I pokręcił tylko głową, kiedy jego małżonka powiedziała: „Naprawdę, Hobsonie, nie ma powodu, żeby kogokolwiek straszyć”.

- Ależ jest - odparł i popatrzył na mnie przez ramię z zatroskaną miną. - Ależ jest, jednakże masz rację, moja droga. Skoro sam nawet nie zacząłem tego rozumieć, nie powinienem straszyć domowników. - I on naprawdę sądził, że wymazał to wszystko, co powiedział przedtem? Miałam ochotę go uderzyć. Przeraził mnie śmiertelnie i nie udzielił wyjaśnień.

Słowa Waverleigha zabiły również wszelkie szansę na kontynuację rozmowy, a ja poczułam, że zapadam się w otchłań strachu. Naprawdę poczułam ulgę, kiedy Waverleighowie wreszcie sobie poszli. Kiedy ich powóz odjeżdżał spod Devbridge Manor, wszyscy machaliśmy im na pożegnanie.

- Twój ojciec powiedział, że mam przestać narzekać na zdrowie, bo po mojej śmierci mój duch nie wytworzy wystarczająco silnej aury. Nie będę mógł cię zobaczyć nawet na metafizyczną odległość. A ja, jak twierdził, zostanę potępiony.

Włożyłam całą posiadaną energię w to, aby się nie roześmiać. John nie miał żadnych zahamowań. Poklepał brata po ramieniu.

- Nie chcę, abyś był potępiony, Thomasie, niezależnie od tego, o jakich odległościach mówimy. Weź poważnie pod uwagę rady teścia.

Amelia patrzyła na czubki pantofli. Zastanawiałam się, co tak naprawdę o tym myśli. A może całą jej uwagę pochłaniało zło czające się w Czarnej Komnacie. Nie wyrzekła ani słowa, po prostu zaproponowała, że przygotuje Thomasowi wspaniałą herbatę, jeśli pójdzie z nią do sypialni. Patrzyłam na nich, idących tak blisko siebie, mówiących cichymi głosami. O czym?

Wreszcie zostałam sam na sam z Johnem i byłam już pewna, że nikt w pobliżu się nie kręci.

- Chyba o czymś powinieneś wiedzieć. Żałuję, że nie wspomniałam o tym wcześniej, ale nie zrobiłam tego, więc najwyższy czas, żeby naprawić ten błąd.

Uniósł ciemną brew i przyjrzał mi się uważnie.

- No, mówże wreszcie.

- Dobrze. Dwa tygodnie temu dostałam list od kuzyna, Petera. Peter dołączył także list

od mojego ojca, człowieka, który, jak miałam nadzieję, od dawna smaży się w piekle, na co naprawdę sobie zasłużył.

- Twój ojciec? Sądziłem, że umarł. Przecież mieszkałaś z dziadkiem.

- Tak, ale nie chcę o tym mówić. Nienawidzę ojca. On zabił moją matkę.

- Jak to?

- Jeszcze raz powtarzam, że nie chcę o tym mówić. Tak czy inaczej, w liście, który do mnie napisał, twierdzi, że wie o moim małżeństwie z twoim wujem. Ta wiadomość kompletnie wytrąciła go z równowagi. Kazał mi natychmiast wyjechać z Devbridge Manor i napisał, że zjawi się jak najszybciej będzie mógł.

W ciemnych oczach Johna błysnął gniew. Zgasł zresztą równie szybko, choć widziałam, że John jest zły.

- Czy mogę cię zapytać - zwrócił się do mnie bardzo uprzejmie - dlaczego, do cholery, nie powiedziałaś mi wcześniej o tym przekłętym liście?

- Bo nie chciałam, żeby ktokolwiek się o tym dowiedział. Zresztą nie mówię ci całej prawdy.

- Jaka jest zatem ta cała prawda?

- Nie chciałam, żebyś się dowiedział czegokolwiek o moim ojcu.

- Dlaczego?

- Nie będę poruszać z tobą tego tematu. Niestety musiałam wspomnieć o ojcu przez ten zaginiony list. - Wyjęłam złoty łańcuszek przyczepionym do niego kluczykiem. - Pudełeczko było zamknięte. Klucz nosiłam na szyi. Teraz, kiedy już wszyscy wyjechali, kiedy nic nie rozprasza mojej uwagi, chciałam odczytać go raz jeszcze. Ale zniknął. Ktoś go ukraść. Przeszukałam całą sypialnię i znalazłam tylko parę pończoch, które George wyjął mi z szuflady, ale nic poza tym.

Klął - bardzo długo i płynnie.

- Zatajając przede mną fakty, upokarzasz mnie.

- Nie, jeśli tak to odbierasz, to bardzo mi przykro. Sądziłam, że list mojego ojca jest po prostu śmieszny. Chociaż niezupełnie, bo te wszystkie rzeczy naprawdę mi się zdarzyły. Ważne jest to, że wyjeżdżam. Nie pozwolę się zabić. Nie pozwolę się też zastraszyć w inny sposób. Wracam do domu dziadka do Londynu.

- Tak - powiedział. - Chyba rzeczywiście musisz wyjechać. A kiedy ciebie nie będzie, ja dotrę do sedna sprawy.

- Jak?

- Najwyższy czas, żebyśmy trochę powęszyli... Nie, to się nie uda - powiedział po chwili.

- Co na przykład powiesz wujowi Lawrence'owi? Jaki podasz powód? Nie możesz wyjechać.

- Nie mam wyboru.

- Dobrze. Jaki masz dla niego pretekst? Jak wyjaśnisz tę nagłą decyzję?

- Boże, nie wiem. Pozwól mi pomyśleć. Przecież musi się coś znaleźć... Już wiem! Peter! Jest teraz księciem Broughton. Napisał i prosi o pomoc w urządzeniu domu w Londynie! Co ty na to?

- Absurd.

- Tylko dlatego, że sam na to nie wpadłeś?

- Nie, Andy. Pomyśl. W przyszłym tygodniu są święta. A rodziny spędzają święta razem. Dopiero co wyszłaś za mąż. Nikt nie przyjmie do wiadomości, że chcesz spędzić je poza domem, bez męża. Co więcej, jako nowa hrabina, będziesz musiała chodzić na msze do wioski, a także brać udział w przyjęciach wydawanych przez tutejszą szlachtę. Są też podarki do kupienia, zapakowania i rozdania. Powinnaś wydać bal gwiazdkowy dla służących i dać im trochę pieniędzy. Nie, trzeba wymyślić coś innego. A niech to diabli! Nic mi na razie nie przychodzi do głowy, ale na pewno zaraz coś wykombinuję. - Potarł podbródek, odwrócił się i zostawił mnie samą w ogrodzie. No, nie całkiem samą. Pod jednym z wiekowych dębów dostrzegłam Boyntona.

Poszłam odwiedzić Judith i pannę Gillbank, a poza tym nauczyłam się mówić „dzień dobry” po turecku. Godzinę spędziłam z panią Crislock, wysłuchując jej niekończących się tyrad na temat gości. Oczywiście każdy z nich miał wiele wad, nad którymi nie przestawała się rozwodzić.

W końcu wyprowadziłam George'a na spacer. Czekałam cierpliwie, aż powącha co najmniej tuzin drzew i krzaków, zanim podniesie nogę pod - jak zwykle tym samym - starym klonem. Miałam nadzieję, że ulubione drzewko George'a przetrwa zimę. Tak, ktoś włamał się do szkatułki i ukradł list. Próbowałam sobie przypomnieć, kto w ogóle wiedział, że go dostałam. List przyniósł Brantley. A to oznaczało, że mógł o nim wiedzieć praktycznie każdy. Na horyzoncie mnożyły się cienie. I było znacznie chłodniej niż przed pięcioma minutami.

Pośpieszyłam do stajni w odwiedziny do Małej Bess. George poszedł oczywiście za mną i chciał złapać Bess za nogę. Inne konie natychmiast to dostrzegły i wszczęły alarm. Wzięłam psa na ręce, przeprosiłam rozłoszczone rumaki i wolno wróciłam do domu. Właśnie wtedy spojrzałam na północną wieżę, z której rzuciła się Caroline. W tej samej chwili dostrzegłam jakiś ruch w zakratowanych oknach. Ale natychmiast potem ruch ustał. Wzrok najwyraźniej mnie zawodził. Nie, zaraz, ruch się powtórzył, a w oknie zamigotało światełko. Wyglądało to tak, jakby przy szybie stał ktoś z zapaloną świeczką.

Ale dlaczego ktokolwiek miałby przebywać w północnej wieży? To nie miało sensu.

A potem zdałam sobie sprawę, że bardzo chcę wiedzieć, co się tam dzieje. Pobiełam szybko do domu; George, którego trzymałam pod pachą, szczeakał jak oszalały. Przebiegłam obok Brantleya, który nie odezwał się ani słowem, tylko popatrzył na mnie wymownie, gdy biegłam tak na górę, ze spódnicą podwiniętą do kolan. Zamknęłam George'a w sypialni, zapaliłam świeczkę i ruszyłam w stronę północnej wieży.

Czułam pulsowanie krwi w żyłach. Wyminęłam lokajów i służących, skinęłam im uprzejmie głową, ale nie wyrzekłam ani słowa. Czułam, jak przepelnia mnie dziwna kombinacja strachu i podniecenia. Wzięłam ze sobą pistolet. Bardzo chciałam stanąć oko w oko ze swoim prześladowcą.

Dojście do północnej wieży zajęło mi piętnaście minut. Zatrzymałam się dopiero przy bardzo starych drzwiach u stóp krętych schodów. Wyjęłam rewolwer z kieszeni, uniosłam świecę i poszłam w górę po nierównych stopniach.

W okrągłym pokoju u szczytu schodów nikogo jednak nie zastałam. W środku panował chłód i całkowity bezruch. Żadnej świecy. Widać ktoś zabrał ją z powrotem.

Nic się nie zmieniło. Jedyne sprzątały w pokoiku było łóżko i komódka. Ostrożnie postawiłam swoją świeczkę na podłodze, obok niej położyłam pistolet i otworzyłam wieko zabytkowej, drewnianej skrzyni. Na samym wierzchu leżała brokatowa złota szata z ubiegłego wieku, uszyta z niezliczonych wręcz metrów materiału. Suknia musiała być bardzo ciężka - nie wyobrażam sobie, żebym mogła utrzymać w niej równowagę. Ostrożnie podniosłam suknię i rozłożyłam ją na drewnianej podłodze.

Pod spodem leżał staroświecki szlafrok z wysokogatunkowej tkaniny, obszuty najpiękniejszą koronką, jaką zdarzyło mi się kiedykolwiek oglądać. Koronka pożyłkła ze starości.

W skrzyni były też buty i pantofle o zdartych podeszwach.

A na samym spodzie leżał kłęb splątanych siwych włosów.

ROZDZIAŁ 25

Odskoczyłam jak oparzona. Patrzyłam na tę przerażającą masę siwych kosmyków. Nie krzyknęłam, choć miałam na to wielką ochotę. Serce podskoczyło mi do gardła. Rozpoznałam te włosy. Kiedy stara kobieta przysłała do mojej sypialni z nożem Johna w ręku, miała na głowie tę ohydłą perukę. Mimowolnie wyciągnęłam rękę i dotknęłam jej. Włosy były grube i sztywne. Peruka musiała być bardzo stara. Wzdrygając się z obrzydzenia, wyjęłam ją ze skrzyni.

Pod spodem leżała bezkształtna suknia staruchy. Ją również wydobyłam i tym razem krzyknęłam z przerażenia. Z fałd wypadła maska, z dziurami na oczy, zrobiona z materiału imitującego pomarszczoną skórę. Przedtem mogłam się tylko domyślać - teraz już wiedziałam. Ktoś włożył to przebranie, aby mnie przestraszyć. I z pewnością mu się udało.

A więc to tutaj ten potwór chował swoje rekwizyty.

Każdy miał dostęp do wieży. Drzwi nie były zamknięte. Każdy mógł ukryć przebranie na dnie skrzyni. Wszystko, poza nim, wrzuciłam z powrotem na miejsce i zatrasnęłam wieko. Suknię, perukę i maskę przerzuciłam sobie przez ramię i zesłam na dół.

Johna nie było w sypialni. Gdy tylko przekroczyłam próg, podeszłam do miejsca, gdzie John trzymał swoją kolekcję noży.

Noża nie było.

Nie - pomyślałam. Nie.

John nie miał z tym nic wspólnego. Nie mógł, po prostu nie mógł. Dlaczego? - zapytywałam sama siebie. Nikt nie miał powodu, aby mnie skrzywdzić. A więc fakt, że John nie miał takiego powodu, niczego nie dowodził. Nie mogłam jednak przyjąć tak okropnej myśli do wiadomości. Nie mogłam. Nie mogłam, nie chciałam. Nie, John odłożył po prostu ten przeklęty nóż gdzie indziej, tak żeby nikt nie mógł się nim posłużyć.

Ostrożnie położyłam perukę i maskę na parapecie. Właśnie zabierałam się do odejścia, kiedy wszedł John. Głowę miał opuszczoną - rozcierał najwyraźniej obolały kark. Usłyszał mnie, podniósł raptownie głowę i znieruchomiał. Po prostu stał i patrzył.

- Czy mogę spytać, co robisz w mojej sypialni? - wykrztusił w końcu.

Ogień, jaki płonął w jego oczach, dostrzegłam z odległości dziesięciu kroków. Cofnęłam się gwałtownie, oparłam o łóżko, na chwilę na nim przysiadłam, ale natychmiast zerwałam się na równe nogi.

Rozłożyłam ręce - czułam się jak idiotka.

- Nóż znowu zniknął.

- Boynton go ma.

- Znalazłam te rzeczy w skrzyni w północnej wieży i chciałam ci je pokazać.

- Po co tam poszłaś? - spytał, podchodząc do łóżka, przy którym stałam.

- Wracałam ze stajni i zobaczyłam światło. Ktoś tam chodził.

Nie odezwał się już ani słowem. Wziął maskę i naciągnął ją sobie na rękę.

- O Boże! Okropność. Dziwię się, że nie umarłaś na atak serca.

- Ja również.

- Właściwie każdy mógł schować to przebranie w skrzyni

- Wiem.

- Włożę je tam z powrotem. Nie chcę, żeby twój prześladowca odkrył ich brak.

Nie chciałam wracać do wieży. Wy tłumaczyłam Johnowi, jak ułożono w skrzyni te rzeczy, a następnie wróciłam do sypialni. Była już tam Belinda - przygotowywała czarną, aksamitną suknię na wieczór. Wszystko wyglądało zupełnie normalnie. Tak absolutnie normalnie. Łącznie z aksamitnymi wstążkami, które zamierzała wpleść mi we włosy.

Wzięłam długą gorącą kąpiel, podczas której śpiewałam George'owi piosenki. Pies bawił się z Belindą przy kominku, szarpał trzymany przez nią pasek, potrząsał gwałtownie głową, ani na chwilę nie przestając warczeć. Udało mu się zniewolić Belindę całkowicie w ciągu dwudziestu czterech godzin od chwili przybycia do Błękitnej Komnaty.

Tego wieczoru delectowaliśmy się rosołem, smażonymi węgorzami i kotletami.

Lawrence uniósł nagle głowę znad talerza.

- Kochanie, jutro wczesnym rankiem muszę jechać do Londynu. Mam tam do załatwienia bardzo pilną sprawę. Obiecuję, że wrócę przed świętami. Może chciałabyś, żebym coś ci kupił?

- Jakim cudem uda ci się wrócić na święta? - spytał John, zamierając na chwilę z łyżeczką w powietrzu. - Przecież święta są już za osiem dni - dodał bardzo cicho.

- Nie potrzeba mi aż tyle czasu - odparł Lawrence. - Zresztą mam nadzieję, że i beze mnie będziecie się dobrze bawić.

Nie wyrzekłam ani słowa. Myślałam wyłącznie o tym, że wreszcie uda mi się przeszukać gabinet Lawrence'a i jego sypialnię. Popatrzyłam na niego przez stół.

- Ja niczego nie potrzebuję. Smakuje ci zupa, panie?

- Jest naprawdę wspaniała. I na tym się skończyło.

Tego wieczoru Lawrence zapytał, czy nie zagrałabym z nim w szachy. Nigdy przedtem nie graliśmy. Lawrence założył więc, że umiem grać, co bardzo mnie ucieszyło.

Istotnie, umiałam. Dziadek uznawał mnie za pogromcę. W wieku piętnastu lat wygrałam z nim połowę partii.

Lawrence najwyraźniej dostrzegł, że z radości świecą mi się oczy.

- Jesteś w tym dobra, prawda?

- Znam ruchy - odparłam skromnie.

Delikatnie dotknął czubkami palców mojego policzka. Nie poruszyłam się. Usadowiliśmy się przed kominkiem i postawiliśmy szachownicę na marmurowym stoliku. Lawrence zaproponował mi białe. Ja nalegałam na losowanie. Koniec końców Lawrence'owi i tak przypadły czarne.

Białymi grałam otwarciem Ruya Lopeza. Pierwsze dwanaście ruchów znałam naprawdę dobrze i potrafiłam skontrolować każdy atak. Lawrence odpowiedział standardowo, co bardzo mnie ucieszyło.

Był dobrym graczem. Wiedział, co robi. Wykonał parę posunięć, jakie widziałam pierwszy raz w życiu, co zmusiło mnie do myślenia. Graliśmy razem po raz pierwszy. Niezależnie od wyniku, chciałam udowodnić, że coś tam jednak potrafię. Nie chciałam, żeby Lawrence ograł mnie do cna. W osiemnastym ruchu usiłował zaatakować widełkowo moją królową i wieżę królewskim skoczkiem, ale z łatwością uciekłam z pułapki i odebrałam mu inicjatywę. Dziesięć ruchów później byłam już pewna, że dam mu mata w jakichś sześciu ruchach. W migającym świetle kominka patrzyłam, jak Lawrence opiera podbródek na ręce, i zaczęłam się zastanawiać, czy to on jest moim prześladowcą. I jak zwykle doszłam do wniosku, że nie ma powodu. Doprowadzało mnie to do szaleństwa.

W końcu gra zaczęła przebiegać dokładnie tak, jak sobie wymarzyłam. Wygrałam. Rozsiadłam się wygodniej, splotłam palce i powiedziałam:

- Mój dziadek był jednym z najlepszych graczy w Anglii. To on mnie wszystkiego nauczył. Był bardzo wymagający.

- Rozumiem - odparł i nie powiedział już nic więcej.

Zostawił mnie przed drzwiami Błękitnej Komnaty.

- Jesteś bardzo obyta jak na tak młodą osóbkę. Jestem z ciebie dumny. Może to niedobrze...

A potem poklepał mnie po policzku, jak to miał w zwyczaju, i odszedł. Nie miałam pojęcia, o co mu chodziło.

Wyjechał następnego ranka tuż przed świtem. O siódmej rano wciąż próbując dociec, co właściwie miał na myśli, wypowiadając te dziwne słowa, weszłam do gabinetu mego męża. Przedtem odwiedziłam go tam tylko raz, dosłownie na chwilę. Teraz odniosłam

wrażenie, że pokój jest ciemny i ponury. Wcale mi się nie podobał. Poza tym w gabinecie panował przejmujący chłód. A więc to tutaj Lawrence pracował ze Swansonem - swoim zarządcą, człowiekiem, którego widziałam zaledwie dwa razy w życiu.

Odsunęłam kotary. Niebo zasnuły ołowiane chmury, zanosilo się na zamieć. Było jednak dość jasno na poszukiwania. Przeszukałam wszystkie szuflady masywnego biurka. Rachunki handlowe, listy z Londynu od przedstawiciela, chyba tego samego, z którym zamierzał się spotkać. Dlaczego to nie podwładny przyjeżdżał do szefa, tylko odwrotnie? Nie znałam odpowiedzi na to pytanie, ponieważ nie wiedziałam nic na temat interesów.

Szukałam. Stosy papierów, schludnie poskładanych, ale nic, co mogłoby sugerować jakieś nieczne zamiary lub straszne tajemnice. Doznałam uczucia zawodu.

Nagle usłyszałam dyskretne chrząknięcie. Odwróciłam się i zobaczyłam Brantleya stojącego w progu.

- Och, to ty. - Nigdy nie ponizaj się przed służącym, nie próbuj się tłumaczyć; dziadek powtarzał mi to niemal przy każdej okazji. Jeśli choć raz sobie na to pozwolisz, będziesz skończona. - Uśmiechnęłam się promiennie. - O co chodzi?

- Czy mam rozpalić ogień na kominku, milady?

- Nie, nie sędzę. Jeszcze nie znalazłam tego, czego szukam, i chyba już nie znajdę. Pewnie jednak zostawiłam dokumenty w sypialni.

Wyszczrzyłam zęby w uśmiechu, skręciłam w prawo i poszłam na sam koniec długiego korytarza. Dzięki Bogu Lawrence zabrał ze sobą tego obwiesia Flynta. Nie miałam ochoty go spotkać, buszując w szufladach komody Lawrence'a.

Nigdy przedtem nie zaglądałam do apartamentów męża. Drzwi nie były zamknięte. Rozejrzałam się po korytarzu. Nikogo w pobliżu nie zauważyłam. Otworzyłam drzwi i weszłam do środka. W sypialni panował przeraźliwy chłód. Mój oddech zamieniał się natychmiast w obłoczki pary. No cóż, po co służący mieli rozpalać ogień na kominku, skoro i tak nikt tu na razie nie przebywał? Zadrzałam, otuliłam się ramionami i zmusiłam do pracy.

Pokój był duży, długi, wąski - pięknie umeblowany w stylu Ludwika XV. Wspaniałe łoże osłonięte złotymi kotarami, umocowanymi na czterech filarach. Oglądałam drugie oblicze mego męża, człowieka, którego rzeczy właśnie przeszukiwałam, aby się przekonać, czy to aby nie on jest tym potworem, który chce mnie zabić.

Zauważałam oczywiście całą ironię sytuacji, ale nie mogłam teraz o tym myśleć. Przeszukałam wszystkie szuflady. Niczego nie znalazłam. Weszłam do garderoby - drugiego pięknie urządzonego pomieszczenia z miękkimi dywanami. W garderobie znajdowało się kilka komódek - wszystkie złoczone, wspaniale zaprojektowane. Znalazłam chusteczki,

pięknie wyprasowane krawaty, szczotki, grzebień, przybory do golenia. Otworzyłam wszystkie szuflady. Nadal nic.

Wróciłam do sypialni i długo stałam na środku, drżąc z zimna. Nie wiem dlaczego popatrzyłam akurat na szafę - już ją wcześniej dokładnie przetrząsnęłam - ale jednak popatrzyłam właśnie tam i dostrzegłam niewielką skazę na pięknej chińskiej tapecie w kolorze kości słoniowej. Gdybym nie skierowała wzroku dokładnie w ów punkt, nigdy bym jej nie dostrzegła. Teraz jednak zorientowałam się natychmiast, że są tam wąskie drzwiczki wbudowane w ścianę. Za szafą była tylko jedna mała zakrzywiona sprężyna, której mogłam dosięgnąć. Majstrowałam przy niej dopóty dopóki wreszcie nie odskoczyła, a drzwiczki nie otwarły się do wewnątrz.

Weszłam do maleńkiego pokoiku, bez kominka, z jednym wąziutkim oknem. Pokoik miał idealny kształt kwadratu i tak miniaturowe rozmiary, że przypominał celę mnicha, tym bardziej że stało w nim jedynie biurko - stare i podniszczone, bez żadnych zdobieć. Krzesło za biurkiem, sądząc po wyglądzie, musiało być bardzo niewygodne. Oprócz tego w pokoju nic innego nie było. Na podłodze nie leżał dywan i dlatego idąc w stronę biurka słyszałam, jak stukoczą obcasy moich butów. Zrozumiałam, że teraz naruszam prywatność Lawrence'a w sposób absolutnie nieodwracalny. Zrozumiałam również, że nie mam wyboru.

Zaczęłam się zastanawiać, jak zachowywał się Lawrence, przebywając w swojej tajnej kryjówce, do której absolutnie nie powinnam była wejść. Z pewnością przypominał bardziej szalonego hiszpańskiego inkwizytora Torquemadę niż arystokratę z czasów regencji. Podeszłam do biurka i usiadłam na twardym krześle. W biurczku znajdowały się trzy szuflady. Wahałam się tylko chwilę - wiedząc, że za chwilę przypuszczę na nią szturm. Otworzyłam górną szufladę. Wysunęła się lekko. Wypełniały ją porządnie poukładane pliki listów, powiązane osobno. Wnioskując po pożółkłych ze starości stronicach pomyślałam, że jest to wszystko korespondencja prywatna, z dawnych czasów. Powoli przeglądałam zawartość każdego pliku. Oglądałam listy od lady Ponterfact, lorda Hollistona, lady Smithson - Blake - wszystkich tych ludzi, o których słyszałam, i których nigdy nie poznałam osobiście. O ludziach tych mówił mój dziadek, pochodzili z jego pokolenia... i z pokolenia mojego męża.

Właśnie wtedy, siedząc w tym surowym, chłodnym wnętrzu, trzymając w ręku listy miłosne, pełne plotek, komentarzy politycznych i najrozmaitszych intryg, zajrzałam głęboko w siebie. Właśnie te płowiejące listy symbolizowały popełniony przeze mnie błąd. Wyszłam za mąż za mężczyznę, który należał do minionej epoki - do czasów Rewolucji Francuskiej, Napoleona i wielkich zwycięstw lorda Nelsona. Kochałam ten świat, stanowił dla mnie

niewyczerpane źródło fascynacji, ale na pewno nie był to mój własny świat, świat, w którym żyłam.

Peter miał rację. Próbowalam uciec przed swoimi czasami, swoim światem, wychodząc za mąż za człowieka zbyt starego na to, by mógł znaleźć drogę do mojego serca. Wybrałam go w nadziei, że mnie uwolni od lęków, że będzie mnie strzegł, tak jak niegdyś czynił to dziadek. Wolność i bezpieczeństwo - te właśnie dwie rzeczy przestały istnieć, odkąd wprowadziłam się do tego domu. Znowu zdałam sobie sprawę z absurdalności sytuacji, ale nie mogłam się z tym pogodzić. Postąpiłam jak skończona idiotka. Teraz jednak mogłam się tylko wściekać na swoją głupotę. Znałam Johna od dawna, ale aż do tej pory nie potrafiłam wyciągnąć z tego żadnych wniosków.

Popatrzyłam na swoje ręce. Tak mocno ścisnęłam niektóre z kartek, że pogniotłam ich rogi. Niedobrze. Spróbowałam je wygładzić. Kiedy osiągnęłam pożądaną efekt, ułożyłam je porządnie w szufladzie i wsunęłam ją na miejsce.

Druga szuflada zawierała wyłącznie przybory do pisania i elegancką papeterię. Pociągnęłam uchwyt trzeciej, ale była zamknięta. Czułam przyspieszone bicie serca. Może, tylko być może, wreszcie znajdę jakieś odpowiedzi. Wyjęłam spinkę z włosów, włożyłam ją ostrożnie do zamka i przekręciłam. Powtórzyłam tę czynność kilkakrotnie. Bez skutku. Zaczęłam poruszać spinką coraz energiczniej i po chwili zamek odskoczył i szuflada wysunęła się z przegródki.

Udało się. Siedziałam tam przez chwilę, wpatrując się w szufladę. Nie było w niej nic oprócz jednej tylko koperty - zaadresowanej do jego lordowskiej mości, hrabiego Devbridge. Kopertę wysłano z Londynu. Wyjęłam pierwszą stronicę i wygładziłam ją na blacie i przeczytałam:

8 grudnia, 1817.

Mój Panie,

Edward Jameson przybył właśnie do Londynu.

Czekam na instrukcje.

Pański oddany sługa, Charges Grafion

Siedziałam, wpatrując się w milczeniu w kartkę. Ojciec przyjechał do Londynu ósmego grudnia. Dziś był osiemnasty. Gdzie się więc podziewał? Co robił? I co najważniejsze - dlaczego Lawrence tak bardzo się tym interesował?

Co za piekielne instrukcje? Dlaczego Lawrence miałby wydawać jakiegokolwiek instrukcje w sprawie mojego ojca człowiekowi, który nazywał się Grafion? Wczytywałam się w te kilka linijek tekstu, próbując coś z nich zrozumieć. Bez rezultatu. Tak bardzo chciałam

odnaleźć jakąś poszlakę, pojąć tę śmiertelną grę, w którą mnie uwikłano. A teraz poszlakę miałam w ręku i nadal nic z tego wszystkiego nie rozumiałam. Po chwili uświadomiłam sobie jednak, że list napisano zaledwie na trzy dni przed tym, jak ktoś włożył ten okropny drut pod siodło Małej Bess.

Odłożyłam list i przycisnęłam dłonie do skroni. Wiedziałam przynajmniej, że ojciec ostrzegł mnie przed Lawrence'em, przed moim mężem. Dlatego moje małżeństwo tak bardzo nim wstrząsnęło. Ale co ojciec miał z tym wszystkim wspólnego? Czułam się jak we wspaniałym labiryncie w Richmond, tyle że z tego, w którym błądziłam, mogło nie być wyjścia. Wolno wsunęłam kartkę do koperty i włożyłam ją dokładnie w to samo miejsce. Nie znajdowałam żadnego wytłumaczenia - mąż chciał się na mnie zemścić. Ale dlaczego? Za co? I po co się ze mną ożenił? Czym zasłużyłam sobie na jego nienawiść? I czy to również Lawrence uosabiał zło, o którym mówił Waverleigh? Zło mieszkające w Czarnej Komnacie? Rozejrzałam się. Przebywałam w samotni Lawrence stanowczo zbyt długo. Ktoś mógł tu wejść. Wsunęłam szufladę na miejsce i natychmiast sobie przypomniałam, że aby ją otworzyć, posłużyłam się prowizorycznym wytrychem ze szpilki. Znow zaczęłam majstrować przy zamku, aż wreszcie zaskoczył. Cicho zamknęłam wąskie drzwiczki i wyszłam z sypialni. Zrobiłam zaledwie trzy kroki, gdy przed oczyma mignęła mi jakaś postać oraz cień towarzyszącej jej osoby. A potem obie te sylwetki zniknęły w korytarzu wiodącym do schodów dla służby. Miałam szczerą nadzieję, że był to Boynton, służący Johna, który mnie pilnował. Ale jeśli tak, dlaczego uciekł? Usłyszałam za sobą szelest i odwróciłam się tak szybko, że omal nie potknęłam się o skraj sukni. Przed oczyma mignął mi tylko zarys czyjejs twarzy i zniknął tak szybko, jak się pojawił. Wybiegłam z krzykiem na korytarz i wypadłam na schody prowadzące do drugiego skrzydła.

- Kto tam jest? Wracaj! Niech cię diabli porwą, kim jesteś?

ROZDZIAŁ 26

Nikt nie odpowiedział. Stałam w korytarzu z bijącym sercem, zastanawiając się, co robić.

Szybko weszłam do pokoju i zamknęłam za sobą drzwi. Błękitna Komnata jeszcze nigdy nie wydawała mi się tak przyjazna. George popatrzył na mnie i przez chwilę machał ogonem, potem wychłęptał z miski trochę wody i znów zapadł w sen. Usiadłam w fotelu na wprost kominka. Poczulałam się znakomicie. Aż do tej pory nie zdawałam sobie sprawy, że jest mi tak zimno. Chłód przeniknął mnie od zewnątrz i od środka. Wpatrzyłam się w płomienie. Nie rozumiałam, dlaczego Lawrence się ze mną ożenił, dlaczego przywiózł mnie tutaj do swojego domu, skoro chciał tylko zrobić mi krzywdę. Wiedziałam, że cała ta sprawa łączyła się z moim ojcem, ale w jaki sposób - nie miałam pojęcia. Musiałam zobaczyć się z Johnem. Być może się czegoś dowiedział.

Nie było go jednak w sypialni. Ani na dole. Nikt go nie widział. Nie mogłam znaleźć Boyntona.

Wcale mi się to wszystko nie podobało. Wolno wróciłam do sypialni. Belinda nuciła i składała starannie moją bieliznę.

- Jasper zabrał George'a na spacer - powiedziała z uśmiechem. - A teraz już czas na lunch, a pani wygląda jak nieboskie stworzenie. Co pani robiła?

- Chodziłam tu i tam - odparłam i zamknęłam za sobą drzwi. Opierałam się o nie przez chwilę z zamkniętymi oczami. John - myślałam - gdzie jesteś?

Zrobiłam dokładnie to, co kazała mi Belinda, i myślałam. Zejdę na lunch. Dlaczego nie? Porozmawiam ze wszystkimi i zaczekam na Johna.

A potem wyjadę.

Po godzinnych wysiłkach Belindy zeszałam na dół do jadalni. Była już tam Amelia i Thomas, a także panna Crislock. Na temat Johna nikt nic nie wiedział. - Uznałem, że ojciec Amelii ma rację. Nie chcę, żeby moja aura była słaba i nieznacząca, mój cień niewyraźny, a pozaziemski duch bezwolny. Od tej pory zamierzam nie zwracać uwagi na bóle i choroby. I choć nawet teraz odczuwam jakieś dziwne swędzenie w okolicach prawej pachy, całkowicie to zlekceważę. Wiem, że Amelia będzie niepokieszona, ale nie zmienię zdania.

Thomas pochylił się i pocałował ją w usta w naszej obecności. Panna Crislock uśmiechnęła się do mnie jednym z tych swoich uroczych krzywych uśmiechów i mrugnęła.

Wbiłam na widelec kawałek klopsika z ostryg. Gdzie się podziewał John? - Powiedz

mi coś więcej, kochanie, na temat tego dziwnego swędzenia - zwróciła się Amelia do męża. - Tak, żebym wiedziała, czy powinnam się tym martwić, czy nie.

Thomas pocałował ją tylko w odpowiedzi. Roześmieliśmy się jak na komendę. Wrócił mi humor. Lawrence zamierzał pojawić się dopiero na święta. Mogłam zatem robić plany i wprowadzać je w czyn. Popołudnie minęło szybko. Spotkałam panią Redbreast, porozmawiałam z nią o służących, stanie bielizny w stołowym i konieczności zakupu naczyń do kuchni. Wraz z kucharką zaplanowałam menu. Pochwaliłam Brantleya za wytresowanie George'a, chociaż chciałam dostać z powrotem mojego dawnego psa. Ten nowy George, który siedział posłusznie nie ruszając się z miejsca, nie wydawał mi się już aż tak zabawny. Zajrzałam do Małej Bess. Noga i grzbiet goiły się wspaniale.

Późnym popołudniem odwiedziłam pannę Gillbank i Judith. Nauczyłam się mówić „dzień dobry” po grecku. Judith mi przypomniała, że obiecałam jej wspólne kolacje z dorosłymi przez cały tydzień. Zupełnie wyleciało mi to z głowy. Obezwładniał mnie strach. Ale towarzystwo Judith stanowiłoby na pewno urozmaicenie, którego bardzo potrzebowałam. Uśmiechnęłam się więc do tej pięknej młodej dziewczyny i obiecałam, że natychmiast porozmawiam z panią Redbreast, która poleci kucharce przygotowanie mrożonej szarlotki na deser.

W rezultacie to Brantley zajął się dopilnowaniem deseru. Belinda gderała, a ja się przebierałam. Uwielbiałam gadaninę Belindy. Dzięki niej czułam się bezpieczna, co zresztą, jak doskonale wiedziałam, było tylko złudzeniem. Zeszłam głównymi schodami w dół do dużego salonu. Miałam nadzieję, że spotkam tam Johna. Uśmiechałam się.

Nagle zamarłam.

W salonie był mój mąż - z przechyloną głową słuchał uważnie tego, co mówiła panna Crislock, upozowana wdzięcznie w fotelu. Naprzeciw Judith siedziała panna Gillbank. Amelia stała za krzesłem z wysokim oparciem, obracając w palcach kieliszek. Odniosłam wrażenie, że jest zajęta własnymi myślami.

Thomasa ani Johna nie było w pobliżu.

Nie wiedziałam, co robić. Czy powinnam zacząć krzyczeć, że mój mąż chciał mnie zabić? Na przykład poderżnąć mi gardło? Po prostu nie miałam pojęcia, jak się zachować, więc starałam strach z twarzy i uśmiechnęłam się.

- Co za wspaniała niespodzianka, sir. Jesteśmy mile zaskoczeni. - Udało mi się zagrać naprawdę dobrze. Lęk całkowicie przykryłam udawanym zachwytem i radością. Co on, do diabła, tu robił? Przecież dopiero co wyjechał. Nie mogłam w to uwierzyć. I gdzie się podział John?

Wyciągnęłam ręce do Lawrence'a, który natychmiast odstawił kieliszek i podszedł do mnie. Ujął czule moje dłonie i pochylił się, żeby pocałować mnie w policzek. W okolicy ucha poczułam ciepło jego oddechu.

- Moja droga Andy, tylko kompletny głupiec nie wróciłby do domu tak szybko, jak to możliwe, gdyby czekała w nim na niego tak piękna i czarująca kobieta.

Co ja ci takiego zrobiłam? - Te słowa cisnęły mi się na usta z taką mocą, że omal nie przygryzłam warg.

- Dopiero co wyjechałeś, Lawrence - powiedziałam. - Czyżby wynikł jakiś problem? Och tak, jesteś po prostu zwykłym pochlebcą. - Roześmiałam się. Naprawdę udało mi się roześmiać.

Pochylił się i znów pocałował mnie w policzek. Nie odsunęłam się, choć niewiele brakowało. Kiedy prostował głowę, popatrzyłam mu prosto w oczy, w których nie dostrzegłam ciepła. Były zimne, szare, jak hartowana stal. Dziś zauważyłam to dopiero po raz pierwszy. Uśmiechał się i patrzył na mnie. O czym myślał? Co planował? Odwróciłam wzrok i powiedziałam wszystkim „dobranoc”. Judith była tak podekscytowana, że z trudem mogła usiedzieć w jednym miejscu. Panna Gillbank wyglądała szczególnie pięknie w mojej ciemnozłotej muślinowej sukni, którą Belinda dla niej przerobiła. Panna Crislock bawiła się szalem. Na kolanach miała otwartą książkę, którą - jak wyjaśniła - podarował jej mój drogi mąż.

- Co pani czyta?

- Moja najdroższa Andy, Lawrence sądził, że ta powieść wzbudzi moje uznanie. Opowiada historię pewnej bardzo niedobrej dziewczyny, którą rodzice sprowadzają na drogę cnoty.

- Coś takiego - powiedziałam i odwróciłam się do Amelii. Lawrence naprawdę myślał, że pannie Crislock spodoba się taka powieść? - A gdzie Thomas? Nie mów mi tylko, że znów poddał się chorobie.

- Nie. Przeciwnie. Wszedł dziesięć razy na trzecie piętro. Chce nabrać kondycji. Zostawiłam go w wannie - zmywa z siebie pot.

Tym razem roześmiałam się szczerze, mimo że mój mąż stał o parę metrów dalej i nie miałam pojęcia, co knuje.

Kiedy już usiedliśmy przy stole, zagadnęłam go raz jeszcze.

- Nie powiedziałeś nam, mój drogi, co się właściwie stało. Wyjechałeś rano, a wróciłeś już na kolację.

- Po prostu zaszło nieporozumienie. Panowie, z którymi zamierzałam się spotkać, byli

już w drodze do Devbridge. Załatwiliśmy nasze interesy w Leeds. Wspaniale być w domu. Znalazłem nawet czas na kupno świątecznych podarków. - Mówiąc to, spojrział wymownie na Judith.

Natychmiast wyprostowała się na krześle.

- A może powiedziałaś nam coś jeszcze na temat tych zakupów, tato?

- Och nie, musisz poczekać, tak jak wszyscy pozostali, z twoją piękną macochą włącznie.

- Czy ktoś widział Johna? - spytałam, kiedy Brantley podał mi duszoną gęś w sosie selerowym. Nie byłabym w stanie przełknąć nawet kęsa.

- Nie wiedziałaś, Andy? - spytał Lawrence. Zamrugałam.

- John wyjechał na przyjęcie gwiazdkowe do Cockburn, niedaleko Harrowgate. Chciał spędzić więcej czasu z lady Elizabeth Palmer.

Nie powiedziałam ani słowa.

- Najwyższy czas - zaśmiała się Amelia. - John musi się wreszcie zdecydować na ożenek i założenie rodziny. A lady Elizabeth najwyraźniej go oczarowała.

Przecież on ma dopiero dwadzieścia sześć lat - cisnęło mi się na usta. - To nie jest poważny wiek dla mężczyzny. Oczywiście, dwudziestosześcioletnia niezamężna kobieta to całkiem inna sprawa, trochę, delikatnie mówiąc, żenująca.

- Czy lady Elizabeth naprawdę rzuciła urok na Johna?

- Lubię lady Elizabeth - odezwała się panna Crislock. - Jest taka urocza i wysoka. - John nie będzie musiał się schylać, żeby z nią porozmawiać, czyż nie tak, Lawrence?

Mój mąż wzruszył ramionami i upił łyk wina.

- Ufam, że nie weźmie sobie kochanka, dopóki nie obdarzy Johna dziedzicem.

Na chwilę zapadła krępująca cisza. Odchrząknęłam.

- Sądzę, że lady Elizabeth to naprawdę czarująca osoba. Może nieco zbyt władcza, jak na mój gust, ale niewątpliwie tak piękna, że trudno, by była inna. Nie wierzę, że nie dochowałyby wierności swojemu małżonkowi. Zresztą, po co wychodzić za mąż, skoro się myśli o niewierności. Przecież to absurd. Sama myśl o czymś takim napawa mnie wstrętem.

Powiedziałam to wszystko aż nadto dobitnie - doskonale zdawałam sobie z tego sprawę. Przemawiała przeze mnie gorycz wspomnień o przeszłości. Judith patrzyła na mnie ze zmarszczonym czołem. Chciałam się do niej uśmiechnąć, złagodzić swoją wypowiedź, ale nie potrafiłam. Siedziałam po prostu na krześle i milczałam.

- Zobaczymy - odezwał się mój mąż. - Może John będzie miał więcej szczęścia niż inni mężczyźni.

Amelia natychmiast zmieniła temat i zaczęła mówić o gimnastyce Thomasa.

- Jeśli zmeźnije tak jak John - powiedziała panna Crislock - będzie naprawdę wspaniały. - Thomas już jest zresztą pięknym mężczyzną.

Amelia była najwyraźniej pod wrażeniem.

- Owszem - dodałam. - Thomas jest wspaniały.

Zachwyt Amelii nie znał granic. Spojrzała wymownie na pannę Gillbank, w oczekiwaniu na dalsze pochwały.

- Nigdy w życiu nie widziałam tak przystojnego i miłego mężczyzny.

Amelia omal nie zaczęła mrużyć jak kotka. Kolacja trwała, dopóki nie przerwała jej panna Crislock.

- Andy, czy nie zechciałabyś, aby panie przeszły teraz do saloniku?

- Świetny pomysł - powiedział mój mąż, podnosząc się z krzesła. - Dziś wieczorem chciałbym mieć Andy tylko dla siebie. Muszę odzyskać honor. Wczoraj wieczorem ograła mnie w szachy. Pora na rewanż.

Amelia popatrzyła na mnie z niedowierzaniem.

- Wiele razy obserwowałam Lawrence'a przy grze. Nikt nigdy z nim nie wygrał.

- Oprócz mnie - powiedziałam.

W gabinecie, dokąd mieliśmy się udać, nic mi nie groziło. A potem - myślałam - wszyscy pójdą spać, a ja zacznę działać i natychmiast stąd ucieknę.

Życzyłam wszystkim dobrej nocy i udałam się z mężem do gabinetu. W tej samej chwili zdałam sobie sprawę, że naprawdę zależy mi na tym, aby go pokonać. Zamierzałam go zetrzeć na proch. Biedna Judith. Ona, rzecz jasna, na pewno nie chciała, żeby nasza znajomość skończyła się tak szybko. Nic jednak nie mogłam na to poradzić. Wszystko wskazywało na to, że już nigdy się nie zobaczymy.

Tym razem Lawrence wskazał na moją prawą dłoń, w której trzymałam białego skoczka. Lubiłam grać czarnymi. Całkiem nieźle opanowałam francuską obronę.

Otworzył królewskim pionem, a ja uśmiechnęłam się, odpowiadając ruchem mojego piona o jedno pole.

- Ach tak - powiedział. - Obrona francuska. Ciekaw jestem bardzo, jak sobie z nią poradzisz.

- Na pewno świetnie. Była to ulubiona obrona mojego dziadka, a on, jak już wiesz, okazał się znakomitym nauczycielem - odparłam, nie odrywając wzroku od szachownicy. Kiedy zastanawiał się nad ruchem, patrzyłam na jego ciemne włosy po - przetykane siwymi pasmami. Tak bardzo chciałam go zapytać o ojca, ale trzymałam buzię na kłódkę. Zostałam tu

sama. Wszyscy służący byli oddani Lawrence'owi. Nie wiedziałam, co robi ten okropny Flynt i inni zbóje włóczący się po domu.

Nie, na razie musiałam milczeć, a potem, później - uciec. Poza tym Lawrence nie wiedział, że przeszukałam jego sypialnię oraz kryjówkę i odkryłam list na temat mojego ojca.

Gra toczyła się dalej. Modliłam się o to, by ta udawana ignorancja dała mi bezpieczeństwo. Ale co się stanie, jeśli... Stukałam delikatnie palcami po poręczy fotela. Lawrence odchrząknął. Mój ruch. Po co dłużej zwlekać? Wyciągnęłam rękę po króla, potem spojrzałam na szachownicę, tym razem naprawdę uważnie się jej przyjrzałam i odstawiłam króla. Boże, mało brakowało, a przegrałabym przez to jedno bezmyślne posunięcie, a wszystko dlatego, że strach odebrał mi rozum.

Raz jeszcze popatrzyłam na pionki. Gdybym dokonała roszady, w następnym ruchu królowa zostałaby zaatakowana przez skoczka. Tak prosta pułapka nie uszłaby uwagi nawet początkującego gracza. Zauważyłam, że Lawrence uśmiecha się do mnie. Nie był to jednak miły uśmiech. Lawrence czynił to protekcyjnie, jakby nagle się okazało, że jednak nie jestem godnym przeciwnikiem. A może - usłyszałam jakiś wewnętrzny głos - powinnam pozwolić mu wygrać. Może powinnam pozwolić mu się wywyższać. A niechby nawet pomyślał, że nic nie jestem warta. Ale nie potrafiłam się na to zdobyć. Nagromadziło się we mnie zbyt wiele złości - złości na człowieka, który tak mnie oszukał, który jak się okazało, nienawidził mnie z całego serca, z nieznanymi mi bliżej powodów.

Postanowiłam mu więc pokazać, że jestem przeciwnikiem, z którym należy się liczyć. Postanowiłam zetrzeć mu z twarzy ten protekcyjny uśmieszek. Lawrence dostrzegł moje roztargnienie, być może próbował nawet dociec, jaka jest jego przyczyna, i doszedł do wniosku, że wygra, ponieważ ja jestem tylko kobietą i nie potrafię rozumować logicznie jak mężczyzna.

W tej samej chwili gra w szachy zaczęła symbolizować grę o życie.

Lawrence natychmiast dostrzegł różnicę w moim zachowaniu. Jeśli nawet usiłował dociec, o czym myślę i dlaczego tak bardzo znów się angażuję w grę, to nie dał tego po sobie poznać.

Do gabinetu wszedł Brantley, niosąc tacę z podwieczorkiem. Widząc, jak bardzo jesteśmy pochłonięci grą, wyszedł równie cicho, jak się pojawił. Zatrzymał się jednak na tyle długo, by dorzucić dwa czy trzy polana do kominka.

Po kolejnych dziesięciu ruchach zdołałam odzyskać przewagę. Skonstruowałam bardzo silny atak po stronie królewskiej. Wiedziałam, że to go zniszczy. Przesunęłam króla na kluczowe piąte pole z linii królewskiego gońca. Z jego strony nie padło żadne wyzwanie. W

ciągu pięciu ruchów królowa i jej goniec osaczyły białego króla. Jeszcze jeden ruch skoczka i już go miałam.

Z trudnym do opisanego uśmiechem na ustach popatrzyłam mu prosto w oczy.

- Szach i mat, sir.

W tamtej chwili wydawało mi się, że mogę pokonać świat. Czułam się silna, pewna, nieustraszona. Oczy błyszczały mi z podniecenia, uśmiechałam się niemal szyderczo. Po kilku chwilach ciszy Lawrence podniósł swego pokonanego króla, trzymał go przez chwilę w szczupłych palcach, a następnie odłożył na miejsce. A potem rozsiadł się z powrotem na krześle, dotykając palcami zaciśniętych ust. Wokół nas tańczył ogień, rzucając na twarz Lawrence przedziwne cienie.

- Dobrze rozegrane, moja droga - powiedział w końcu. - Zwycięstwo smakuje słodko, prawda?

Odwróciłam głowę, tak by moja twarz znalazła się w cieniu. Byłam spięta, podniecona i trochę przestraszona.

- Z pewnością, panie. Jakżeby inaczej mogłoby smakować zwycięstwo?

Na jego twarz wypłynął dziwny uśmiech.

- Nie, z tym nie da się niczego porównać. Widzieć, czuć, zadać ostateczny cios wrogowi. Ale czy nie sądzisz, że najważniejsze ze zwycięstw, najśłodsze jest ostateczne i nieodwołalne zmiżdżenie przeciwnika?

O czym on mówił? Co miał na myśli? Nie mogłam pytać. Nie mogłam również się zdradzić. Zbyt wiele ryzykowałam.

No, ale przed chwilą znów go pokonałam. Pokonałam, pokonałam.

Byłam genialna i silna.

- Tak, i właśnie to udało mi się zrobić. Niemniej jednak jutro też jest dzień, może znów zagramy w szachy i wszystko zacznie się od początku. W szachach nie ma ostatecznych zwycięstw. To z jednej strony dobrze, z drugiej źle.

Lawrence zgromadził pionki na środku stołu. Poprawił przewróconego króla i umieścił go naprzeciw białych pionków dokładnie na wprost czarnej królowej. Spojrzał mi w twarz - oczy zwęziły mu się i pociemniały tak bardzo, że stały się niemal czarne. Zmusiłam się, żeby spokojnie na niego popatrzeć. To Lawrence pierwszy odwrócił wzrok, zerknął na ogień i na swoje dłonie. Ja siedziałam spokojnie i czekałam. Kiedy Lawrence wreszcie przemówił, jego głos brzmiał miękko, niemal czule.

- Grałaś inteligentnie, finezyjnie i... tak... odważnie, Andreo. Cechy niemal niespotykane u kobiet. A w obliczu twojego małego zwycięstwa pozwolę ci chyba przez

chwilę pławić się w szczęściu, nawet gdyby to miało trwać zaledwie moment.

Stał się teraz innym człowiekiem. Może właśnie takim, jakim był naprawdę.

- Nie sądziłam, panie, że jedynymi posiadaczami inteligencji i odwagi są mężczyźni.

Wciąż bawił się królem, obracając go w palcach. Chciałam cisnąć w niego szachownicą.

- I tutaj właśnie się mylisz, moja droga - westchnął Lawrence. - Ponadto sądzę, że powinnaś zaufać mojemu długoletniemu doświadczeniu w tych sprawach.

- Nie rozumiem dlaczego.

Zesztywniał. Teraz skupił na mnie całą uwagę. Wzrok miał zimny, przenikliwy, wyczuty z uczuć. A gdy przemówił, głos także był lodowaty i ostry, jak klinga przecinająca powietrze.

- Och tak, kobiety są słabe, próżne, a ponadto brak im charakteru. A ty się niczym od nich nie różnisz.

Wciąż nie rozumiałam, co spowodowało ten przyływ gniewu, ale wiedziałam, że to musi mieć coś wspólnego z kobietami. Stałam pochylona nad stołem, z dłońmi opartymi o szachownicę. Teraz mój głos przybrał podobny ton; pasował do głosu Lawrence'a.

- Takie słowa, panie, wypowiada zgorzkniały mężczyzna, któremu brak umiaru i równowagi. Nie, panie, nawet niezliczone lata twoich doświadczeń nie mogą usprawiedliwić tak radykalnych opinii.

Jednym szybkim ruchem chwycił mnie za rękę i przyciągnął do siebie. Nasze twarze dzieliły teraz zaledwie centymetry. Pionki potoczyły się po podłodze.

- Odważne słowa, moja pani, ale bez sensu i znaczenia. Tak, głupiotka istotko, możesz oczywiście smakować zwycięstwo w partii szachów, bo dobrze cię w tej materii wyćwiczone. Ale w życiu, Andreo, byłaś i jesteś zaledwie pionkiem w grze, którą sam wymyśliłem. A teraz mam, czego mi trzeba, moja mała. Już nie jesteś mi potrzebna. Już nie muszę tolerować twoich głupich wyskoków, śmiać się z nieudolnych żartów.

- Nie rozumiem. O czym mówisz? Co chcesz przez to powiedzieć?

Wzmocnił uścisk. Poczułam ból, ale nie wydałam z siebie żadnego dźwięku.

- Jesteś szalony.

_ Szalony? Zobaczymy.

Popatrzyłam mu w oczy, ale nie dostrzegłam w nich szaleństwa. Były tak zimne, jak ręka mojego dziadka, kiedy żegnałam się z nim na zawsze.

Zaczęłam się zastanawiać, czy Lawrence zabije mnie tu i teraz.

ROZDZIAŁ 27

Natychmiast puścił moją dłoń i jednym szybkim ruchem zacisnął ją na gardle. Instynktownie chwyciłam jego rękę, próbując rozluźnić uścisk, ale daremnie.

- Zobaczysz, moja droga, że jesteś kompletnie bezradna. I nigdy nie zapominaj o tym, że należysz do mnie. Jesteś moją świeżo poślubioną, śliczną żoną. A co to oznacza? Tyle, że mogę z tobą robić, co mi się podoba.

Wzmocnił uścisk. Drapałam go w rękę, próbując bezskutecznie wyszarpnąć dłoń. Czułam, że robi mi się słabo. Czyżby zamierzał zabić mnie tutaj, w bibliotece? Niespodziewanie oderwał rękę od mojej szyi. Szybko obszedł niewielki stolik i kiedy próbowałam zaczerpnąć powietrza, przyciągnął mnie do siebie. Czułam na twarzy jego gorący oddech.

- Moja śliczna, młoda żona - powiedział i pocałował tak brutalnie, że w ustach poczułam smak krwi. Na chwilę miejsce strachu zajął tak ogromny gniew, że kopnęłam Lawrence'a w kostkę. Objął mnie mocniej i wciąż przyciskał usta do moich warg. Poczułam jego język i omal się nie zakrztusiłam.

Nagle odepchnął mnie od siebie. Gdyby nie stało za mną krzesło, na pewno upadłabym na podłogę.

- Możesz oddychać?

- Tak, ale nie dzięki tobie. Nie dotykaj mnie. Przysięgałeś, że nigdy tego nie zrobisz.

- Mogę z tobą robić, co mi się żywnie podoba, moja droga. Absolutnie wszystko.

- Naprawdę oszalałeś - powiedziałam nierozważnie. - Poza tym jesteś odrażający. Jeśli jeszcze raz się do mnie zbliżysz, zwymiotuję.

Poczerwieniał. Widziałam, jak wzbiera w nim furia i przez chwilę myślałam, że mnie uderzy. Ale udało mu się nad sobą zapanować.

- Oczywiście nie masz pojęcia, jak się całować - powiedział z namysłem. - Jesteś jeszcze niewinna i odczuwasz naturalny dziewczęcy strach. Ale polubiłem twój smak. Oczywiście był to smak strachu, lecz sądzę, że z czasem to wszystko się zmieni i sama będziesz z radością rozchyłać usta.

- Nie.

- Dotąd nie zauważyłem, że jesteś naprawdę ładna. Jakie to dziwne. To znaczy, może nawet zauważyłem, ale nie w taki zwyczajny sposób. Nie dostrzegłem w tobie kobiety. Ale teraz dostrzegam. - Znów wyciągnął do mnie ramiona.

- Nie - szepnęłam i wbiłam się w poduszki fotela. - Nie.

Stał z ramionami skrzyżowanymi na piersiach tuż przede mną. Nie wiedziałam, jak przed nim uciec. Nie udałooby mi się z pewnością go przewrócić, bo był dwa razy większy i silniejszy.

- Postanowiłem cię posiadać, tak jak mężczyzna kobietę. Jesteś dziewicą. Nie miałem dziewicy od lat. To będzie naprawdę ekscytujące. Nie przeszkadza mi to, że będziesz się bronić, byle nie za ostro. Tylko troszkę, żeby było bardziej podniecająco. A ponieważ jesteś moją żoną, musisz mnie słuchać. Ach, mieć na sobie twoją dziewiczą krew, wlać w siebie nasienie... Sprawi mi to na pewno ogromną przyjemność. Będę jedynym mężczyzną, jaki cię posiadzie.

- Nie. - Zbierało mi się na mdłości. Dlaczego? Bałam się i byłam wściekła. Ale mdłości? To nie miało sensu. A potem usłyszałam swój własny - drżący cienki, żalony - głos.

- Nie możesz. Obiecałeś. Wyraziłeś na to zgodę w kontrakcie. Jesteś moim mężem tylko formalnie. Nie dotkniesz mnie. Nie dotkniesz, bo cię zabiję.

Wzbierała we mnie histeria i zupełnie mi się to nie podobało.

- Zabijesz mnie? A to dopiero! To jedna z najzabawniejszych rzeczy, jakie słyszałem, odkąd cię poznałem. - Co do kontraktu... co za głupoty, te wszystkie idiotyczne obietnice. Co to ma wspólnego z moimi pragnieniami? Kontrakt to bezwartościowy kawałek papieru, spisany wyłącznie po to, abyś wyraziła zgodę na to małżeństwo. A ty ją wyraziłaś. Chciałaś wyjść za mąż za nieszkodliwego starszego pana, który się tobą zaopiekuje po śmierci dziadka. A teraz spójrz tylko na siebie - jesteś blada, trzęsiesz się, a oczy chowasz w cieniu, bo wyziera z nich strach. Posłuchaj mnie, Andreo. Wszystkie kobiety to rozpustnice. Ty też nie możesz być inna. Potrzeba ci tylko trochę wprawy i doświadczenia, które ci zapewnię, żebyś mogła poznać prawdę o swojej naturze.

- Nie, nie wszystkie kobiety są rozpustne, to śmieszne. Moja matka nie była rozpustna. To ojciec był taki. - W chwili, gdy to powiedziałam, przestałam dostrzegać twarz Lawrence'a, który stał tuż obok. Po prostu rozpląnął się w nicość.

Potrząsałam gwałtownie głową i słowa po prostu wylewały mi się z ust. - Nie, nie chcę tam wracać. Nie miałam jednak wyboru, odpędzałam ciemności rękami, ale to nie mogło zatrzymać obrazów wciąż żywych w mojej pamięci, pamięci dziecka. Wydawało mi się, że to wszystko wydarzyło się zaledwie wczoraj; nie mogłam przed tym uciec. Próbowałam zapomnieć, ale oczywiście bez skutku. Byłam tam znowu i wszystko wydawało się jasne. Widziałam siebie jako ośmioletnie dziecko, skulone za kotarą w gabinecie ojca. Zasnęłam nad

książką wyjętą z półki. Obudził mnie czyjś cichy śmiech i dziwne odgłosy, jakie po nim nastąpiły. Wyrzałam zza zasłony. Mój ojciec i pokojówka stali nieopodal, przytuleni mocno do siebie i całowali się jak szaleni; ojciec usiłował zedrzyć jej czepek, przebierał palcami w gęstych włosach, jęczał, i ona też jęczała z rozkoszy.

Nie wiedziałam, co zrobić, więc siedziałam cicho i po prostu na nich patrzyłam. Ojciec podniósł dziewczynę do góry i położył na miękkim tureckim dywanie, a potem zawinął jej spódnicę wysoko do góry. Rozłożyła nogi, rozstawiła kolana, a ojciec odsunął się na chwilę, rozpiął guziki spodni, wyjął na wierzch coś sterczącego, coś, co było przymocowane do jego ciała, a potem wsunął jej to coś między nogi. Całowali się i kołysali tam i z powrotem, krzycząc i jęcząc, jak zwierzęta. I ani na chwilę nie przestawali. Ani na chwilę.

Przed oczyma stanęła mi blada twarz matki - była dziwnie milcząca, delikatną skórę pod oczami szpeciły ciemne sińce. Patrzyła na ojca i wciąż jeszcze teraz słyszałam, jak krzyczy o jego rozpuszczeniu, niewierności i o tym, jak bardzo ją poniżył. Czułam, jak mocno matka nienawidzi ojca i Molly, pokojówki, która pozwoliła mu zadrzeć spódnicę i włożyć to coś między nogi. Matka krzyczała jeszcze na temat innych kobiet, o tym, co zrobił, jak ją zhańbił, jaki zadał ból. Ale ojciec zupełnie się tym nie przejął. Popatrzył tylko na nią i odszedł.

Nagle twarz matki rozplynęła się i zobaczyłam twarz Molly, usłyszałam jej przerażający krzyk. Teraz znajdowałam się w pomieszczeniach dla służby na trzecim piętrze, gdzie w lecie było gorąco jak w piekle. Molly krzyczała i ani na chwilę nie chciała przestać. Krzyk za krzykiem, a potem nagle cisza. Usłyszałam odgłosy rozmów. Molly znowu krzyknęła, ale tym razem nie tak głośno - wiedziałam, że jest wyczerpana. Widziałam jej ogromny brzuch, plecy wygięte w łuk i wykrzywioną bólem twarz. Spomiędzy nóg wyciągnęła jej coś małego, zakrwawionego i bezwładnego. A potem trysnęła krew, fontanna krwi, wylała się na łóżko i zaczęła ściekać na drewnianą podłogę. Palce lepiły mi się od krwi, krew poplamiała mi ubranie. A oni miotali się po stryżku, i wtykali prześcieradło między nogi Molly.

A Molly już nie krzyczała. Głowa opadła jej na ramię. Niebieskie oczy miała szeroko otwarte i nie było już w nich życia.

A potem szeptał:

- Zabił ją. Molly też zabił. Ile jeszcze kobiet zabił swoją chucią? To zwierzę. Miałam nadzieję, że umrze, ale żyje. I nigdy nie umrze, nigdy.

Lawrence zaczął mną potrząsać i krzyczeć.

- Na miłość boską, weź się w garść. Dostałaś ataku hysterii. Uspokój się.

Otworzyłam oczy i znowu byłam z powrotem w bibliotece, z mężem, który mną potrząsał. Czułam się rozbita, rozdarta wewnętrznie i strasznie, strasznie samotna. Ale on tam był i zamierzał mnie skrzywdzić, a może nawet zabić, tak jak mój ojciec zabił Molly.

Wbił we mnie wzrok. Drżałam. Zdawałam sobie z tego sprawę, ale nic nie mogłam na to poradzić.

- Jaka szkoda, że nie miałem okazji tego oglądać i że o tym nie wiedziałem - powiedział i puścił mnie. - Odsunęłam się. Potarłam dłonią czoło. Czy próbowałam zatrzeć, wymazać te upiorne wspomnienia. Wspomnienia, które od tylu lat nie wracały do mnie z taką ostrością.

Cisza była głęboka, niekończąca się, ale to nie miało znaczenia, bo próbowałam zwalczyć swój osobisty koszmar, a chłód ciszy, zagrożenia z niej płynące tak naprawdę wcale mnie nie dotykały.

Ponad trzaskiem płonących w kominku polan usłyszałam głos Lawrence'a.

- Chyba teraz rozumiem, dlaczego za mnie wyszłaś. Myślałaś, że zastąpię ci dziadka, prawda? Ze będę cię chronił przed twoim własnym strachem, tymi koszmarami i wizjami z przeszłości, które wciąż do ciebie powracają? Nie, w twoich planach nie ma miejsca dla jurnego młodego mężczyzny.

Oczyrna wyobraźni zobaczyłam Johna - gładził grzywę Małej Bess swoją wielką dłonią. John - trzymający na rękach George'a, śmiejący się z czegoś, co powiedziałam. I czułam, że kochałam ten śmiech. Kolejny obraz: John, teraz rozgniewany, ponieważ byłam żoną jego ojca i nigdy nie mogłam należeć do niego. Wolno pokręciłam głową.

- Chciałabyś, żebym ci powiedział, co zrobił twój ojciec? Co widziałaś? Co o nim słyszałaś?

- Mój ojciec - powtórzyłam wolno. - Ojciec. Co o nim wiedziałaś? Co on ma wspólnego z tym szaleństwem?

- Teraz to naprawdę nie ma znaczenia. Zrozumiesz, że wiem więcej o twojej przeszłości, niż możesz sobie wyobrazić.

Pochylił się nade mną. Najwyraźniej dostrzegł, jak bardzo się boję, bo wyprostował się i zaśmiał. Nie był to jednak przyjemny śmiech. Serce znów podeszło mi do gardła.

- Nie martw się. Jednak cię nie zgwałcę. Szczerze mówiąc, nie mam na to czasu. Chciałbym ci odebrać dziewictwo, ale widać nie jest mi to pisane. Szkoda.

- Dlaczego mnie poślubiłeś?

Przysunął sobie bliżej krzesło i usiadł, krzyżując ramiona. Nie miałam pojęcia, o czym

myśli, co planuje, ale wiedziałam, że z pewnością nic dobrego. Chciałam, żeby zaczął mówić. Potrzebowałam czasu. Byłam pewna, że zjawi się John. Nie - on cieszył się towarzystwem lady Elizabeth. Opuścił mnie. Wiedziałam, że nie powinnam być zdziwiona, ponieważ mężczyźni nigdy nie są uczciwi w stosunku do kobiet, ale byłam absolutnie zdruzgotana jego nieobecnością. Wiedząc, w jak ogromnym znalazłam się niebezpieczeństwie, jednak mnie opuścił.

- Strasznie głupio przeszukiwałaś te moje pokoje.

Przeszukiwałaś pokoje? A niech to! Skąd wiedział? Mimo wszystko w głębi serca nie byłam zdziwiona, że wie. Sięgnął do kieszeni, wyjął z niej list z pogniecionymi brzegami i podsunął mi pod nos.

- Co się stało? Przeczytałaś wszystkie moje listy i ten jeden szczególnie cię zirytował? Do tego stopnia, że o mało go nie zniszczyłaś? Twoje metody nie okazały się jednak zbyt subtelne. Nawet ci się nie udało wygładzić koperty na tyle, żebym nie zauważył zagniecenia. Poza tym wyczułem twój zapach, delikatny i naprawdę bardzo charakterystyczny. Wystarczyło, że wciągnąłem powietrze, a już wiedziałem, że byłaś w moim pokoju. Wzruszyłam ramionami.

- Ta koperta, którą wymachujesz mi przed nosem, wygląda jak bardzo stary list, panie, tak stary, że został pewnie napisany bardzo dawno temu, może nawet w czasach twojej młodości.

Myślałam, że mnie uderzy, ale się powstrzymał.

- Ta ciągła impertynencja... jesteś arogancka, moja droga, choć w końcu okazałaś się nic niewartym przeciwnikiem. Mało. Wręcz głupim. Chcesz, żebym cię pobił? Nie, pewnie nie. - Zaczął składać i rozkładać znaleziony list.

- Ukradłeś list mojego ojca - powiedziałam.

- Owszem. A właściwie zrobił to Flynt. Ten twój przeklęty pies o mało nie odgryzł mu nogi. Chciał zabić zwierzaka, ale mu się nie udało. Powiedziano mi, że dostałaś list. Nietrudno się było o tym dowiedzieć. A ty, moja droga, wyczytałaś przecież, że ósmego twój ojciec był w Londynie.

- Powiedz, dlaczego to wszystko zrobiłeś. Powiedz, co zrobił mój ojciec. Do diabła! Co ja ci zrobiłam? Czy nie mam prawa wiedzieć?

- Nie masz żadnych praw. Ale dowiesz się wszystkiego, jak przyjdzie pora. - Wstał. - Dość tego. Nie zamierzam tracić na ciebie więcej czasu. - Przerwał i popatrzył na porzucane pionki na podłodze. - Nie mogę uwierzyć, że dwa razy ze mną wygrałaś.

- Nie było w tym nic trudnego. Grasz nieźle, ale nieporównywalnie gorzej niż ja. Te

nieudolne próby strategii... tak pospolite, jak te sztuczki starszków grających w Hyde Parku. A co do prób posługiwania się logiką i planowaniem... Wystarczyło, żebym cię podpuściła, a już łykałeś przynętę. To ty jesteś niewiele wartym przeciwnikiem.

Wtedy mnie uderzył - mocno, w policzek. Nie wydałam żadnego dźwięku. Podskoczyłam, uniosłam kolano i kopnęłam go prosto w pachwinę. Zawył, potknął się, jęknął i zwinął w pól. Uniosłam spódnice i rzuciłam się do ucieczki. Ale on natychmiast mnie dopadł, wciąż zgięty w pól, jak starzec, którym był. Siły mu jednak nie brakowało i tak mocno wykręcił mi rękę, że jęknęłam z bólu. Próbowałam się oswobodzić, ale wykręcał mi rękę coraz mocniej. W końcu udało mu się wyprostować.

- Ty przekłeta suko! - Uderzył mnie znowu w drugi policzek. - Gdyby mnie nie trzymał, chyba potoczyłabym się na ścianę. Przyciągnął mnie do siebie brutalnie.

- Słuchaj! Jeżeli jeszcze raz zrobisz coś podobnego, uduszę cię natychmiast, tu i teraz. Nie robi mi to naprawdę szczególnej różnicy. Teraz ty i ja pójdziemy razem do sypialni. Nie powiesz ani słowa. Nawet nie spróbujesz się wyrwać. A jeśli mnie nie posłuchasz, powiem wszystkim, że padłaś ofiarą tej samej choroby, która zabrała mi Caroline. Milcz. Pomyśl o tym swoim piesku, wyobraź sobie, jak Flynt skręca mu kark.

- Drań.

- No tak, teraz zrozumiałaś.

Nigdzie w pobliżu nie było żadnych służących. Modliłam się, żeby spotkać chociaż Brantleya, ale hol świecił pustkami.

- Zwolniłem Belinę - powiedział Lawrence, kiedy zbliżyliśmy się do Błękitnej Komnaty. Jest już w wiosce u matki. George natomiast siedzi w twojej sypialni. Oboje na mnie zaczekacie. Przyjdę do ciebie później, nie obawiaj się.

Otworzył drzwi, wepchnął mnie do środka i zatrzasnął mi je przed nosem. Usłyszałam zgrzyt klucza w zamku.

ROZDZIAŁ 28

Porywisty wiatr palił mnie w twarz i szarpał kapelusz. Przytuliłam się mocno do szyi Pioruna i wdychałam ciepło jego parującej grzywy. Oddychał z coraz większym trudem, był mokry od potu. Zwolniłam. Nie chciałam, żeby padł. John nie byłby uszczęśliwiony, gdybym zajeżdżała mu na śmierć ukochanego konia. Nie, nie chciałam o nim myśleć. Czułam, jak George wierci się pod peleryną; główkę położył mi tuż pod sercem. Lizał mnie co chwila, a moja bluzka była w tym miejscu zupełnie mokra. Miałam nadzieję, że nie marznie.

Skierowałam Pioruna na boczną drogę, w gąszcz sosen i klonów, zeskoczyłam na ziemię i zdjęłam mu lejce. Gdy potrząsnął głową, z pyska poleciała mu piana i zmoczyła mi rękawiczki. Drzewa ofiarowały nam jako takie schronienie przed tym okropnym wiatrem. Nie miałam wyboru; musiałam postawić George'a na ziemi i kazać mu nie odchodzić za daleko. Zaskomlał i przytulił mi się do nogi.

- Będzie dobrze - powiedziałam. - Daj mi chwilę. - Wytarłam Pioruna jego własnym kocem, a następnie rozłożyłam mu ten sam koc na grzbiecie, żeby zabezpieczyć konia przed ostrym wiatrem przebijającym się przez nagie gałęzie drzew. Poklepałam go po szyi i przytuliłam się do końskiego karku.

- Dziękuję, koniku. John się mylił. Nie zrzuciłbyś ani mnie, ani George'a do rowu. Ocalisz nam życie. Nie rozumiem jednak jednego: dlaczego John nie zabrał cię na to przekłete przyjęcie gwiazdkowe? Omal nie przewróciłam się z wrażenia, kiedy zobaczyłam cię w stajni.

Zarżał cicho i potarł głową o moje ramię.

Wiatr podwiewał mi pelerynę, gdy szłam wolno w stronę głównej drogi, patrząc uważnie w kierunku, z którego przyszliśmy. Jasna księżycowa poświata oświetlała wyludnione rozdroża. Jakies parę metrów ode mnie pohukiwała sowa. Opadłam na kolana kilka metrów od Pioruna i przytuliłam się do nagich gałęzi w poszukiwaniu ciepła. Poczulałam przeszywający ból w kostce. Natychmiast wyprostowałam plecy i zaczęłam masować obolałe miejsce, nie zdejmując jednak buta. Gdybym miała więcej szczęścia, to pewnie by się nie stało. Niosłam jednak George'a przypasanego do talii i nie mogłam przecież amortyzować upadku ciałem mojego ukochanego psa.

Popatrzyłam na ten skrawek księżyca - tak jasny i wyraźny. Poklepałam George'a po głowie i zaczęłam sobie przypominać, jak - jeszcze wcale nie tak dawno - stałam na środku sypialni, wpatrywałam się w zamknięte drzwi i słuchałam powracających kroków Lawrence'a.

George zerwał się na równe nogi i podbiegł do mnie. Podniosłam go i przytuliłam.

- Mamy problem, mój złoty. Nawet całkiem spory problem, ale przynajmniej ten wariat zostawił nas na chwilę samych, co znaczy, że uda nam się jakoś stąd wydostać.

Wiedziałam oczywiście, co robić. Nie traciłam czasu na walenie w drzwi czy szarpanie za klamkę. Byłam pewna, że i tak nikt mnie nie usłyszy. Nie, mnie i George'owi pozostawało okno i miły, trochę przerażający spacer w dół, na zamrzniętą ziemię. Potem musiałam ukraść konia. Oczywiście nie Małą Bess, gdyż jej noga i grzbiet nie były jeszcze w wystarczająco dobrym stanie. Musiałam sprawdzić, jakie jeszcze konie zostały w stajni.

- Chodź, George, zobaczmy, co tu mamy. - Zaniiosłam pieska pod okno, odsunęłam ciężkie zasłony i popatrzyłam w ciemność. Na zewnątrz musiało być zimno, maleńki rożek księżycy świecił bardzo jasno. Skok w dół nie wydawał się możliwy - było za wysoko, a zewnętrzne ściany budynku były szorstkie i chropowate. Ostry wiatr kłuł mnie w oczy, gdy wodziłam palcami po murze. Wiedziałam, że w końcu natrafię na występ. Właśnie po tym występie Caroline przedostała się do innego pokoju. Musiał być zatem szeroki. Ja jednak miałam nieść George'a, co wymagało ode mnie znacznie większego sprytu.

Wyrwałam się z zamyślenia. Piorun rżał i rył kopytami ziemię. Wstałam, próbując nie zwracać uwagi na skręconą kostkę, i podczołgałam się do drogi, z George'em ukrytym pod peleryną. Nasłuchiwałam, ale żaden dźwięk nie wzbudził moich podejrzeń.

Czekałam pięć minut, po czym wróciłam do Pioruna. Wydawał się wypoczęty, oddychał równo, gotowy do drogi. Kładąc mu kocyk na grzbiecie, zastanawiałam się, czy Lawrence odkrył moją ucieczkę i czy - choćby teraz - nie pędzi za mną w towarzystwie tego drania Flynta. Piorun najwyraźniej wyczuł mój niepokój, bo obrócił głowę i zarżał cicho. W końcu osiodłałam go z powrotem, wzięłam cugle do ręki i wróciliśmy na główny szlak. Piorun - bez żadnej zachęty z mojej strony - natychmiast ruszył galopem przed siebie. Pochyliłam się i potarłam kostkę, szczęśliwa, że odniosłam tylko tak niewielkie obrażenia. A mogło być znacznie gorzej. Byłam niemal pewna, że będzie gorzej.

Występ okazał się wąski, niebezpiecznie wąski. Wróciłam do pokoju i popatrzyłam na moją ciężką aksamitną suknię. Suknia absolutnie się do tego nie nadawała. Skoro zamierzałam przejść po tym absurdalnie wąskim występie z George'em na rękach, musiałam chociaż próbować utrzymać równowagę. W dolnej szufladzie ogromnej szafy znalazłam chłopięce bryczesy, które po raz ostatni miałam na sobie w Yorkshire, w majątku dziadka, Deerfield Hali. Czy mogłam sobie wymarzyć coś lepszego? Przecież w przebraniu chłopca mogłam uniknąć ciekawskich spojrzeń. Moim przeznaczeniem tego wieczoru był Deerfield Hali. Sądziłam, że aby się tam dostać, potrzebuję trzech, może czterech godzin jazdy.

Gdybym musiała się ukrywać, droga mogła zająć więcej czasu. Wszystko jedno, było mnie na to stać. Przebrałam się szybko. Zapinałam właśnie pelerynę, kiedy uświadomiłam sobie, że nie mam pieniędzy. W szufladzie znalazłam tylko parę szylingów. Chwyciłam więc garść biżuterii i upchnęłam wszystko w kieszenie peleryny. Spod poduszki wyjęłam pistolet i wsunęłam go ostrożnie w spodnie.

- No i jak, George? Ty spróbujesz się trzymać, a ja postaram się nie spaść. - Na te słowa George zaszczekał głośno, usiadł na tylnych łapkach i czekał, aż go podniosę. Zanim otworzyłam okno, zerknęłam na piękny zegar z pozłacanego brązu, stojący na kominku. Dochodziła trzecia nad ranem. Nic dziwnego, że gdy Lawrence prowadził mnie na górę, nie spotkaliśmy żadnych służących. Już od dawna spali. A ja po prostu nie zdawałam sobie sprawy, jak jest późno.

Spacer po tym występie wymagał ode mnie najwyższej odwagi. Daję słowo. Miałam wrażenie, że na zewnątrz czyhają na mnie same nieszczęścia. Popatrzyłam na występ. Nie miałam ochoty zrobić bodaj kroku. Bałam się zarówno o siebie, jak i o George'a, ale po prostu nie miałam wyboru. Nie zamierzałam siedzieć w sypialni i czekać, aż Lawrence przyjdzie mnie udusić. A myśl o Flyncie duszącym George'a natychmiast dodała mi energii. Wiedziałam, że zejść na dół. Nie było innego wyboru. Stałam na występie, odzyskałam równowagę i chwyciłam okienną ramę. Zaczerpnęłam głęboko powietrza, przycisnęłam się do muru i wbiłam wzrok w występ.

- Niczym się nie denerwuj i nie podniecaj, George. Usłyszysz tylko wiatr, nie ma tu żadnych strzyg ani demonów z Czarnej Komnaty. Jesteśmy tylko my: ty i ja, i chcemy stąd zwać. Ale ty siedź cicho, dobrze?

Usłyszałam ciche szczeknięcie. Chronionymi przez rękawiczki dłońmi przywarłam do szorstkiej powierzchni kamienia i krok po kroku posuwałam się naprzód. Dziwne było to, że mimo przenikliwego zimna zaczęłam się pocić. Naprawdę się pociłam. W którym miejscu Caroline zawróciła? Doszłam do rogu i zobaczyłam, że w tym miejscu występ gwałtownie się kończy. Przede mną majaczył zarys ogromnego komina. Dostrzegłam z ulgą, że kamienie są poukładane pod kątem i wystające, więc można o nie oprzeć ręce i stopy, szczególnie tak małe jak moje.

- George - powiedziałam, uwalniając psa z peleryny. - Potrzebuję obu rąk. Będziesz musiał się zachowywać bardzo spokojnie. Włożę cię w spodnie i zapnę.

I tak też zrobiłam. Prawdopodobnie z George'em za paskiem wyglądałam jak w ciąży.

- Trzymaj się, ruszamy.

Spuściłam nogi z występu i przez dłuższą chwilę wisiałam w powietrzu, dopóki nie

wymacałam stopami oparcia. Poczułam, jak George sztywnieje ze strachu. Pewnie modlił się na swój psi sposób równie gorąco jak ja.

Zejście w dół było boleśnie wolne. Kilka razy zwisałam bezwładnie na rękach i szukałam stopą oparcia. Nagle, gdy poluzowałam nieco uścisk, by znaleźć kolejny punkt oparcia, kamień skruszył mi się pod stopami i spadłam ciężko na ziemię. Dzięki Bogu, nie było wysoko - najwyżej półtora metra.

Z podkulonymi nogami upadłam na bok. Przez chwilę leżałam spokojnie, aż nagle poczułam przeszywający ból w stopie. Modliłam się, żeby noga nie była złamana. Wstałam wolno, obejrzałam nogę i stwierdziłam, że mam tylko zwichniętą kostkę. Dzięki Bogu nie przygniotłam George'a! Szybko wyjęłam go ze spodni i powiedziałam, że jest najwspanialszym psem na świecie. Stojąc tam na dole i dziękując niebiosom za ocalenie zrozumiałam, że Caroline wcale nie chciała przejść po występie do innego pokoju. Pomiędzy Błękitną Komnatą i kominem nie było żadnych innych pokoi. Nie myliłam się. Lawrence powiedział, że Caroline wydostała się przez okno na występ i weszła do innego pokoju. Kłamał. Dla - czegoż miałabym się zresztą temu dziwić? Okłamywał mnie przecież w każdej sprawie.

- Jestem idiotką, George - powiedziałam na głos. I pomyślałam: Co się naprawdę z tobą stało, Caroline? Spojrzałam w górę. Zeszłam dobre dziesięć metrów. Nieźle.

Piorun prychnął i wierzgnął tylnymi nogami. Wyraźnie chciał wzbudzić moje zainteresowanie. Szybko się zorientowałam, że jest zimno, boli mnie kostka, ale żyję i to mi musiało na razie wystarczyć. Z daleka zobaczyłam punkciki świateł. Wioska. Nie wiedziałam, czy ryzykować jazdę do wioski z uwagi na Pioruna. Nie chciałam go zabić. Z drugiej strony nie mogłam się już zatrzymać. Znajdowałam się teraz w niewielkiej odległości od Devbridge Manor, a rodzina Lyndhurstów była tu raczej znana. Czy ktoś mógłby rozpoznać konia? Bo jeśli tak, mogłabym zostać uznana za złodziejkę. A nawet pół - śle - piec już po chwili zauważyłby bez trudu, że jestem kobietą. Nawet więcej: dostrzegłby z pewnością, że nie tylko jestem kobietą, a w dodatku złodziejką, ale jeszcze kobietą wyjątkową: hrabiną Devbridge.

- Aha, ukradła pani konia należącego do bratanka pani męża w obawie, że małżonek panią udusi. A może, tak jak poprzednia hrabina, cierpi pani na jakąś chorobę psychiczną?

Wzdrygnęłam się na samą myśl. Nie, nie warto było zatrzymywać się w tej wiosce. Musiałam pojechać na Piorunie gdzieś dalej, do innej osady, czy też innego gospodarstwa.

Zwolniłam, rozglądając się za jakąś drogą, dzięki której mogłabym ominąć wioskę. Po mojej prawej znajdowało się otwarte pole. Piorun natychmiast przesadził niski płotek. George zaszczeakał radośnie, kiedy znaleźliśmy się w powietrzu. Uwielbiał latać.

Już za wioską wyprowadziłam Pioruna na główną drogę. Nasza jazda trwała, ciszę przerywały tylko od czasu do czasu stłumione szczeknięcia George i tętent kopyt Pioruna. Zwolniłam. Nie zamierzałam zabić tego wspaniałego zwierzęcia. Czas włókł się niemilosiernie. Twarz miałam tak zimną, że prawie jej nie czułam. Zmusiłam się, żeby pomyśleć o czymś innym - snułam plany na najbliższą przyszłość i zdecydowałam się zostać w Deerfield Hali do czasu przyjazdu Petera. W razie gdyby zjawił się tam Lawrence, służący na pewno by mnie ukryli, a jego okłamali. Potem Peter już by wiedział, co robić. Na pewno ochroniłby mnie przed szaleńcem, za którego wysłałam za mąż.

- Wiem, wiem. Tak kolosalny błąd świadczy wyłącznie o tym, że byłam ślepa i usiłowałam sama siebie oszukać - powiedziałam do George'a i pogłaskałam go po głowie. Zaszczekał. Czułam, że pewnie się ze mną zgadza.

Oczywiście nikt nie obronił przede mną tego biednego stajennego, Billa. Na szczęście Rucker spał we własnym łóżku i nie kręcił się nigdzie poblizu. Ale Bili to całkiem inna historia. Był młody, niewyrośnięty i nie miałam wątpliwości co do tego, że po ciosie, który mu zadałam, długo będzie bolała go głowa. Nic poważnego jednak mu nie dolegało. Związałam go tylko i ukryłam za snopem siana. Zabranie Pioruna ze stajni na szczęście dla mnie okazało się łatwe, gdyż bałam się tak bardzo, że jąkałam się, nawet mówiąc do George'a.

Piorun podniósł nagle głowę i znieruchomiał. Czy przestraszyło go jakieś zwierzę? Zarżał. Zeskoczyłam na ziemię. Omal nie upadłam, bo nogi miałam zmarznięte i sztywne, ale szybko odzyskałam równowagę i odciągnęłam Pioruna na bok. Chwyciłam go palcami za chrapy - nie mogłam pozwolić, by znów zaczął rzeć. Oboje czekaliśmy w napięciu. Bluzkę moczył mi zimny, teraz wilgotny nosek George'a.

Nagle ziemia zatrzęsła mi się pod stopami. Nadjeżdżały konie. Wyczułam je, zanim zdążyłam usłyszeć. Zbliżało się do mnie kilku jeźdźców. Pociągnęłam Pioruna głębiej w drzewa. Niestety rosły tam prawie wyłącznie klony - wszystkie teraz ogołocone z liści i przeredzone, co wydało mi się niesprawiedliwe, ale nic nie mogłam na to poradzić. Chwyciłam Pioruna za chrapy nieco mocniej. Konie zwolniły kilkanaście metrów ode mnie. Słyszałam męskie głosy. Och nie, z pewnością usłyszeli to pierwsze rzenie

Pioruna. Przywarłam do niego, czułam jak drży, ale na szczęście stał spokojnie.

- Mówię wam - krzyknął pierwszy mężczyzna. - Wiem, że ten cholerny koń nie może być daleko. Jest szybki, wytrzymały, to koń wojenny. Ale nawet on musi być już wykończony.

Nie, całkowicie się mylisz - pomyślałam. Piorun nie przypomina żadnego z koni, które

znasz. Mógłby pobiec nawet do Londynu, nie zwalniając i nie męcząc się. Lepiej będzie, jeżeli znów zaczniecie mnie śledzić. Jedźcie stąd, jedźcie! Jedźcie wreszcie - powtarzałam w duchu tę litanie, rodzaj modlitwy. Tak, po prostu jedźcie stąd! Nas tu nie ma. Nie macie tu czego szukać. Ruszajcie.

- Macie rację. Nie mogła dotrzeć dalej niż tutaj. Koń Johna jest szybki, ale nawet on się męczy, więc teraz pewnie już dogorywa. - To mówił Lawrence, mój najdroższy mąż. Boże, jakie to niesprawiedliwe! Są zbyt blisko. Oni wszyscy byli zbyt blisko. Co robić?

- Czuję, że ona gdzieś tu jest. - Znów mój mąż. - Mógłbym przysiąc, że słyszałam rżenie. Był blisko. Wiem to. - Któryś z mężczyzn burknął coś pod nosem, ale nie wypowiedział na głos swojego zdania. Zbliźali się. W każdej chwili mogli nas teraz zobaczyć i wszystko by się skończyło.

Koniec końców to nie Piorun nas zdradził, tylko George. Nie wiedział, co się dzieje, więc zaszczekał głośno. Zresztą i tak by nas dopadli. Nie mogło stać się inaczej.

Nie mam wyboru - pomyślałam, zacisnęłam pasek wokół George'a, wskoczyłam na siodło i wystrzeliliśmy z drzew niczym kula armatnia. Uciekałam rozpaczliwie. Piorun dyszał ciężko, zaczął zwalniać. Tracił siły. Po policzkach spływały mi łzy zawodu. Zerknęłam jeszcze raz przez ramię i w ponurym świetle przedświtów dostrzegłam zarys twarzy mojego męża. Niemal krztusiłam się ze strachu.

A w chwilę później tuż obok pojawił się koń. Mężczyzna wychylił się z siodła i chwycił mnie w pól. George zawył z bólu, a mężczyzna aż cofnął się ze zdziwienia.

- To ten przeklęty pies - krzyknął. - Ma go w pelerynie.

Słyszałam, jak mężczyźni krzyczą coś do siebie. Zaraz potem, o wiele za wcześnie, mężczyzna wrócił i chwycił lejce Pioruna, zmuszając go, by zwolnił. Natychmiast potem z drugiej strony pojawił się Lawrence, który zrzucił mnie z grzbietu Pioruna. Zanim spadłam na zamarzniętą ziemię, zdołałam uwolnić George'a i, Bogu dzięki, nie przygniotłam go swoim ciężarem.

Straciłam oddech. Leżałam na ziemi, patrząc w zimne, szare niebo, próbując zaczerpnąć trochę powietrza. George warczał wściekle, biegał wokół mnie, robił co mógł, by mnie ochronić. A potem zaskomlał i wskoczył mi na pierś. Zobaczyłam nad sobą twarz Flynta.

- Ona żyje, panie - powiedział służący do Lawrence, który stał tuż obok i mógł się o tym przekonać na własne oczy. - Jest tylko trochę oszołomiona. Pies też w porządku, w końcu zamknął mordę. Chce pan, żebym go zabił? Kiedy spadała z konia, miałem nadzieję, że go przygniecie.

Gdybym mogła w tamtym momencie zaczerpnąć tchu, powiedziałabym mu na pewno, że go nienawidzę. Ale nie mogłam nic zrobić, po prostu leżałam bez ruchu, nie wiedząc, czy jeszcze kiedyś zdołam głęboko odetchnąć.

- Nie, trzeba jej coś zostawić - powiedział Lawrence - chociaż nie zasłużyła sobie na żadne względy. - Mam z nią więcej kłopotu niż to wszystko warte. Tak, zostaw jej tego nieszczęsnego kundla. Sam Pan Bóg widzi, że kocha go bardziej niż jakąkolwiek inną żywą istotę.

- Zgroza, żeby tak kochać zwierzaka - powiedział Flynt i splunął jakieś dwa centymetry od mojej twarzy.

- Nikogo innego nie ma - odparł Lawrence i w tej samej chwili nienawidziłam go tak bardzo, jak nikogo na świecie, a to dlatego, że miał rację. Stał nade mną, wiatr podwiewał mu pelerynę.

- Nie walcz ze mną, pani, bo pozwolę Flyntowi zabić psa. Rozumiesz?

- Tak. Rozumiem. - Ten jedwabisty ton głosu przeraził mnie bardziej niż upadek z konia.

- Byłaś naprawdę nieznośna - powiedział. - Przysporzyłaś mi wielu kłopotów. Zmarnowałaś mój czas. Dosyć. Wstawaj. Musimy przejść naprawdę spory kawałek.

Nikt mi nie pomógł. Zdołałam przewrócić się na bok, potem stanąć na czworaka i wreszcie wrócić do pozycji pionowej. Przytuliłam George'a. Pistolet tkwił wciąż z paskiem, ale jeszcze nie mogłam się nim posłużyć. Zawierał tylko jedną kulę. Tylko jedną.

Wyśledzenie mnie zajęło im naprawdę dużo czasu. Schwytali mnie, bo mieli niezmućzone konie. Pewnie zmienili je we wsi. Gdybym tylko odważyła się zaryzykować, mogłabym odzyskać wolność.

W czarnej pelerynie i w czarnych rękawicach mój mąż wyglądał jak sam diabeł.

- Nie doceniłem cię, Andreo - powiedział. - Nie, nie zamierzam nazywać cię Andy, to idiotyczne imię. Kiedyś udawałem, że mi się podoba takie czułe zdrobnienie, żeby zdobyć twoje zaufanie. A potem, kiedy już zamknąłem cię w sypialni, zamierzałem wrócić, żeby podać ci narkotyk. Jakiś służący mógł przejść pod twoimi drzwiami i usłyszeć wrzaski. Może nawet zaczęłabyś walić krzesłem w drzwi? Wiedziałem, że nie będziesz siedziała cicho i czekała, aż po ciebie wrócę. Dlatego szedłem właśnie z lekarstwem, które zamierzałem ci wlać do gardła. Byłem naprawdę bardzo zdziwiony, kiedy wszedłem do tego zimnego pokoju. Zimnego! Mało powiedziane! Lodowatego! Przecież zostawiłaś otwarte okno. Gdybym cię wtedy dopadł, na pewno bym cię zabił. Ale na szczęście dla ciebie nie dopadłem. Teraz jestem spokojny i znów mam cię przy sobie. Tym razem to koniec.

Stałam tam, oddychając już teraz swobodnie, patrząc na mężczyznę, któremu ufałam, w którego głębokie uczucie tak ślepo wierzyłam... przynajmniej do chwili, gdy nie pojawiła się w moim pokoju ta starucha z nożem. Kłamstwa, to wszystko kłamstwa, podstęp.

Tylko co właściwie Lawrence zamierzał osiągnąć? Do czego mu byłam potrzebna?

- A teraz co, panie? Zabierzesz mnie z powrotem do domu i zamkniesz w Błękitnej Komnacie? Zakratujesz okna, tak jak zakratowałeś te w pokoju Caroline?

Wiatr owinał mu pelerynę wokół kostek.

- Bądź cicho, głupia. Nawet nie wiesz, o czym mówisz.

- Czyżby? Wiem, że mnie okłamałeś. Caroline nie przeszła po występie do innego otwartego pokoju, żeby się dostać do wieży. Tam nie ma żadnego pokoju. Występ kończy się przy kominie. Co ty jej zrobiłeś?

Oczywiście znałam odpowiedź na to pytanie. Lawrence ją zabił. Zrzucił ją z balkonu na kamienną ścieżkę. Wiedział dokładnie, o czym myślę. Mogłam to wyczytać z jego twarzy.

- Zaprowadziłeś ją siłą na wieżę i zrzuciłeś z balkonu, prawda? - dodałam, ponieważ to już i tak nie miało znaczenia.

Cofnął rękę. Dostrzegłam pięść w czarnej rękawicy, gniew malujący się na jego twarzy, jadowite spojrzenie i zrozumiałam, że powinnam była siedzieć cicho. Wiedziałam, że uderzy mnie mocno, może nawet złamie szczękę.

Nie miałam czasu, żeby się ratować.

ROZDZIAŁ 29

Krzyk Flynta przeciął powietrze.

- Panie, lepiej jej nie bić. Lepiej, żeby niby to zginęła w wypadku. Jest za wcześnie. Jeszcze nie.

Lawrence wolno cofnął pięść. Nie uderzył mnie, ale wykręcił mi rękę tak, że nie mogłam powstrzymać jęku.

- Proszę mnie więcej nie prowokować, pani. Puścił moje ramię i popchnął tak mocno, że straciłam równowagę i upadłam, lądując u stóp Flynta.

- Spójrz tylko, co zrobiła z koniem Johna - powiedział Lawrence. - Zajeżdżyła go na śmierć, suka!

Wstałam, ale nie próbowałam uciekać - wiedziałam, że nie zabrnę daleko z Flyntem u boku. Nienawidziłam go każdą cząstką mojego ciała.

- Posłuchaj, starcze. Sam byś zajeżdżył go na śmierć, gdybyś próbował uciekać przed szaleńcem.

Wyglądał jakby chciał mnie zabić - dokładnie w tamtej chwili - a jednak tego nie zrobił. Dlaczego go prowokowałam? Dlaczego nie trzymałam buzi na kłódkę? Wiedziałam dlaczego. Ten mężczyzna przyciągnął mnie do siebie tak gładko, zdobył tak szybko moje zaufanie... Zrobił ze mnie kompletną idiotkę. Nienawidziłam samej siebie tak bardzo jak jego za to, że mi to zrobił - tak łatwo. Za łatwo. Odgadł, czego mi trzeba i zapewnił mi to. Zdawał sobie sprawę, że nie chcę męża w łóżku, i dlatego po prostu przysiągł, że będzie to małżeństwo tylko z nazwy. Zachowywał się w stosunku do mnie bardzo uprzejmie, serdecznie i w ciągu tygodnia od naszego spotkania już jadłam mu z ręki. Boże, jak ja go nienawidziłam!

Ale czego on chciał?

Poczułam nagłą falę mdłości. Osuwając się na kolana, pomyślałam, że otrzymałam o jeden cios za dużo. Zwiesiłam głowę, dysząc ciężko, próbując zachować przytomność. Podszedł do mnie trzeci mężczyzna, który do tej pory nie wypowiedział ani słowa. Nie poruszyłam się, rozcierałam sobie tylko ramię z George'em przyciśniętym do boku.

Mężczyzna ukląkł przy mnie.

- Dobrze się czujesz? Możesz wstać?

Rozpoznałam jego głos. To był mężczyzna z gospody, w której zatrzymałam się z Lawrence'em w drodze do Yorkshire. Po prostu jeden z jego służących. Zdołałam skinąć

głową. Pomógł mi wstać. Potem podniósł George'a i podał mi go w milczeniu. Dzięki Bogu, zawroty głowy minęły.

Lawrence podszedł do mnie. Popatrzyłam mu prosto w oczy.

- Dokąd jedziemy?

- Wkrótce się dowiesz. Bądź cicho. Freeson, wrzuc ją na grzbiet Pioruna. Nie musisz przywiązywać jej rąk do łąku. Zabierzesz jej psa. Jeżeli zrobi coś, czego robić nie powinna, zabijesz kundla.

- Nigdy nie wyrządziłam ci żadnej krzywdy, Lawrence - powiedziałam, zastanawiając się, kim naprawdę jest ten człowiek, za którego wysłałam za męża. Był tak pełen furii, nienawiści i pogardy. To wszystko nie miało sensu.

- Pokrzyżowałaś mi szyki i narobiłaś zamętu. Dowiedziałaś się o czymś, o czym nie powinnaś mieć pojęcia. Mam cię dość. Dopuszczałaś się rzeczy, na które nikt by się nie ważył, a już na pewno nie taka niewinna młoda dama.

Nie rozumiałam, o czym mówi. Krzyżowanie szyków nie mogło mieć nic wspólnego z oglądaniem zawartości jego szuflad.

- Dlaczego włożyłeś drut kolczasty pod siodło Bess?

- Dzięki temu rozumiałaś, że ktoś pragnie twojej śmierci.

- A raczej, żebym za wszystko zapłaciła.

- Tak, właśnie tego chciałem. Chciałem, żebyś była przerażona i bezbronna, i byłaś. A to mnie naprawdę uszczęśliwiło. Z przyjemnością patrzyłem, jak z dnia na dzień boisz się coraz bardziej. Gdybyś zginęła, nie miałyby to absolutnie najmniejszego znaczenia, ale przyznam, że lepiej jest tak, jak jest. Wolę mieć cię przy sobie teraz, w chwili ostatecznego zwycięstwa. Zemsta jest słodka.

Nie obchodziło go, że mógł zabić Małą Bess, i to naprawdę doprowadziło mnie do szału. Gniew zalewał mnie dosłownie od stóp do głów.

- Nawet nie wiesz, o czym mówisz. Wyrządziłeś ogromną krzywdę temu zwierzęciu. Zaslugujesz na najwyższą pogardę, ty nędzny starcze - wycedziłam, chociaż wiedziałam, że popełniam ogromny błąd.

Freeson związał mi ręce sznurem, więc nie mogłam się obronić, kiedy padł cios. Lawrence uderzył mnie pięścią w głowę. Siła ciosu rzuciła mnie na pierś Freesona. W głowie zapaliło mi się tysiące światełek - to było naprawdę dziwne - te światełka, białe punkciki, wybuchające jeden po drugim, aż wreszcie wszystko zlało się w litościwą czerń. Usłyszałam, że George szczeka jak szalony. A potem już nic nie słyszałam.

Zanim w pełni odzyskałam przytomność, poczułam miarowe kołysanie. Jechałam na

koni. Kiedy wreszcie otworzyłam oczy, świat wokół wirował jak szalony. Zalała mnie fala mdłości. Tak bardzo kręciło mi się w głowie, że gdyby Freeson mnie nie podtrzymał, spadłabym z konia. Przełknęłam ślinę i zacisnęłam powieki. Chyba się poruszyłam, bo tuż przy uchu usłyszałam głos Freesona.

- Proszę się nie ruszać, pani. Nie pozwolę pani spaść.

Poczułam, że obejmuje mnie ramieniem i znów opuściłam głowę na jego pierś.

- Gdzie George?

- Flynt z nim jedzie. Nie, proszę się nie martwić, nie zrobi mu krzywdy.

- Kim jesteś? Co się dzieje?

- Nie mogę ci nic powiedzieć, pani. Cicho. Zamilkłam. Słowa znalazły się gdzieś poza mną.

Skupiłam się na tym, żeby nie zwymiotować na konia. Od ciosu, jakim ten szaleniec zdzielił mnie prosto w skroń, głowa bolała mnie tak bardzo, że zaczęłam się martwić o stan swojego mózgu.

- Nie możesz mi powiedzieć, dokąd jedziemy?

- Nie. - Zawahał się, po czym przysunął głowę bliżej do mojego ucha. - Próbowałem przekonać jego lordowską mość, że tak naprawdę to nie z tobą pozostaje w konflikcie, ale nie dał się przekonać.

- Więc jak nie ze mną, to z kim? Popatrzył na Lawrence'a i spuścił głowę.

- Nieważne. Nie mogę powiedzieć.

Nikt inny nie przychodził mi do głowy, więc w końcu wydobyłam z siebie głos.

- Z moim ojcem - powiedziałam cicho. Zaczerpnął powietrza.

- Pani, proszę... mnie naprawdę już nie wolno o tym mówić. Nie wolno.

Zatem bał się Lawrence'a? Wcale mu się nie dziwiłam. Ja również się go bałam.

Jechaliśmy w milczeniu, Flynt i mój mąż w pewnej odległości od nas. Tego ranka nie wyszło słońce, niebo zasnuły ołowiane chmury, w każdej chwili mogła rozpętać się śnieżycą. Pomyślałam, że pewnie zbliżamy się do Devbridge. Moja wielka ucieczka na nic się nie zdała. Ale jeśli Lawrence zamierzał zabrać mnie do Devbridge, co chciał powiedzieć służącym? Pannie Crislock? Johnowi? Co, na miłość boską, zamierzał powiedzieć Johnowi? Nie, niezależnie od tego, co pragnął ze mną zrobić, nie mógł zabrać mnie do domu. Byłoby to dla niego zbyt wielkie ryzyko.

Nie zdziwiłam się specjalnie, kiedy nasz mały orszak skręcił z głównej drogi w wąską ścieżkę, jakiś kilometr od Devbridge. Popatrzyłam pytająco na Freesona, ale on tylko pokręcił głową i wbił wzrok w przestrzeń. Wkrótce dotarliśmy do małego domku położonego na

polanie, otoczonego gąszczem klonów. Ze zniszczonego komina buchał dym. Do drzewa przy drzwiach przywiązany był koń.

Lawrence ściągnął lejce i podjechał do nas.

- O, widzę, madame, że już nie śpisz. Obudziłaś się w samą porę. - Wydawał się szczęśliwy i tak zadowolony z siebie, że nie byłabym zdziwiona, gdyby nagle zaczął śpiewać. Mówił głosem człowieka, który odniósł nagle wielkie zwycięstwo.

Zatrzymaliśmy się przed domkiem. Lawrence zdjął mnie z konia i rozwiązał mi rękę. Trzymał mnie jednak mocno za lewe ramię. Nie mogłam się uwolnić od tego uścisku - Lawrence był po prostu za silny.

- Spokojnie, moja droga. Nie chciałbym, żebyś zemdląła akurat teraz, kiedy mam dla ciebie wielką niespodziankę. - Był tak podniecony, że błyszczały mu oczy.

Nie odezwałam się ani słowem, ale wiedziałam, o tak, wiedziałam bardzo dobrze, co to za niespodzianka.

Popatrzył na mnie zdziwiony.

- Muszę przyznać, że nie jesteś głupia. Wiesz już, prawda?

Pokręciłam tylko głową w milczeniu. Zaśmiał się i gestem ręki nakazał Flyntowi otwarcie drzwi. Flynt postawił George'a na ziemi, a ten, nie tracąc czasu, natychmiast do mnie podbiegł. Podniosłam go i przytuliłam. Lawrence wepchnął mnie do domku. W dość ciemnym wnętrzu stał tylko odrapany stół, który wyglądał na chybotliwy, wokół niego było parę starych krzeseł, a jakieś trzy metry od drzwi, na przeciwległej ścianie umieszczono kominek, gdzie ledwo tlił się ogień. Potem, w dalekim kącie domku zobaczyłam jeszcze łóżko i wyszczerbiony nocnik pod nim. Na brudnym barłogu leżał mężczyzna. Ledwo rozpoznałam jego sylwetkę.

Mimo to nie miałam wątpliwości.

To był mój ojciec.

Nie widziałam go od dziesięciu lat, miałam nadzieję, że umarł. Zasłużył na śmierć za to, kim był, za to, co zrobił. Ale on żył. I był tutaj. A ja wiedziałam, dlaczego się tu znalazł. Przyjechał, żeby mnie ocalić. Przed Lawrence'em.

Cała ta historia nie miała jednak sensu. O co w tym wszystkim chodziło?

Z kąta wyszedł jakiś obdartus, którego wcześniej nie widziałam, i skinął głową Lawrence'owi.

- Sprawiał ci kłopoty?

- Nie, panie - odparł obdartus. - Siedział cicho. Ramię mu krwawi, ale żyje.

- To dobrze - powiedział mój mąż i uśmiechnął się do mnie.

Zrobiłam krok w stronę łóżka. Mężczyznę leżącego na łóżku okrywał tylko ohydny koc.

- Chyba nie zamierzasz teraz milczeć? - spytał Lawrence. W jego głosie wyraźnie pobrzmiwało niecierpliwe oczekiwanie. - Idź, przywitaj się z nim. Powiedz, jak bardzo za nim tęskniłaś. Przytul go. I spytaj, dlaczego opuścił cię przed laty i nigdy już nie wrócił. Masz mu przecież tyle do powiedzenia, prawda?

Lawrence położył mi rękę na karku i popchnął w stronę łóżka.

Ojciec poruszył się, jęknął i z trudnością oparł na łokciu. Patrzył na mnie, ale najwyraźniej nie wiedział, kim jestem. W jego oczach - niebieskich oczach - zupełnie takich samych jak moje - był tylko ból. Nie mogłam oderwać od niego wzroku. Serce waliło mi jak młotem, miałam ochotę wrzeszczeć, krzyczeć, więc wsadziłam sobie pięść do ust. Dziesięć lat znikło w okamgnieniu, niczym welon uniesiony znad znajomej twarzy. To był mój ojciec. Natychmiast go rozpoznałam. Wyglądał dokładnie tak samo jak wówczas, gdy widziałam go po raz ostatni. Być może miał nieco siwizny na skroniach, ale reszta włosów pozostała w niezmiennym rudobrazowym kolorze, tak jak je zapamiętałam. I ten żywy błękit oczu, uniesione brwi, które nadawały jego twarzy interesujący wygląd, a jednocześnie wyraz zaciekawienia. Nic się nie zmieniło. Wszystko pozostało takie samo. Pomyślałam, że dziesięć lat takiego życia, jakie prowadził ojciec, wyrze na nim swoiste piętno hulaki i rozpustnika, ale nic takiego się nie stało. Ojciec był wciąż bardzo przystojny, wreszcie widziałam to wyraźnie - jako dziecko nie potrafiłam tego dostrzec. Na pewno przyciągał uwagę kobiet. Teraz opierał się na łokciu i patrzył na mnie. Patrzył, ale nie poznawał. Nie miał pojęcia, kim jestem.

- Popatrz, Jameson, kogo ci przywiozłem - Lawrence zbliżył mnie do mężczyzny, który leżał na łóżku i przyglądał mi się pustym, nic nierozumiejącym wzrokiem.

Zmarszczył brwi, ale się nie odezwał.

- Głupcze, naprawdę jej nie poznajesz? - wrzasnął Lawrence.

Chyba dopiero w tamtym momencie Lawrence zrozumiał, że ojciec wpatruje się w chudego chłopca w długiej pelerynie i dopasowanej czapce, trzymającego teriera przytulonego do piersi.

Lawrence zdarł mi czapkę z głowy - kręcone włosy rozsypały mi się po plecach i ramionach.

- Andreo! Nie! - Krzyknął ochryple ojciec. Niech cię diabli, Lyndhurst! Przywiozłeś ją tutaj. Ty draniu, ty niewyobrażalny łajdaku! Zabiję cię! - Ojciec rzucił się na Lawrence'a, ale Flynt i mężczyźni, którzy go pilnowali, skoczyli na niego niemal równocześnie i popchnęli na

łóżko. Ojciec zwinął się z bólu, a gdy wreszcie odzyskał głos, zwrócił się do mnie:

- Moje drogie dziecko, nie uciekałaś. Przecież ci pisałem, żebyś natychmiast wróciła do Londynu. Dlaczego zostałaś? Czy on cię więził?

Mówił ochryłym, cichym głosem.

Cierpiał, bardzo cierpiał. Nie obchodził mnie jednak zupełnie ból człowieka, który był moim ojcem, człowieka, którego tak długo nienawidziłam, człowieka, który zamienił moje życie w koszmar, w pusty strach i który uczynił ze mnie tchórza. John miał rację. Wymazałam ze swego życia spory fragment, a całą odpowiedzialność ponosił za to ten właśnie leżący na łóżku mężczyzna. Zobaczyłam, że ojciec wyciąga do mnie rękę. Silną, dobrze ukształtowaną, pewną. Nie poruszyłam się.

Pomyślałam, że jesteśmy do siebie bardzo podobni. Odnosiłam wrażenie, że patrzę w lustro i widzę swoją własną twarz za jakieś trzydzieści lat. Moja biedna matka... Nie przypominałam jej w niczym. Usłyszałam swój własny, daleki głos.

- Przysłałeś do mnie list, który kompletnie nie miał sensu. Nie napisałeś nic konkretnego - same melodramatyczne brednie na temat niebezpieczeństwa, w jakim się znalazłam. Nie, właściwie kłamie, a teraz jest już za późno na jakiegokolwiek oszustwa. Zamierzałam wyjechać już wkrótce, ale nie z powodu tego listu. Ten potwór próbował mnie zastraszyć i dlatego postanowiłam go opuścić. Tyle że aż do wczoraj nie wiedziałam, kto jest moim prześladowcą.

Lawrence zacisnął dłoń na moim ramieniu. Bolało, ale nie wydałam nawet dźwięku.

- Ja? Potworem? Spójrz tylko na niego, moja droga żono, to jest potwór, nie ja, dobrze o tym wiesz.

Wtedy przyjrzałam się człowiekowi, który leżał na wąskim łóżku, człowiekowi, którego krew płynęła w moich żyłach - człowiekowi, który przybył do Anglii, aby mnie ocalić, a teraz - jak wreszcie zrozumiałam - cierpiał męki z powodu tej decyzji.

- Ojczy - szepnęłam - jesteś ranny.

Na jego prawym ramieniu zobaczyłam zakrzepłą krew, patrzyłam na jego poszarpane ubranie i brud, w którym leżał. Zrobiłam krok w jego stronę, ale mąż położył mi rękę na ramieniu i powstrzymał.

- Czy to znaczy, że chcesz mi wybaczyć wszystkie krzywdy, jakie wyrządził twojej matce? I tobie? Och, widzę w twoich oczach żal. I współczucie. Nie martw się. Umieściłem kulę we właściwym miejscu. Jeszcze nie umrze.

Rytmicznie głaskałam George'a, który przytulił mi się do piersi.

- Dlaczego go zraniłeś? Co on ci takiego zrobił, że zwabiłeś go do Anglii, postrzeleliś

i trzymasz w zamknięciu?

Lawrence zaśmiał się głośno.

- No to jak: sam chcesz się jej przyznać do tej ohydnej zdrady, której się dopuściłeś, czy ja mam wszystko opowiedzieć?

- Przecież to jej nie dotyczy - odparł cicho ojciec. - Zostaw tę sprawę tam, gdzie jej miejsce.

- Nie sądzę, Jameson. W końcu mogłem się do ciebie dobrać tylko dlatego, że użyłem Andrei jako przynęty. A nawet potem nie byłem pewien, czy przyjedziesz, czy w ogóle żywisz wobec niej jakieś uczucia. Jakże się modliłem o to, żebyś przyjechał. Uznałem, że najlepszy sposób, by cię tu sprowadzić, to ożenek z Andrea. Wtedy na pewno byś zrozumiał, że los twojej córki spoczywa całkowicie w moich rękach. Ale wyznam ci szczerze, kiedy wysyłałem zawiadomienia o ślubie do wszystkich gazet, jakie mi tylko przychodziły na myśl, modliłem się, żebyś odkrył to jak najszybciej. W przeciwnym razie byłbym na nią skazany jeszcze bardzo długo. Wtedy musiałbym wymyślić coś innego. Ale ty je przeczytałeś. Napisałeś ten list z ostrzeżeniem, a potem przybyłeś - niczym rycerz na białym koniu - żeby ją ocalić. Ale to nie miało znaczenia. Kontrolowałem sytuację. Tak, zrealizowałem perfekcyjnie wszystkie swoje plany. Ty, ona, nawet ten mój nieszczęsny siostrzeniec. Drogi John. Widziałem, jak ten nieszczęśnik powoli się w niej zakochuje. A właściwie to on zakochał się w niej, jeszcze zanim ja przyjechałem do Londynu i zacząłem się do niej zalecać. Ty jednak okaleczyłeś ją do tego stopnia, że bała się mężczyzn, sądziła, że wszyscy są tak niewierni i rozpustni jak ty. W tej sytuacji mogła traktować Johna wyłącznie jak wroga. Kiedy się do niej uśmiechał, a nawet kiedy się do niej po prostu odzywał, bała się go i nic więcej. Nie zdawałem sobie sprawy, jak bardzo ją zraniłeś, dopóki mój siostrzeniec nie spróbował się do niej zbliżyć, kiedy byliśmy w Londynie. On jest żołnierzem, dobrze zbudowanym młodym mężczyzną, a ja - muszę przyznać - byłem starszy. A jednak wybrała mnie. Nie rozumiałem dlaczego, dopóki nie zadałem odpowiednim osobom paru osobistych pytań i nie zyskałem pewności, że Andrea boi się młodych mężczyzn, bo widziała, co ty wyprawiasz, będąc mężem jej matki.

Odwróciłam się wolno, żeby na niego popatrzeć. Jego słowa przepływały przeze mnie tam i z powrotem - zobaczyłam w pełni swoją ślepotę, niemożność uporania się z tym, co w życiu prawdziwe, a co nie, z tym, co mnie prześladowało, męczyło. On wiedział, że John mnie kochał? Ach, ale co on zrobił z Johnem?!

- Co masz na myśli mówiąc, że John jest pod twoją kontrolą?

Uśmiechnął się. Wyglądał tak, jakby chciał zatrzeć ręce z zadowolenia.

- Zająłem się nim.

- To znaczy, że Johna nie ma na przyjęciu gwiazdkowym u lady Elizabeth, prawda? Dlatego Piorun był w stajni. Ty mu coś zrobiłeś. Boże, ty go zabiłeś, prawda? Zabiłeś własnego bratanka, krew z twojej krwi?!

ROZDZIAŁ 30

- Jeszcze nie - zaśmiał się potwór. - Ale już niedługo, moja droga, już niedługo.

Coś się we mnie załamało, pękło na dobre. Wypuściłam George'a na podłogę i skoczyłam na Lawrence'a. Zdarłam rękawiczki i chciałam wydrapać mu oczy, ale był po prostu za wysoki i nie mogłam sięgnąć tak daleko. Wbiłam mu paznokcie w policzki. Czulałam, jak pęka mu skóra, czulałam jego krew pod paznokciami.

- Gdzie jest John, przeklęty draniu? Gdzie John?

Chwycił mnie za nadgarstki, wyjąc z bólu. Zraniłam go dość poważnie. I od razu odczułam ulgę. Dysząc, kopałam go wściekle, ale szeroka peleryna krępowała mi ruchy.

- Na miłość boską, przyprowadź pana Lyndhursta z szopy - zawołał do Flynta. - Zostaw tam Boyntona. Niech ta suka zobaczy, że jeszcze go nie zabiłem. A poza tym dlaczego miałaby stracić tak wspaniałe przedstawienie? W końcu to przecież finał moich wszystkich planów. A teraz proszę stać spokojnie, bo zabiję i jego, i tego przeklętego psa. - Puścił mnie i przyłożył chusteczkę do policzka. - Zapłacisz mi za to.

- Tak - odparłam. - Już mi mówiłeś, że za wszystko zapłacę.

Pochyliłam się i podniosłam George'a. Nie powiedziałam już ani słowa, stałam tam po prostu, drżąc z gniewu i irytacji. W domku słychać było tylko chrapliwe oddechy mężczyzn. Stałam tam jak skamieniała, z krwią Lawrence'a na rękach. Ojciec leżał spokojnie, nie wydawał żadnych dźwięków. Ogień syczał, w górę sypały się skry.

Drzwi od domu otworzyły się raz jeszcze. Obejrzałam się - Flynt wpychał właśnie Johna do środka. John miał na sobie tylko koszulę, bryczesy i buty. Ręce związali mu z tyłu za plecami. Na pewno zmarzył na kość. Dranie. Dostrzegłam siniaki na jego twarzy. Wyglądał jakoś szczupłej, mizerniej. Policzki pokrywał mu ciemny zarost. Jak długo go tu trzymali? Wiedziałam. John i Boynton siedzieli tu od dwóch dni.

Chciałam do niego podbiec, ale na szczęście się powstrzymałam.

- Dobrze się czujesz? - spytałam spokojnie i bardzo chłodno.

Zadziwiająco. John zdobył się na uśmiech - w ponurym świetle domu zaśniła biel jego zębów.

- Nic mi nie jest, Andy. Trochę zmarzłem, ale przeżyję. Boynton również. Byłem ciekaw, ile czasu zajmie mu pościg. Wiedziałem, że cię złapie, i niestety nie mogłem nic na to poradzić. Próbowałem, ale za późno. Czekał już na mnie razem z tymi zbirami. Czy na łóżku leży twój ojciec?

- Tak. - George zaszczekał jak oszalały. - Nie, John nie może cię teraz przytulić. Pamiętaj o tresurze Brantleya. Bądź cierpliwy.

- Jeśli nada to twemu nędznemu życiu nieco większe znaczenie, to zrozum, że ta głupia suka cię kocha - powiedział Lawrence. - Czy tak bardzo, jak ty ją?

Tego nie wiem. Jednak na wieść o tym, że cię pojmałem, próbowała mnie zabić. Spójrz tylko, co zrobiła z moją twarzą.

- Szkoda, że tylko tyle - powiedział John. Teraz już uśmiechał się szeroko. - Kochasz mnie bardziej niż ja ciebie, Andreo? Sądzisz, że to możliwe?

Stałam w miejscu, gładząc bezmyślnie sierść Georgia.

- Nie - odparłam. - To niemożliwe.

John uśmiechnął się do mnie promiennie, ale nie odpowiedział.

- Taka mała dziewczynka, a zdołała rozorać mi policzek paznokciami - powiedział Lawrence. - No, ale możesz być pewien, że mi za to zapłaci.

Pomyślałam znów o pistolecie ukrytym za paskiem. Tak bardzo chciałam go zastrzelić. Na samą myśl o tym drżałam z niecierpliwości.

- Zebrałeś już wszystkich graczy - powiedziałam do męża. - Użyłeś mnie jako przynęty, aby złowić mojego ojca. Teraz masz nas oboje. Sprowadziłeś tu nawet własnego krewniaka. Czy nie mamy prawa wiedzieć, o co w tym wszystkim chodzi?

Przecież Lawrence nie zabiłby dziedzica. A może jednak? Nie, to było zbyt okropne. Pozostawał zatem ojciec i ja.

- No więc? Może ktoś wreszcie coś powie? Ojciec skrzywił się z bólu i spojrzał na swoje ręce.

Kiedy w końcu uniósł głowę, patrzył prosto na mnie i musiałabym być całkiem ślepa, by nie zauważyć rozpaczony w jego oczach. Popatrzył gdzieś za mnie, w przeszłość.

- To było tak dawno temu - zaczął, a potem przerwał i zaniósł się kaszlem. W pokoju panowała absolutna cisza. Słyszeliśmy tylko ten spazmatyczny kaszel ojca. Otarł usta ręką.

- Spotkałem lady Caroline w Paryżu. Była wtedy drugą żoną Lyndhursta.

Oczywiście. Caroline. Sądzę, że powinnam się była tego domyślić, ale nie mogłam. To takie oczywiste. Ojciec lubił kobiety, one lgnęły do niego jak muchy, co on z kolei skrupulatnie wykorzystywał. Dlaczego nie Caroline? Poczulałam suchość ustach. Suchość, utrudniającą mi oddychanie. Pogłaskałam George'a. Czułam, że John stoi zaledwie o metr ode mnie. Milczał, ale wiedziałam, że próbuje znaleźć jakiś sposób, by nas ocalić.

- Zostaliśmy kochankami. Wysłuchaj mnie, Andreo. Caroline kochała mnie i ja ją kochałem. Żadnej kobiety nie kochałem tak bardzo jak Caroline. Musisz spróbować

zrozumieć, że nie mogłem się powstrzymać. Ona również. Spróbuj wybaczyć.

- Mów dalej, Jamesonie - ponaglił go Lawrence. - Najwyższy czas, żeby Andrea dowiedziała się całej prawdy o ojcu.

- Ja już znam prawdę - wtrąciłam, ale żaden z nich nie zwrócił na mnie uwagi.

- Świetnie - powiedział ojciec. - A więc usłyszysz całą historię. Lady Caroline oczekiwała dziecka. A ja, rzecz jasna, byłem mężem twojej matki. W końcu oboje zrozumieliśmy, że nie mamy wyboru. Caroline postanowiła udawać, że to dziecko Lawrence'a. Wtedy właśnie powiedziała, że podróżuje bez męża już ponad miesiąc i nie była pewna, czy ta sztuczka się jej uda, ale musiała spróbować. Co zresztą znaczy miesiąc? Dzieci często rodzą się przecież przed czasem. Tak czy inaczej przyszła pora rozstania. Oboje byliśmy zrozpaczeni.

- Tak, to rzeczywiście szalenie romantyczna historia. Zabiłaś lady Caroline, tak jak moją matkę i pokojówkę, Molly. Te wykrety są doprawdy żałosne. A twoja żądza niesłychana.

- Kto to jest Molly? Przymknęłam oczy.

- Boże! Ty nawet jej nie pamiętasz! Była pokojówką w twoim domu. Pracowała na dole. Zaszła z tobą w ciążę i umarła, rodząc twoje dziecko, a ty po prostu odszedłeś, niech cię diabli! Odszedłeś, prawdopodobnie z uśmiechem na ustach, bo już szukałeś kolejnej ofiary. Molly nic dla ciebie nie znaczyła. A moja matka wiedziała. Wiedziała o Molly i wszystkich innych kobietach. Było ich tyle... jak mogła nie wiedzieć? Pamiętam, jak cię błagała, pamiętam łzy spływające jej po twarzy, łkania, które i tak nie mogły cię powstrzymać - reagowałeś na nie całkiem obojętnie.

- Andreo, na miłość boską! Byłaś tylko dzieckiem. Nie mogłaś nic z tego zrozumieć. Widziałas wszystko oczami dziecka. Posłuchaj... twoja matka miała skłonności do hysterii, z pewnością zdajesz sobie teraz z tego sprawę. Uważała, że wszystko, nawet najbardziej niewinne słowo, jest wymierzone przeciwko niej. A wtedy płakała, krzyczała i kompletnie traciła głowę. Poza tym była zimną kobietą. Piękną i zimną. Nie chciała, bym był z nią tak, jak mąż z żoną. Nie pozwoliła się dotknąć. Co więcej, nie pozwalała mi na inne kobiety. A ja nie byłem mnichem. Musiałem mieć kogoś, z kim mogłem dzielić namiętność i pożądanie. A twoja matka traktowała mnie jak przedmiot. Mówię ci, nie miałem wyboru - musiałem szukać bodaj krótkich chwil przyjemności i spokoju u innych kobiet. Nie dała mi wyboru. Odsunęła się ode mnie.

Popatrzyłam prosto na jego piękne usta, które właśnie wypowiedziały tyle kłamstw na temat mojej matki.

- To wszystko to tylko nędzne usprawiedliwienia i doskonale o tym wiesz. Matka kochała cię całym sercem. A ty wciążył ją ranileś i nic cię to nie obchodziło.

Mówiła mi o tym. Może i byłam dzieckiem, ale tuliłam ją i uspokojałam, ilekroć wychodziłaś z inną. Niszczył ją ten brak szacunku. W końcu zabiłeś ją swoją obojętnością. Stanowiłaś sens jej życia, chociaż ona nic dla ciebie nie znaczyła. Jesteś takim samym potworem jak ten żaloszny starzec. Ku memu zdziwieniu skinął głową.

- Masz w dużym stopniu rację. Próbuję się usprawiedliwić.

- Zastanawiałaś się na pewno, dlaczego ojciec radził ci wyjechać. Przecież nie napisaliby chyba, że odebrał żonę innemu mężczyźnie, dał jej swoje dziecko, a potem zwrócił mężowi. Czy możesz sobie wyobrazić, że wystawiłby sobie takie świadectwo? Nie miał odwagi, by napisać prawdę. Z pewnością to teraz widzisz.

Tak, teraz to widziałam. Usłyszałam za sobą Johna. O czym myślał? W pokoju panowała grobowa cisza. Popatrzyłam na ojca i czerwone plamy na jego koszuli. Widziałam, jak strasznie cierpi - zarówno z powodu rany w ramieniu, jak i tych, jakie ja mu zadawałam. A niech go diabli!. Nic mu się ode mnie nie należało. Nic prócz pogardy i nienawiści. Stałam wyprostowana, przez chwilę zagubiona w przeszłości. Zapłakana twarz matki stawiała mi przed oczyma. Dziesięć lat temu matka umarła, została pochowana, odeszła. A potem nagle zamknęły się za mną drzwi. Drzwi, za którymi kryła się moja przeszłość. Nie zostały żadne cienie, żadne gorzkie obrazy czy wspomnienia, za którymi można się było schować. Nie, teraz pozostawała wyłącznie jasność. Czułam się tak, jakby wydobyto mnie ze studni. Zalało mnie światło. Odzyskałam wolność i tożsamość. Popatrzyłam w jego lśniące niebieskie oczy, takie same jak moje.

- Dlaczego mnie opuściłeś? Mama umarła, a ja nigdy cię później nie widziałam. Dlaczego zostawiłeś mnie samą?

- Dziadek nie dał mi wyboru. Miał władzę, tak ogromną władzę, że nie wolno mi było się do ciebie zbliżać. Musiałem odejść - dodał z goryczą. - Dziadek nie dopuściłby mnie do ciebie. Próbowałam się z tobą zobaczyć po jego śmierci, ale moja najdroższa przyjaciółka umierała i nie mogłam zostawić jej samej.

- Ją też zabiłeś.

- Nie. - Popatrzył znów prosto na mnie. - Naprawdę wierzysz, że nie chciałem się zobaczyć ze swoim jedynym dzieckiem? Och, nie, Andreo, ja ciebie kochałem. Brak kontaktu z tobą pozostawił pustkę w moim sercu.

Popatrzyłam na tego człowieka, który był moim ojcem, może nie całkiem uczciwego, nie całkiem takiego, na którym można by polegać, ale jednak ojca. Ojca, który chciał mnie

ocalić. Został z umierającą przyjaciółką. Wyciągnęłam do niego rękę. Miałam ochotę się rozplakać i przytulić go tak mocno, aby wyczuć, jaki jest naprawdę.

- Przyjechałeś, żeby mnie ocalić, ojcze?

- Tak - powiedział. - Tak. - Powoli podniósł się z łóżka. Żaden ze sług Lawrence'a nie próbował go zatrzymać. Podeszedł do mnie i ujął moją dłoń w swoją. Pogłaskał George'a. Uśmiechnął się do mnie.

- Jesteś wciąż mała. A ja się zastanawiałem, czy bardzo wyrośniesz. - Dotknął palcami moich włosów. - Ten niesłychany kolor - tyle różnych odcieni, nie tylko brązowy i rudy, jak u mnie. Jesteś piękna, Andreo. Przypuszczam też, że odważna. Stałaś się naprawdę wspaniałą kobietą.

Lawrence nie reagował. Patrzył tylko na nas w milczeniu.

Ojciec zachwiał się lekko - podprowadziłam go więc z powrotem do wąskiego łóżka i pomogłam usiąść.

- A teraz opowiedz mi resztę, ojcze. Chyba cała nasza trójka jest w podobnej sytuacji. Jesteś to winien zarówno mnie, jak i Johnowi. Muszę wiedzieć, co było dalej.

- Nie ma wiele więcej do powiedzenia, Andreo. Caroline wyjechała do Paryża, aby wrócić do Lyndhursta. Nie chciała się ze mną rozstawać, ale żadne z nas po prostu nie miało innego wyboru. Rodzina by jej nie pomogła, wiedziała o tym doskonale. W pewnym momencie znalazła się w takim stanie, że próbowała pozbyć się dziecka, ale to się nie udało. Napisała, że Lyndhurst przyjął ją z powrotem. Otrzymałem od niej jeszcze jeden list. Pisała w nim, że Lyndhurst nie domyśla się prawdy. Czułem ogromny żal, ale jednocześnie ulgę, gdyż chciałem, żeby Caroline była bezpieczna, odnalazła szczęście, i wiedziałem, jak bardzo pragnie dziecka, naszego dziecka. A potem doszły mnie pogłoski, jakoby Lyndhurst rozpuszczał wieści, że jego żona oszalała. Z pewnością domyślił się, że Caroline jest w ciąży z innym mężczyzną. Może nawet wiedział, że ze mną. I sądzę, że kiedy tylko urodziło się dziecko, zabił Caroline.

- Domyśliłam się tego - powiedziałam, a stojący za mną John wstrzymał na chwilę oddech.

- Nie podoba mi się, że John wysłuchuje tych oskarżeń, bo tym właśnie są, oskarżeniami, nic ponadto. A co do twojego ohydneho romansu z moją żoną, to wiedziałem, co zaszło, kiedy tylko mi powiedziała, że jest w ciąży. Odkrycie tożsamości ojca dziecka nie zajęło mi szczególnie dużo czasu. Jej próby ukrycia faktów, jej perfidia naprawdę mnie rozbawiły. Widzicie, ja wiedziałem, że nie mogę zapłodnić kobiety. Moje nasienie jest martwe. Dlatego też byłem pewien, że Caroline dopuściła się zdrady. Ja nic jej nie zrobiłem.

To ty jesteś draniem bez honoru, Jameson, a nie ja.

- Nie, panie - odezwał się John. - Nie wierzę, że są to tylko oskarżenia. - Jego głos brzmiał tak spokojnie, tak pewnie, że gdzieś w głębi serca znów zapaliła mi się iskierka nadziei. - Już dawno zrozumiałem, że tylko ty mogłeś być odpowiedzialny za wszystkie te wydarzenia w Devbridge Manor: stara kobieta w przebraniu, zniknięcie noża, drut kolczasty pod siodłem Bess. Wszystko to niezbyt wymyślne, ale bardzo skuteczne. Udało ci się porządnie nastraszyć i mnie, i Andy. Nikt inny nie mógł się tego dopuścić, lecz wbrew zdrowemu rozsądkowi nie chciało mi się wierzyć, że to możliwe. W końcu jesteś moim wujem, zabrałeś mnie i Thomasa do siebie po śmierci naszych rodziców. Mimo wszelkich dzielących nas różnic, sądziłem, że jestem dla ciebie ważny, że jestem ważny, by zachować ciągłość naszego rodu. Ale zmieniłeś się, prawda? Zabiłeś biedną Caroline. Zdradziła cię, więc ją zabiłeś.

- A to dopiero! - powiedział Lawrence, a w jego głosie naprawdę brzmiało rozdrażnienie. - Sądziłem, że udało mi się ciebie oszukać. Widziałem, że zawsze bierzesz jej stronę, widziałem, jak na nią patrzysz, a ona na ciebie. Śmiałem się z tego. Przecież ona należała do mnie, stanowiła część mojego dobytku, a ty nigdy, przenigdy nie mogłeś jej mieć. Czy próbowałbyś ją uwieść? I czy w końcu by ci się to udało? I czy ona, podobnie jak Caroline, starałaby się mi wmówić, że ten bękart to moje dziecko?

Potrząsnął głową i roześmiał się.

- Och, nie, przecież ona tak bardzo boi się mężczyzn i tego, co mężczyźni robią z kobietami. Jeżeli mam być szczery, to nie wierzę, że do czegoś by doszło. Poniósłbyś klęskę. A co do Caroline, oczywiście, że zabiłem tę niewierną sukę. Caroline była dziwką, zdradziła mnie, zasłużyła na śmierć. Zwykła sprawiedliwość, nic więcej.

Tak się to wszystko miało. Zdrada. Kłamstwa. Śmierć. A właściwie morderstwo. Popelnione natychmiast po porodzie.

- Ojczy - powiedziałam. - Masz córkę, Judith. Teraz przypominam sobie, że gdy zobaczyłam ją po raz pierwszy, dostrzegłam w niej coś znajomego. Siebie samą. I ciebie. Ona jest naprawdę cudowna. Zdolna i miła. Wyrośnie na piękną kobietę.

- Ja też teraz widzę, że Judith przypomina Andy. Kiedy tu przybyłaś, nie wydawałaś mi się obca. Nagle wszystko się wyjaśniło. A ty, wuju, przez te wszystkie lata widziałeś w niej jej ojca, tyle że był to Jameson, nie ty.

W oczach Lawrence'a błysnęła gniew, ale szybko nad nim zapanował.

- Dobrze zrobiłaś, Andy. Mój wuj będzie miał te blizny na twarzy aż do śmierci.

- Tyle że ona nie będzie ich oglądać - powiedział Lawrence. - Tak więc wiedziałeś o

dziecku, Jameson, czy też jest to dla ciebie miła niespodzianka?

- Oczywiście, że wiedziałem. Zanim ją zabiłeś, Caroline przemyśliła dla mnie list. Przybyłem do Devbridge Manor. Chciałem ją ratować, ale spóźniłem się. Mawiano, że rzuciła się z wieży. Czy wierzyłem, że się zabiła? Czasem, w trudnych chwilach tak. Ale nigdy nie byłem pewien, a teraz wiem, że to ty zamordowałaś moją biedną Caroline. Co do córki, to mogłem się tylko modlić, żebyś jej nie skrzywdził.

Lawrence roześmiał się. Był szczęśliwy, jego twarz promieniała radością.

- A nie dziwisz się, moja droga, dlaczego pozostawiłem dziecko przy życiu? Owoc związku tej suki i twojego rozwiązłego ojca? A więc wam powiem. Za każdym razem, kiedy patrzyłem na to dziecko, myślałem o twoim nieszczęsnym ojcu i rozkoszowałem się myślą o zemście. Wiedziałem, że zdobycie władzy nad wami zajmie mi lata. Ale czułem, że ten dzień nadejdzie i nadszedł. Śmierć Caroline to tylko połowa mojej zemsty.

Zrobił szybki krok naprzód, chwycił mnie za ramię i odciągnął od ojca. W tej samej chwili mój ranny ojciec z siłą, o jaką bym go nie podejrzewała, rzucił się na Lawrence'a, który chwycił go obiema rękami za gardło. Freeson i Flynt dopadli go natychmiast, Flynt uderzył ojca w twarz i w ranne ramię. Teraz przyszła kolej na mnie. Puściłam George'a na ziemię i wyciągnęłam zza pasa pistolet

- Zabiję hrabiego, jeśli natychmiast nie puścicie mojego ojca - powiedziałam.

Lawrence nie wahał się ani chwili. Z furją ruszył na mnie, ale odskoczyłam. Stał więc tam, dysząc i wpatrując się w niewielki pistolet, z którego w niego celowałam.

- Zbliź się do mnie, starcze, a pošlę ci kulkę między oczy - powiedziałam złowieszczym tonem. Skinęłam na niego ręką. - No chodź. Zastanawiasz się, czy starczy mi odwagi? Sądzisz, że jako kobieta się na to nie zdobędę? Że może zacznę się trząść ze strachu i płakać? No to zaryzykuj.

Nie ruszył się, przenosił wzrok z mojej twarzy na broń w mojej dłoni.

- Pistolet... - powiedział wolno. - Skąd go wzięłaś?

- Kupiłam w wiosce, od drogiego pana Forrestera, który chyba musiał jechać po niego aż do Yorku. Nie jestem kompletną idiotką. Wiedziałam, że będę musiała się bronić. Ojciec, nic ci się nie stało? Opadł na łóżko, ciężko oddychając.

- Nic mi nie jest, Andreo.

Lawrence wciąż z niedowierzaniem przyglądał się broni.

- Nie powinnaś tego mieć. Nigdy nie przyszło mi do głowy, że możesz zdobyć broń. Przecież jesteś tylko kobietą.

Zaśmiałam się głośno. Naprawdę się zaśmiałam.

- Więc wyszedłeś na idiotę, prawda? Cała trójka stać! Albo zrobię z tym starcem porządek. Dosłownie w mgnieniu oka, więcej czasu mi to nie zajmie. Jeden ruch i nie żyje.

- John, chodź tutaj i pozwól, że cię odwiążę. Mężczyzna stojący za nim zbliżył się nieco.

- Nie ruszaj się, głupcze, bo zastrzelę twojego chlebodawcę. A strzelam nieźle. Dziadek mnie nauczył.

Myślałam, że Lawrence zacznie wyć. Był purpurowy z gniewu, ale nie miał wyboru, Tym razem to ja trzymałam go w szachu. John odsunął się od mężczyzn i kazał się im położyć na podłodze.

- Twarzą do ziemi, ręce za głowy! - nakazał. Kiedy już byli na podłodze, John przysunął się bliżej, a ja zaczęłam rozwiązywać mu węzły.

- Dobra robota, kochanie - powiedział, nie spuszczać oczu z mężczyzn. - Na wojnie każdy chce mieć dobrze zabezpieczone tyły. Jestem z ciebie bardzo dumny.

Myślę, że urosłam o parę centymetrów. Prawie rozwiązałam węzły, prawie. Odwróciłam wzrok, spojrzałam w dół na te przeklęte sznury, nie trwało to więcej niż sekundę, ale wystarczyło. Lawrence wyciągnął nóż z płaszcza i jednym płynnym ruchem cisnął nim w ojca, trafiając prosto w ranne ramię. Ojciec zawył.

Trzej mężczyźni skoczyli na równe nogi. Byli wyraźnie gotowi, żeby nas pozabijać. - Stać, do diabła, bo zastrzelę hrabiego! Nie posłuchali. Pociągnęłam za spust.

ROZDZIAŁ 31

Nie strzeliłam mu między oczy. Mój gniew, a także presja chwili sprawiły, że zadrżała mi ręka. Trafiłam go w udo. Zawył, złapał się za nogę, upadł la kolana i przetoczył na bok.

John był wolny. Słudzy Lawrence'a próbowali się pozbierać, ale John ich uprzedził. Chwycił ich dwa pistolety i wreszcie miałam okazję popatrzeć na żołnierza w akcji. Był taki opanowany, mówił śmiertelnie spokojnym głosem.

- Mam dwie kule, panowie. Jeden z was ujdzie cało, ale który? Kto chce zaryzykować? No chodźcie, nie bądźcie tchórzami, zróbcie coś. Popatrzcie na człowieka, który płacił wam za zabijanie niewinnych ludzi. On wam nie pomoże. Będzie tu leżał, dopóki nie dostanie gangreny. No chodźcie, nie chcecie się ze mną spróbować?

Trzej mężczyźni popatrzyli po sobie, a potem, bardzo wolno, położyli na podłodze.

- Splećcie palce za głowami. Usłuchali.

Podbiegłam do ojca. Był nieprzytomny, nóż wystawał mu z rany. Wokół było morze krwi. Natychmiast zamknęłam oczy i spróbowałam wrócić do równowagi.

- Tylko mi nie umieraj, do diabła - powiedziałam, zdarłam z siebie płaszcz i koszulę, którą podarłam na bandaż. A potem zaczerpnęłam głęboko powietrza i wydobyłam nóż z rany. Omal przy tym nie zemdlałam, wolałam sobie nie wyobrazać, jak bardzo musiał cierpieć mój mąż.

- Przepraszam - szepnęłam. - Już po wszystkim. Przepraszam.

Przycisnęłam z całych sił krwawiącą ranę. Ojciec jęczał z przymkniętymi oczyma, ale uniósł rękę i położył ją na mojej dłoni. Miał dużą, silną, śniadą dłoń.

- Przeżyjesz - obiecałam. - Przysięgam, że przeżyjesz.

- Tak - potwierdził. - Muszę.

Przymknął oczy. Stracił przytomność, ale żył. Byłam wdzięczna choć za to.

- Trzeba powstrzymać krwawienie. - John odsunął mnie od łóżka. - Trzymaj obu tych drani na muszce, a ja ucisnę ranę. Jestem silniejszy.

Stałam kilka metrów od nich. Patrzyłam na mojego męża, który wciąż leżał na podłodze - teraz, jak się wydawało, nieprzytomny. Pod łóżkiem zbierała się krew.

Postrzeliłam go? Umrze? - pomyślałam z dziwną obojętnością. Lawrence był mordercą, jednak ja nie zamierzałam zostać morderczynią. Nie wykonałam jednak nawet jednego ruchu, by zatamować krew tryskającą z rany. Zostałam na swoim miejscu, nie spuszczać oczu z pozostałych zbirów.

W tej samej chwili usłyszałam jakiś ruch, ale nie okazałam się wystarczająco szybka. Lawrence klęczał na podłodze z pistoletem w ręku. Kolejna broń? Wziął chyba ze sobą cały arsenał.

Uratował mnie George. Skoczył na Lawrence'a, odsłaniając zęby.

Wyrwałam broń jednego z łotrów.

Wszystko wydarzyło się z szybkością błyskawicy. Flynt chwycił mnie za kostkę. George zaatakował Lawrence'a, a John - bez chwili wahania - posłał nóż prosto w gardło Lawrence'a. Nigdy jeszcze nie widziałam, żeby nóż leciał tak szybko. Na twarzy mego męża pojawił się wyraz bezbrzeżnego zdumienia. Z ust trysnęła mu krew. Popatrzył jeszcze z wściekłością na mojego ojca i znieruchomiał, po czym osunął się na podłogę.

Flynt wydał gniewny okrzyk, chwycił mnie za kostkę i powalił na ziemię. Upadłam bardzo boleśnie, ale nie miało to znaczenia. Teraz byłam już całkiem spokojna.

- Niech cię diabli, Flynt - wrzasnęłam. - Wara ode mnie.

Ale on nie usłuchał. Napierał na mnie z wyciągniętymi rękami i rozcapierzonymi palcami, wyraźnie zamierzając mnie udusić.

- Ty przekłeta suko, zabiłaś mojego pana, skręć ci kark! - wrzeszczał.

Usłyszałam krzyk Johna, dostrzegłam szybki ruch, ale wiedziałam, że tylko ja sama mogę siebie ocalić. Nie wahałam się ani chwili, zebrałam całą odwagę i strzeliłam Flyntowi prosto w pierś.

W domku zapadła cisza. Pozostali dwaj mężczyźni wciąż leżeli na podłodze twarzami do ziemi. John podbiegł do Flynta i stanął nad jego martwym ciałem.

- Jezu, byłem przerażony. Zrobiłaś to, Andy, naprawdę to zrobiłaś.

George popatrzył na Johna, szczerzył i zaczął szybko merdać ogonem. A potem skoczył mu na rękę.

- Już dobrze, George, teraz już wszystko dobrze. Świetnie sobie poradziłeś. Uratowałeś nam wszystkim życie. Dobry chłopiec.

Podał mi psa i ukląkł.

- Nic ci się nie stało, kochana?

Wolno skinęłam głową. Brakowało mi słów. Otaczały nas trupy. W powietrzu unosił się słodki zapach krwi. Usłyszałam jęk ojca.

- Nic mi nie jest - wyszeptałam w końcu.

John pocałował mnie szybko i delikatnie w usta, poklepał po policzku i wstał.

- Teraz opatrzę ramię twojego ojca. Musimy się dostać do rezydencji i jak najszybciej sprowadzić doktora Boulderera. Trzeba też uwolnić Boyntona z szopy. Świetnie się spisałaś!

Jestem taki dumny! Odważna z ciebie dziewczyna. Niemniej jednak nie wierzę, byś mogła kochać mnie bardziej, niż ja kocham ciebie.

Ojciec znów jęknął. John ukląkł przy nim natychmiast i zaczął opatrywać ranę.

- Nie martw się - powiedział, nie podnosząc wzroku. - Przez sześć lat byłem żołnierzem. Mam doświadczenie w tych sprawach.

Podniosłam się wolno i sięgnęłam po drugi pistolet. Została w nim tylko jedna kula. Dość - pomyślałam. Żadnego z dwóch mężczyzn nie obchodził los Lawrence'a; tylko Flynt okazał się jego wiernym sługą. Ale Flynt nie żył i teraz było mu już zupełnie wszystko jedno.

Wciągnęłam głęboko powietrze. Przeżyliśmy. Usłyszałam kolejny jęk bólu. Niezależnie od tego, czego dopuścił się mój ojciec, nie chciałam, żeby umarł.

Modliłam się całym sercem, by przeżył.

I przeżył.

Teraz znajdował się gdzieś na granicy snu wywołanego lekami i stanem nieświadomości. Doktor Boulder pozostał w Devbridge, aby się nim opiekować.

Rucker eskortował dwóch zbirów do miejscowego więzienia i nie obchodził się z nimi zbyt delikatnie. Pamiętam, że John tulił mnie i całował, a Boynton z ulgą ścisnął mi rękę. Pamiętam, jak Thomas obejmował płaczącą Amelię. Pamiętam niemal wszystko, a już najlepiej ich przerażenie tym, co się stało. I pamiętam, że jadłam coś w gabinecie, przy kominku, a także i to, że John siedział obok. I nagle, bez żadnego powodu wszystko odleciało w nicość. Chciałam otworzyć oczy, ale nie mogłam. Co się ze mną działo?

- Za wiele przeżyć - usłyszałam nad sobą głos Johna. - Andy wyłączyła się po prostu z rzeczywistości. Wiedziałam, że są wokół mnie ludzie, słyszałam, że coś mówią bardzo cicho, tak jak się zwykle rozmawia przy chorym. Czy coś mi dolegało? Nie byłam pewna. Zamknęłam swoje życie gdzieś bardzo głęboko wewnątrz i nic nie mogłam na to poradzić. Spałam i śniłam.

Śniłam, że słyszę głos Petera, który gładzi mnie po policzku i prosi, żebym się obudziła, bo do świąt zostały tylko cztery dni. Dlaczego nie wyszłam mu na przywitanie? I czy w ogóle kupiłam mu prezent? Ale nie mogłam się obudzić. Pustka i czerń otoczyły mnie niczym kokon.

Panna Crislock unosiła mi głowę, podawała coś do picia, ja przełykałam posłusznie i znów zapadałam w sen. Panna Redbreast karmiła mnie bulionem, słyszałam, jak mówi, że bez tego bulionu opadłyby ze mnie wszystkie siły i z pewnością bym umarła. Chciałam jej powiedzieć, że bulion jest przepyszny, że czuję jego ciepło w żołądku i że nie zamierzam umierać. Powitanie Judith, wygłoszone z akcentem rodem z Wirginii trwało chyba pół

minuty. Panna Gillbank pogładziła mnie po ręce i kazała się obudzić, bo bardzo za mną tęskni. Otaczało mnie tylu ludzi, wszyscy szeptali, dotykali mnie delikatnie i prosili, żebym otworzyła oczy. Ale ja nie mogłam sprostać ich prośbom, co doprowadzało mnie do rozpaczy. Miałam wielką ochotę otworzyć usta i kazać im zrobić coś więcej - więcej niż tylko szeptać i kręcić się wokół. Tak bardzo pragnęłam, by zaczęli krzyczeć i śmiać się. Tak - śmiać się. Tęskniłam za śmiechem i muzyką. Ale nie słyszałam ani muzyki, ani śmiechu - niczego poza niekończącą się, bezkształtną, głęboką ciszą.

Był środek nocy. Nie bardzo rozumiem, skąd to wiedziałam, ale wiedziałam. Poczułam ciepło, jakieś miękkie ciepło, wszędzie, na całym ciele. A potem usłyszałam szczekanie George'a. Miałam ochotę się uśmiechnąć, powiedzieć George'owi, żeby nie doprowadzał Johna do szaleństwa swoim uwielbieniem.

Ciepło przenikało mnie aż do kości. Zrozumiałam, że John tuli mnie w ramionach. Poczułam na plecach dotyk jego ogromnych dłoni i gorący oddech w okolicach skroni. Wreszcie byłam bezpieczna.

Mówił do mnie - kochałam ton jego głosu, jego głębokie brzmienie. Wiedziałam, że John mnie kocha, szaleje z niepokojem, ale nie mogłam nic na to poradzić.

- Posłuchaj mnie teraz - powiedział w końcu głośno, niecierpliwie. - Mam już tego dosyć. Traktowałam cię bardzo łagodnie i uprzejmie, ale ty nie chcesz do mnie wrócić. Musisz mnie słuchać, do diabła. Zostaniesz moją żoną, a żona musi słuchać męża. Dlaczego nie chcesz się obudzić? Leżysz tak już od sześciu dni. Lekarz nie wie, co ci jest. Bredzi coś o szoku i nerwach, kobiecych burzach mózgu i takich tam. Powiedziałem mu, że co do kobiecych burz mózgu, to gdybyś coś podobnego usłyszała, nieźle by mu się oberwało. Doktor pokręcił tylko na to głową - prawdopodobnie z oburzenia. A potem mu jeszcze mówiłem, że zabiłaś człowieka. Mówiłem, że nie wytrzymałaś tego całego bólu, strachu i śmierci, jaka cię otaczała. Nie wytrzymałaś i uciekłaś w bezpieczne miejsce, gdzie zapewne zostaniesz do czasu, gdy znów będziesz zdolna zmierzyć się z życiem. Tak, chyba tak właśnie uważam. Może nawet doktor się ze mną zgodził - nie wiem na pewno, bo w odpowiedzi tylko coś odburknął. Wolał chyba swoją koncepcję burz mózgu. Wszystko jedno. Tak czy inaczej, do diabła, minęło już sześć dni i najwyższy czas, żebyś wróciła do życia, wyszła za mnie za mąż, zagrała dla mnie na pianoforte i pozwoliła się rozśmiać. Moglibyśmy zakładać się z Judith o to, który krzaczek tym razem obsiusia George. Dobrze, słuchaj, piersi masz bardzo przyjemne w dotyku, takie miękkie, ale usta suche. Muszę pamiętać, żeby posmarować je kremem. Twój ojciec wraca do zdrowia. Doktor Boulder został w rezydencji. Myślę, że to z powodu wspianiałych posiłków - doktor nabiera ciała z każdym cieniutkim plasterkiem

szynki. Jest bardzo zimno, od trzech dni pada śnieg. Mała Bess czuje się prawie dobrze. Rzy, ilekroć ktoś zagląda do stajni. Tęskni za tobą. Czekamy, żebyś wreszcie otworzyła te swoje piękne oczy i wygłosiła jakieś impertynenckie oświadczenie albo na przykład zażądała brandy. Peter też na ciebie czeka. Chodzi z kąta w kąt, przesiaduje u ciebie godzinami i ledwo się trzyma. Musisz wrócić do nas i napić się wreszcie tej brandy. Co ty sobie wyobrażasz? Otwórz oczy i uśmiechnij się do mnie. Chcę cię pocałować i nauczyć ciebie tej sztuki. Chcę się z tobą kochać i pokazać ci, że mężczyzna zespolony z kobietą to czary. I my przeżyjemy te magiczne chwile, zobaczysz. Zaufasz mi i będziesz mnie kochać, i pragnąć, i całować dopóki nie oszaleję. Będziemy razem. To prawda, zaufasz mi, Andy, dochowam ci wierności aż do ostatniego tchnienia. A potem będę ci jeszcze wierny duchem. I ten duch, prawdziwy duch, nie jakaś niematerialna aura, zamierza trwać przy tobie dopóty, dopóki go nie przeklniesz i nie przepędzisz. Uwierz mi, proszę. Nigdy bym cię nie okłamał.

Całować go, dopóki nie oszaleję? Bardzo mi się to podobało. Czułam rękę Johna na plecach - przyciskał mnie mocno, aleja pragnęłam być jeszcze bliżej. John był silny, mocny, a ja przestałam się już bać. Nawet chciało mi się śmiać z tych moich strachów, tak bardzo się zmieniłam, zmieniłam dla Johna i chciałam go kochać do końca życia. Pragnęłam go zapewnić, że mój duch będzie jeszcze bardziej materialny.

John zwrócił mi życie. Chciałam mu o tym powiedzieć i gdzieś tam w głębi powiedziałam. Nie wiem, jak długo do mnie mówił, jak długo mnie tulił, głaskał i całował, ale na pewno nie wystarczająco długo. Marzyłam, by trwał tak przy mnie zawsze, ale on odszedł. Został George, przytulony do mojego boku. Wszystko było w porządku.

A potem zobaczyłam światło, palące światło pod powiekami. Nic z tego nie rozumiałam. Nikt nie podszedł do mnie ze świeczką. Cóż zatem się stało? Usłyszałam cichy głos.

- Nie nadarzyła mi się dotąd sposobność, żeby zostać z tobą sam na sam, niech ich wszyscy diabli. Zawsze ktoś jest przy tobie - zwłaszcza John, niech będzie przeklęty za to, że zabił Lawrence'a. Bałam się, że trucizna przestanie działać, a ty się obudzisz, ale na szczęście się nie obudziłaś. Już od dwóch dni nie miałam okazji, żeby ci podać kolejną porcję. Ale teraz jestem tutaj, dzięki Bogu sama, i wciąż śpisz. Teraz, ty nikczemna dziewczko, podniosę ci głowę i znów podam trochę tego cudownego płynu, który specjalnie dla ciebie uwarzyłam. Po raz pierwszy podałam ci truciznę tego wieczoru, kiedy wróciłaś do domu z ciałem Lawrence'a i tym swoim nieszczęsnym ojcem, którym kazałaś się opiekować doktorowi. I on wyzdrowieje, a mój biedny Lawrence gnije w zimnej ziemi. Podałam ci truciznę i straciłaś przytomność, a ja udawałam, że strasznie się tym przejęłam. Po raz drugi podałam ci truciznę

- przełknęłaś ją i znów odniosła pożądany skutek; zamknęłaś się głębiej w sobie. I wreszcie efekt końcowy - jesteś coraz słabsza, leżysz tu po prostu i się nie ruszasz. Nie wiem, czy w ogóle mnie słyszysz. Nikt zresztą nie jest tego pewien. A ta ostatnia porcja odeśle cię daleko, na zawsze i wtedy, kiedy ja sobie tego zażyczę.

Bałam się. Panna Crislock najwyraźniej postradła zmysły. Chciała, żebym umarła? Chciała mnie zabić? Kochała Lawrence'a? Poczułam na sobie jej rękę. Nie, nie, chyba śnię, to koszmar, to może być tylko koszmar. Zmarszczyłam brwi - ponad wszystko na świecie pragnęłam się obudzić. I wreszcie się obudziłam. Otworzyłam oczy i popatrzyłam pannie Crislock prosto w oczy. Trzymała w ręku szklankę wypełnioną mleczną substancją. Wargi odmawiały mi posłuszeństwa, ale wiem, że powiedziałam głośno:

- Milly? Dlaczego? Dlaczego mi to robisz? Przecież zawsze mnie kochałaś. Dlaczego?

Zaśmiała się, ale nie był to taki rodzaj śmiechu, jaki ktokolwiek pragnęłby usłyszeć. Był to brzydki śmiech, przepełniony nienawiścią. Zdałam sobie sprawę, że obiektem tej nienawiści jestem ja.

- A więc wszystko słyszałaś, prawda? Zabijam cię, ty żalosna kreaturo. Lawrence'owi się nie powiodło, ale mnie na pewno się uda. Jameson zabił twoją matkę, a ja będę musiała zabić Jamesona, ale ty umrzesz pierwsza. To skieruje uwagę na inne tory, a ja będę mogła się go pozbyć. Kiedy będziesz miała po prostu zamknięte oczy, nikt się nie dowie, co naprawdę się z tobą stało - po prostu zasnąłaś na wieki. Lekarz nie będzie miał nic do powiedzenia. Nic mi nie grozi. Nikt mnie nie będzie podejrzewał. Ale ja będę żyła z tą rozkoszną świadomością, że cię zabiłam i w duchu będę się z tego śmiała. Myślałaś, że to Lawrence przebrał się za staruchę z nożem. Nie, to byłam ja. Chciałam cię przerazić na śmierć, ale tobie brak wrażliwości - jesteś twarda, mocno stoisz na ziemi. Tak, miałam nadzieję, że dostaniesz hysterii, ale się przeliczyłam. Nie jesteś podobna do swojej mamusi. Lawrence myślał, że nie przetrzymasz takiego szoku. Ja nie podzielałam jego zdania. On cię znał, więc nie słuchał moich „obaw. No i dokąd go to zaprowadziło? Do grobu! A zabił go ten twój przeklęty kochanek! Chwyliła mnie za rękę i pociągnęła. Widziałam, że szklanka zbliża się do ust.

- Nie - szepnęłam. - Nie.

- Zabiłaś mojego najdroższego Lawrence'a, zasługujesz na śmierć.

- On był złym człowiekiem - szepnęłam. - Naprawdę złym człowiekiem.

- Nie. Zdradziła go Caroline i twój przeklęty ojciec. Był dobry, kiedy ty spoczęłabyś wreszcie w zamarzniętej ziemi, natychmiast wzięlibyśmy ślub. Poznałam go bardzo dobrze, kiedy był w Londynie. Nie chciałam, żeby się z tobą żenił, ale przekonał mnie, że nie ma innego wyjścia. Kochał mnie, tylko mnie, a ciebie traktował jak pionek w grze, a zależało mu

wyłącznie na zemście i niczym więcej. Kochałam go, słyszysz? Zostałabym jego żoną. A teraz nie mam nic. Kiedy zapadniesz w sen, pomyśl o ojcu i o tym, że już wkrótce się spotkacie. On jest słabszy od ciebie. Nie będziesz na niego musiała długo czekać. Co ty na to? No i jeszcze John. Zabić go? Jeszcze nie podjęłam decyzji.

- Nie, Milly, nie wolno ci zabijać Johna. On nic złego nie uczynił. I nie rób krzywdy mojemu ojcu!

- Jest żaloszny w swojej słabości - powiedziała, pochylając się nade mną stanowczo zbyt nisko. Przytknęła mi szklanekę do ust.

- Proszę, pora kończyć.

Poczułam tak ogromny strach i tak wielką bezradność, że omal się nie zadławiłam. A potem usłyszałam męski głos.

- Pozwoli pani, że to zabiorę, panno Crislock - powiedział John i chwycił ją za przegub, wyrwał szklanekę i podał ją Peterowi, który stał tuż za nim. A potem popatrzył na mnie. - Witaj z powrotem, Andy!

- Jesteś tutaj. Dlaczego?

- Cały czas zastanawiała mnie ta starucha. Poza tym nie rozumiałem, dlaczego się nie budzisz. Rozmawiałem o tym z Peterem i postanowiliśmy zastawić pułapkę. Kiedy weszła panna Crislock, omal się z nią nie przywitałem, ale na szczęście Peter mnie przed tym powstrzymał, więc tylko czekaliśmy i słuchaliśmy. Ona jest szalona, Andy. Nienawiść doprowadziła ją do choroby psychicznej. Ale teraz już jest po wszystkim i, dzięki Bogu, znów jesteś z nami.

Panna Crislock krzyknęła - był to ostry, przenikliwy krzyk - krzyk szatana, który wyrwał się nagle zza piekielnych wrót. Z wrzaskiem rzuciła się na Johna i Petera - kopiąc ich, bijąc i szarpiąc. W końcu Peter chwycił ją za ramię i uderzył pięścią w szczękę. Panna Crislock upadła na podłogę jak szmaciana kukła.

George wynurzył się z spod kołdry i szcekał, dopóki John nie wziął go na ręce.

- Widzisz, George? Twoja pani otworzyła oczy i znów z nią rozmawiam. I wiesz, co myślę? Minie sporo czasu zanim uzna, że może się ze mną mierzyć na rozum czy pięści. Co ty na to?

George szcekał tylko w odpowiedzi.

Byłam bardzo szczęśliwa, ale znów zabrakło mi słów. Chciałam się uśmiechnąć do Petera i do mężczyzny, najdroższego pod słońcem, mężczyzny, który przeniósł mnie z ciemności w jasność, mężczyzny, który dał mi wolność, ale znów poczułam, że otacza mnie pustka. Chciałam wydać z siebie okrzyk protestu, ale wydobyłam zaledwie parę słów.

- Tak mi przykro. Chyba nie jestem gotowa, by wrócić.

- Nie, nie, nie opuszczaj mnie, Andy. Wiedziałam jednak, że nie mam wyboru.

Westchnęłam i zamknęłam oczy.

Usłyszałam jeszcze słowa Petera:

- Sprowadzę doktora Boulderera. Czuwa przy ojcu Andy.

- Nie, nie trzeba - wolno odparł John. - Nic jej nie będzie. Popatrz, z jaką łatwością oddycha. Chyba zasnęła. - Poczułam, że całuje mnie w usta. - Muszę nasmarować jej wargi kremem. Są za suche.

Zaśmiałam się w duchu. A kiedy w jakiś czas później znów usłyszałam ten kochany głos, wiedziałam, że moje usta są już miękkie i gładkie.

Otworzyłam oczy.

ROZDZIAŁ 32

Deerfield Hali

Trzy miesiące później

Przyjechał po mnie do Deerfield na samym początku marca. Było wciąż zimno, śnieg wirujący na horyzoncie zamierzał przykryć wrzosowiska, a w nocy wyły wiatry typowe dla Yorkshire.

Zobaczyłam, jak stoi w prog, w stroju do jazdy konnej, z rozwianymi włosami - wyglądał zdrowo i był bardzo przystojny.

- Za młody i za silny - pomyślałam i uśmiechnęłam się do niego.

- Już czas - odparł, robiąc krok w moim kierunku. I miał rację.

Peter poprowadził mnie do ołtarza, a ślubu udzielił nam miejscowy wikariusz. W skromnej uroczystości brała udział tylko rodzina i służba z Deerfield i Devbridge.

Dzień był bajkowy, pełen radości, śmiechu i ponczu, który przygotował Peter we własnej osobie. Wszyscy uśmiechali się do nas i życzyli nam szczęścia.

Noc poślubną spędziliśmy w Deerfield.

Nigdy nie zapomnę słów, jakie wypowiedział do mnie John, gdy wszedł do sypialni i zobaczył, że leżę w łóżku w białej koszuli nocnej zawiązanej na kokardki pod szyją, z George'em przytulonym do piersi.

Patrzyłam na jego białe stopy i wiedziałam, że pod niebieskim aksamitnym szlafrokiem przepasanym paskiem w talii jest zupełnie nagi.

Zatrzymał się trzy metry od łóżka.

- Przysięgam, że zawsze będę cię kochał. Jesteś moją żoną, a wkrótce zostaniesz kochanką i będziemy ze sobą dzielili wszystko to, co może ze sobą dzielić mąż i żona. Modłę się, żebyśmy mieli dzieci - parzystą liczbę z każdej płci. I nigdy cię nie zdradzę. Teraz, George, chodź tutaj. Pani nie potrzebuje twojej opieki.

A George podskoczył tak wysoko, żeby John mógł go złapać na rękę.

Mimo wszystko bałam się, nie mogłam nic na to poradzić. John wiedział jednak, co czuję.

- Za jakieś trzy minuty, nie dłużej, poczujesz się tak wspaniale, że będziesz miała ochotę śpiewać, potem śmiać się, a na końcu nawet krzyczeć. Dam ci ogromną przyjemność, Andy, i będzie ci bardzo dobrze. Wierzysz mi?

- Tak - odparłam. - Wierzę. I już za dwie, nie trzy, minuty, nuciłam przyśpiewki

wojskowe. A kiedy John wreszcie we mnie wszedł, na chwilę znieruchomiałam z bólu, a natychmiast potem załkałam z rozkoszy.

I naprawdę krzyczałam. O ile pamiętam, John też.

Miesiąc później Wenecja, Włochy Palazzo Dolfin Manin John przytulał mnie mocno i kołysał, jak to miał w zwyczaju. Uwielbiałam się do niego tulić. Kochałam też pełną przepychu Wenecję, specyficzny klimat, jaki w niej panował, romantycznych, uśmiechniętych gondolierów, którzy codziennie przepływali nieopodal, witając nas serdecznie i śpiewając.

Był kwiecień, a pogoda tak wspaniała, że mieszkańcy Wenecji mieli w głowie wyłącznie bale, przyjęcia, maskarady, hazard i oczywiście romanse.

Na szczęście nie nadeszła jeszcze pora letnich zapachów, które mogłyby rzucić człowieka na kolana - jak twierdził John. Patrzyłam w niewiarygodnie niebieskie niebo i myślałam, że tutaj chyba nigdy nie pada, nigdy nie jest mokro i nieprzyjemnie. A wiatr? Czy wiał kiedykolwiek tak silnie, by niemal wrywać włosy z głowy?

Na pewno nie w kwietniu. Magia Wenecji przeniknęła mnie do głębi. Plusk fal ocierających się o brzegi Wielkiego Kanału przynosił mi ukojenie. George'owi też podobał się ten dźwięk. Drzemiąc na balkonie, chrapał dwa razy głośniejsze niż zwykle.

Na godzinę przed zachodem słońca Wenecja tętniła życiem, słońce rzucało złociste blaski na wodę i zbliżając się do linii horyzontu przybierało rozmiary tak wielkie, iż zdawać by się mogło, że połyka ziemię. Patrzyłam w wodę odbijającą lśniąca promienie umierającego słońca, które pozostawiało po sobie wszędzie na pamiątkę oślepiające białe punkciki. Czyjaś czarodziejska dłoń rozrzuciła diamenty na niebieskiej tafli. Usłyszałam wieczorną balladę gondoliera żegnającego umierające słońce i zachciało mi się płakać ze wzruszenia.

Usadowiłam się wygodnie w ramionach męża, a on pocałował mnie w czoło. George położył się na poduszce między nami i spał z pyskiem opartym na łapkach.

- Jesteśmy tu od dwóch tygodni - powiedział John, całując mnie w ucho.

- Tak, i pogoda jest doprawdy wspaniała, tak nieprawdopodobnie idealna, że czasem usycham z tęsknoty za wiatrem wiejącym od naszych wrzosowisk.

- Kiedy byłem jeszcze bardzo młody i zwiedzałem Wenecję po raz pierwszy, postanowiłem spędzić tu podróż poślubną. A ponieważ jestem mężczyzną, któremu wszystko się udaje, oto jesteśmy - żona i ja, razem, przytuleni w Wenecji. O co chodzi? Już ci się znudziłem?

Delikatnie otoczył dłonią moją pierś. Wtuliłam się w niego głębiej, spragniona pieśczęoty.

- Jeszcze nie. Ale za pięćdziesiąt lat? Kto wie? - Powiedziałam i pochyliłam się, by

pocałować go w szyję.

- Dostałem dzisiaj list od twojego ojca. Wszystko u niego w porządku. Czuje się dobrze, a szlifiernia diamentów prosperuje nawet pod jego nieobecność. Odwiedzi nas w czerwcu. Panna Crislock przebywa w pobliżu Leeds, w domu tej kobiety, którą polecił nam doktor Boulder. Zarówno właścicielka zakładu, jak i personel, który zatrudnia, naprawdę nieźle się opiekują chorymi psychicznie. Nikogo się tam nie maltretuje. Panna Crislock jest bezpieczna, Andy.

Skinęłam głową. Nie chciałam nawet myśleć o tej kobiecie, którą uważałam za drugą matkę. Przesunęłam delikatnie dłonią po jego piersi i wyczułam wolne, miarowe bicie serca.

- Nie sądziłam, że mężczyzna może być tak cenny - powiedziałam, całując jego serce przez materiał marynarki.

- Czy masz na myśli wymiar duchowy? - spytał, wybuchając śmiechem.

- Chyba nie.

- W takim razie chcesz mi się przypodobać?

- Też nie. Chodziło mi raczej o ten dywan przed kominkiem...

Dosłownie go zatkąło. Tak bardzo się zmieniłam, co jeszcze od czasu do czasu wprawiało Johna w stan osłupienia. Oczywiście to on ponosił odpowiedzialność za te zmiany, co sprawiało mu ogromną przyjemność.

- Właściwie to ja też o tym myślałem - odparł. - Jesteśmy sami, a George na chwilę przestał chrapać.

- To cud.

Zaśmiał się i przytulił mnie.

- Codziennie będę słyszał twój śmiech. Uwielbiam go. A dziś wieczorem znów jesteśmy zaproszeni na przyjęcie. Tym razem do Contessa di Marco. Nie zmęczyły cię jeszcze te wszystkie fety, wieczorki i bale?

Pokręciłam głową.

- Chcę włożyć tę cudowną turkusową suknię, którą mi kupiłeś. Poza tym... wolałabym nie wyjeżdżać z Wenecji, dopóki nie zacznie tu choć trochę padać i wiać tak przenikliwie, by chłód przeniknął do kości.

- W takim razie zostanemy do przyszłego listopada. George zaszczekał głośno.

- O mało nie wpadł wczoraj do kanału, szukał odpowiedniego krzaczka. I niestety nie miał zbyt wielkiego wyboru.

John pochylił się i mnie pocałował, ale tym razem nie delikatnie, ale tak namiętnie, że wzbudził we mnie głód. Tak bardzo go pragnęłam. Czułam, jak wsuwa mi rękę pod suknię i

pieści. Omal nie zaczęłam wyć z rozkoszy.

- Myślę, że chciałabym się z tobą pomocować na dywanie.

- A ja modlę się o to, żebyś nigdy nie obniżyła wymagań. - Roześmiał się i zaniósł mnie do sypialni.

Towarzyszył nam George, który szczekał i merdał ogonem.

EPILOG

Rok później

Devbridge Manor Yorkshire, Anglia

Mój mąż i mój pies zostali dumnymi ojcami w tym samym tygodniu. W poniedziałek wielkanocny, Miss Bennington, szkocka terierka, tak słodka, że trudno było jej nie przytulać, wydała na świat pięć małych, puchatych kulek, które w chwilę później już zaczęły kłębić się w koszu stojącym w pobliżu kominka w naszym ogromnym pokoju. George obserwował przebieg wydarzeń, od czasu do czasu popiskiwał tylko z cicha razem z Miss Bennington, która rodziła kolejne szczenię. Kiedy już było po wszystkim, Miss Bennington wyglądała tak, jakby miała ochotę zabić George'a za jego udział w całym tym przedsięwzięciu.

- Odnoszę wrażenie, że była to bardzo pouczająca lekcja - powiedziałam do Johna i niestety, jak się później okazało, miałam rację. Niecałe sześć dni później najokropniejszy ból, jaki sobie tylko można wyobrazić, dosłownie zwałił mnie z nóg. John i George nie opuścili mnie ani na chwilę. Zabroniłam mężowi oddalać się choćby o krok. Pamiętam nawet, że go przeklinałam, ale musiało to wypaść żałośnie, bo powtarzałam bez przerwy te same słowa. Tyle, że coraz głośniejsze.

Kiedy Jarrod Franklin Lyndhurst zdecydował się wreszcie ukazać światu, byłam już niemal kompletnie zachrypnięta od krzyku. Usłyszałam tylko jego płacz, gdy doktor Boulder powitał go klapssem, usłyszałam głos Johna, który omal nie oszalał z radości. Cud narodzin wywarł na nim ogromne wrażenie. Pocałował mnie i podziękował za syna.

- To ja zrobiłam całą robotę - szepnęłam. - Dlatego to jest mój syn.

Zalały mnie pocałunki Johna i jego śmiech, a potem zapadłam w głęboki sen.

Następnego dnia, tuląc synka do piersi, uznałam, że w sumie nie było tak źle. Panna Redbreast, kiwając z ubolewaniem głową, powiedziała, że i ja dałam się nabrać na tę starą sztuczkę. Radość macierzyństwa każe nam zapomnieć o bólu. Postanowiłam poważnie rozważyć jej słowa.

W Devbridge Manor przebywał właśnie mój ojciec, który przyjechał do nas z kolejną długą wizytą. Widząc, jak trzyma wnuka w ramionach, wzruszyłam się do łez. Judith uśmiechnęła się do siostrzeńca, ale najwięcej uwagi poświęciła mnie.

- Dobrze się czujesz, Andy?

- Wspaniale - odparłam.

- Słyszałam, jak krzyczałaś. Tak bardzo się bałam. To było okropne.

- Tak, ale teraz jest już po wszystkim i mamy Jarroda. Jak myślisz, Judith? Jest podobny do mnie, czy do Johna?

- Do dziadka! - zawołał mój ojciec. - Chodź tu, kochanie, i zobacz, jak wyglądał twój tatuś, kiedy był jeszcze dzieckiem.

Judith roześmiała się. Teraz już jej stosunki z ojcem układały się normalnie. Nie próbowaliśmy jej okłamywać, powiedzieliśmy całą prawdę. Przez jakiś czas milczała, ale w końcu podeszła do ojca i popatrzyła na niego z namysłem.

- Nie możesz być całkiem zły, panie. Jesteś w końcu ojcem Andy, a ona okazała się wspaniałą siostrą.

I w taki oto dziwny sposób nawiązali ze sobą kontakt.

Co do Thomasa i Amelii, to spędzili z nami Wielkanoc, ale wyjechali na dzień przed narodzinami Jarroda. Minionego lata przenieśli się do Sussex, do Danvers Grange - domu rodziców Amelii, lorda i lady Waverleigh. Thomas przejął zarządzanie majątkiem, by lord Waverleigh mógł wyjechać na Jamajkę. Lady Waverleigh twierdziła, że zainteresował się poważnie voodoo i zamierza dowiedzieć się o nim czegoś więcej. Pokiwała tylko głową nad swoim przystojnym i bardzo roztargnionym mężem i stwierdziła, że nie ma nic przeciwko temu. Cieszyła się, że ogrzeje trochę kości, a słyszała, że gorące słońce Indii Zachodnich z pewnością zaspokoi jej pragnienia.

Wkrótce potem udałam się raz jeszcze do pokoju muzycznego Caroline. Wyszłam na środek pokoju i chwilę tamostałam. Podeszłam do okna i zobaczyłam, że mój mąż rozmawia z Boyntonem. Drzwi zamknęły się. Nie odwróciłam głowy. A potem usłyszałam jakiś szelest, ale nie odczuwałam strachu. Zupełnie nie. Popatrzyłam za siebie, ale oczywiście nic nie zobaczyłam. Poczułam tylko ogromne, wszechogarniające zmęczenie, a potem nagłe ciepło - zupełnie jakby ktoś tuż obok mnie rozpałił ogień na kominku i polana szybko buchnęła płomieniem. Ze zmęczenia, osłabiona gorącem usiadłam na podłodze. Ciepło przeniknęło mnie do głębi, a potem zasnęłam.

A kiedy zobaczyłam nad sobą pobladałą twarz Johna, uśmiechnęłam się tylko.

- Caroline jest już spokojna. Wszystko w porządku.

Z Czarnej Komnaty zniknęło zło. Złem był Lawrence. Lawrence, a on już nie żył. Następnego dnia kazałam pomalować pokój na biało, na podłodze położyć gruby biały dywan, a w oknach zawiesić białe zasłony. Judith bardzo polubiła ten pokój. Wstawiła tam biurko w stylu Ludwika XV i małą sofkę. W rogu umieściła harfę matki. Wkrótce do harfy dołączyło pianoforte, a Judith ogłosiła, że pokój należy teraz do niej. Caroline, myślałam, byłaby z niej taka dumna.

Amelia, jeszcze przed wyjazdem, popatrzyła na mój ogromny brzuch i wyznała, że też jest w ciąży. Nawet w trakcie rozmowy ze mną nie mogła oderwać oczu od Thomasa. Teraz - jak stwierdziła - miała już właściwie wszystko. Została panią własnego domu, oczekiwała dziecka i - ... popatrz tylko na Thomasa. Popatrzyłam. Był naprawdę pięknym mężczyzną, ale nie męczyły go już żadne przeziębienia, bóle i nawet najdrobniejsze załamania nerwowe. Prawdę mówiąc, Thomas wyglądał jak młody bóg - całkowicie zdrowy, z twarzą ogorzałą od słońca, gdyż pomagał w pracy na polu - co zresztą doradzał mu szczerze lord Waverleigh. John popatrzył tylko na brata i uśmiechnął się szeroko.

Panna Crislock umarła w listopadzie, co, jak sądzę, było dla niej błogosławieństwem. Ilekroć o niej myślałam, zawsze odczuwałam ból.

Co do mojego męża, dumnego ojca, to po narodzinach Jarroda pogwizdywał wesoło, śmiał się i całował, szepcząc, że pozwoli mi się napić brandy do kolacji.

Patrząc na mojego śpiącego synka, myślałam, że życie jest naprawdę piękne. Zdawałam sobie sprawę z tego, że muszę cenić ten wspaniały dar i rozkoszować się każdą chwilą. Podniosłam wzrok na Johna, który właśnie wszedł do sypialni z ogromnym bukietem kwiatów w dłoni.

- Z cieplarni Batherstoke. Mieszkała tam kiedyś nasza Miss Bennington. Kwiaty w podziękowaniu za to, że George pojawił się w ich życiu.

Usłyszałam szczekanie George'a na zewnątrz. Popatrzyłam na jego potomstwo w wielkim koszu, przy troskliwie liżącej je matce.

John wpuścił George'a, który pomaszerował prosto do tego legowiska. Zajął tam swoje stanowisko - stał na baczność, machając ogonem.

Zaśmiałam się, a potem przytuliłam do siebie synka i mego drogiego męża.